

Nie pożyczaj tej książki przyciociu, bo ci jej nie odda!

JAYNE ANN KRENTZ

czyli Amanda Quick
pod prawdziwym nazwiskiem



Ukryte
talentu

DC
LITERO

Wydawnictwo
W.A. Saco

Jayne Ann Krentz

Ukryte talenty

Prolog

Siedziała nieruchomo przy brzegu krystalicznie czystego gorącego źródła. Unosząca się nad nim srebrzysta para wirowała wokół, pogrążając ją w jeszcze głębszym transie. Wpatrywała się w niezmierzoną głębię i cierpliwie czekała. Powoli wizja zaczęła nabierać rzeczywistych kształtów.

Biały pokój był zalany ciepłym, złocistym słonecznym światłem. Gdzieś z oddali napływały dźwięki walca. Tuląc niemowlęta w ramionach spoglądała na zamknięte drzwi. Za chwilę się otworzą i wtedy on przyjdzie do niej. Drzwi się otworzyły. Do białego, skąpanego w słońcu pokoju wszedł mężczyzna. Uśmiechnął się do niej.

- Cholera - jęknęła Serenity. - To nie ten facet.

Rozdział 1

- I chyba muszę panu powiedzieć, że ktoś próbuje mnie szantażować - poinformowała go.

Nazywała się Serenity Makepeace, i zaledwie pół minuty wcześniej Caleb Ventress zastanawiał się zupełnie poważnie nad nawiązaniem z nią romansu. Nie wspomniał jej o tym, jako że nie rozważył jeszcze całej sprawy do końca. Nigdy dotąd nie był tak głęboko wdzięczny losowi za to, że obdarzył go wrodzonymi skłonnościami do chłodnej kalkulacji.

Caleb nie robił nic bez uprzedniego rozważenia wszystkich aspektów danego problemu. Zarówno w sprawach osobistych, jak i zawodowych stosował próbę czasu. Wiedział lepiej od innych, że do jego niezwykłych sukcesów finansowych w głównym stopniu przyczyniły się logika rozumowania i brak wszelkich emocji.

Leży w górach Cascade, około półtorej godziny jazdy z Seattle. W Witt's End zadomowili się artyści, rzemieślnicy i inni ludzie, którzy potrzebują środowiska akceptującego i popierającego ich niezależnego ducha i niekonwencjonalny styl życia.

Znakomicie zdaję sobie sprawę, że nie stać mnie na opłacenie Pańskiego honorarium, ale jestem przygotowana na zaproponowanie Panu udziału w przyszłych zyskach.

Zamierzam stworzyć prężną firmę sprzedaży wysyłkowej, stanowiącą rozwinięcie mojego sklepu spożywczego, która będzie zaopatrywać rynek w nietypowe produkty wyrabiane przez naszych mieszkańców. Zwracam się do Pana, ponieważ nasza wspólnota dłużej się nie utrzyma, jeśli nie zostanie w niej stworzona solidna baza ekonomiczna.

Orientuję się, że to przedsięwzięcie jest małe i niewiele znaczące w porównaniu z projektami, z jakimi zazwyczaj ma Pan do czynienia jako doradca finansowy, jednak apeluję do Pana, by się Pan podjął tego zadania. Dowiedziałam się, że jest Pan bardzo dobry w tej dziedzinie.

Postanowiłam ocalić naszą wspólnotę. Panie Ventress, wierzę, że światu potrzebne są takie miejsca jak Witt's End w stanie Waszyngton. To jedno z ostatnich miasteczek położonych z dala od zgiełku, które dają schronienie ludziom nie pasującym do współczesnego miejskiego krajobrazu.

W głębi duszy wszyscy potrzebujemy takich miejsc jak Witt's End. A Witt's End potrzebuje Pana, Panie Ventress.

Z poważaniem Serenity Makepeace

Powodując się kaprysem Caleb zaprosił ją na rozmowę. Gdy weszła do jego gabinetu przed trzema tygodniami - wyglądała wtedy okropnie w staromodnym szarym kostiumie i pasujących do niego pantoflach na niemal płaskim obcasie - od razu wiedział, że podpisze z nią kontrakt. Prowadził Serenity przez meandry świata biznesu, a ona podporządkowywała mu się z urzekającą naiwnością. Gdyby rzeczywiście chciał wykorzystać tę dziewczynę, mógłby ją omotać na sto tysięcy sposobów, a ona nigdy by nato nie wpadła. A jednak przed pięcioma minutami złożyła swój podpis na samym

dole czegoś, co Caleb uważał za bezsprzecznie sprawiedliwy kontrakt.

Oczywiście sobie zostawił bardzo dużą, bardzo elastyczną furtkę, a jej dawał tylko jedną, starannie kontrolowaną możliwość zerwania kontraktu, i to taką, którą prawdopodobnie mógłby odnaleźć jedynie prawnik. Cóż, interesy przede wszystkim. Gdy sprawy dotyczyły tej sfery życia, Caleb załatwiał je albo na własnych warunkach, albo wcale.

Jego wyjście awaryjne było zakamuflowane w paragrafie szóstym umowy. Teraz trzeba je było tylko wypróbować. Caleb nie spuszczał wzroku z Serenity, trawiąc informację, którą się z nim przed chwilą podzieliła.

- Co pani powiedziała? - zapytał. Nie istniał bodaj cień szansy, że się przesłyszał, ale musiał się upewnić.

Serenity delikatnie odchrząknęła.

- Powiedziałam, że ktoś próbuje mnie szantażować.

Gdzieś w środku poczuł wzbierającą falę wściekłości. Tyle już czasu upłynęło od chwili, gdy po raz ostatni doznał tak silnej emocji, że o mały włos nie rozpoznałby powodu tego gniewu. Przez krótką chwilę istniała groźba, że to uczucie nad nim zapanuje.

- Niech to szlag trafi! - Caleb nawet nie próbował osłabić ostrości tych słów.

Serenity przechyliła głowę na bok i obserwowała go nieruchomym, ale baczным spojrzeniem.

- Stało się coś złego?

Z niesmakiem stwierdził, że tym razem jej czarująca naiwność przekroczyła pewne granice. Zastanawiał się, co takiego w niej widział. Próbując rozpaczliwie przywołać do głosu chłodny obiektywizm, którym się szczycił całe życie, doszedł do wniosku, że nikt nie uznałby tej dziewczyny za piękność. Owszem, atrakcyjna. Z pewnością interesująca. Ale na pewno nie piękna. Inteligentna twarz Serenity była pełna ekspresji i życia.

Musiał przyznać, że jej wysoko umieszczone kości policzkowe świadczą o wrodzonej klasie. Zauważył również, że pełne usta dziewczyny przywodzą na myśl parne noce i wilgotne, pomięte prześcieradła, choć tegoroczny październik w Seattle był chłodny i rześki. Nie, zdecydowanie nie jest piękna, choć od pierwszej chwili spotkania przykuwała jego uwagę. Zapragnął tej dziewczyny.

Boże dopomóż, wciąż jej pragnął!

- Biorąc pod uwagę okoliczności, to raczej idiotyczne pytanie, nie sądzi pani?

- Przepraszam - grzecznie odpowiedziała Serenity. - Rozumiem, że to prawdopodobnie było dla pana zaskoczeniem. Tak samo jak dla mnie.

Caleb rozłożył płasko dłonie na szklanym blacie stalowego biurka.

- Z jakiego powodu ktoś miałby panią szantażować, panno Makepeace?

- Nie jestem pewna. - Ściągnęła ognistorude brwi w wyrazie poważnego skupienia. - To właśnie jest najdziwniejsze. Te zdjęcia przysłano mi dziś rano do hotelu, na moje nazwisko. W środku była kartka, na której ktoś napisał, że pan je także otrzyma, jeśli natychmiast nie zerwę umowy z Ventress Ventures.

- Zdjęcia? - Caleb zeszywniał. Boże, nie dopuść, żeby to było to, czego się spodziewa. - Pani zdjęcia?

Serenity zaczerwieniła się, ale nie spuściła wzroku. ?

- Tak.

- Z kimś jeszcze? - zapytał bardzo ostrożnie. Może nie będzie aż tak źle? Może to tylko zdjęcia z jej byłym kochankiem? Przypomniawszy sobie, że ona ma dwadzieścia osiem lat. Miała prawo przeżyć kilka romansów. To mógł jeszcze znieść. Sam też zaliczył kilka. Niewiele, ale kilka na pewno.

- Nie. Na zdjęciach jestem sama. Były zrobione mniej więcej pół roku temu. Caleb zacisnął szczęki.

- I cóż takiego jest na tych zdjęciach?

- Nic specjalnego. Na większości z nich po prostu leżę.

- Po prostu leżę! - Caleb wziął pióro i stukał nim bardzo, bardzo delikatnie o blat biurka. Stuk, stuk, stuk.

Dźwięk wibrował mu w uszach.

- Z jakiego powodu te zdjęcia nadają się do szantażu, panno Makepeace?

- No właśnie. Myślę, że wcale się nie nadają. - Piękne usta wygięły się w smutnym uśmiechu. - Ale widocznie ktoś uważa, że mogą być godne potępienia. Przynajmniej w pańskich oczach.

- Dlaczego pani uważa, że ktoś może mieć takie wrażenie?

Serenity wzruszyła ramionami z czarującą nonszalancją.

- Właściwie nie jestem pewna, dlaczego ktoś sądzi, że te zdjęcia mogą służyć jako materiał do szantażu, ale jestem na nich dość skąpo ubrana. I może chodzi właśnie o to.

- Na ile skąpo?

Dotknęła palcami małego gryfa, który zwisał z łańcuszka na jej szyi. Wisiorek najwyraźniej był kiedyś pozłacany, ale cienka warstewka złota w wielu miejscach uległa uszkodzeniu i na skrzydłach potwora przezierał spod niej tani metal.

- Przeważnie mam na sobie ten wisiorek.

- Zdjęcia nago. O Boże. - Caleb odrzucił pióro i wstał.

Włożył ręce do kieszeni elegancko skrojonych spodni i podszedł do okna.

Zastanawiał się, czy miało się powtórzyć to, co spotkało jego rodzinę przed wielu laty, ale odrzucił tę przelotną myśl. Doskonale wiedział, że stary skandal był dla jego dziadka i reszty klanu dumnych Ventressów tysiącokrotnie gorszy, bo przecież ojciec Caleba, Gordon Ventress, był żonaty, gdy zdjęcia jego kochanki, Crystal Brooke, zostały wysłane dziadkowi Caleba, Rolandowi.

Crystal Brooke, tak brzmiał sceniczny pseudonim pół-etatowej modelki, niedoszłej gwiazdy i pełnoetatowej prostytutki, która wbiła krwistoczerwone szpony w bogatego i obiecującego młodego polityka z Ventress Valley w stanie Waszyngton. Ventress nigdy nie poznał swojej matki, Crystal, ale w dzieciństwie i młodości wiele się o niej dowiedział. Jej specjalnością było pozowanie nago do zdjęć dla określonych męskich czasopism, których z pewnością nie kupowano z powodu ciekawych artykułów.

Kiedy do rąk Rolanda Ventressa dotarł oczywisty dowód romansu syna z Crystal Brooke, konserwatywną siedzibą w Ventress Valley wstrząsnęła potężna eksplozja. Roland, zahartowany przez lata przepracowane na ranczo oraz dyscyplinę obowiązującą w wojsku i naznaczony zaciętym uporem, charakterystycznym dla całej rodziny, po prostu odmówił zapłacenia haraczu szantażyście.

Anonimowy „czytelnik” natychmiast wysłał zdjęcia do „Ventress Valley News”. Wydawca jedynej gazety w miasteczku swojego czasu prowadził wojnę z Rolandem Ventressem, więc z satysfakcją opublikował fotografię Crystal, którą starannie przycięto, tak by się nadawała do publikacji w małomiasteczkowej gazecie. Artykuł zamieszczony obok zdjęcia ciskał gromy na upadek moralności i całkowity brak etyki u młodego Gordona Ventressa. Podawał także w wątpliwość jego predyspozycje do objęcia stanowiska w administracji stanowej.

Skandal spowodował także podziały w klanie Ventressów. Patricia, dystygowana młoda żona Gordona, wychowana w starej, bogatej rodzinie ze Wschodniego Wybrzeża, pełniła swe obowiązki aż do końca. Dzielnie stała murem przy boku męża, dopóki nie nadeszła wiadomość, że Crystal Brooke urodziła dziecko płci męskiej, a Gordon z ochotą przyznał się do ojcostwa. Tego już było dla Patricii za wiele. Nawet silne postanowienie spełnienia obowiązków jak na dobrą żonę przystało oraz hart ducha i lojalność w stosunku do rodziny, którą Patricia odziedziczyła po kilku pokoleniach

dzielnych przodków z Nowej Anglii, nie zdołały jej pomóc. Zgodziła się na rozwód, pierwszy w historii rodziny Ventressów.

Po burzliwej konfrontacji z ojcem Gordon wyjechał do Los Angeles i zamieszkał z Crystal. Przysiągł, że ją poślubi natychmiast po sfinalizowaniu rozwodu, jednak podczas następnego weekendu oboje zginęli w okropnym wypadku samochodowym. Z życiem uszedł jedynie ich trzymiesięczny syn, Caleb.

Roland Ventress kontynuował dumną tradycję rodziny Ventressów i spełnił swój obowiązek w stosunku do niechcianego dziedzica. Poza jaskrawym wyjątkiem, jakim był ojciec Caleba, Ventressowie zawsze spełniali swe obowiązki. Roland pojechał do Los Angeles, by pochować jedyne syna i zabrać wnuka. Z dużą dozą niechęci zajął się także pochówkiem Crystal, z tej prostej przyczyny, że nie było nikogo, kto mógłby się tym zająć.

Roland przywiózł infanta do rodzinnej siedziby w Ventress Valley i poinformował swą pogrążoną w żałobie małżonkę, Mary, oraz resztę rodziny, która składała się z Jego bratanka Franklina i bratanicy Phyllis, że pomimo skandalu Ventressowie powinni przejąć odpowiedzialność za losy chłopca. Ostatecznie był on jedyną nadzieją Rolanda na przyszłość. Caleba wychowywano w posłuszeństwie i starannie kształcono. Zapoznano go z obowiązkami i odpowiedzialnością, jakiej oczekiwano po członkach rodziny Ventressów.

I nigdy, nawet na chwilę, nie pozwolono mu zapomnieć o tym, że jest efektem skandalicznej afery, która przyniosła klęskę klanowi Ventressów. Wszyscy bowiem byli zgodni, że gdyby nie Caleb, skandal z czasem zostałby pogrzebany. Być może Crystal Brooke dałaby się przekupić. Być może Gordon odzyskałby rozum i porzucił swą małą, tlenioną kochankę.

Gdyby nie było Caleba, wszystko mogło się jakoś ułożyć. Ale Caleb był. Nieugięty zazwyczaj Roland pogodził się z tym faktem. Powziął jednak odpowiednie kroki, aby zła krew odziedziczona przez chłopca po matce nigdy nad nim nie zapanowała. Caleb zdawał sobie teraz sprawę, że zmarnował większość swych lat młodości na nieustannych próbach zadowolenia dziadka, który w najdrobniejszych nawet niepowodzeniach chłopca dopatrywał się dowodu na to, że złe geny Crystal Brooke nie zostały z niego skutecznie wyplenione.

Spoglądając wstecz Caleb uświadamiał sobie, że jego dzieciństwo było jeszcze w miarę pogodne, dopóki żyła babka. Pogrążona w rozpacz po stracie syna, Mary Ventress w końcu na tyle otrząsnęła się z bólu, by wrodzone uczucia macierzyńskie skierować na wnuka.

Mary nauczyła się kochać Caleba, aczkolwiek nigdy nie potrafiła skutecznie ukryć nienawiści do kobiety, która go urodziła. Gdy Caleb wspominał babkę, nie mógł zapomnieć smutku, jaki zawsze ją otaczał, skryty tuż pod powierzchnią. Uświadamiał sobie, że to on w jakimś stopniu był odpowiedzialny za głęboką udrękę Mary Ventress.

Kiedy babka umarła, Roland podjął się wychowywania ośmioletniego wówczas chłopca. Franklin i Phyllis energicznie wzięli się do pomocy w tym zadaniu. Obydwoje na równi z Rolandem postanowili zadbać o to, by młody Ventress nigdy się nie dopuścił błędu, jaki popełnił jego ojciec. Caleb zdawał sobie sprawę z tego, że przez całe życie płacił rachunek za wstrętne zdjęcia własnej matki, i dlatego lepiej niż inni orientował się w materii szantażu.

Jeśli w ogóle cokolwiek mogło go doprowadzić do szału, to właśnie szantaż. Jeśli w ogóle istniał jakiś typ kobiety, z jaką za nic w świecie nie nawiązałby bliższych kontaktów, to właśnie z taką, która mogłaby stać się ofiarą szantażu z powodu plugawych fotografii, takich jak te, które robiono jego matce.

Na samo wspomnienie o planowanym romansie z Serenity Makepeace miał ochotę trzasnąć z całej siły w szklany blat biurka i rozbić go na tysiące kawałków.

- Kto robił te zdjęcia? - Caleb zmusił się do zadania pytania spokojnym, obojętnym tonem, co przychodziło mu z trudem. Nie był przyzwyczajony do prowadzenia rozmów w takim stanie emocjonalnym. Ale miał za sobą wiele lat praktyki, podczas których musiał panować nad okazywaniem wszelkich uczuć, i w końcu bardzo dobrze mu to wychodziło. Pomyślał z goryczą, że wiele rzeczy znakomicie mu wychodzi.

Serenity spojrzała na niego, lekko zaskoczona pytaniem.

- Co pan ma na myśli? Fotografik je robił, to chyba Jasne?

- Jak się nazywa ten fotografik? Dla kogo pracuje?

- Ach, rozumiem, o co panu chodzi - odpowiedziała. - Nazywa się Ambrose Asterley. I, niestety, nie pracuje dla nikogo. Już od kilku lat nic o nim nie słyhać, chociaż w swoim czasie uchodził za bardzo zdolnego.

- Doprawdy?

Serenity wyraźnie nie zauważyła złośliwej ironii.

- Owszem. Pracował w Los Angeles, w Hollywood, jeśli chce pan wiedzieć dokładnie. Ale to było wiele lat temu. Dowiedziałam się, że robił karierę. Ale biedak ma problemy z alkoholem i to mu zrujnowało życie.

Pozowała dla taniego, przegranego pijusa. Caleb zacisnął pięści. Te zdjęcia bez wątpienia ledwo się nadawały nawet do plugawych pisemek.

- Rozumiem.

- Ambrose radzi sobie trochę lepiej od czasu, gdy się sprowadził do Witt's End - zapewniła go solennie. - Kilka razy już mu się udało coś sprzedać, ale nie zdołał wrócić do swojej branży. Bardzo mi go żal.

- I dlatego mu pani pozowała? Bo go było pani żal?

- Tak. No i dlatego, że cokolwiek by o nim powiedzieć, to nikt nie może zaprzeczyć, że jest bardzo utalentowanym artystą.

- Niech to szlag trafi! - Caleb wpatrywał się w rozciągającą się dwadzieścia pięter niżej Czwartą Aleję.

Wszystko tam w dole wydawało mu się tak odległe jak większość spraw w jego życiu ostatnimi czasy. I to mu odpowiadało. Tak było najprościej. Przynajmniej dotychczas.

Starannie kontrolowany dystans emocjonalny początkowo służył mu jako tarcza obronna przed milczącym oskarżeniem, wycierającym z oczu dziadków i całej rodziny. Jednak ostatnio wydawało mu się, że ten obiektywny, chłodny stosunek do rzeczywistości, jaki sobie wytworzył, nieoczekiwanie przybrał na sile.

Coraz częściej odnosił wrażenie, że się zaczyna dematerializować. Wokół nadal toczyło się zwyczajne życie, ale on tylko przechodził przez wydarzenia, udając, że bierze w nich udział, ale wiedząc, że nie jest uczestnikiem, lecz jedynie obserwatorem. Nic go nie poruszało i właściwie nie wiedział, czy on jest w stanie poruszyć cokolwiek. Zupełnie tak, jakby się stawał duchem.

Ale Serenity Makepeace poruszyła go i wstrząsnęła nim w sposób całkowicie niewytłumaczalny. Uczucia, silne, podniecające, niebezpieczne uczucia zaczęły się wydostawać na powierzchnię niewzruszonego monolitu, za jaki się uważał, kiedy tylko ta dziewczyna zjawiała się w kancelarii. Najpierw ogarnęło go prymitywne, surowe, ożywcze podniecenie. Poczul się wtedy tak żywy jak nigdy dotąd. A teraz odczuwał wściekłość. Powinien przewidzieć, że Serenity jest zbyt doskonała, by mogła być prawdziwa.

- Te zdjęcia muszą być niezwykle interesujące, panno Makepeace - powiedział myśląc o starych fotografiach i wycinkach z gazety, zamkniętych w szkatułce na biżuterię, która należała kiedyś do jego

matki. O tych przeklętych fotografiach. O materiale do szantażu.

Szkatułka na biżuterię - jaskrawe pudełko ozdobione dużymi, fałszywymi rubinami - była jedyną rzeczą, jaką odziedziczył po Crystal Brooke. Dziadek wręczył mu ją na osiemnaste urodziny, raz jeszcze wygłaszając przy tym poważne ostrzeżenie, by się pilnował przed popełnieniem błędu. Caleb tylko raz otworzył szkatułkę. Od tamtej pory leżała zamknięta i schowana.

- Ambrose ma problem z piciem, ale jest utalentowanym fotografikiem - zapewniła go Serenity ze wzruszającą w tej sytuacji lojalnością. - Większość ludzi uznałaby te zdjęcia za dzieło sztuki.

- Te zdjęcia, na których leży pani nago? Chyba czegoś nie rozumiem. My nie rozmawiamy o sztuce, panno Makepeace, rozmawiamy o zdjęciach, które były za mieszczzone w brukowym czasopiśmie dla mężczyzn.

- Nieprawda! - Była ewidentnie wstrząśnięta jego bezkompromisową postawą. - One nigdy i nigdzie nie były publikowane, ale gdyby nawet, to zapewniam pana, że nie w plugawym piśmie dla facetów. Prace Ambrose'a są zbyt dobre na coś takiego. Zaslugują na to, by wisieć w najlepszych galeriach.

- To on zasługuje na to, by wisieć - mruknął Caleb. - Niech pani skończy z tym tekstem o sztuce. Dobrze wiem, jakiego rodzaju zdjęcia robi Ambrose Asterley.

- Wie pan? - Rozjaśniła się. - Rzeczywiście widział pan jego prace?

- Powiedzmy, że ten styl jest mi znany. Nie ulega wątpliwości, że ma talent w produkowaniu zdjęć, które mogą służyć za powód do szantażu.

- Ale te zdjęcia nie są takie - zaprotestowała. - Właśnie próbuję to panu wytłumaczyć.

- Mam już dosyć tych cholernych wyjaśnień.

Na moment zapanowała niezręczna cisza.

- Tak więc ten, kto przysłał list, ma rację - powiedziała spokojnie Serenity. - Pan nie toleruje artystycznych aktów. Czy to oznacza, że chce pan zerwać naszą umowę?

- Zamierzam się nad tym zastanowić.

- Rozumiem.

Wyczuł jej niechęć i to go jeszcze bardziej zirytowało. To jej wina, a nie jego!

- Proszę mi powiedzieć, Serenity, jakie jeszcze talenty pani posiada? Czy gra pani tak samo dobrze, jak pozuje?

- Słucham?

- Zastanawiam się właśnie, czy przypadkiem nie zrobiła pani kilku filmów z Ambrose'em Asterleyem lub jakimiś jego kolegami.

- Filmów?

- Wie pani, o czym myślę. Takie, które wyświetlają w trzeciorzędnych kinach, a w sklepach z kasetami wystawiają na półce tylko dla dorosłych.

- Wielkie nieba! - Serenity była wyraźnie oburzona. - O co pan mnie oskarża?

- O nic pani nie oskarżam. - Caleb odwrócił się na pięcie i spojrzał jej prosto w oczy. - To pani mnie poinformowała, że jest pani szantażowana z powodu pliku fotografii. Ja się tylko zastanawiałem, jak szerokie jest spektrum pani talentów.

- Pan myśli, że jestem kimś w rodzaju gwiazdki porno!?! - Serenity skoczyła na równe nogi i zasłoniła się aktówką jak tarczą. - To śmieszne. Niech pan na mnie popatrzy. Czy ja wyglądam jak kobieta, która w ten sposób zarabia na życie?

Beznamiętnie przyglądał się jej szczupłej, delikatnej figurze. Dobrze wiedział, że nie ma wydatnego biustu ani tego agresywnego erotyzmu charakterystycznego dla dziewcząt, które mają spełniać rolę magnesu w pismach dla mężczyzn lub filmach soft porno.

A jednak posiadała pewien rodzaj zmysłowości, który mu burzył krew, ilekroć był przy niej. Otaczała ją naturalna aura, która wymykała się wszelkim próbom definicji. Wszystko to sprawiało, że bez trudu mógł ją sobie wyobrazić nagą i lśniąca na łące, z oczami pełnymi kobiecej przewrotności i obietnicy z ustami rozchyłonymi w zaproszeniu do pocałunku.

Calebowi nagle przyszło do głowy, że fotografie, na których udałoby się uchwycić tę eteryczną zmysłowość Serenity, mogły być dziełami sztuki. Ale takich zdjęć nie zrobiłby stary, zużyty i zapijaczony były fotografik, który kiedyś pracował w Hollywood.

Caleb zacisnął zęby. Niedobrze mu się robiło na myśl, że Serenity pozowała do takich zdjęć, którymi można ją było szantażować, do takich, jakie zniszczyły życie jego rodziców przed laty. Wzdrygnął się z furją zranionej bestii.

- Nie, prawdopodobnie nie odniosłaby pani sukcesu jako gwiazda porno - powiedział. - Nic dziwnego, że Asterleyowi nie udało się sprzedać tych zdjęć. Nie ma pani odpowiednich zadatków na taką gwiazdę, prawda?

Serenity poczerwieniała z gniewu.

- Powiedziałam panu, że Ambrose Asterley jest artystą!

- Może go pani nazywać, jak pani chce.

- Nic pan nie rozumie.

- Doskonale rozumiem, Serenity. To całkiem proste, jeśli się temu przyjrzeć od początku. Kilka miesięcy temu pozowała pani do tandetnych, plugawych fotografii, a teraz ktoś je próbuje wykorzystać, żeby panią zaszantażować. Myślę, że tak wygląda w skrócie cała ta chryja.

- Ten szantaż się powiedzie tylko wtedy, gdy pan na to pozwoli - zareplikowała natychmiast. - Caleb, czy to pana nie obchodzi, że ktoś stara się nas powstrzymać przed wprowadzeniem zmian w Witt's End?

- Istotnie, mało mnie obchodzą czyjeś próby powstrzymania marszu w kierunku postępu całej tej miejsciny. Z tego, co mi pani opowiedziała o jej mieszkańcach, ten szantażysta może się wywodzić spośród tych przegranych uciekinierów od rzeczywistości. Jednak sedno spoczywa w tym, że to nie mój problem, tylko pani.

- To wcale nie musi być problem. - Serenity spojrzała na niego błagalnie. - Powiedziałam panu o tych zdjęciach, bo pomyślałam, że powinien pan wiedzieć. A już na pewno nie zamierzam pozwolić, by ktokolwiek mnie zaszantażował i zmusił do porzucenia planów co do Witt's End.

- To się pani chwali. Życzę szczęścia.

- Proszę pana, ja znajdę tę osobę, która je wysłała, i porozmawiam z nim lub z nią. Jestem pewna, że ktokolwiek to zrobił, działał w obawie przed zmianami. Mogę zapewnić tę osobę, że w Witt's End właściwie nic się nie zmieni, nawet jeśli moje przedsiębiorstwo zacznie prosperować.

- Ma pani zamiar przemówić do rozsądku szantażyście? - zapytał Caleb, zdumiony jej naiwnością.

- Czemu nie? Znam wszystkich w tym miasteczku. - Serenity westchnęła. - To mógłby być Blade, chociaż nie mam pojęcia, skąd wzięłyby te fotografie.

- Blade? - Caleb zmierzył ją wzrokiem. - To ten pomyleniec, o którym mi pani opowiadała? Ten, który ma stado rottweilerów i włóczy się dookoła z kilkoma AK-47 zawieszonymi na szelkach?

- To chyba nie są AK-47 - powiedziała z powątpiewaniem Serenity.

- A co to za różnica? Ten facet to wariat.

- Blade jest w porządku. Trzeba go tylko bliżej poznać. Robi wspaniałe octy ziołowe. Myślę, że się będą świetnie sprzedawały.

- Ten człowiek wygląda mi na niebezpiecznego, wściekłego paranoicznego idiotę. Sama pani mówiła, że on podejrzewa istnienie spisku jakiejś tajnej organizacji rządowej w celu przejęcia

władzy nad całym krajem.

- No to może nie Blade. - Serenity mówiła łagodnym głosem, wskazującym na pewne doświadczenie w rozmowach z wybuchowymi ludźmi. - Równie dobrze to może być ktoś inny.

Caleb zorientował się, że nie podoba mu się, gdy ktoś go uspokaja i przemawia do niego, jakby był rozsierzdzonym ogierem.

- Proszę posłuchać, panno Makepeace, nie ma teraz sensu wałkowanie tego tematu i zastanawianie się, kto to zrobił, dopóki nie zdecyduję, czy będę kontynuował współpracę z panią czy nie.

Jasna cera Serenity jeszcze bardziej zbladła i kontrastowała teraz z ognistymi wypiekami na policzkach. Dziewczyna próbowała zajrzeć mu w oczy.

- Nie mogę uwierzyć, że mógłby pan zrezygnować z tego powodu.

Caleb uniósł brwi.

- Każdy, kto mnie zna, może pani powiedzieć, że nie schodzę poniżej pewnego poziomu w interesach. I nie zamierzam tego robić teraz.

Serenity wyglądała tak, jakby ją oblał kubłem zimnej wody. Po raz pierwszy w jej oczach zamigotały iskielki gniewu.

- Nie do wiary! Nie miałam pojęcia, że z pana taki arogancki, obłudny zarozumialec!

Caleb założył ręce na piersi.

- A ja nie miałem pojęcia, że pani jest taką kobietą, która pozuje nago trzeciorzędnym fotografom.

- Jakim prawem mówi pan takie rzeczy?! Nic pan nie wie o mnie i o tych zdjęciach. - Zrobiła dwa kroki w kierunku drzwi. - Wie pan co? Lubiłam pana. Myślałam, że jest pan miły.

- Miły? - Niech to szlag trafi, pomyślał. Z jakiejś niezbadanej przyczyny to była ostatnia kropla, która przepełniła dzban. - Pani myślała, że jestem miły?!

- Owszem, miły. - W jej błyszczących oczach pojawił się cień niepewności. - Sprawiał pan wrażenie tak zainteresowanego moimi pomysłami. Tak skorego do pomocy. Myślałam, że jest pan tak samo zaangażowany w sprawę przyszłości naszej osady jak ja.

- Jeśli o mnie chodzi, to Witt's End może nawet zgnieć.

- Po raz pierwszy w życiu Caleb nie zastanowił się nad tym, co robi. Zbliżał się do Serenity z ponurą determinacją.

Od blisko miesiąca cierpiał katusze nie spełnionego pożądanja. Pocieszał się widokami na rychły początek romansu, pewien, że jest tak samo pociągający dla Serenity jak ona dla niego. Teraz wszystko się rozwiało i ta świadomość boleśnie go ugodziła.

Serenity stała sztywno wyprostowana, przyciskając aktówkę do piersi w obronnym geście.

- Co pan właściwie zamierza zrobić?

- Naprawić mylne wrażenie. - Caleb zatrzymał się tuż przed nią. Uniósł ręce, chwycił ją za ramiona i przycisnął do siebie. - Nie chciałbym, żeby pani stąd odeszła myśląc, że jestem miłym facetem, panno Makepeace.

Chwycił ją za brodę i przycisnął usta do jej miękkich, pełnych warg. Gotująca się w nim furia i rozzalenie znalazły nagle ujście w pocałunku. Czuł drzenie Serenity pod tym gwałtownym naporem, ale także brak oporu.

Przez kilka sekund stała sztywna w jego objęciach. Sprawiała wrażenie bardziej zaskoczonej niż przestraszonej. Caleb był świadom tego, że właśnie niszczy coś ważnego, coś, co bardzo by chciał obronić. Myśl o tym sprowokowała go do jeszcze sumienniejszego wykonywania tego, co robił. Był przecież niezwykle sumiennym człowiekiem.

Zacisnął palce na ramionach Serenity. Przyciskając usta do jej warg wyczuwał zaciśnięte zęby. Po raz pierwszy ją całował i nie było wątpliwości, że także po raz ostatni. Wściekła furia ustąpiła

miejsca silnej namiętności, która wstrząsnęła nim aż do głębi.

Próbował się zatopić w smakowaniu ust Serenity, próbował utrwalić odcisk jej ciała na swoim, tak by móc przywołać to wspomnienie za pięć, dziesięć lub dwadzieścia lat i wtedy się nim rozkoszować.

Pogłębił jeszcze pocałunek, rozchylając w końcu jej wargi. Lada chwila Serenity uwolni się z jego uścisku i zniknie z jego życia. To było wszystko, co mógł od niej otrzymać.

Coś okropnie ciężkiego spadło mu na wyglansowane buty. Aż drgnął z bólu. Serenity wypuściła z rąk aktówkę. Caleb, oszołomiony natłokiem wirujących w nim uczuć, oderwał od niej usta. Musiał pozwolić jej odejść.

- Nie, jeszcze nie. - Serenity owinęła mu ramiona wokół karku i przyciągnęła jego usta z powrotem.

Zanim się zorientował, jakie są jej zamiary, już go całowała z tak gwałtowną intensywnością, że fale wstrząsów przebiegające mu przez ciało wypłukały wszelkie myśli o przeszłości i przyszłości. Pragnęła go! W tej chwili tylko to miało znaczenie. Caleb zsunął dłonie do jej cienkiej talii i uniósł ją lekko w górę, przyciskając do siebie.

- Wystarczy. - Serenity uwolniła usta i zdjęła ręce z jego karku. Odchyliła się do tyłu i odepchnęła od jego piersi. - Puść mnie, Caleb. Zmieniłam zdanie. Wcale nie jesteś miły. - Jej oczy błyszczały z gniewu i pożądania. - Wszystko zepsułeś. Wszystko. Jak mogłeś to zrobić? Myślałam, że się rozumiemy. Myślałam, że możemy sobie ufać.

Caleb wyglądał jak rażony gromem.

- Serenity, przestań.

- Powiedziałam, żebyś mnie puścił. - Wyszarpnęła się z jego uścisku.

Puścił ją. Serenity pochyliła się, podniosła z podłogi teczkę i szybko podeszła do drzwi. Otworzyła je i pognąła przez gabinet sekretarki. Pani Hotten, sekretarka Caleba, przestraszona spojrzała na swego szefa.

- Serenity, zaczekaj - zawołał Caleb.

- Nie czekałabym na pana nawet przez jedną minutę, panie Ventress. - Odwróciła się, żeby mu spojrzeć w oczy.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytał.

- Najpierw wytropię szantażystę. A potem znajdę sobie innego doradcę. Takiego, który nie będzie miał wrażeń, że jest zmuszony do schodzenia poniżej swego poziomu.

Ponownie okręciła się na pięcie i przemaszerowała obok biurka pani Hotten. Z szarpnięciem otworzyła drzwi kancelarii i zniknęła na korytarzu.

Odchodziła od niego! Kierując się bardziej ślepyim instynktem niż logiką, Caleb ruszył za nią. W tym momencie na biurku pani Hotten ostro zadzwieczał telefon. Sekretarka podniosła słuchawkę.

- Ventress Ventures, słucham. - Umilkła na kilka sekund. - Tak, pani Tarrant, jest, zaraz go poproszę.

Caleb podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz, ale już było za późno - właśnie w tym momencie Serenity zniknęła w windzie.

- Cholera.

- Panie Ventress? - Pani Hotten odchrząknęła nerwowo. - Dzwoni pańska ciotka.

Caleb zamknął oczy i policzył w myślach do dziesięciu. Dzwonił ktoś z rodziny, a pani Hotten wiedziała, że Jest zawsze dostępny dla każdego z członków klanu Ventressów.

Powoli wróciło uczucie chłodnego dystansu, ponownie stał się odległym i niedotykalnym duchem w rzeczywistym świecie, w którym nie ma niebezpiecznych emocji, palącej namiętności ani nie kontrolowanego pożądania. Był bezpieczny. Był opanowany.

- Odbiorę u siebie w gabinecie.

- Bardzo proszę.

W spojrzeniu pani Hotten, zazwyczaj łagodnej, sumiennej i opanowanej, pojawił się jakiś dziwny wyraz, którego Caleb nigdy przedtem u niej nie zauważył. Dopiero po chwili sobie uświadomił, że to było współczucie. Zirykowany tym odkryciem zignorował ją i wszedł do swego sanktuarium. Pochylił się nad biurkiem i wziął słuchawkę.

- Dzień dobry, ciociu.

- Dzień dobry, Caleb - zadźwięczał w słuchawce energiczny i rzeczowy głos ciotki Phyllis. - Dzwonię, żeby się upewnić, czy pamiętasz o corocznym jarmarku dobroczynnym w Ventress Valley. Obawiam się, że to już nie długo, a Ventressowie muszą jak zwykle wykonać, co do nich należy. Ciotka miała pięćdziesiąt dziewięć lat i zrobiła karierę jako członkini komitetów organizacyjnych wszystkich akcji dobroczynnych w Ventress Valley. Będąc kuzynką Gordona, właściwie nie była prawdziwą ciotką Caleba, ale on zawsze tak się do niej zwracał. Podobnie zresztą nazywał wujem Franklina, stryjecznego brata swego ojca.

- Nie zapomniałem, ciociu. Jak zwykle przekażę rodzinny datek.

- No tak, oczywiście. Wiesz przecież, że miasteczko liczy na nas.

- Tak, wiem.

Ventressowie od wielu pokoleń zaliczali się do najbardziej wpływowych rodzin w Ventress Valley. Jako przyszyły spadkobierca ziem i fortuny Rolanda, Caleb przejął kontrolę nad majątkiem Ventressów, który pierwotnie przeważnie stanowiła ziemia, ale teraz był starannie podzielony na rozmaite przedsięwzięcia, inwestycje i lokaty. Po skończeniu studiów Caleb stanął na czele fortuny Ventressów i od tamtej pory dzięki jego posunięciom majątek wkrótce został podwojony, a nawet potrojony.

Oczywiście Roland nadal się wtrącał, gdy tylko odczuwał taką potrzebę. Tak naprawdę nigdy nie zrezygnował z prowadzenia interesów, o czym zresztą wszyscy dobrze wiedzieli. Ale coraz częściej zaglądał do swojej stadniny arabskich koni, powierzając rodzinne finanse wnukowi. Phyllis i Franklin nigdy nie zaniebawiali okazji do wtrącenia swoich trzech groszy w sprawy finansowe, a i ich dzieci czasami sugerowały jakieś posunięcie, ale ze względów praktycznych Caleb zarządzał dobrami Ventressów.

Jednak nikt mu nigdy za to nie podziękował, nie mówiąc już o okazaniu jakiejś szczególnej wdzięczności za to, że dzięki jego wysiłkom majątek rodzinny znacznie się pomnożył. Uważali, że Caleb po prostu robi to, czego się od niego oczekuje.

- No cóż, to w takim razie załatwione - powiedziała Phyllis. - A teraz mi powiedz, o której możemy się ciebie spodziewać w sobotę?

- Jeszcze nie wiem. Chyba około południa.

W sobotę przypadały osiemdziesiąte drugie urodziny Rolanda Ventressa. Caleb od dnia, w którym przybył do domu w Ventress Valley, nigdy nie opuścił ani jednych urodzin dziadka. Bardzo dbał o to, by wiernie dochowywać tradycji rodzinnej i pielęgnować wszelkie związane z nią rytuały.

- Dobrze, będziemy cię oczekiwali w południe. - Phyllis zawahała się. - W zeszłym tygodniu wspomniałeś, że może przywieziesz gościa.

- Zmieniłem zamiar.

- Ach tak. Czy to oznacza, że ta urocza panna Learson nie przyjedzie z tobą?

- Nie widuję się już z panną Learson.

Romans zakończył się trzy miesiące temu za obustronną zgodą i bez zranionych uczuć obojga zainteresowanych. Susan Learson była córką wielkiego przedsiębiorcy z Kalifornii, panną zrównoważoną, nietuzinkową i do tego czarującą, ale Caleb od samego początku stawiał sprawę

jasno - małżeństwo nie wchodziło w rachubę.

Susan przez rok była zadowolona z takiego stanu rzeczy. Dzięki Calebowi poznała interesujących i odpowiednich mężczyzn i w końcu w jednym z nich zakochała się po uszy. Ślub zaplanowano na święta Bożego Narodzenia. Caleb z całego serca życzył jej wszystkiego najlepszego.

Po rozstaniu Calebowi od czasu do czasu brakowało Susan, a teraz wspominał ją z sentymentem jak kogoś z dalekiej przeszłości. Zdawał sobie sprawę, że dziadkowi i reszcie rodziny będzie jej bardziej brakowało niż jemu. Roland za wszelką cenę chciał ujrzeć wnuka na ślubnym kobiercu i mieć pewność, że rodzina przetrwa do następnego pokolenia.

Caleb wiedział, że dziadek zaczyna się zastanawiać, czy przypadkiem niepowodzenia wnuka w znalezieniu odpowiedniej kandydatki na żonę nie są czymś więcej niż zwyčajnym pechem. Prawdopodobnie zaczął to postrzegać jako subtelną w formie zemstę ze strony Caleba lub jako dowód na to, że zła krew Crystal Brooke w końcu dała o sobie znać.

Calebowi nie zależało na rozwianiu wątpliwości dziadka, jako że sam nie był pewien, czy to aby nie jest prawda. Jedno tylko wiedział na pewno - że żona będzie od niego wymagać więcej, niż mógłby jej zaoferować.

W rozmowie nastąpiła krótka przerwa, potrzebna Phyllis na przetrwanie faktu, że Susan Learson zniknęła tak samo jak każda z małej, wybranej garstki kobiet, które były związane z Calebem przez te wszystkie lata.

- To wysoce niefortunne, że już się z nią nie widzisz.

- Autocenzura łagodziła ton ciotki. - Twój dziadek był z nią już zaprzyjaźniony.

- Tak, wiem.

- Przypominała mi trochę Patricię, żonę twojego ojca.

Znakomita rodzina, świetne maniery. Panna Learson była by dla ciebie bardzo odpowiednią żoną.

- Niewątpliwie. - Gdybym szukał żony, ale nie szukam, pomyślał.

- Co zaszło między wami? - nie wytrzymała Phyllis.

Tym razem w jej głosie wyraźnie pobrzmiwała irytacja. - Myślałam, że ją lubiłeś.

- Lubiłem. Nadal ją lubię. Ale to skończone.

- Przykro mi to słyszeć. Twój dziadek nie będzie zadowolony.

Caleb jak na jeden dzień miał zdecydowanie dosyć zagrywek pachnących szantażem.

- Nie będzie to dla niego tak całkiem nowe doświadczenie, prawda? Do widzenia, ciociu.

Odłożył słuchawkę i z zamyśleniem spojrział na aparat. Nagle przyszło mu do głowy, że jego życie upływa pod znakiem szantażu. Ale w końcu, do cholery, jest specjalistą od takich spraw.

Coś mu podszeptywało, że Serenity Makepeace specjalistką nie jest. Wyszła z jego kancelarii z mocnym postanowieniem odnalezienia szantażysty, który zniszczył jej nadzieje i plany. Bez wątpienia pakowała się w kłopoty i - czy to się jej podoba, czy nie - nadal była jego klientką. Obydwoje przecież podpisali ten cholerny kontrakt.

Podniósł słuchawkę i powoli odłożył ją z powrotem. Działanie bez uprzedniego przemyślenia nie było w jego stylu. Zmuszał się do zastanawiania jeszcze przez pół godziny. Potem powoli, ale zdecydowanie wybrał numer hotelu, w którym zatrzymywała się Serenity, kiedy przyjeżdżała do Seattle, żeby się z nim spotkać.

Recepcjonista był zwięzły i rzeczowy.

- Przykro mi, proszę pana - powiedział, chociaż wcale mu nie było przykro. - Właśnie się wymeldowała.

Rozdział 2

Następnego ranka Serenity wyszła ze swego domku i ruszyła przez wilgotny, spowity mgłą las do chaty Ambrose'a. Chciała otrzymać od niego odpowiedź na kilka bardzo konkretnych pytań. Nie złożyła mu wizyty zaraz po przyjeździe do Witt's End poprzedniego wieczoru, bo nie dowierzała zbytnio swojemu dość nieszczęśliwemu nastrojowi. Teraz już była spokojniejsza, chociaż nadal odczuwała gniew i rozczarowanie.

Sama nie wiedziała, co dotknęło ją najbardziej - czy to, że Caleb Ventress okazał się innym człowiekiem, niż się spodziewała, czy też to, że całkowicie źle go oceniła. Serenity nie cierpiała takich sytuacji, gdy jej ocena innych ludzi okazywała się błędna, aczkolwiek zdarzało się to bardzo rzadko. Zazwyczaj mogła w pełni ufać swojej intuicji.

Ale powinna wiedzieć, że nie należało zbytnio ufać własnemu osądowi, kiedy się prowadzi negocjacje z człowiekiem, który należy do wiodących przedstawicieli najwyższej klasy społecznej. Sama przecież nigdy tak naprawdę nie rozumiała tego świata i właściwie nie potrafiła się do niego nawet przystosować, gdy w nim przebywała.

Urodziła się i wychowała w Witt's End. Obcy przybysze być może uważali tę maleńką osadę za dość dziwną, ale dla niej była domem rodzinnym. To było jej miejsce na ziemi. Gdy została zupełnie sama na świecie, mieszkańcy wioski zaopiekowali się nią i wychowywali. Dlatego postanowiła dać im to, co jej kiedyś ofiarowali, a mianowicie przyszłość. A teraz zanosilo się na to, że będzie musiała osiągnąć ten cel bez pomocy Ventress Ventures.

Wcisnęła dłonie w rękawiczkach do kieszeni wyszywanej kurtki z frędzlami i spróbowała przeanalizować uczucia z intelektualnego punktu widzenia. Przebijając się przez ociekające wilgocią drzewa pomyślała, że może właśnie tak czuje się wzgardzona kobieta? Wzgardzona kobieta. Wzdrygnęła się na samą myśl.

Po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak bardzo Caleb ją pociąga. Nie mogła zaprzeczyć, że odpowiedziała na jego pocałunek spontanicznie i bezwarunkowo, w sposób, w jaki nigdy dotąd nie odpowiedziała żadnemu mężczyźnie. Skrzywiła się z niesmakiem. Chyba postradała zmysły, dając się ponieść uczuciom wobec mężczyzny, który obszedł się z nią tak bezpardonowo.

A jednak musiała się przed sobą przyznać, że zanim ją tak bezpardonowo potraktował, zaczynała snuć fantazje na temat ich przyszłego związku. Taki związek nie mógłby trwać wiecznie, to jasne - Serenity w końcu pochodziła z Witt's End, a on z całkiem innego świata - ale być może przez pewien czas mogłoby im być ze sobą dobrze.

I przy odrobinie szczęścia może by się im udało znaleźć coś takiego, co Julius Makepeace, człowiek, który dał jej swoje nazwisko, odnalazł ze swą przyjaciółką, Bethanne. Serenity uśmiechnęła się leciutko na myśl o pocztówce, którą znalazła po powrocie do domu poprzedniego wieczoru.

Kochana Serenity!

Bawimy się cudownie. Małżeństwo to wspaniała sprawa! Powinniśmy to zrobić już dawno temu.

Buziaczki Julius i Bethanne.

Kartka przyszła z Mazatlan w Meksyku, dokąd pojechali na miodowy miesiąc. Po piętnastu latach życia na kocią łapę doszli do wniosku, że nadszedł czas, by się pobrać. Dwa tygodnie temu wszyscy mieszkańcy Witt's End porzucili swoje zajęcia i stanęli na głowie, by wyprawić wesele, które Julius i Bethanne mogliby zapamiętać na całe życie. Nawet Ambrose przyszedł na przyjęcie. Co więcej, zniżył się do tego, że zrobił kilka zdjęć państwu młodemu, cały czas zresztą dając wszystkim do zrozumienia, jak bardzo się zniżył.

Serenity zatrzymała się na chwilę, żeby odnaleźć drogę pomiędzy drzewami. Las tkwił nieruchomo w tajemniczej ciszy pełnej grozy. Nocna mgła okrywająca góry o świcie jeszcze bardziej zgęstniała. Serenity pochyliła się pod zwisającymi nisko mokrymi gałęziami sosny. Jakie to głupie z jej strony,

że pozwoliła sobie na zaangażowanie się w takim sztywniaku, w takim konserwatywnym i zacofanym tradycjonaliście! Ten facet pewnie nosi nawet bieliznę w prążki!

Nagle się zreflektowała. Ta analiza nie była tak do końca poprawna. Z powodu złego humoru Serenity próbowała zaszufladkować Caleba jako nieelastycznego, nieugiętego i w dodatku ograniczonego faceta, ale zrozumiała, że ten obraz jest daleki od rzeczywistości. Jej pierwsze wrażenie, kiedy zobaczyła tego mężczyznę, było tak intensywne, że aż niepokojące. Spodziewając się ujrzeć kogoś w średnim wieku, o delikatnych dłoniach i z początkami drugiej brody i brzuszka, była zupełnie nie przygotowana do negocjacji z drapieżnikiem uwięzionym w błyszczącej klatce ze stali i szkła.

Caleb w pewnym sensie kojarzył jej się z gryfem, którego nosiła na szyi. Intrygujący, inny niż wszyscy i silny. Być może nie całkiem rzeczywisty. I przypuszczalnie niebezpieczny. Serenity zrozumiała, że nie ma do czynienia z typowym przedstawicielem sfery biznesu, kiedy zobaczyła jego oczy. Były szare i pełne wyrazu, otwarte i czujne. Nie tylko oczy miał niepokojące, bo choć z pewnością nie miał orlich skrzydeł ani lwiego ogona, to jednak dostrzegła w nim pewną aurę tajemniczości, która kojarzyła się jej z postacią gryfa. Kiedy zobaczyli się pierwszy raz, na powitanie wstał zza biurka. Był wysoki, szczupły, zaskakująco przystojny. Włosy miał tak czarne jak noc w ciemnym lesie, a rysy tak wyraziste i nieugięte jak otaczające ją teraz góry. Mówił głębokim głosem, ale stanowczo pozbawionym jakichkolwiek wyczuwalnych emocji; brzmiała w nim jedynie chłodna uprzejmość.

Emanujący z niego dystans początkowo zmroził Serenity, tym bardziej że Caleb odnosił się do niej z dużą rezerwą i sprawiał wrażenie człowieka, który nikogo nie potrzebuje, na nikogo nie liczy i nikomu nie ufa. Jednak to nieodparte wrażenie - o dziwo! - uświadomiło Serenity, że pod zewnętrzną skorupą Caleb nie jest ani zimny, ani pozbawiony uczuć. Nikt nie zdołał osiągnąć umiejętności tak głębokiego panowania nad sobą, jeśli nie zmusza go do tego kłębiąca się w nim burza uczuć, którą należy kontrolować.

Nie wiadomo dlaczego przyciągało ją do Caleba to coś, co Zone na pewno określiłaby jako męską siłę. Serenity była tym zafascynowana i zaintrygowana i wyglądało na to, że to idealnie pasuje do jej - jak to mawiała Zone - kobiecej siły. Jeszcze przed chwilą Serenity odczuwała cień podniecenia, jakie ją ogarnęło, gdy Caleb ją pocałował. Nigdy przedtem nie doświadczyła takiego uczucia.

A on wszystko zepsuł tą swoją upartą, pruderyjną i świętoszkowatą dumą! Otrząsnęła się ze wspomnień i przyspieszyła kroku. Ciaśniej się owinęła kurtką i pożałowała, że w ogóle napisała do prezesa Ventress Ventures. Powinna szukać pomocy gdzie indziej.

Ale jeśli nawet szybkie zerwanie umowy z Calebem mogło wyjść Serenity tylko na dobre, to przyczyna tego zerwania przynosiła jej głęboką ujmę. Mocno zacisnęła usta. Nadal nie mogła uwierzyć, że Ambrose, sąsiad i przyjaciel, naprawdę próbuje ją szantażować. To nie miało żadnego sensu!

Cała ta sprawa w ogóle od samego początku wyglądała absurdalnie. Kiedy w pokoju hotelowym w Seattle Serenity otworzyła kopertę, ani przez moment nie przypuszczała, że Caleb poważnie potraktuje te pogrożki. A jednak był tak arogancki! No tak, ale to przecież biznesmen, prawdziwy rekin amerykańskiej finansjery. Tylko jakim prawem ją osądza? Pewnie sam broni przedsiębiorców, którzy wypuszczają toksyczne odpady do rzeki. Albo ma żonę, o której nawet nie raczył wspomnieć. Serenity zazgrzytała zębami ze złości.

Podniosła gałąź, która zagradzała jej drogę, i odrzuciła ją daleko za siebie. Nagły błysk przecucia kazał jej się zatrzymać. Zerknęła na lewo i dostrzegła we mgle jakiś cień. Poczowała lekki dreszcz zaniepokojenia. Obróciła się na pięcie, by stawić czoło sylwetce, która się przed nią pojawiła.

Bestia utkwiała w niej badawczy wzrok, z wolna się do niej przybliżając. Kolczatka na karku złowrogo błysnęła w szarym świetle dnia. Serenity głęboko odetchnęła.

- Witaj, Styks. Gdzie twój kumpel?

Drugi identyczny pies wyskoczył spośród mgły. Miał taką samą kolczatkę jak jego towarzysz.

- A, tu jesteś, Charonie. Jak wam leci, psiaki?

Podpalane czarne psy zbliżały się do Serenity w absolutnej ciszy. Kiedy już do niej podeszły, uniosły masywne łbiska, domagając się pieszczoty. Serenity podrapała je za uszami.

- Dlaczego tak się wałęsacie we mgle? Powinnyście się wylegiwać przed ciepłutkim kominkiem. Gdzie jest wasz Blade?

- Tu jestem.

Serenity odwróciła głowę słysząc znajomy szorstki głos. Z mgły wynurzył się człowiek znany wszystkim w Witt's End jako Blade.

Był zbudowany podobnie do swych rottweilerów - miał dużą, umięśnioną sylwetkę, olbrzymie bary i beczkowatą klatkę piersiową, z której niemal bez szyi wyrastała głowa z wielką twarzą o kwadratowej szczęce i oczach stalowoniebieskiej barwy. Spod zniszczonej czapki wystawały ściśle przylegające do czaszki włosy.

Serenity oceniała go na mniej więcej pięćdziesiątkę, ale tak naprawdę trudno było dokładnie określić, ile ma lat, a on nigdy na ten temat nie udzielał informacji. Poza tym w Witt's End panowało niepisane prawo, że nikomu nie należy zadawać pytań na temat przeszłości, bez wyraźnej zachęty ze strony pytanego.

Blade jak zwykle miał na sobie panterkę i wojskowe buty na grubych podszewkach. Na pasie z plecionki, opuszczonym na biodra, wisiał cały arsenał niebezpiecznie wyglądających noży i przeróżnej broni.

- Robisz obchód, Blade? - spytała Serenity. Jeszcze wczoraj, podczas długiej jazdy do Witt's End, próbowała sobie wyobrazić Blade'a jako szantażystę, ale niemal na tychmiast zrezygnowała z tego pomysłu. Znała Blade'a od zawsze, to znaczy przez całe życie. Był zbyt prostolinijszy, by się uciekać do szantażu, a w dodatku za bardzo zajęty swymi nieustannymi teoriami na temat spisku. No i był członkiem rodziny, jednym z tych, którzy ją wychowywali od dziecka.

- Tak sobie sprawdzam - potwierdził Blade.

- Za dnia? - Ze zdziwienia uniosła brew. Blade zwykle spał w dzień, a w nocy pełnił wartę.

- Był jakiś niezwykły ruch na drodze wczoraj wieczorem. Gdzieś tu słyszałem samochód, a było bardzo późno. Nie sprawdziłem, bo była mgła.

- Prawdopodobnie ktoś wracał do domu z wizyty. Może Jessie?

- Może tak, a może nie. Coś mi się zdaje, że nie jest dobrze. A Zone się ze mną zgadza. No to lepiej poobserwować zwiadowcę.

- Zwiadowcę?

- Musi tu być. Zawsze jest jakiś przed dobrze zaplanowaną operacją. Posyłają go, żeby zasięgnął języka, a potem dał sygnał reszcie do natarcia.

- Jasne, zwiadowca.

Blade przyglądał się jej tak samo jak przedtem psy - badawczym, nieruchomym wzrokiem.

- A tyś czemu wróciła? Miałaś być w Seattle i pracować nad swoim interesem.

- Wróciłam o dzień wcześniej.

Blade zmrużył oczy.

- Wszystko idzie zgodnie z planem operacyjnym?

- Nie. - Serenity zerknęła w dół na Charona, który ocierał się łbem o jej rękę. - Nie udało się.

- To znaczy, że w ogóle nie otworzysz tego interesu z wysyłaniem naszych produktów?

- No, niezupełnie. Mam zamiar ruszyć z tym katalogiem, Blade, ale wygląda na to, że będę musiała sobie znaleźć innego doradcę. Pan Ventress doszedł do wniosku, że nie jestem odpowiednią klientką. Widać nie dorastam do jego poziomu.

Blade zamilkł na dłuższą chwilę, potrzebną mu do przetrawienia tej informacji.

- Źle cię potraktował?

- Och, nie - odpowiedziała pospiesznie. - Nie, to nie o to chodzi. To była z jego strony decyzja czysto zawodowa.

- Mam go odwiedzić i pogadać za ciebie?

Serenity bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak wyglądałaby pogawędka Blade'a z Calebem. Niewątpliwie zakończyłaby się sprawą sądową. W każdym razie Blade zachował się bardzo sympatycznie, składając jej tę propozycję, tym bardziej że nie ruszał się z Witt's End ani na krok. Jakoś nie mógł się odnaleźć w tamtym świecie. Serenity była wzruszona.

- Nie trzeba, Blade, obydwójce podjęliśmy tę decyzję.

Ani ja nie chcę z nim robić interesów, ani on ze mną. Wszystko w porządku.

- Na pewno?

- Na pewno. - Serenity uśmiechnęła się niewesoło. - W każdym razie dziękuję ci.

- Dokąd idziesz?

- Do Ambrose'a. Mam ochotę z nim porozmawiać.

Blade kiwnął głową.

- Jasne. Jesteś pewna, że się nie zgubisz w tej mgle?

- Nie jest tak źle. Dam sobie radę.

- No to lepiej, żebyś już sobie poszedł. - Blade z podejrzliwym błyskiem w stalowoniebieskich oczach wpatrywał się w szary woal mgły. - Coś mi się dziś nie podoba.

- Rozumiem. Ale nie wydaje ci się, że dzisiaj trochę zbyt mglisto, żeby mogła się im powieść tajna operacja?

- Ostrożności nigdy za wiele. - Machnął ręką na ciche jak trusia rottweilery. - Nie można przewidzieć, kiedy zrobią pierwszy ruch.

- Słusznie.

Blade dotknął niedbale daszka wyświechtanej czapki.

- Życzę miłego dnia.

- Ja tobie też, dzięki. - Serenity stała z rękami wbitymi w kieszenie kurtki i obserwowała Blade'a z rottweilerami, znikającego w burej mgle.

Po chwili odwróciła się i ruszyła dalej do chaty Ambrose'a.

Nagle przyszło jej do głowy, że dużo by za to dała, żeby zobaczyć minę Caleba na widok Blade'a wkraczającego do jego kancelarii. Z żalem westchnęła, wiedząc, że nic nie będzie z myśli o słodkiej zemście. Musi się skupić a przyszłości, trzeba zrobić nowe plany. I znaleźć nowego doradcę dla początkujących przedsiębiorców. Po paru minutach wyszła z lasu na małą polankę, na której stała chata Ambrose'a. Serenity z zaciekawieniem patrzyła na okna dziwiąc się, że w żadnym z nich nie pali się światło, a przecież w taki dzień jak ten w domu mu-siało być bardzo ciemno.

Zauważyła także, że z komina nie unosi się dym. Zaczęła się obawiać, że Ambrose poszedł w ciąg, jak mu się to czasami zdarzało, a ona przecież musiała mu zadać kilka pytań, na które koniecznie chciała otrzymać odpowiedź.

Zdecydowanym krokiem podeszła do frontowych schodków. Co prawda z kontraktu z Calebem wyszły nici i nic już nie mogło tego zmienić, ale Serenity postanowiła się dowiedzieć, czyja to była

robota.

Nie mieściło jej się w głowie, że to Ambrose ją zaszantażował, niemniej jednego była pewna: ktokolwiek przysłał te zdjęcia, musiał je dostać od niego. Tylko Ambrose miał negatywy i tylko on, o ile jej wiadomo, zrobił z nich odbitki. Weszła po schodkach i głośno zapukała do drzwi. Nikt nie odpowiadał.

- Ambrose, wiem, że tam jesteś. Otwórz mi. Musimy porozmawiać.

Nadal odpowiadała jej tylko cisza; poczuła się nieswojo.

- Ambrose?!

Serenity dotknęła klamki. Ustąpiła gładko, jak zresztą większość klamek w Witt's End, bo nikt w tej głuszy nie zwracał sobie głowy zamykaniem drzwi na klucz. Nigdy nie było takiej potrzeby. Ostrożnie otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Nagle ogarnęło ją przeczucie, że wydarzyło się coś złego. Stała cichutko na progu.

- Ambrose, jesteś tam?

Zrobiła jeden krok za próg i sięgnęła do kontaktu na ścianie. W skąym świetle słabej żarówki obrzuciła mieszkanie Ambrose'a szybkim, strapionym spojrzeniem. Niemal podświadomie zauważyła, że powietrze jest stęchłe i ciężkie. Z kominka dobiegał zapach zastarzałego dymu, a popiół na palenisku już dawno wystygł. Wszędzie wokół walały się sterty gazet, jak zawsze. Ambrose był gazetowym narkomanem. Prenumerował wszystkie główne dzienniki z Seattle, Portland i Los Angeles. Oprócz gazet w pokoju poniewierało się całe mnóstwo przeróżnego sprzętu fotograficznego. Aparaty, obiektywy i światłomierze zajmowały prawie każde wolne miejsce. Ambrose był fanatykiem dobrego sprzętu, ale niestety, była to namiętność, na którą nie mógł sobie pozwolić. Od czasu do czasu niemal każdy z Witt's End pożyczał mu pieniądze na zakup nowego aparatu lub wymyślnych obiektywów.

Dwie brudne filiżanki po kawie stały na pokancerowanym sosnowym stole przed rozpadającą się kanapą. W popielniczce obok filiżanek leżało kilka niedopałków i mała kupka popiołu. Ambrose pił mnóstwo kawy i dużo palił, kiedy próbował unikać alkoholu. Serenity przeszła do korytarza prowadzącego do kuchni.

- Ambrose?

Znowu nikt nie odpowiedział. Zauważyła, że drzwi prowadzące do piwnicy są zamknięte. Pomyślała, że może Ambrose pracuje na dole. Był jednym z nielicznych w osadzie, którzy mieli piwnicę. Tam sobie urządził ciemnię i archiwum wszystkich skrupulatnie gromadzonych zdjęć, negatywów i dokumentów. Zajrzała do kuchni - była pusta. Podeszła więc do drzwi do piwnicy i zapukała. Jeśli Ambrose był w ciemni, na pewno nie życzyłby sobie, żeby tam wchodzić bez ostrzeżenia. Znowu żadnej odpowiedzi.

- Wchodzę do piwnicy, Ambrose.

Po chwili ciszy otworzyła drzwi. W środku było ciemno. Smród alkoholu był tak silny, że omal się nie zadławiła. Wymacała kontakt na ścianie. Gdy wątpy blask rozświetlił pomieszczenie, pierwszą rzeczą, którą dostrzegła, była sterta starych ubrań u podnóża schodów. Dopiero po chwili zobaczyła wystającą spod niej rękę, częściowo zakrytą rękawem marynarki. I parę butów.

- Ambrose! O Boże, Ambrose!

Przez chwilę Serenity stała sparaliżowana strachem. Upiorny ciężar legł jej na piersi, hamując oddech. Próbując się od niego uwolnić powoli zeszła niżej. Oczy wypełniły jej łzy. Ambrose Asterley już nigdy nie robi kariery w dziedzinie fotografii reklamowej.

Uchlał się do nieprzytomności i spadł ze schodów, nieszczęsny drań. - Quinton Priestly powoli jechał swoją furgonetką przez mgłę po wąskiej utwardzonej drodze, która wiodła do domku Serenity. -

Myślę, że to było nieuniknione. Ambrose był typem autodestrukcyjnym. Wszyscy to wiedzieli. Tylko niedobrze się stało, że to właśnie ty musiałaś go znaleźć.

- Gdybym dzisiaj do niego nie poszła, to mógłby tam leżeć jeszcze wiele dni. - Serenity złożyła ręce na podołku i spoglądała ponuro przez brudną szybę furgonetki Quintona. Mgła nieznacznie się podniosła, ale długie cienie popołudnia spowijały góry głębszym mrokiem. - Mam nadzieję, że długo nie cierpiał.

Quinton był pierwszą osobą, do której zadzwoniła po zawiadomieniu szeryfa i pogotowia. Ponieważ wiedziała, że co najmniej godzina upłynie, zanim przyjadą z Bullington, nie chciała ich oczekiwać w samotności. Jako właściciel jedynej w Witt's End księgarni i browaru, Quinton był uważany przez mieszkańców za lokalnego mędrca-filozofa. Dobiegał pięćdziesiątki, był szczupły i zyłasty, miał przepastne, ciemne oczy i krzaczastą bródkę, która ostatnio gwałtownie pokrywała się siwizną.

Quinton studiował filozofię i matematykę w prestiżowym prywatnym college'u, zanim porzucił wielki świat, aby się skoncentrować na rozwijaniu własnego systemu filozoficznego. W początkach swego pobytu w Witt's End rzeczywiście napisał i opublikował cztery cienkie zeszyty. We wszystkich szczegółowo przedstawił rozległą, starannie skonstruowaną teorię filozoficzną, która cieszyła się nawet pewną czcią wśród elit intelektualnych na większych uniwersytetach.

Osiągnąwszy cel Quinton zajął się innymi sprawami, a szczególnie założeniem księgarni i browaru - jak kiedyś wyjaśniał to Serenity, prowadzenie księgarni bardziej się opłaca niż pisanie książek, a próby warzenia najlepszego piwa na świecie stanowią o wiele pewniejszą drogę do filozoficznego oświecenia niż tradycyjne akademickie podejście.

- Lekarz powiedział, że Ambrose skręcił kark podczas upadku i prawdopodobnie umarł natychmiast.

- Quinton zwolnił przed skrętem w podjazd do Serenity. - Przestań o tym rozmyślać. Nic na to nie mogłaś poradzić. Życie się składa z serii linii łączących niezliczoną ilość punktów na płaszczyźnie. Wszyscy istniejemy w różnych punktach płaszczyzny i w różnym czasie. Zdarza się, że te punkty są akurat połączone na płaszczyźnie linią prostą, a czasami nie.

Serenity, jak zwykle, nie miała pojęcia, o czym on mówi, ale się tym nie przejmowała. Nikt w osadzie nie odważył się twierdzić, że rozumie Quintona, gdy ten wpada w filozoficzny nastrój.

- Jessie zniosła to lepiej, niż myślałam - powiedziała.

- Bałam się jej reakcji.

Jessie Blanchard była plastyczką, od dawna mieszkającą w Witt's End i uwikłaną w ciąg ostatnich trzech lat w kołomyję nieustannych zerwań i powrotów do Ambrose'a. Serenity wiedziała, że ich związek był ostatnio w fazie zerwania, ale wiedziała też, że Jessie bardzo zależało na Ambrosie.

- Nie wydaje mi się, że była rzeczywiście zaskoczona - powiedział Quinton. - Artystyczny wzrok pozwala jej widzieć głębiej pod powierzchnią życia, aż do drugiej warstwy rzeczywistości. Wiedziała, że Ambrose miał bardzo nieszczęśliwą duszę.

- Tak, chyba wiedziała.

Quinton zerknął na Serenity.

- Z tego wszystkiego nie mieliśmy okazji porozmawiać o tym, co zaszło w Seattle. Dlaczego wróciłaś wcześniej, niż planowałaś?

- Jak mawiają w kręgach biznesu, pan Ventress i ja nie zdołaliśmy osiągnąć wzajemnego porozumienia.

Quinton zmarszczył brwi.

- Co się stało?

- To długa historia. W tej chwili nie mam nastroju.

Obiecuję, że później ci o wszystkim opowiem.

- Kiedy tylko zechcesz. - Quinton skręcił w podjazd do domku Serenity. - Wygląda na to, że masz towarzystwo. Znasz kogoś, kto ma zielonego Jaguara?

- Nie, nikogo. - Serenity przyglądała się ze zdumieniem połyskliwej sylwetce samochodu wyłaniającej się z wirującej mgły - stał zaparkowany tuż obok jej czerwonego Jeepa z napędem na cztery koła.

- Może jakiś zbłąkany turysta zatrzymał się, żeby zapytać o drogę? - Quinton wyhamował i zgasił silnik. - Pójdę z tobą i sprawdzę, czy wszystko w porządku.

- Dzięki. Będę ci wdzięczna.

- W dzisiejszych czasach ostrożności nigdy nie za wiele - powiedział Quinton otwierając skrzypiące drzwi furgonetki. - Nawet u nas, w Witt's End. Wektory kątów na innych płaszczyznach czasami dosięgają naszej płaszczyzny egzystencji.

- Aha. - Otworzyła drzwi po swojej stronie i zeskoczyła z wysokiego stopnia. Obeszła furgonetkę z przodu, Quinton zeskoczył obok Serenity i oboje ruszyli do drzwi wejściowych domku. Quinton omiół wzrokiem puste siedzenie pasażerskie w Jaguarze.

- Ktokolwiek by to był, czuł się wyraźnie w prawie wejść do twojego domu. Może nadeszła pora, żebyś zaczęła zamykać drzwi?

- To musi być ktoś znajomy. - Serenity przyspieszyła kroku, Quinton podążał tuż za nią. Gdy stanęła na najwyższym stopniu, drzwi domku otworzyły się na oścież i stanął w nich Caleb Ventress z taką miną, jakby miał wszelkie prawa do okupowania jej domu. Po raz pierwszy Serenity widziała go w innym stroju niż w tradycyjnym garniturze i krawacie. Caleb miał na sobie czarne, starannie odprasowane spodnie i ciemnozieloną koszulę z długimi rękawami, która idealnie harmonizowała z kolorem Jaguara. Zmierzył Serenity szarymi, obojętnymi oczami i utkwiał wzrok w Quintonie.

Serenity stanęła jak wryta, z otwartymi ze zdumienia ustami.

- Co ty tu robisz? - wystękała wreszcie.

- Przyjechałem cię zobaczyć. - Caleb nie spuszczał wzroku z nieznajomego mężczyzny.

- Serenity, znasz tego człowieka? - zapytał cicho Quinton.

- Znam - odpowiedziała. Mimo wszystkiego, co się zdarzyło, zapłonęła w niej mała iskierka nadziei. Być może Caleb zmienił zdanie. Może kiedy się już uspokoił, doszedł do wniosku, że ta próba szantażu była trywialną sprawą, a on zareagował na nią przesadnie?

- To jest Caleb Ventress, doradca finansowy, z którym pertraktowałam w Seattle. Caleb, to jest Quinton Priestly. Jeden z moich przyjaciół.

- Panie Priestly. - Caleb wyciągnął rękę w chłodnym, rozmyślnym geście, jakby nie oczekiwał, że Quintonowi będzie zależało na dopełnieniu towarzyskich formalności. Był to zaledwie uprzejmy gest, nic ponadto.

Quinton uściśnął oferowaną dłoń i natychmiast się rozluźnił.

- A więc to pan jest tym Ventressem.

- Tak.

- Pan pochodzi z tego zewnętrznego świata, prawda? Jest pan człowiekiem, który ma w kościach stal i cement tamtego świata. Człowiekiem, który od dawna nie dotykał innych płaszczyzn egzystencji, jeśli w ogóle mu się to kiedyś zdarzyło.

Caleb nieznacznie uniósł brwi.

- Jeśli o to panu chodzi, to podróż z Seattle rzeczywiście była długa.

Quinton zerknął w bok na Serenity.

- Chcesz, żebym tu chwilę posiedział?

- Nie trzeba, Quinton, dam sobie radę.

- Dobra, ale pamiętaj, że chociaż dwa punkty zjawiają się na tej samej płaszczyźnie w tym samym czasie, to jeszcze nie musi oznaczać, że muszą się połączyć. Czasami jeden z nich tylko przechodzi z jednego poziomu rzeczywistości do następnego.

- Będę to miała na uwadze - obiecała Serenity.

Quinton kiwnął szorstko głową Calebowi i zszedł po schodkach.

Caleb przyglądał mu się od progu.

- Czy on zawsze tak mówi?

- Tak.

- Gdzie byliście?

- Zeszłej nocy umarł nasz przyjaciel - odpowiedziała cicho Serenity. - Znalazłam jego zwłoki przed kilkoma godzinami i Quinton pomagał mi w rozmowach z policją i w tym wszystkim, co jest związane ze śmiercią.

- Cholera. Przykro mi. To był bliski przyjaciel?

- Można tak powiedzieć. Tutaj, w Witt's End, wszyscy jesteśmy bliskimi przyjaciółmi. - Serenity przeszła obok niego do małego saloniku, w którym ściany były zastawione półkami na książki, jak zresztą wszędzie w jej domku.

Niektóre z tych książek zostały jej z dzieciństwa. Serenity aż do dnia, kiedy wyjechała do college'u, nigdy nie była w zwyczajnej szkole. Uczyła się w domu, a jej nauczycielem był Julius, a także pozostali mieszkańcy Witt's End. Odwalili kawał porządnej roboty, ponieważ egzaminy wstępne do college'u zdała śpiewająco. Większa część jej biblioteki składała się z pozostałości po krótkiej karierze nauczycielskiej na wydziale socjologii w małym college'u w Bullington. Okres pracy pedagogicznej i nie ukończona praca doktorska wydawały się jej teraz niezmiernie odległe.

- Kto to był? - zapytał cicho Caleb.

- Nazywał się Ambrose Asterley - odpowiedziała i wstrzymała dech w oczekiwaniu reakcji Caleba.

- Pewnie przypominasz sobie to nazwisko. To ten fotografik, który zrobił mi zdjęcia na golasa.

Caleb powolutku zamknął wejściowe drzwi. Kiedy odwrócił się do niej i przyglądał się, jak zdejmuje wyszywaną kurtkę z frędzlami, w jego oczach pojawił się wyraz chłodnej spekulacji.

- W jaki sposób umarł?

Serenity uniosła brodę do góry. Mierzyła Caleba wzrokiem, stojąc niemal na baczność, z rękami ukrytymi głęboko w kieszeniach długiej, robionej na drutach turkusowej tuniki, włożonej na białe legginsy.

- Wygląda na to, że po pijanemu spadł ze schodów.

Wydaje mi się, że wspominałam ci o jego problemach z pićciem.

- Owszem, wspominałaś. Byłaś dzisiaj u niego?

- Tak.

- Po co?

- To chyba oczywiste. Zawsze uważałam Ambrose'a za przyjaciela. Ale przyjaciele się nie szantażują. Chciałam się dowiedzieć, czy to on przysłał mi te zdjęcia, czy też dał je komuś innemu, kto je wykorzystał, żeby doprowadzić do zerwania mojej umowy z tobą.

- Cholera, wiedziałem, że coś takiego przyjdzie ci do głowy - mruknął Caleb.

Serenity zamrugnęła powiekami, żeby odgonić napływające łzy.

- Nie dowiedziałam się niczego. Kiedy tam przyszedłam, Ambrose już nie żył. - Odwróciła się i poszła do kuchni.

- Serenity!

- Po co tu jechałeś taki kawał, Caleb? - Stała odwrócona do niego plecami i nalewała wodę do czajnika.

- Nie spodobał mi się ten pomysł, że sama masz zamiar rozprawić się z szantażystą.

- Dlaczego cię obchodzi to, co robię?

Caleb stanął w progu malutkiej kuchni.

- Pertraktacje z szantażystami mogą być niebezpieczne.

- No to co? To nie twój interes. - Serenity otarła oczy rękawem tuniki. Postawiła czajnik na kuchence i włączyła palnik. - Mówiłam ci, że ten biedak już nie żyje. Nikomu nie odpowie na żadne pytanie.

- Sama mówiłaś przedtem, że to mógł być ktoś inny.

- To prawda. - Serenity zerknęła na niego ukradkiem.

Ale jak to zwiędłe wczoraj ująłeś, to mój problem, a nie twój.

- Lecz tak się niefortunnie składa, że zgodnie z warunkami naszego kontraktu, sprawy wyglądają inaczej.

Powiedziałem ci, że nie schodzę poniżej pewnego poziomu. Jesteś moją klientką, Serenity, a ja nigdy jeszcze nie porzuciłem klienta. I nie mam takiego zamiaru. Serenity patrzyła na niego uważnie. Iskierka nadziei zgasła. Caleb przyjechał tutaj z powodów czysto zawodowych, a nie dlatego, że coś do niej czuje.

- Daj sobie spokój. Nie chcę, żebyś mi pomagał. Ani w tym szantażu, ani w niczym innym.

- Nie masz wielkiego wyboru. Nie pozwolę ci zrujnować mej reputacji.

Szeroko otworzyła oczy w jawnym zdumieniu.

- Twej reputacji?

- Kontrakt, który podpisałaś, ma żelazne obwarowania. Wiem, bo sam go sformułowałem. Jeśli ja nie zgodzę się na twoją wcześniejszą rezygnację, to ty będziesz zmuszona do zapłacenia mi niezmiernie wysokiego honorarium.

- Nie miałam ci płacić żadnego honorarium - powiedziała. - W zamian za to przysługiwało ci tylko prawo do udziału w zyskach.

- Widać nie dość dokładnie przeczytałaś paragraf numer dziesięć, który mi gwarantuje zwyczajowe honorarium w wypadku zerwania przez ciebie kontraktu przed jego realizacją - odpowiedział gładko Caleb. - Bądź rozsądna, Serenity, nie przypuszczam, żebyś miała ochotę na zapłacenie tak ogromnej sumy, nie otrzymując nic w zamian.

- Nie mam zamiaru ci zapłacić ani grosza.

- Mogę zwołać całą drużynę prawników, którzy dopilnują, żebyś to zrobiła. - Wykrzywił usta w leciutkim uśmiechku, który jednak nie usunął wyrazu czujności z jego oczu. - Chcesz czy nie, zanoszę się na to, że będziemy współnikami.

Rozdział 3

Serenity wpatrywała się w Caleba.

- Jak na człowieka, który nie pochwała szantażu, jesteś niezły w te klocki.

Caleb zacisnął usta, ale spojrzenie miał nadal uważne. Odezwał się jeszcze bardziej odpychającym tonem: - To nie jest szantaż. To interesy.

- Czy ty tylko o tym myślisz? O interesach? - Jak mogła się tak pomylić co do tego człowieka? Właściwie od samego początku miała wrażenie, że oboje mają ze sobą coś wspólnego, że ich wewnętrzne głosy przemawiają do siebie i że się w jakiś sposób rozumieją, współczują sobie nawzajem.

Widocznie jej zazwyczaj wnikliwa intuicja zawiodła i pobłądziła we mgle, którą spowodowało

zauroczenie Calebem. Nagle uświadomiła sobie, że po raz pierwszy tak naprawdę poczuła przyływ prawdziwej namiętności, która ogarnęła jej ciało i duszę.

- Nie, nie myślę wyłącznie o interesach - odpowiedział spokojnie. - Ale niewątpliwie figurują one wysoko na mojej liście priorytetów.

- Właśnie widzę. - Czajnik zagwizdał i Serenity wzięła łyżeczkę, otworzyła puszkę i wsypała do czajniczka herbatę. - Mamy odmienne priorytety.

- Chcesz powiedzieć, że założenie dochodowego domu sprzedaży wysyłkowej w Witt's End już nie zajmuje czołowej pozycji na twojej liście?

- Znajdę inny sposób na założenie firmy. Obejdę się bez twojej pomocy.

- Ale ją otrzymasz, chcesz czy nie. - Caleb uśmiechnął się gorzko. - Ponieważ i tak za nią płacisz, to czy nie lepiej wykorzystać okazję?

- Jaką okazję? Okazję współpracy z kimś, kto mnie uważa za wycierucha, bo zdarzyło mi się nago pozować artyście - fotografikowi?

- Nie, Serenity - zaprzeczył Caleb z chłodną cierpliwością. - Sądzę, że powinnaś wykorzystać okazję współpracy z człowiekiem, który bez dwóch zdań jest jednym z najlepszych, jeśli nie w ogóle najlepszym doradcą finansowym na Północnym Zachodzie.

Serenity zmierzyła go wzrokiem.

- I do tego tak urzekająco skromnym. - Zdjęła czajnik z ognia i zalała herbatę w czajniczku.

- Spokojnie. - Na widok jej zamasztych wygibasów z czajnikiem przemówił do niej łagodniej. - Wiem, że jesteś zdenerwowana. Te dzisiejsze przeżycia musiały być dla ciebie okropne. Kiedy już się z tego wszystkiego otrząsniesz, porozmawiamy o naszych planach na przyszłość.

- Tracisz czas. Być może nie otrząsnę się jeszcze bardzo, bardzo długo.

- Zaczekam. - Caleb przyglądał się, jak Serenity zaparza herbatę. - Czy ja też mógłbym dostać? Mam za sobą daleką podróż.

Serenity zawahała się. Pokusa, żeby mu odmówić filiżanki herbaty, była prawie nie do odparcia. Ale taki gest byłby małostkowy i mściwy.

- Proszę bardzo. - Sięgnęła do szafki i wyjęła jeszcze jedną jasnożółtą filiżankę w kształcie rozwiniętego kwiatu.

- Bez cukru i mleka - odpowiedział Caleb.

- Nie pytałam. - Wetknęła mu filiżankę do ręki.

- Wiem. Ale jestem pewien, że wcześniej czy później byś zapytała. - Przyjrzał się prześlicznej filiżance. - Czy to jest przykład lokalnej wytwórczości?

- Zone je robi w wolnych chwilach.

- Kto to jest Zone?

- Pracuje ze mną w sklepie jako moja asystentka.

- Podoba mi się jej styl. - Caleb przejechał palcem wzdłuż krawędzi płatków. - Dowcipny i oryginalny. Ale także ostry, z nowoczesnym nerwem.

Serenity była zaskoczona jego umiejętnością odbioru sztuki.

- To całkiem dobra charakterystyka jej prac.

- Będą się sprzedawać.

- Słucham?

Caleb zerknął na Serenity znad filiżanki.

- Powiedziałem, że się będą sprzedawać. Umieścimy te filiżanki w twoim katalogu. Zakładając, oczywiście, że Zone da radę wyprodukować dostateczną ilość w odpowiednim czasie.

- Jestem pewna, że tak. - Zastanowiła się. - Skąd wiesz, że jej filiżanki dobrze pójdą?

- Na tym polega moja praca, żebym wiedział takie rzeczy. Mam wycucie. To jedna z przyczyn, dla których jestem taki dobry w swoim zawodzie.

- Sprzedawałeś kiedyś filizanki?

Wzruszył ramionami.

- Jak dotąd nie. Zaufaj mi, Serenity, pójdą jak świeże bułki.

- Skoro tak mówisz...

Nagle poczuła przypływ entuzjazmu. Spodobały mu się prześliczne filizanki Zone! Sądzi, że się będą sprzedawały! Serenity wręcz nie mogła się doczekać, kiedy się podzieli tą wiadomością ze swoją asystentką. Zone będzie zachwycona. Serenity musiała walczyć ze sobą, by nie okazać podniecenia.

Caleb w zamyśleniu popijał herbatę.

- Wcale nie uważam cię za wycierucha, wiesz?

- Owszem, uważasz. - Ruszyła do drzwi, w których stał zagradzając jej przejście. - Ale nieszczególnie mnie obchodzi to, co o mnie myślisz. Powinnam wiedzieć, że nie należy się zadawać z takim facetem jak ty.

Caleb odczekał do ostatniej chwili, zanim usunął się jej z drogi.

- Z takim facetem jak ja? A co to ma znaczyć, do cholery?

- Aroganckim, snobistycznym, sztywnym, obłudnym i nieugiętym. - Przeciskając się prawie obok Caleba, Serenity poczuła bijące od niego ciepło i siłę. Niemal pobiegła do saloniku i usadowiła się w rogu obficie wypchanej sofy.

- Lekka przesada.

- Czyżby? Dobrze, bądźmy szczerzy. Jak ty byś mnie scharakteryzował?

Siadając na jedynym fotelu w pokoju, zastanawiał się nad jej pytaniem.

- Naiwna, łatwowerna, zbyt ufna, impulsywna i całkowicie niedoświadczona w dzisiejszych praktykach w sferze interesów.

- Pewnie masz rację - potwierdziła skwapliwie. - Muszę posiadać większość tych cech, bo inaczej nie pomyliłabym się tak bardzo w ocenie twojej osoby.

- Może mi nie uwierzysz, ale nie chciałem, żeby nasza rozmowa przekształciła się w pojedynek.

- A w co się niby ma przekształcić, skoro ja jestem taka impulsywna i tak dalej?

- Chciałbym porozmawiać o interesach - powiedział spokojnie Caleb.

Serenity zacisnęła usta.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe, skoro stwierdziliśmy, że nie mamy ze sobą nic wspólnego. - Nie zamierzała dopuścić do tego, by się zorientował, jak bardzo ją uraziła jego protekcyjność. A już z pewnością nie okaże po sobie, że przynajmniej część tych szpileczek trafiła w samo sedno.

Nie, nie część, wszystkie. Była naiwna. Była zbyt ufna. Była także impulsywna, a już na pewno niedoświadczona w prowadzeniu negocjacji z takim mężczyzną jak on.

- Spróbuj spojrzeć na tę sytuację perspektywicznie, Serenity. - Głos Caleba spoważniał i ochłodził. - To tylko interesy.

- Zgodnie z tym, co powiedziałaś, nie jest to moja silna strona.

Caleb głęboko zaczerpnął tchu.

- Słuchaj, jeśli chcesz rozwinąć tutaj tę firmę i swoje wielkie plany co do Witt's End, to jestem ci potrzebny. Musisz to przyznać.

- Być może spróbuję otworzyć firmę bez pomocy wspaniałego doradcy - zastanawia się głośno Serenity. - Za każdym razem, kiedy zadaję się z facetem z twojego świata, wychodzę z tego z obrażeniami. - Pokręciła głową z niesmakiem. - Można by pomyśleć, że powinnam się czegoś nauczyć do tej pory.

- Faceci z mojego świata? Co to znaczy? Zabrzmiało to, jakbym przywędrował z kosmosu.

- Jeśli o mnie chodzi, to możesz być nawet z Marsa. - Serenity podwinęła nogi pod siebie i wypła łyk herbaty.

- Do cholery, przecież nie jestem jakimś potworem!

Ostry ton jego głosu przestraszył ją, bo odniosła wrażenie, że Caleb w głębi duszy uwierzył, że może naprawdę jest potworem. Z niechęcią uświadomiła sobie przyływ współczucia. Dobrze wiedziała, jak się czuje ktoś, kto jest postrzegany jako odmienny, nie należący do grupy, jako obcy. Sama często tak się czuła przez kilka lat spędzonych w college'u Bullington.

- Słuchaj, nie ma co ukrywać, że faktycznie ty i ja pochodzimy z dwóch zupełnie odmiennych światów - powiedziała po chwili. - Powiem ci tylko, że kiedyś próbowałam żyć w twoim świecie i była to całkowita klęska.

Caleb zmarszczył brwi.

- Co to znaczy, że próbowałam żyć w moim świecie?

Serenity leciutko wzruszyła ramieniem.

- Pewnie mi nie uwierzysz, ale był taki czas, kiedy nie mogłam się doczekać chwili, gdy zobaczę Witt's End we wstecznym lusterku mojego samochodu. Miałam wtedy siedemnaście lat i chciałam zawojować świat. Zaczęłam od Bullington.

- Bullington jest tylko trzydzieści mil stąd. - Caleb uniósł kącik ust w lekkim uśmiešku.

- To było na początek. Niemniej dla mnie równie dobrze mogło być na drugim końcu świata.

- Mogę sobie wyobrazić, że wychowanie w Witt's End nie dało ci prawdziwych podstaw kosmopolitycznych - zapewnił ją sucho.

- Życie tutaj jest inne - przyznała spokojnie. - W każdym razie zapisałam się do Bullington College i po ukończeniu studiów pracowałam tam przez pewien czas jako wykładowczyni na wydziale socjologii. Mieszkałam wtedy w miasteczku akademickim. Chciałam być normalna, rozumiesz?

- Normalna? - zdziwił się Caleb.

- Uważam, że wszyscy młodzi ludzie się buntują przeciwko wychowaniu i stylowi życia, w jakim dorastali.

Dzieciaki, które opuszczają konwencjonalne środowisko klasy średniej, chcą być wolne. Chcą łamać zasady.

- A ty?

- Ja? - Serenity skrzywiła się. - Może mi nie uwierzysz, ale ja marzyłam o zasadach. Wychowałam się bez rutyny i dyscypliny, więc całkiem naturalnie ciągnęło mnie do świata, w którym ludzie robią wszystko w odpowiednim czasie, gdzie można do pewnego stopnia polegać na określonym porządku. W świecie, w którym ludzie planują swoją przyszłość, a nie żyją chwilą. Wydawało mi się, że chcę żyć w takim środowisku, gdzie ludzie mają regularny czas pracy, a nie czekają na natchnienie i zapał.

- Rozumiem.

- Chciałam mieć konto w banku - kontynuowała Serenity, zadziwiona własnymi młodzieńczymi ambicjami. - Chciałam mieć takiego mechanika samochodowego, który nie próbowałby naprawić pompy wodnej za pomocą medytacji i odmawiania mantry. Marzyłam o udanej karierze akademickiej, zakończonej emeryturą.

- I co?

- I odkryłam, że banki dają bardzo niskie oprocentowanie, że mechanicy, którzy nie wyśpiewują mantr, wcale nie są lepsi od tych, którzy to robią, że drabina do kariery akademickiej ma bardzo śliskie szczeble i że nikt nie może już liczyć na spokojną emeryturę.

Caleb napił się herbaty.

- Wiele się nauczyłaś.

- Aha. A lekcją, którą pojęłam najlepiej, było zrozumienie, że w żaden sposób nie przystaję do tego tak zwanego normalnego świata. Och, pewnie że mogę się w nim znaleźć na krótko, ale nie jestem szczęśliwa, gdy to trwa dłużej. Urodziłam się w małym, ekscentrycznym środowisku na odludziu i w nim zawsze się będę czuła najlepiej.

- Uważasz, że pasujesz do Witt's End? - zapytał Caleb.

- To mój dom. Ludzie mnie tu znają. Rozumieją mnie i akceptują taką, jaka jestem. My wszyscy tutaj jesteśmy bardzo tolerancyjni dla siebie i naszych dziwactw.

- Czyżby?

Serenity wyczuła jego ironię.

- Wierz mi lub nie, ale nikt by tutaj nawet nie mrugnął powieką na wieść o tym, że ktoś pozował nago do artystycznych fotografii.

Caleb ostrożnie odstawił filizankę na pięknie wypolerowany stół, który Julius Makepeace zrobił własnymi rękami.

- Ale potrzebujesz kogoś z mojego świata, żeby urzeczywistnić projekty założenia firmy, prawda?

- Myślałam, że tak. - Serenity zmrużyła oczy. - Ale teraz nie jestem już taka pewna.

- Zrozum, dziewczyno, że jestem ci potrzebny. Jeśli zaczniesz sama decydować, to stracisz każdy grosz, który władowałaś w tę firmę.

Serenity pomyślała, że co za dużo, to niezdrowo.

- Nie jestem głupia. Może niedoświadczona, ale na pewno nie głupia.

Caleb spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Zgadzasz się. Ale nie masz doświadczenia w tej branży. Musisz się jeszcze wiele nauczyć, młoda damo.

- I ty mnie tego nauczysz?

- Na to wygląda.

- Niezależnie od tego, czy będę chciała wziąć lekcje czy nie?

Caleb wyciągnął nogi przed siebie, wygodnie oparł się w fotelu i popatrzył na nią spod na wpół przymkniętych powiek.

- Zgodnie z tym, co ci powiedziałem przed kilkoma minutami, mam reputację człowieka dotrzymującego pewnych zasad i nie mam zamiaru dopuścić do tego, byś zniszczyła mi opinię.

W tym momencie Serenity poczuła iskierkę wątpliwości i rodzące się podejrzenie, że Caleb nie wyjawiał jej swoich prawdziwych motywów, ale jednocześnie nie mogła sobie wyobrazić żadnego innego sensownego powodu jego obecności w Witt's End.

- Czegoś mi tu brakuje - powiedziała w końcu. - Prawdopodobnie nie pomyślałam o finansowym aspekcie całej sprawy.

- Co masz na myśli?

- Być może jesteś skłonny przymknąć oko na moją skandaliczną przeszłość ze względu na zyski, jakie masz zamiar wyciągnąć z mojej firmy. Mam rację?

Caleb zacisnął usta.

- Możesz to bliżej wyjaśnić?

- Uważam, że masz spory tupet, skoro traktujesz mnie w taki sposób tylko dlatego, że pozowałam nago do zdjęć, a sam kierujesz się tak niskimi pobudkami. Przyganiał kocioł garnkowi.

- O moich motywach możesz sobie myśleć, co ci się żywnie podoba - odpowiedział Caleb lodowatym tonem.

- Mogę cię tylko poinformować, że zyski, jakich się spodziewam po tym interesie, nie zostaną nawet

zauważone przez moich księgowych.

- Aha! Założę się, że to samo mówił niejedyn sprytny doradca finansowy dzisiejszym milionerom.
- Dobrze, proponuję, żebyśmy się zgodzili, że się nie zgadzamy w tej kwestii - ugodowo skwitował jej wypowiedź. - Spróbujmy spojrzeć na nasz związek z innego punktu widzenia.
- Nie łączy nas żaden związek - szybko odpowiedziała Serenity.
- Nie?
- Nie. - Zaczerwieniła się na wspomnienie pocałunku w kancelarii Caleba. Z wyrazu jego oczu zorientowała się, że on także o tym pomyślał. - Przyznaję, że był taki moment, kiedy przyszło mi do głowy, że może zaistnieć, ale się myliłam. Cóż, ja i ty jesteśmy...
- Źle mnie zrozumiałaś - przerwał jej Caleb. - Nie mówiłem o związku osobistym, chodziło mi o partnerstwo w interesach.
- Och. - Serenity miała purpurowe policzki.
- Proponuję, żebyś przestała podchodzić do tej sprawy tak osobiście i zaczęła myśleć w kategoriach interesu.
- Czy to jest lekcja numer jeden?
- Owszem.

Serenity wiedziała, że Caleb kłamie. Czowała, że pomimo tej całej gadaniny o interesach przyjechał tutaj z przyczyn osobistych. Być może reputacja rzeczywiście miała dla niego tak wielkie znaczenie, choć trudno jej było zrozumieć, w jaki sposób utrata jednego drobnego klienta z Witt's End w stanie Waszyngton mogła mu w jakikolwiek sposób zaszkodzić.

Z drugiej jednak strony, Caleb był wręcz przepojony chłodną dumą. Należał do tych ludzi, dla których pewien poziom i reputacja były bez wątpienia sprawami pierwszej wagi. I choć z pewnością nie dbał o to, co sobie ludzie mogą o nim pomyśleć, to niesłychanie dbał o to, by nie naruszyć własnego kodeksu zasad.

- No to zobaczymy, czy ją dobrze zrozumiałam - powiedziała Serenity. - Sedno sprawy polega na tym, że chcesz wywrzeć na mnie stanowczy nacisk, bym cię zaakceptowała jako doradcę, i to tylko w tym celu, żebyś nie naruszył swoich zasad. Zgadza się? Caleb zawahał się.
- Powiedzmy, że jest to praktyczne spojrzenie na całą sytuację.

Serenity wzruszyła ramionami.

- Dobra, wygrałeś. Odejdź więc i zbuduj mi wysyłkowe imperium.

Caleb nawet nie drgnął w fotelu.

- To nie będzie takie proste.

- Bzdura. Dla człowieka z twoimi zdolnościami to pestka.

Prawdopodobnie postarasz się, by firma ruszyła w najbliższy wtorek. Zadzwoń do mnie, jak będziesz gotowy.

- To jest wspólne przedsięwzięcie, Serenity.

- Będziesz mi musiał wybaczyć, bo nie czuję się w tej chwili szczególnie zdolna do współpracy. I w dodatku mam mnóstwo innych spraw na głowie. W końcu nie co dziennie potykam się o zwłoki sąsiada.

- Sąsiada, który ci zrobił zdjęcia użyte do szantażu - zaznaczył z uporem. - Trudno go nazwać prawdziwym przyjacielem.

- Ambrose był moim przyjacielem - powiedziała cicho Serenity. - I tak właśnie chcę o nim myśleć.

- Pomimo faktu, że to on mógł stać za tym szantażem?

- Jeśli to on był szantażystą, to musiał mieć swoje powody. Być może zrobił to w akcie rozpacz.

- Rozpacz? Z jakiego powodu? - zapytał Caleb. - Cholera, nie wierzę własnym uszom. Wynajdujesz

usprawiedliwienia dla szantażysty?

- Nie wiemy, że to był on.

- Dobra, pójdźmy dalej tą ścieżką. Kto jeszcze miał dostęp do tych zdjęć?

Serenity westchnęła. Logika Caleba była niezbita.

- Z tego, co wiem, to nikt. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Ambrose dał je komuś. Nie było żadnego powodu.

- Szantażysta żądał, żebyś zerwała ze mną rozmowy handlowe - powiedział Caleb. - Komu mogło zależeć na zniweczeniu twoich planów?

- Nie wiem. - Serenity zaczęła tracić cierpliwość. Ten facet był jak lokomotywa - kiedy już raz zaczął, trudno go powstrzymać. - A w ogóle, to nie twoja sprawa.

- Nie zgadzam się. Pamiętaj, że jestem twoim doradcą.

- Wolałabym o tym zapomnieć.

- Nie dopuszczę do tego - zapewnił ją Caleb. - Ale możemy o tym porozmawiać kiedy indziej.

- Bogu dzięki.

- W tej chwili najważniejszą dla mnie sprawą jest znalezienie sobie miejsca na nocleg. Nie widziałem tu żadnego motelu.

- Najbliższy jest o trzydzieści mil stąd, przy drodze do Bullington.

- Cóż, to trochę daleko. - Caleb spojrział za okno. - Mgła jeszcze bardziej zgęstniała. Byłbym chyba kompletnym wariatem, gdybym próbował przejechać trzydzieści mil w tej zupie po krętej górskiej drodze.

- Nie patrz tak na mnie - powiedziała Serenity, nagle zaalarmowana kierunkiem, jaki przybrała rozmowa. - Nie prowadzę pensjonatu ze śniadaniem.

Caleb rozejrzał się z namysłem po wypchanych książkami salonie.

- Mógłbym spać na kanapie.

- Nie.

- Jest całkiem spora.

- Nie.

Caleb uniósł brwi.

- Nawet przez jedną noc?

- Nie.

- O co chodzi, Serenity? Denerwujesz się z mojego powodu?

- Tak.

- W takim razie wszystko w porządku. - Spojrział na nią znacząco. - Nie rzucę się w nocy na ciebie.

- Nie mogę mieć tej pewności. A poza tym, uważasz mnie za szmatę, więc nie wiadomo, co możesz zrobić.

- Nie uważam cię za szmatę - powiedział ostrożnie. - Myślę tylko, że jesteś naiwna. Poznałem cię na tyle przez te trzy tygodnie, by zrozumieć, w jaki sposób Ambrose mógł cię namówić do pozwania. Przypuszczalnie nafaszerował cię tymi bzdurami o prawdziwej sztuce.

- Cóż za szlachetność z twojej strony - zauważyła Serenity. - Ale powinnam cię chyba ostrzec, że mi nie zależy, byś miał o mnie inne zdanie, tak samo jak mi nie zależało na tamtym. Z tego, co mówisz, wynika, że jestem kompletnym tumanem.

- Próbuję jedynie podejść do tego tolerancyjnie i bez uprzedzeń - zaznaczył dobitnie.

- Mój Boże, sądzę, że to dla ciebie stanowczo zbyt trudne.

- Jesteś w cholernie złym humorze, prawda?

- Myślisz, że nie mam powodów? Miałam bardzo zły dzień.

- Wiem - zapewnił ją Caleb. - Powiedziałem już, że mi przykro.
- Coś ci powiem. Możesz popracować nad własną tolerancją i poćwiczyć nowe podejście bez uprzedzeń w czasie jazdy do motelu. - Serenity znacząco zerknęła na zegarek.
- Chyba nie chcesz mnie zmusić do jazdy po nie znanych mi górskich drogach w takiej mgle?
- No, w każdym razie tutaj na pewno nie możesz zostać. - Serenity z pełną determinacją broniła swych postanowień. Niestety, zdawała sobie przy tym sprawę, że Caleb ma rację, i nie chciała brać na siebie odpowiedzialności za jego bezpieczeństwo. - Może mógłbyś przenocować w domu Juliusa? Nie sądzę, że miałby o to pretensję.
- Jakiego Juliusa?
- Juliusa Makepeace. Mojego ojca. Tak jakby.
- Twojego ojca? - Caleb był zaskoczony. - To chyba nie jest najlepszy pomysł.
- Nie przejmuj się. - Serenity wstała z kanapy, zadowolona ze znalezienia sensownego rozwiązania problemu. - Julius i Bethanne wyjechali z miasteczka.
- Dokąd? - zapytał Caleb ostrożnie, podnosząc się z fotela.
- W podróż poślubną.
- Słucham?

Serenity wyjęła klucze do domku Juliusa z małej fajansowej wazy.

I skoro jesteś taki ciekawy, to ci powiem, że to była miłość od pierwszego wejrzenia. Pewnego popołudnia przed laty Bethanne wjechała do miasteczka na Harleyu-Davidsonie. Julius raz na nią popatrzył i przepadł. Od tego czasu żyli już razem.

Caleb się skrzywił.

- I po piętnastu latach wspólnego życia wzięli w końcu ślub?

Serenity wzruszyła ramionami.

- Bethanne powiedziała, że nadeszła właściwa pora.

- Nie sądzisz, że to trochę dziwne?

- Nie tutaj, w Witt's End - odpowiedziała. - Jak długo twoi rodzice znali się przed ślubem?

- Wcale - odpowiedział jej podejrzanie obojętnym tonem. - To znaczy, wcale się nie pobrali.

Serenity zamrugała ze zdziwienia.

- Twoi rodzice nie wzięli ślubu? Moi też nie.

- Ale właśnie powiedziałaś, że twój ojciec w końcu ożenił się z tą Bethanne, która - przerwał na chwilę - przyjechała do miasteczka piętnaście lat temu. Ach, teraz rozumiem. Bethanne nie jest twoją matką.

- A Julius nie jest moim ojcem. Tylko przez przypadek noszę jego nazwisko. Uważam go za swojego wujka.

Tak samo myślę o Montrosie, Quintonie i Bładzie.

Caleb obrzucił ją pozornie obojętnym spojrzeniem.

- Masz wielu wujków.

- Mam także kilka ciotek - uzupełniła. - Moi prawdziwi rodzice nie żyją. Obydwoje zmarli, zanim zdążyli się pobrać. Ojciec zmarł, gdy matka była jeszcze w ciąży.

Został zabity podczas manewrów wojskowych na poligonie. A moja mama zmarła przy porodzie. - Dotknęła palcami gryfa na szyi.

- Jesteś adoptowana?

- Przez całe Witt's End.

- Bez urazy, ale to mi nie wygląda na całkiem legalną historię.

- A kto by się zajmował takimi drobiazgami? Miałam rodzinę i o to w końcu chodzi, no nie?

- To zależy od punktu widzenia - powiedział Caleb z namysłem. - Wydaje mi się, że mamy ze sobą coś wspólnego. Moi rodzice zmarli, kiedy miałem trzy miesiące, zanim zdążyli wziąć ślub. Wychowywałem się w domu dziadka.

Echo ostatnich słów Caleba zawisło w powietrzu. Serenity nie chciała dopuścić do tego, by jej dosięgło i poruszyło, ale nie mogła. Wyglądało na to, że wszystko, co było związane z tym człowiekiem, porusza ją w taki czy inny sposób.

- Przykro mi. To dziwne, prawda?

- Co mianowicie?

- To, że wcale ich nie znaliśmy. Ja nawet nie wiem, jak oni wyglądali. Nie mam nawet żadnego zdjęcia. A ty masz?

- Owszem. - Oczy mu pociemniały. - Mam.

- W takim razie masz szczęście.

- Tak uważasz?

Serenity się zorientowała, że wkroczyli na niebezpieczny teren. Postanowiła zmienić temat tej rozmowy, która spowodowała, że wzrok Caleba gwałtownie spochmurniał.

- No dobra, chodźmy. Dom Juliusa jest niedaleko. Możemy pójść pieszo.

Zdjęła z haka kurtkę, narzuciła ją na siebie i otworzyła drzwi. Szara mgła zawisła przed nią jak ściana.

- Masz może gdzieś pod ręką latarkę? - zapytał uprzejmie Caleb. - W górach noc zapada dość wcześnie.

- Jasne. - Otworzyła szafkę, w której grzebała tak długo, aż znalazła latarkę. Wyciągnęła ją, zaświeciła i śmiało ruszyła na dół po schodkach w zbitą masę mgły.

- A co będzie, jak zabłądzimy? - Caleb zapiął kurtkę i postawił kołnierz ze strzyżonego baranka.

- Będziemy się kręcić w kółko przez kilka godzin, a potem umrzemy na skutek hipotermii - poinformowała go łaskawie. - Pocieszające jest tylko to, że jeśli tak się stanie, to unikniemy inwazji.

- Jakiej inwazji?!

- Tej, którą Blade przepowiada w najbliższym czasie.

- Dziękuję za wcześniejsze ostrzeżenie.

- Nie ma za co. - Serenity zorientowała się, że nie może dojrzeć nawet samochodów zaparkowanych na podjeździe. Mimo to zdecydowanie parła do przodu. Postanowiła za wszelką cenę pozbyć się Caleba z własnego domku.

- Nie sędzę, żeby to był najlepszy pomysł - odezwał się Caleb za jej plecami. - Może powinniśmy trochę poczekać i sprawdzić, czy to cholerstwo się trochę przerzedziło.

- Znam wszystkie ścieżki w Witt's End jak własną kieszeń. - Serenity zrobiła następny krok i wpadła na metalowy zderzak własnego Jeepa. - Auu!

- A co powiesz o ścieżce do własnego domu? - Caleb wyjął jej z dłoni latarkę. - Nic ci się nie stało? Serenity krzywiła się z bólu. W tym zderzeniu najbardziej ucierpiało kolano.

- Nie, nie, wszystko w porządku.

- To dobrze. W każdym razie tutaj kończymy naszą wyprawę. Może ty uwielbiasz się włóczyć we mgle, ale ja nie mam zamiaru odnieść ran, usiłując znaleźć tę drugą chatę. - Caleb chwycił Serenity za ramię, odwrócił ją i poprowadził z powrotem w stronę domku.

Serenity była wściekła na siebie z powodu porażki.

- Dobrze, więc może najpierw zjemy kolację, a dopiero potem pójdziemy do domku Juliusa.

- Myślałem, że już nigdy mi tego nie zaproponujesz.

Następnego ranka Caleb obudził się po męczących snach nie przynoszących odpoczynku i zastanawiał

się, dlaczego łóżko się kołysze. Przyszło mu do głowy oczywiste wytłumaczenie. Trzęsienie ziemi. Usiadł na łóżku, przygotowany do skoku w kierunku drzwi. Łóżko zachybotowało się jeszcze gwałtowniej i Caleb przypomniał sobie poniewczasie, że łoże Juliusa Makepeace'a było zawieszona u belkowanego stropu na czterech grubych łańcuchach. Najlżejszy ruch powodował przechyły i kołysanie. Caleb był ciekaw, czy dostanie choroby morskiej.

Rozłożył się ponownie na poduszkach i zapatrzył markotnie w szare światło brzasku, sączące się do środka przez kolorowe witraże w oknach sypialni. Spod ciężkiej sterty ręcznie robionych kołdry wysunął na próbę jedną nogę i natychmiast ją schował z powrotem. W chałupie Makepeace'a było zimno jak w psiarni. Namacalny dowód na to, że nikły ogienek, jaki próbował rozpaścić w piecyku na drewno późno w nocy, wygasł już dawno.

Jedyną pocieszającą myślą było to, że jednak jest w Witt's End, a nie trzydzieści mil stąd, na drodze do Bullington. Przygotowując się w duchu na spotkanie z zimnem odsunął kołdry i wstał z łóżka. Porwał torbę podróżną i popędził do małej łazienki. Tak się niefortunnie złożyło, że szlafrok i z pewnością jeszcze parę absolutnie niezbędnych drobiazgów zostawił w Seattle. Zazwyczaj pakował się niezwykle starannie przed podróżą.

Rzecz jasna, tym razem nie miał wiele czasu na przygotowania. Cała ta wyprawa była spontaniczną akcją, jaka zupełnie nie leżała w jego charakterze. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie postradał zmysłów. Wcisnął się do łazienki i odkręcił kran z gorącą wodą pod prysznicem. Nagle ze zdumieniem stwierdził, że jedna ściana łazienki jest całkowicie przeszklona. Spojrzał w górę i zobaczył nad sobą niebo. Widocznie Makepeace lubił sobie popatrzeć na las w czasie kąpieli. Za szybą było widać tylko gęstwinę drzew, ale Caleb miał świadomość, że biorąc prysznic będzie całkowicie wystawiony na widok publiczny. Czekał, aż woda się zagrzeje, rzucił okiem w lustro.

Na widok ponurej, nie ogolonej twarzy natychmiast odwrócił wzrok. Ostatnio wystrzegał się luster i innych odbijających obraz powierzchni. Patrząc w nie czuł lodowaty dreszcz na plecach. Wiedział, że to idiotyczne, ale podświadomie żywił obawę, że pewnego dnia spojrzy w lustro i nie zobaczy w nim własnego odbicia. Nie miał po prostu pewności, czy duchy mogą zobaczyć w lustrze własny wizerunek. Wszedł pod prysznic i usiłował się skoncentrować na planie bitwy, którą miał stoczyć tego dnia.

Właściwie, do cholery, co on tu w ogóle robi? Wcale nie chodzi o interesy. Od samego początku nie chodziło. Stojąc twarzą do zimnego światła poranka zmusił się do przyznania przed sobą, jakie są prawdziwe motywy jego przyjazdu. Strumień gorącej wody spływał mu po plecach, rozgrzewając stopniowo zziębnięte ciało, gdy stał wpatrzony w ścianę lasu za oknem. Okłamywanie samego siebie nie miało żadnego sensu. To nieprawda, że przyjechał do Witt's End z powodu nie dokończonego kontraktu, własnej nienagannej reputacji zawodowej lub przewidywanych zysków z małego przedsiębiorstwa sprzedaży wysyłkowej. Przyjechał dlatego, że pragnął Serenity.

A także z powodu wrażenia, że przy niej wraca do życia. Po trzech kwadransach, ogolony i ubrany w dżinsy i gruby wełniany sweter, wszedł do kuchni. Było potwornie zimno, ale nie chciał znowu zaczynać tej całej polki z piecykiem. Otwierał po kolei wszystkie szafki, aż trafił na pojemnik z przygotowaną w domu mieszanką płatków owsianych. W pustej lodówce nie było nawet mleka. Kilka minut zabrała mu decyzja, czy się zmierzyć z miską potrawy złożonej z wysuszonych orzechów i ziarna. Na szczęście miał mocne zęby. Pomyślał, że musi zdobyć mleko. Zęby miał mocne, ale przecież nie ze stali.

Chrupiąc płatki przyglądał się obrazom rozwieszonym na ścianach chałupy. Większość starannie oprawionych obrazów przedstawiała czule wypieszczony wizerunki starych motocykli. Chromowane bestie, lśniące i majestatyczne, bez wątpienia wyszły spod pędzla utalentowanego artysty. Caleb

podszedł bliżej do jednego z obrazów i spojrzął na podpis. Jessie Blanchard.

Między obrazami wisały półki na książki. Caleb zerknął na kilka grzbietów. James Joyce, Proust i Milton sąsiadowali z Kerouakiem i Ginsbergiem. Zjadł do końca płatki, opłukał miszkę, wytarł ją i schował z powrotem do szafki. Włożył kurtkę i wyszedł na dwór. Szare wstęgi mgły spowijały krajobraz. Z ganku chałupy Makepeace'a Caleb dostrzegł za drzewami domek Serenity. Pomimo paskudnego nastroju uśmiechnął się leciutko na wspomnienie pierwszego wrażenia na widok tego domku.

Chatka Serenity wyglądała jak z ilustracji w bajce dla dzieci. Zbudowana z wielkich otoczków i drewnianych bali, z pękatym kominem i spadzistym dachem, bez wątpienia była dziełem troskliwych i kochających rąk. Była mała i oryginalna, sprawiała niezwykle miłe i przytulne wrażenie. Idealne schronienie dla panny, która wyglądała jak rusałka tańcząca o północy na łące skąpanej w świetle księżyca. Mimo chłodnego przyjęcia, z jakim się spotkał w tym domku poprzedniego dnia, nie mógł się doczekać ponownych odwiedzin.

Włożył skórzane rękawiczki i zszedł po schodkach. Oddałby życie za filiżankę kawy. Miał nadzieję, że dostanie ją u Serenity. Herbata nie pasowała do takiego poranka. Po chwili był na miejscu. Samochód Serenity stał nadal obok jego Jaguara, ale kiedy Caleb zapukał do drzwi, nikt mu nie otworzył. Nacisnął na klamkę i pokręcił głową z wyraźną dezaprobatą, kiedy drzwi ustąpiły. Ta dziewczyna rzeczywiście żyła w innym świecie. Nie zwracała sobie głowy nawet zamknięciem drzwi do domu. Serenity?

Nikt nie odpowiadał. Caleb zamknął drzwi i zszedł po schodach. Jeszcze raz zerknął na Jeepa i uświadomił sobie, że na piechotę nie mogła pójść daleko. Było dość wcześnie, ale może wybrała się do miasteczka na kawę? I nawet go nie zaprosił!

Spacer do Witt's End trwał niecałe dziesięć minut.

0 domkach, nad wyraz oryginalnych, czasami ekscentrycznych, budowanych własnoręcznie, tworzących centrum miasteczka, można było powiedzieć jedynie to, że każdy z nich był jedyny w swoim rodzaju. Niektóre miały dziwaczne formy geometryczne, skomponowane z drewna i szkła, i emanowały żywymi barwami. Caleb trafił na małą kawiarenkę obok sklepu spożywczego. W środku paliły się światła. Światło było również zapalone w „Sklepie Spożywczym w Witt's End”. Ku własnemu zdziwieniu Caleb zmienił kierunek i wszedł do sklepu Serenity. Kiedy otworzył drzwi, nad głową zabrzdąkały mu małe dzwonki.

- Serenity? Jesteś tu?

Spomiędzy dwóch szeregów półek wyłoniła się dziwna postać, spowita w falujące żółto-pomarańczowe szaty, i polewitowała w jego kierunku. Z początku nie mógł się zorientować, jaka jest płeć tego zjawiska. On lub ona miało kompletnie łysą czaszkę i kółko w nosie dla ozdoby.

- Serenity tu nie ma. - Głos miał grobowy ton, ale bez wątpienia był żeński.

- Kim pani jest?

- Nazywają mnie Zone.

- Jestem Caleb Ventress.

- Caleb Ventress. Ten, który przynosi niebezpieczeństwo, zamieszanie i chaos.

- Prawdę mówiąc, ma pani niewłaściwe informacje. Jestem doradcą finansowym i moja praca polega na likwidacji zamieszania i chaosu.

- Jesteś wielką niewiadomą. - Zone uniosła ręce w rytualnym geście. Szerokie rękawy szaty opadły, odsłaniając rzędy srebrnych bransolet na obu rękach. - Z chaosu i niebezpieczeństwa narodzą się zmiany, ale nie ma jeszcze znaku mówiącego mi, czy będą one dobre czy złe.

- Moje wskaźniki stanowczo sugerują, że zmiany będą wysoce korzystne dla wszystkich

zainteresowanych.

Czy może mnie pani poinformować, gdzie się znajduje moja klientka?

- Klientka?

- Serenity. Może ją pani pamięta? Jest pani chlebodawczynią.

- Serenity wyszła.

- Dokąd?

- Do domku nieszczęsnego Ambrose'a. Powiedziała, że chce coś stamtąd zabrać - wyjaśniła Zone.

- Negatywy - mruknął pod nosem. - Oczywiście. Że też na to nie wpadłem.

- Wszystkie siły negatywne są równoważone przez siły pozytywne - wyrecytowała Zone. - Taka jest natura wszechświata.

- Jasne. Może mi pani wskazać drogę do domku Ambrose'a?

- Chaos i zamieszanie - wyszeptała Zone. - Chaos i zamieszanie. I wielkie niebezpieczeństwo. Widziałam ostrzeżenie we mgłach. Myślałam, że to sen, ale teraz się obawiam, że to była prawdziwa wizja.

- Może wyrażę to inaczej - odezwał się Caleb cierpliwie. - Jeśli natychmiast mi pani nie powie, jak tam trafić, później porozmawiamy ze sobą poważnie na temat pani ewentualnego zasiłku dla bezrobotnych.

- Po wyjściu stąd proszę skręcić w prawo i w pierwszą w lewo, jak tylko się skończy miasteczko. Dom Ambrose'a stoi przy końcu drogi.

- Dziękuję - powiedział Caleb. - Bardzo mi pani pomogła.

Rozdział 4

Podczas przeszukiwania obszernych archiwów w piwnicy Ambrose'a Serenity poczuła przyływ głębokiej melancholii. Ten człowiek był tak bardzo utalentowany, a jednak ów dar niebios został pokonany w walce z butelką i osobowością, która zawsze przeszkadzała Ambrose'owi w stosunkach międzyludzkich. Dowody jego kolejnych porażek otaczały Serenity ze wszystkich stron. Szesnaście szafek pełnych nie sprzedanych fotografii. I do wszystkich odpowiednie negatywy.

Na szczęście Ambrose archiwizował prace zgodnie z datami, choć najczęściej szafki zawierały wszystkie prace z trzech, a nawet czterech lat. Jednak te były ułożone alfabetycznie. Serenity wyciągnęła szufladę ze zdjęciami z ostatnich trzech lat i zaczęła wertować fiszki, szukając swego nazwiska. Zgodnie z jej oczekiwaniami, fiszki były nie naruszone.

Teczkę z nalepką Makepeace, Serenity, znalazła prawie natychmiast. Kiedy sięgała do środka, usłyszała nad głową czyjeś kroki. Zamarła bez ruchu.

- Serenity?

Dźwięk jej imienia był zduszony przez gruby drewniany strop piwnicy, ale co do tego głębokiego, ponurego głosu nie mogła się mylić. Na górze był Caleb. Serenity sama nie wiedziała, czy powitała go z ulgą czy z irytacją. Zresztą ostatnio wciąż miała ten problem z Calebem. Wyglądało na to, że ma w stosunku do niego mieszane uczucia.

- Jestem tutaj, w piwnicy. - Pospiesznie wyciągnęła dużą kopertę z teczki, wepchnęła ją pod ramię i zasunęła szufladę. Kroki zbliżające się do piwnicznych drzwi odbijały się echem po pustym domu. Po chwili Caleb pojawił się na szczycie schodów.

- Powinienem się domyślić, że coś takiego wpadnie ci do głowy. Powiedz mi, proszę, pytam z czystej ciekawości, czy przepisy prawne na temat włamań i plądrowania są inne w Witt's End, a inne w Seattle?

- Nie wiem. - Teraz już wiedziała, że czuje irytację.

Nad wyraz silną irytację. - Nigdy nie porównywałam kodeksów karnych. Jako wolne dziecko wszechświata nie odczuwałam potrzeby zajmowania się prawami stworzonymi przez człowieka.

- Wygodna filozofia. - Caleb zaczął schodzić na dół. - Znalazłaś zdjęcia?

Drgnęła.

- Skąd wiedziałeś?

- Może nie jestem dziecieniem wszechświata, ale na pewno nie jestem idiotą.

Mocno przycisnęła kopertę i zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to ich nie ukradłam. Należą do mnie. Ambrose powiedział mi kiedyś, że Jeśli któregoś dnia zechcę je mieć, to mogę je dostać.

- Naprawdę? Caleb spojrział na kopertę pod jej ramieniem. - Co chcesz z nimi zrobić?

- Nie wiem. Chyba podrę i wyrzucę. - Popatrzyła na niego spode łba. - Miałam przez nie wystarczająco wiele kłopotów.

- Jeśli dobrze pamiętam, mówiłaś, że są dziełami sztuki.

- Bo są. Ale jednocześnie są powodem do zmartwień, dlatego się ich pozbędę. Z pewnością nie przyniosą mi żadnej korzyści.

Przez surowe oblicze Caleba przemknął cień zamyślenia.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że skoro znalazłaś tu zdjęcia, to Ambrose był szantażystą? Teraz mamy pewność, że nikomu nie dał ani nie sprzedał tych negatywów.

- Tak, wiem. - Serenity poczuła ponowny napływ smutku. - Nadal nie mogę uwierzyć, że Ambrose mógł zrobić coś takiego. Przypuszczam, że musiał mieć bardzo ważny powód.

- Jak możesz usprawiedliwiać tego drania, do cholery?! - Caleb zatrzymał się na ostatnim stopniu, rozejrzał po piwnicy i cicho gwizdnął. - Widzę, że ten Asterley lubił dobry sprzęt. Wygląda na to, że pracował tylko na najlepszym.

- Ambrose miał fioła na punkcie swojej pracy.

- Jasne. Prawdziwy artysta. No dobra, chodźmy stąd.

Serenity uśmiechnęła się chłodno.

- Jestem pewna, że nie chcesz, by nas widziano, jak razem stąd wychodzimy. Jeśli nas ktoś przyłapie, możesz być zamieszany w moją przestępczą działalność.

- Jako twój wspólnik i doradca muszę zaryzykować.

No wiesz, to część mojej pracy. Chodźmy, Serenity. Była wyraźnie zadowolona.

- Ty się naprawdę boisz tutaj zostać, prawda?

- Co w tym dziwnego? Tam, skąd pochodzę, za takie rzeczy ludzi się aresztuje.

- Uspokój się. Ambrose był moim przyjacielem. Nie miałby nic przeciw mojej obecności w tym domu. - Serenity ruszyła w stronę schodów. - Ale mogę już iść. Ta piwnica działa na mnie przygnębiająco.

Była niecały krok od czekającego niecierpliwie Caleba, kiedy usłyszała stłumiony odgłos nadjeżdżającego samochodu.

- Niech to szlag trafi - mruknął Caleb. - Ktoś tu jedzie.

- To pewnie tylko Jessie albo ktoś inny z Witt's End - uspokoiła go Serenity z nadzieją, że to prawda.

- A jeśli to jakiś jego krewny przyjechał po rzeczy? Albo gliniarze? Wybacz, ale nigdy jeszcze mnie nie przyłapano na kradzieży w domu zmarłego. - Caleb wbiegł na górę po dwa stopnie naraz i szybko zamknął drzwi do piwnicy. Potem wrócił na dół, wyciągnął rękę, złapał mocno Serenity i przyciągnął ją do ściany.

- Matko jedyna, co ty wyprawiasz? - stęknęła zdumiona.

- Cicho! - Caleb sięgnął do wyłącznika światła pod schodami i piwnica nagle się pogрузыła w

całkowitej ciemności. - Jeśli będziemy mieli nadzwyczajny fart, ten ktoś może sobie stąd pójść.

- To na pewno ktoś znajomy - odpowiedziała mrukliwie.

- Ani słowa więcej - szepnął jej do ucha Caleb.

Serenity była w tej chwili wyraźnie zdenerwowana, pomimo dzielnych zapewnień, że nie ma się czym przejmować. Usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi do pokoju na górze. Ktoś szybkim krokiem przemierzył podłogę. Ktokolwiek to był, znał rozkład tego domu. A więc ktoś ze znajomych Ambrose'a. Może Jessie?

Właśnie miała zamiar powiedzieć o tym Calebowi, kiedy usłyszała kroki bezpośrednio nad głową. Ktoś podchodził do piwnicznych drzwi. Jęknęła cichutko i stuknęła Caleba łokciem. Chyba zdawał sobie sprawę, że jeśli ktoś stanie w tych drzwiach, to ich zobaczy.

- Cholera, chyba trzeba będzie robić dobrą minę do złej gry. Spróbujemy to obrócić w przypadkową wizytę. Przyszedł tu tylko posprzątać albo coś w tym stylu.

- Caleb, naprawdę za bardzo się przejmujesz.

- Każdy poważny doradca finansowy tak się przejmuje. Dlatego nam tak dużo płacą.

- Wolalabym, żebyś nie poruszał tematu twoich horrendalnych honorariów.

- To temat bliski memu sercu. Dobra, daj mi to. - Wyciągnął jej spod pachy kopertę.

- Caleb, to jest moja własność!

- Oddam ci ją później. - Ponownie przekręcił kontakt.

Wisząca u sufitu żarówka oświetliła pomieszczenie bez okien. - No dobrze, przystępujemy do ataku.

Zachowuj się tak, jakbyśmy mieli wszelkie prawo, żeby tu być.

- Bo mamy. W pewnym sensie.

W otwartych drzwiach stanął jakiś mężczyzna.

- Co tu się dzieje? Kto tam jest na dole?

- Kim pan jest? - Caleb zażądał odpowiedzi tym swoim tonem pełnym naturalnej arogancji, charakterystycznym również dla policjantów i innych przedstawicieli władz. - To prywatna posiadłość.

Nieznajomy drgnął. Niepewnie spoglądał w dół.

Zbliżał się do sześćdziesiątki, był chudy i żylasty, o wąskiej, żółtawej twarzy palacza i podkrążonych oczach. Miał na sobie stary sweter i workowate spodnie. Wyglądał na niespokojnego, nerwowego, jakby go ktoś gonił. Wyraźnie zaniepokoiła go ich obecność w piwnicy. Otworzył usta, zamknął i raz jeszcze otworzył.

- Chwila, moment! - zawołał nerwowo. - Ja mam prawo tu być!

- Dzień dobry - pogodnie powitała go Serenity. Kątem oka zauważyła, że koperta ze zdjęciami zniknęła pod kurtką Caleba. - Nie chcieliśmy pana przestraszyć. Czy pan jest członkiem rodziny?

- Rodziny? - Facet wlepił w nią wzrok. - Jakiej rodziny?

- Rodziny Ambrose'a - wyjaśniła uprzejmie Serenity. - Przepraszamy, jeśli w czymś przeszkadziliśmy. Nie wiedzieliśmy, że miał kogoś bliskiego. Nigdy nie wspominał o swoich krewnych.

- Nie jestem krewnym, tylko znajomym. Nazywam się Gallagher Firebrace. Jestem fotografikiem z Seattle.

Znam, to znaczy znałem Ambrose'a od dawna. Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie znajomy fotograf z Bullington i powiedział, że słyszał o wypadku. Przyjechałem, żeby zobaczyć, czy mogę w czymś pomóc.

- Caleb Ventress. - Caleb przedstawił się swobodnie, jakby był przyzwyczajony do przebywania w cudzych piwnicach. - A to jest Serenity Makepeace. Ona również była przyjaciółką Ambrose'a.

Przyszedliśmy tu trochę uporządkować materiały.

- Aha. - Gallagher spojrział na Serenity. - Miała pani rację. Ambrose nie miał żadnej rodziny.

- Ciekawa jestem, kto to wszystko po nim odziedziczy? - zastanowiła się głośno Serenity.

- Nie mam pojęcia. - Wzrok Gallaghera powędrował w kierunku drogiego sprzętu. - Był mi winien furę szmalu.

- Istotnie? - Caleb bacznie go obserwował.

- Pewnie zalegał z forszą całej masie ludzi. - Gallagher ciężko westchnął. - Był cholernie dobrym fotografikiem.

Wielka szkoda, że nie umiał się wziąć w garść. Przez tankowanie zniszczył sobie karierę.

- Wydaje mi się, że picie zniszczyło wszystko w życiu Ambrose'a - powiedziała łagodnie Serenity.

- I w końcu go zabiło. - Gallagher powoli schodził po schodach. - Można się było tego spodziewać.

W każdym razie był kumplem, zawodowcem w swojej branży i miałem nadzieję, że skończy z chlaniem i wróci do formy.

A teraz go już nie ma. Ciekaw jestem, co się stanie z tym sprzętem. Wydał na niego fortunę. A kupa z tego to był mój szmal.

- Tutaj i w pokoju na górze jest sporo wartościowych rzeczy - zauważył Caleb.

- Ambrose nie dbał o ludzi, ale był zakochany w sprzęcie fotograficznym - powiedział Gallagher. -

Biedny, głupi drań. Zawsze był taki pewny, że jak sobie kupi nowy aparat albo jakieś światła najnowszej generacji, to znowu wypłynie na powierzchnię.

Serenity zmarszczyła brwi.

- Do tej pory się nad tym nie zastanawiałam, ale teraz myślę, że przez te wszystkie lata Ambrose musiał wydać majątek na swój sprzęt.

- Jak bym tego nie wiedział. - Gallagher smutnym uśmiechem skwitował jej wypowiedź. - Bóg jeden wie, ile sam mu dałem. Nie mówiąc o innych, których naciągał na pożyczki.

- Prawdopodobnie Jessie, jego przyjaciółka, też mu trochę pomagała finansowo - powiedziała Serenity. - I wiem, że od czasu do czasu Julius również dawał mu jakieś pieniądze. I Montrose, i

Quinton. Ja też, jeśli chodzi o ścisłość.

- Nieważne, ile od kogo dostał, i tak zawsze chciał więcej - stwierdził Gallagher. - Powiedzmy sobie szczerze, to był naciągacz. A mimo to miał coś takiego, że człowiek go lubił, wiecie?

- Owszem - potwierdziła Serenity. - Myślę, że to było umiłowanie własnej pracy. Ludzie na to reagują pozytywnie.

- Być może. - Gallagher zawahał się. - Ambrose miał talent, ale był znany w Seattle z tego, że się pokazywał, kiedy już wypił o jednego za dużo, i to był jego koniec.

Wtedy się przeprowadził tutaj, do Witt's End, i prawie całkiem znikł nam z oczu. W każdym razie, kiedy się dowiedziałem o wypadku, musiałem przyjechać i sprawdzić.

- I przy tym może zaopatrzyć się w kilka aparatów z jego kolekcji? - zasugerował Caleb. - Przy pobieżnym szacunku te obiektywy Nikona, które leżą na ostatniej szafce, mają wartość tysiąca albo półtora tysiąca dolarów.

- Zaraz, chwileczkę. - Gallagher się zezłościł. - Powiedziałem już, że ten facet był mi winien kupę forsy. Mam prawo to sobie jakoś odebrać.

- Myślę, że szeryf okręgu miałby coś do powiedzenia na ten temat - powiedział Caleb. - Jeśli nie znajdzie się rodzina lub prawni spadkobiercy z roszczeniami do tego domu i wszystkiego, co się w nim znajduje, sprzedażą majątku po zmarłym zajmie się państwo.

Gallagher zacisnął wargi w wąską, zaciętą kreskę.

- No, tak myślę.

- Może pan być pewien - zapewnił go Caleb. Wziął Serenity pod rękę i poprowadził do schodów. - Uważam, że wszyscy powinniśmy stąd wyjść. I tak nie na wiele tu się zdamy.

Już u szczytu schodów Serenity popatrzyła na Gallaghera.

- Prawdopodobnie niedługo urządzimy stypę. Chętnie do pana zadzwonię i powiadomię, kiedy i gdzie się odbędzie.

- Dziękuję, ale muszę jutro jechać do Portland - powiedział Gallagher. - Mam coroczną sesję dla dużej firmy i kilka dni będę zajęty.

- Zrozumiemy to. Interesy rzecz święta. - Caleb zgasił światło i zamknął drzwi do piwnicy. Uprzejmie skłonił się przed Gallagherem i wykonał elegancki gest ręką.

- Proszę, pan pierwszy.

Gallagher rzucił ostatnie, zawiedzione spojrzenie na zamknięte drzwi za nimi i w końcu wzruszył ramionami. Bez słowa przemierzył salonik i wyszedł na ganek.

- No to na razie. - Idąc do swojego zielonego samochodu nieznanej marki wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

- Proszę jechać ostrożnie - wyrwało się mimowolnie Serenity.

Gallagher zerknął na nią znad otwartych drzwi wozu.

- Nie powinienem mieć kłopotów. Mgła wreszcie ustąpiła. - Usiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwi. Kiedy zapalił silnik i zaczął wycofywać samochód, na drodze pojawił się stary Chevrolet.

- Jak na nieboszczyka, Asterley ma sporo gości tego ranka - zauważył Caleb.

- To Jessie Blanchard - poinformowała go Serenity. - Ona była najbliższej związana z Ambrose'em.

Jessie, ubrana z surową, artystyczną elegancją, wysiadła z samochodu. Miała czterdzieści dziewięć lat i prezentowała się interesująco, ubrana jak zawsze na czarno - sweter, dzinsy, wysokie boty i czarny żakiet. Na dłoniach o długich palcach nosiła mnóstwo srebrnych pierścionków z turkusami. Styl, jaki wykreowała sobie przed wielu laty i nigdy go już nie zmieniła, podkreślał jej czarno-srebrne włosy i egzotyczną urodę.

Jessie przyglądała się przez chwilę znikającemu na drodze zielonemu samochodowi.

- Kto to był? - zapytała lekko ochrypłym głosem.

- Nazywa się Gallagher Firebrace. Powiedział, że był przyjacielem Ambrose'a - poinformowała ją Serenity.

- Firebrace. - Jessie zmarszczyła brwi. - Wydaje mi się, że Ambrose czasami o nim wspominał. Mieszka w Seattle, tak?

- Najprawdopodobniej. - Serenity zeszła po schodkach i uścisnęła Jessie. - Jak się czujesz?

- Całkiem nieźle. - Jessie obdarowała ją zmęczonym uśmiechem. - W głębi duszy zawsze wiedziałam, że to się tak skończy. Biedny Ambrose, nigdy nie mógł się powstrzymać od picia na tak długo, żeby coś z tego wyszło.

Ale ostatnio już zaczynałam wierzyć, że tym razem mu się uda. Bardzo się starał.

- Wszyscy mieliśmy nadzieję, że mu się uda - pocieszyła ją łagodnie Serenity.

- Tak. - Jessie popatrzyła na Caleba. - Pan jest pewnie tym nowym doradcą Serenity. Człowiekiem, który spędził noc w chałupie Juliusa.

Caleb uśmiechnął się z przymusem.

- Takie są właśnie te małe miasteczka, prawda? Nic się tu nie ukryje. Caleb Ventress.

- Wielka szkoda, że Ambrose nigdy nie miał sposobności poznać pana - powiedziała Jessie.

Caleb zerknął szybko na Serenity.

- Ja także chętnie bym z nim zamienił kilka słów.

Serenity pospiesznie zmieniła temat. Ostatecznie, nie była to odpowiednia pora ani miejsce na

omawianie oskarżeń pod adresem Ambrose'a.

- Czy ty wiesz, Jessie, co się stanie z rzeczami Ambrose'a?

Jessie spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Wszystko zostawił mnie.

- To znaczy, że sporządził testament? - zapytał ostrym tonem Caleb.

Jessie kiwnęła głową.

- W zeszłym roku pojechał do notariusza w Bullington i tam go napisał. Przechodził wtedy zły okres i przekonywał sam siebie, że jego talent nie zostanie doceniony za życia.

- I zaczął mieć nadzieję na pośmiertną sławę, tak?

Jessie westchnęła.

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby dać jego prace do porządnej oceny. Z pewnością sobie na to zasłużył. Na prawdę miał ogromny talent. Chciałabym tylko, żeby... no, nic, nieważne. Już chyba trochę późnawo, prawda?

- Czy Asterley zapisał pani wszystko? - zapytał Caleb.

- Dom, a także sprzęt fotograficzny?

- Tak. Kiedy uporządkuję dom, zgłoszę go chyba w agencji nieruchomości w Bullington. Niech go wynajmą albo sprzedadzą, to właściwie nie ma dla mnie większego znaczenia. Sprzęt chyba sprzedam. Może dam ogłoszenie do gazety w Bullington?

- Powinna pani pilnować sprzętu, dopóki nie zostanie sprzedany - poradził jej Caleb. - Wygląda na to, że cieszy się sporym zainteresowaniem.

- Jak to? - zdziwiła się Jessie.

- Pan Firebrace myślał, że ma do niego pewne prawa z powodu pieniędzy, które pożyczał Ambrose'owi przez kilka lat - wyjaśniła Serenity.

Jessie zerknęła przez ramię na drogę, którą odjechał Gallagher.

- Znając Ambrose'a myślę, że to całkiem możliwe, że umarł nie spłaciwszy długów. Jeśli pan Firebrace się ze mną zechce skontaktować, to może coś wymyślimy.

- Nie wcześniej, niż przedstawi jakiś dowód na to, że rzeczywiście pożyczał Asterleyowi pieniądze i nie dostał ich z powrotem - kategorycznie stwierdził Caleb. - Niech się pani upewni, że Firebrace posiada oryginalny rewers z podpisem Asterleya, zanim się pani zgodzi dać mu cokolwiek ze sprzętu. Jessie uśmiechnęła się lekko.

- Jest pan biznesmenem w każdym calu, prawda?

- Tym się właśnie zajmuję.

Jessie wzruszyła ramionami.

- Z tym nie powinno być problemu. Ambrose był maniakalnie pedantyczny we wszystkim, co było związane z jego pracą. Jeśli pożyczał od Firebrace'a na zakup sprzętu, to może pan być pewien, że są na to odpowiednie dokumenty w jego archiwach.

- Skoro mówimy o archiwach Ambrose'a - wtrąciła się Serenity - przysłałam tu po negatywy tych zdjęć, które mi robił na wiosnę. Nie wiedziałam jeszcze, kto po nim obejmie schedę, więc pomyślałam, że lepiej je wziąć, zanim je znajdzie jakiś krewny.

- Słusznie. Znalazłaś je? - zapytała Jessie.

- Tak.

- To dobrze. Oczywiście, należą do ciebie. Ambrose zawsze powtarzał, że możesz je wziąć, jeśli zechcesz. I tak bym ich nie wysłała do galerii bez twojego pozwolenia.

- Do galerii? - przestraszył się Caleb. - Za nic w świecie.

Jessie roześmiała się.

- Jeśli interesuje pana moje zdanie, to te zdjęcia należą zdecydowanie do najlepszych z jego prac. Widział je pan?

- Nie. - Caleb zerknął ukradkiem na Serenity. - Nie widziałem.

- Niech pan poprosi Serenity, żeby je panu pokazała - nalegała Jessie. - Wtedy pan zrozumie, o czym mówiłam.

Od czasu do czasu Ambrose był w nadzwyczajnej formie, a te zdjęcia robił w najlepszym okresie. Całą serię zatytułował „Wiosna”. Myślę, że zamierzał ją także sportretować jako Lato, Jesień i Zimą, ale nigdy nie udało mu się zrealizować tych planów.

- Za co możemy być tylko wdzięczni - mruknął Caleb.

- Caleb nie uznaje artystycznej fotografii - wytłumaczyła jej Serenity.

- Czy to prawda? - zdziwiła się Jessie.

- Jessie, jeśli możesz tu bez problemów zostać sama - pospiesznie powiedziała Serenity - to my chyba już pojedziemy. Muszę wracać do sklepu. Daj mi znać, gdy byś potrzebowała pomocy przy porządkowaniu tego wszystkiego.

- Dobrze. - Jessie skłoniła głowę w stronę Caleba. - Miło mi było pana poznać. Serenity mówiła, że zrobi pan wspaniałe rzeczy dla naszego małego miasteczka.

- To się jeszcze okaże - posępnie mruknęła Serenity. - Sama wiesz, co się mówi o dobrych chęciach.

- Wsunęła ręce do kieszeni i wyszła na drogę.

- Do widzenia, pani - uprzejmie pożegnał się Caleb. - Z pewnością wkrótce się jeszcze spotkamy.

- Jestem tego pewna. - Jessie weszła po schodkach do drzwi.

Serenity słyszała chrzęst żwiru za sobą, kiedy Caleb się do niej zbliżał, ale się nie odwróciła. Dogonił ją trzema potężnymi susami. Wtedy wyciągnęła rękę.

- Jeśli nie masz nic przeciw temu, wezmę tę kopertę - powiedziała szorstko.

Caleb zawahał się, ale sięgnął za pazuchę po kopertę. Wyciągnął ją powoli, ale zamiast podać ją Serenity, potrząsnął kopertą i pokazał na nią palcem.

- Serenity, chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

Serenity strzeliła palcami.

- Czy mogę prosić o moje zdjęcia?

- Myślałem o tych zdjęciach - zaczął ostrożnie Caleb.

- I co? Co właściwie o nich myślałeś?

- Chciałbym je zobaczyć.

- Po moim trupie. - Serenity nadal trzymała wyciągniętą rękę.

Caleb miał zawziętą minę.

- W porządku. Jak sobie życzysz. - Podał jej kopertę.

- Dziękuję. - Wsadziła kopertę pod pachę i szła dalej.

- Serenity?

- Słucham?

- Czy możesz sobie wyobrazić jakieś okoliczności, w których byłabyś skłonna pokazać mi te zdjęcia?

- Dlaczego chcesz je zobaczyć?

- Sam nie wiem. - Caleb wpatrywał się w drogę przed sobą.

- Czyżbyś miał nagle lubieżne zainteresowania? - zapytała go ironicznie.

- Co masz na myśli? - Zachował całkowicie kamienną twarz.

- Sama nie wiem, co myśleć. Dwa dni temu byłeś kompletnie oburzony, kiedy się o nich dowiedziałeś. Teraz znowu mówisz, że chcesz je zobaczyć.

- Odpowiesz na moje pytanie? - zapytał spokojnie.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Chcesz wiedzieć, czy przewiduję jakieś okoliczności, w których zechciałabym ci pokazać te zdjęcia? No więc, być może tak. Oczywiście, całkiem hipotetycznie.

- I jakie by to były okoliczności?

- No więc, mówiąc hipotetycznie, mogłabym ci je pokazać, gdybym kiedykolwiek poczuła, że mogę ci zaufać.

- Gdybyś poczuła, że możesz mi zaufać. - Caleb zatrzymał się na środku drogi i złapał ją za rękę. - Chcesz powiedzieć, że mi nie ufasz? To największa obelga, droga pani. Mojej reputacji w świecie biznesu nie dorównuje niczyja. Możesz zapytać każdego, kto ze mną współpracował. Tylko zapytaj. Nikt, ale to nikt nigdy mnie nie oskarżył o to, że nie jestem godny zaufania.

Serenity przestraszyła się reakcji Caleba. Ale była również zirytowana.

- Och, jestem pewna, że jesteś absolutnie godzien zaufania, kiedy chodzi o interesy. Twoje kontrakty są bez wątplenia bez zarzutu i prawdopodobnie nigdy cię nie oskarżono o żaden podstęp. Tylko że ja mówię o zaufaniu na płaszczyźnie osobistej.

- Do ciężkiej cholery, Serenity, obrażasz mnie! Ja nie kłamię!

- Skoro jesteś taki obrażony, to możesz spokojnie stąd odjechać. Droga wolna. Nikt cię nie będzie zatrzymywał.

Caleb puścił ją. Ruszył przed siebie dużymi krokami, gniewny i niebezpieczny.

- Zamierzasz robić trudności, prawda?

- Trudności? - Serenity przyspieszyła kroku, chcąc się z nim zrównać. - Caleb, nie rozumiem, o co ci chodzi. Czego się po mnie spodziewałeś, po tym, co zaszło między nami?

- Nie rozumiesz? Chcę, żebyś mi dała jeszcze jedną szansę.

- Dostałeś ją! - odpaliła. - Nie mogłam się przed tym obronić. Zgodnie z tym, co powiedziałeś, jestem z tobą związana, czy chcę czy nie.

- Nie mówię o służbowym aspekcie całej sprawy, tylko o prywatnym.

Mimo całej ostrożności i głębokiej niepewności Serenity poczuła isierkę nadziei. Kurczowo zacisnęła palce na kopercie.

- Prywatnym?

- Słuchaj, bądźmy oboje przez chwilę odrobinę szczerzy, dobra? - poprosił cichym i spokojnym głosem. - Podobamy się sobie. Oboje się do tego przyznaliśmy, kiedy cię pocałowałem u mnie w biurze. Przypomnij sobie, że oddałaś mi ten pocałunek. I wiem doskonale, że pragniesz mnie tak samo jak ja ciebie.

Serenity poczuła rosnące napięcie.

- Nie sądzę, bym miała ochotę na związek z mężczyzną, który podczas pocałunku będzie się musiał usilnie koncentrować, żeby nie myśleć o paru moich zdjęciach.

- Zgoda, przyznaję, że na początku wiadomość o tych zdjęciach była dla mnie szokująca, ale od tej pory zdołałem się już uspokoić. Wiem, że nie jesteś...

- No, czym nie jestem? - Nagle się stała ogromnie ciekawa.

- Nie jesteś taką kobietą, która by z premedytacją pozowała do obrzydliwych zdjęć. Jestem przekonany, że uwierzyłaś Asterleyowi, kiedy ci powiedział, że chce, byś mu pozowała dla dobra sztuki.

- O Boże! Panie Ventress, pańska wspaniałomyślność jest wręcz przytłaczająca. Sama nie wiem, co mam na to odpowiedzieć.

- Powiedz: tak. - Caleb znowu się zatrzymał. Spojrzał jej prosto w oczy. - Powiedz, że dasz mi szansę ci udowodnić, że znowu możesz mi zaufać w sprawach osobistych. - Przerwał na moment i

odetchnął, jakby się zbierał do skoku do głębokiej wody. - Proszę.

Z tego jednego słowa płynęło tak szczere i gorące pragnienie, że to właśnie ono stało się przyczyną zguby Serenity. Napotkała jego spojrzenie i przez króciutki moment miała wrażenie, że dojrzała w nim jakieś głębokie, mroczne uczucie. Caleb jeszcze raz wyciągnął rękę i dotknął jej w jakiś intymny, nieokreślony sposób, tak że nie zdołała uniknąć tego kontaktu. Co więcej, sama poczuła nieodpartą chęć, by go dotknąć.

- Dobrze - powiedziała łagodnie.

Przez twarz Caleba przemknął wyraz ulgi, ale zniknął równie szybko jak inne, bardziej tajemnicze uczucia. Zachmurzył się.

- Dobrze? Tylko tyle masz do powiedzenia?

- A co jeszcze mam powiedzieć? - Uśmiechnęła się zagadkowo. - Słuchaj, to jeszcze nic takiego. Witt's End jest stworzone dla ludzi, którzy chcą mieć drugą szansę. To jest właściwie motto naszej osady. Zaniedbałabym swój obywatelski obowiązek, gdybym ci nie dała możliwości udowodnienia, że nie jesteś aroganckim, pruderyjnym, sztywnym i nieugiętym sukinsynem.

- Szalenie elegancko, panno Makepeace - mruknął sucho. - Zawrzyjmy układ. Kiedy pokażesz mi te zdjęcia, będę wiedział, że mi zaufałaś. Pasuje?

Serenity po krótkim wahaniu wzruszyła ramionami.

- Zgoda. Ale decyzja należy do mnie. Jasne?

- Ostry z ciebie negocjator.

- Biorę lekcje u specjalisty.

Trzy kwadransy później, siedząc w małym biurze na zapleczu sklepu, Serenity otworzyła kopertę wyjętą z archiwum Ambrose'a.

Przechyliła ją i wysypała trzy zdjęcia. Zerknęła na nie bez specjalnego zainteresowania, widziała je już wcześniej. Na wszystkich siedziała lub leżała na wielkim głazie nad strumieniem, w dramatycznym, jakby pozaziemskim świetle. Nie przejęła się tymi czarno-białymi fotografiami.

Przejęła się faktem, że w kopercie nie było negatywów.

Rozdział 5

Co to znaczy, do cholery, że negatywy zniknęły? - Caleb oparł dłonie na biurku Serenity i pochylił się do przodu przybierając pozę, która chyba powinna ją nastraszyć.

Niektórzy z pewnością mieliby opory przed przyciskaniem do muru królowej motyli, a tak wyglądała Serenity tego ranka. Zwiewna, przezroczysta i mieniąca się wszystkimi barwami tęczy szata, którą włożyła na zielony opięty kombinezon, a także niesforna chmura czerwonorudych włosów tworzyły właśnie taki efekt. Caleb zauważył, że w Witt's End Serenity odrzuciła te beże i szarości, w których występowała w Seattle.

Ale w tym momencie nieszczególnie się przejmował faktem, że może być oskarżany o przyszpilanie motyla. Był wściekły. Tak wściekły, że balansował na krawędzi utraty panowania nad sobą. Informacja Serenity wprawiła go także w szczególnie nieprzyjemny nastrój. Nie mógł wprost uwierzyć własnym uszom! Nie, błąd, owszem, mógł uwierzyć. Ale nie chciał!

- Proszę, żebyś się na mnie nie wydzierał. - Serenity zacisnęła dłonie na poręczach fotela i popatrzyła na Caleba. - Miałam ciężki dzień. Nie życzę sobie, żebyś mi go jeszcze pogarszał.

- Nie wydzieram się. Jeszcze nie.

- W takim razie będę ci wdzięczna, jeśli przestaniesz na mnie warczeć.

- Wcale nie warczę. Dlaczego mi wcześniej nie powie działaś, że negatywy zniknęły?

- Bo miałam niejasne przeczucie, że przesadnie zareagujesz - poinformowała go Serenity. - I jak

widać, nie było ono bezpodstawne.

- Uważasz, że przesadnie reaguję? W takim razie nie masz pojęcia, jak wygląda przesada. - Caleb zmiotł na bok stertę papierów, które się nagromadziły na jej biurku w ciągu ostatnich dwóch godzin. Wyprostował się i zaczął się miotać po małym biurze Serenity. Przed prawdziwymi wrzaskami powstrzymywała go jedynie obawa, że Zone i grupka klientów w sklepie mogliby go usłyszeć. Drzwi dzielące biuro od sklepu były dość cienkie.

- Dziś rano miałem przeczucie, że to jeszcze nie koniec - mruknął przez zęby. - Wiedziałem, że coś się nie uda.

Nie przejmuj się, Caleb. To nie twoje zmartwienie, tylko moje. - Serenity zacisnęła usta w wyrazie buntu.

No proszę, i tyle zostało z ich krótkotrwałego zawieszenia broni.

- Już ci mówiłem, że dopóki jesteś moją klientką, twoje problemy są moimi problemami.

- Ach, ty i ta twoja cenna etyka zawodowa. Nikt cię nie prosił, żebyś się tak specjalnie poświęcał tej firmie. To ty się uparłeś.

- To ja będę decydował, co wykracza poza moje zwykłe obowiązki. - Caleb doszedł do ściany, odwrócił się i ruszył z powrotem przez pokój. Z niesmakiem uświadomił sobie, że chodzi po biurze. Nigdy tego nie robił. Musi się bardziej pilnować. Nagła samokontrola zmusiła go do zastanowienia się nad tym, co się właściwie z nim dzieje. Chodzenie po pokoju było oczywistym potwierdzeniem faktu, że dał się ponieść emocjom, a to jest niebezpieczne. Emocje osłabiają człowieka, wystawiają na ciosy, prowokują do popełnienia błędów, skłaniają do zapominania o odpowiedzialności, popychają do ucieczki z platynowowłosą modelką z rozkładówki i splodzenia nieślubnego syna, który przez całe życie będzie płacił za emocjonalną głupotę ojca. Ale równocześnie przemknęło mu przez myśl, że właśnie za sprawą emocji człowiek czuje, że żyje. Zatrzymał się na środku pokoju.

- Dobrze, uspokójmy się i pomyślmy nad tym logicznie.

- Ja jestem spokojna - znacząco odpowiedziała Serenity. - W odróżnieniu od innych, których mogłabym wskazać palcem. Brak negatywów był dla mnie zaskoczeniem, to wszystko. Nie widzę żadnego powodu do zmartwienia.

- A jakże. Masz powód w postaci rolki negatywów służących do szantażu.

- Te zdjęcia nie mogą mi już bardziej zaszkodzić.

Teraz tylko naprawdę się martwię możliwością, że to nie Ambrose próbował mnie szantażować. Może ktoś inny był w to wplątany. Cholera! A już miałam nadzieję, że ta sprawa jest zakończona.

- Asterley w dalszym ciągu jest najbardziej podejrzany. - Caleb zmusił się do tego, co robił najlepiej: do chłodnej analizy sytuacji i rozsądnych wniosków. - Prawdopodobnie usunął negatywy z archiwum i na czas układów ukrył je w jakimś bezpiecznym miejscu.

- Po co miałyby to robić?

- Bo jego postępowanie było nielegalne! - Caleb popatrzył na nią z irytacją. - Gdybyś poszła z tym na policję, a negatywy znaleziono by u niego w domu, to od razu by go mieli. A tak, gdyby go złapali i przeszukali jego archiwum, to zawsze mógł powiedzieć, że ktoś mu ukradł negatywy i próbuje cię nimi szantażować.

- Jeśli to prawda, to nie sposób się domyślić, gdzie je ukrył. Prawdopodobnie nigdy ich nie odnajdziemy. - Serenity lekko westchnęła. - Może to najlepsze wyjście.

- Nie jestem pewien. - Caleb pocierał nerwowo skórę na karku. - Nie podoba mi się to, że te negatywy gdzieś krążą. Ktoś może przypadkowo na nie trafić.

Obrzucił zadumany spojrzeniem kopertę na biurku Serenity. Na myśl, że jakiś inny facet może się ślinić nad zdjęciami Serenity, których jemu nie dano obejrzeć, poczuł napięcie we wszystkich

mięśniach.

- Nie wydaje mi się to prawdopodobne. - Serenity energicznie pochyliła się do przodu. - Ja w każdym razie nie mam zamiaru siedzieć i się martwić na zapas. Mam wrażenie, że już ci wytłumaczyłam, że nie mam powodu się ich wstydzić.

- Naprawdę? No to się dowiedz, że przed kilkoma minutami, kiedy wyjęłaś z szuflady kopertę i powiedziałaś mi, że negatywy zniknęły, wyglądałaś na cholernie zmartwioną. - Caleb pomyślał z satysfakcją, że wtedy przez chwilę patrzyła na niego tak, jakby naprawdę go potrzebowała. Odkrył w niemiły sposób, że nadzieja jest chyba najokrutniejszym uczuciem.

- Powiedziałam, że byłam zaskoczona, kiedy nie znalazłam negatywów razem ze zdjęciami - przyznała Serenity. - W pierwszej chwili pomyślałam, że ktoś je zabrał, żeby mnie szantażować.

- Domyślam się.

- Świadomość, że ma się wroga, nie jest szczególnie przyjemna.

- Doskonale wiem, jak to jest, gdy ma się wrogów.

- Nie wątpiłam w to ani przez chwilę - odgryzła się Serenity. - Ale ja dorastałam wierząc, że chociaż obcy uważają nas wszystkich w Witt's End za odrobinę stukniętych, to my jesteśmy dla siebie sąsiadami i przyjaciółmi, a nawet więcej, jesteśmy rodziną. Zawsze miałam świadomość, że mogę polegać na wszystkich ludziach z osady. Tworzymy tu bardzo ściśle powiązaną wspólnotę.

- Z pominięciem Asterleya było to chyba słuszne przypuszczenie. Wydaje mi się także logiczne, że wraz ze śmiercią Asterleya problem zdjęć zostaje rozwiązany.

Caleb był z siebie zadowolony. Mówił rozważnie i beznamiętnie. Panował nad sobą. Opuściło go uczucie gniewu i niepokoju, wywołane wiadomością o zniknięciu negatywów. Raz jeszcze wzięły nad nim górę stare przyzwyczajenia. Stanowczo się zdystansował od furii i prymitywnego poczucia opiekuńczości, które spowodowały tak gwałtowny napływ adrenaliny. Był ekspertem w upychaniu silnych emocji do schowka zamykanego na klucz. Praktykował to przez całe życie. Nauczył się zdalnego sterowania członkami własnej rodziny i z pewnością będzie to mógł robić również z Serenity.

- Jestem pewna, że masz rację - powiedziała.

- Zazwyczaj najlepiej założyć najoczywistszą konkluzję.

- To znaczy?

- W tym wypadku oczywisty wniosek oznacza, że to Asterley był szantażystą. - Caleb uniósł rękę i zaczął odliczać na palcach.

- Po pierwsze, umieścił negatywy w bezpiecznym miejscu, zanim się zabrał do szantażu. Po drugie, umarł, nie zdążywszy ich zabrać z tego miejsca. Po trzecie, nikt ich nie znajdzie nawet przypadkiem. Koniec pieśni.

- No dobra, sprzedałeś mi swoją wersję. - Serenity przerwała na chwilę; w jej pawich oczach wciąż czaił się smutek. - Jedyna rzecz, która mnie w niej niepokoi, a właściwie niepokoi mnie od samego początku, to fakt, że to właśnie Ambrose skierował mnie do ciebie.

Caleb patrzył na nią osłupiały ze zdumienia.

- Coś ty powiedziała?

Serenity zmarszczyła czoło.

- Nie mówiłam ci, że to Ambrose zaproponował mi ciebie jako doradcę? Kiedy mu powiedziałam, że szukam znakomitego specjalisty, podał mi twoje nazwisko. Poradził mi, żebym zaczęła od ciebie, bo słyszał, że jesteś bardzo dobry.

- Nie. - Caleb wycodził przez zęby. - Nie wspomniałaś o tym drobnym fakcie.

- Och. No trudno, chyba mi to wyleciało z głowy.

Miał ochotę złapać tę dziewczynę i potrząsnąć nią. Naiwność to jedna sprawa, ale głupota to zupełnie co innego.

- Jakim cudem, do cholery, Ambrose Asterley, taki pijaczyna, takie życiowe zero, które mieszka w takiej wsi, której nawet nie ma na mapie, mógłby mieć o mnie jakiegokolwiek pojęcie?!

- Sam mi powiedziałeś, że jesteś najlepszy w branży.

Czy to takie dziwne, że Ambrose słyszał o tobie? My tutaj nie jesteśmy kompletnie odcięci od świata. Dostajemy gazety. Ambrose prenumerował prawie wszystkie ważniejsze gazety z Zachodniego Wybrzeża.

- Gazety? - Caleb przypomniał sobie stosy starych gazet w pokoju Ambrose'a.

- No właśnie. Tam mógł zobaczyć twoje nazwisko - tłumaczyła mu cierpliwie. - W jakiejś gazecie z Seattle.

To było całkiem możliwe. Ventress Ventures pojawiało się na łamach prasy Zachodniego Wybrzeża, a częściej nawet Północnego Zachodu. Wniosek był dość logiczny.

- Ale po co miałby cię posyłać do mnie, skoro potem chciał cię szantażować? - myślał na głos Caleb. Nagle zaklął: - Cholera!

- Co znowu?

- Nieważne. Chyba znam odpowiedź na swoje pytanie.

- Byłabym wdzięczna, gdybyś mi też powiedział - mruknęła Serenity niezbyt uprzejmie. - Dlaczego Ambrose posłał mnie do ciebie, a potem groził mi szantażem, żeby mnie powstrzymać przed zawarciem z tobą umowy?

- Ponieważ prawdopodobnie w ten sposób mógł mieć wszystko pod kontrolą - odpowiedział Caleb myśląc szybko. - Powiedziałaś mi, że nie był zwolennikiem zmian w Witt's End.

- To prawda. Ambrose nie był zwolennikiem wielu spraw. Był człowiekiem pogrążonym w głębokiej depresji.

- Rozumiem, że wiedział, że się uparłaś przy założeniu firmy wysyłkowej?

- Wszyscy w miasteczku o tym wiedzieli.

- I pewnie znał cię też na tyle dobrze, by wiedzieć, że cię nie namówi, żebyś z tego zrezygnowała. Mam rację?

- Tak.

- A więc udawał, że ci pomaga. Posłał cię tam, gdzie cię mógł kontrolować. Ile lat miał Asterley?

- Gdzieś tak po pięćdziesiątce. Bo co?

Wystarczająco stary, by znać z gazet skandal Ventressów, który miał miejsce trzydzieści cztery lata temu. Dziadek często powtarzał Calebowi, że wiadomości o romansie Gordona Ventressa z Crystal Brooke pojawiły się we wszystkich gazetach Północnego Zachodu.

Asterley mógł szybko dodać dwa do dwóch i dojść do wniosku, że chociaż minęło już trzydzieści pięć lat, to plik zdjęć - aktów - i groźba szantażu powinny odnieść natychmiastowy skutek w układach z każdym, kto nosił nazwisko Ventress.

- Caleb?

Spojrzał na Serenity, która przypatrywała mu się z mieszaniną zaciekawienia i niepokoju.

- To długa historia. Nie będę cię nią teraz zanudzał.

Ale przypuszczam, że twój przyjaciel Asterley skierował cię właśnie do mnie z tej przyczyny, że miał przez to gwarancję ukręcenia łba całej tej sprawie.

- Ale skąd mógł wiedzieć, że się tak wściekniesz z powodu kilku zdjęć, które on sam uważał za dzieło sztuki?

- Wcale się nie wściekłem.

- Właśnie że tak. Kiedy się dowiedziałeś, że pozowałam nago, to dostawałeś fioła na samą myśl o współpracy ze mną. Sam przyznaj.

- Nie dostawałem żadnego fioła. - Caleb znowu pochylił się nad biurkiem Serenity. - Przecież tu jestem, prawda? Pomimo tych cholernych zdjęć.

- No tak, ale nie możesz zaprzeczyć, że ci odbiła palma, kiedy o nich usłyszałeś.

- Mnie nigdy nie odbija palma - odpowiedział lodowatym tonem.

- To kwestia punktu widzenia. Bo ja od samego początku podejrzewałam, że jesteś bardzo uczuciowym i impulsywnym typem, i jak się później okazało, moje podejrzewania nie były bezpodstawne.

- Serenity, przysięgam na Boga, że jeśli nie skończysz z tymi bzdurami, to przestanę za siebie ręczyć.

- No widzisz? - Uśmiechnęła się triumfalnie. - Impulsywny. Nie martw się, ja sama też taka bywam od czasu do czasu. Ale wracając do tematu, pytałam, skąd Ambrose mógł wiedzieć, że tak zareagujesz na te zdjęcia?

Caleb powstrzymał nerwy na wodzy. Serenity niewątpliwie mu dogryzała, a on nie miał zamiaru jej odpłacać pięknym za nadobne.

- Powiedziałem ci, że to długa historia. - Nigdy nie rozmawiał na ten temat z nikim - oprócz członków rodziny - i teraz też nie miał zamiaru. Pewnych spraw lepiej nie tykać. Dostatek już przyniosły nieszczęście. - Szczegóły nie są istotne.

- Caleb, o co tu chodzi? - Serenity oparła dłonie na biurku i przypatrywała mu się wnikliwie. - Co takiego Ambrose o tobie wiedział, że mógł być pewien zerwania kontraktu? Skąd mógł przypuszczać, że jesteś taki pruderyjny? Skąd w ogóle mógł cokolwiek o tobie wiedzieć?

- Z gazet - wyjaśnił zwięźle Caleb. Wcale nie jest pruderyjny! Po prostu przez chwilę się nie pilnował, i to wszystko. W gruncie rzeczy jest przecież rozsądnym i tolerancyjnym facetem!

- Tak, ale co tam takiego wyczytał, żeby pomyśleć, że odmówisz współpracy ze mną, kiedy się dowiesz o fotografiach?

- Słuchaj, później ci to wyjaśnię, dobrze? Teraz nie czas ani miejsce na te sprawy.

- Ja tak nie uważam. - Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale przerwało jej pukanie do drzwi. Skrzywiła się. - Proszę!

W uchylonych drzwiach pojawiła się łysa głowa Zone i błysnęło kółko w nosie.

- Przyjechał ten nowy akwizytor od ziarna z pełnego przemiału. Mówi, że był z tobą umówiony. Serenity zerknęła do kalendarza na biurku.

- Zgadza się.

Zone spojrzała przez ramię i ściszyła głos.

- Jego aura jest bardzo słaba i ma odcień jasnozielony. Sądzę, że jest przepełniony strachem.

- Bo się obawia, czy zostaniemy jego klientami - od powiedziała Serenity. - Po jednej rozmowie z nim przez telefon, miałam wrażenie, że nie bardzo mu się wiedzie.

Zaczynał od sprzedaży komputerów i stracił pracę. Przerzucił się na obuwie i też umoczył. Teraz próbuje handlować ziarnem.

- Aha. - Pod żółtopomarańczowymi rękawami szaty Zone cichutko zadzwoniły bransoletki. - Wydawało mi się, że w tej zielonej aurze wyczuwam strach przed niepowodzeniem. On wyraźnie się nie nauczył podporządkowania pozytywnym siłom kosmosu.

- Nie przejmuj się - powiedziała wesoło Serenity. - Ucieszymy go dziś sporym zamówieniem.

Caleb spojrział na nią groźnie.

- Co to ma znaczyć? Masz zamiar złożyć zamówienie u tego akwizytora tylko dlatego, że się martwisz jego słabą aurą?

- A widzisz lepszy powód? - spytała niewinnie Serenity.

- Nie mówiąc już o tym, że muszę zrobić zapasy. Niedługo spadnie pierwszy śnieg i wtedy dostawy będą utrudnione.

- Spojrzała na Zone. - Poproś go tutaj, dobrze?

- Naturalnie. - Zone znacząco popatrzyła na Caleba.

- Właśnie wychodziłem - poinformował ją.

- Tak będzie najlepiej - mruknęła Zone. - Wibracje stały się bardzo niebezpieczne. Zeszłej nocy podczas medytacji miałam nieprzyjemną wizję. A potem ty się zjawiłeś. Zaczęłam się poważnie martwić.

- Więc martw się nadal, bo opuszczam tylko to biuro. A nie Witt's End.

- W takim razie musimy być przygotowani na zamieszanie i niebezpieczeństwo.

Caleb zignorował ją. Zerknął na mężczyznę kręcącego się przy ladzie sklepowej. Akwizytor ścisnął aktówkę z taniej imitacji skóry i nerwowo luzował sobie postrzępiony kołnierzyk. Miał za wąski krawat i spodnie z bistoru. Za szklami okularów w rogowej oprawce nerwowo błyskały białka oczu.

- Może pan wejść - powiedział Caleb. - Ja już załatwiłem sprawy.

- Dzięki. - Akwizytor przesunął się do niego. - Pan też ze zdrowej żywności?

- Tofu.

- Ach tak, tofu. - Na twarzy akwizytora odmalowała się wyraźna ulga, kiedy zrozumiał, że Caleb nie jest jego bezpośrednim konkurentem. - Ja sprzedaję ziarno z pełnego przemiału.

- Ma pan szczęście. Ziarno może dłużej leżeć na półkach.

Akwizytor aż pokraśniał z radości.

- Tak. O tym nie pomyślałem. - Rozejrzał się i przysunął jeszcze bliżej do Caleba. - Jak tam było? Twarda w interesach?

- Jak stal - zapewnił go Caleb.

- Tego się obawiałem. - Grdyka podskoczyła mu nerwowo i pot zrosił czoło. - Nie obrazi się pan, jak spytam, czy dobił pan z nią targu?

- Ciągle nad tym pracuję.

- To gorzej. No dobra, raz kozie śmierć. - Zdenerwowany akwizytor wsunął się do biura Serenity i zamknął za sobą drzwi.

Caleb demonstracyjnie nie zwracając uwagi na Zone, która go obserwowała ze swojego miejsca za ladą, wszedł między szeregi półek i zaczął oglądać towary ustawione na paletach i przechowywane w dużych, okrągłych beczułkach z drewna. Przeszedł obok kaszy gryczanej, suszonej fasoli, groszku, mąki sojowej, pełnoziarnistego pieczywa w folii i świeżego chleba z mąki ryżowej. Płatki owsiane w jednej z beczek wyglądały znajomo, był pewien, że to ta sama mieszanka, którą jadł na śniadanie. Przypomniał sobie, że ma kupić mleko.

W dziale nabiałowym w głębi sklepu znalazł placki kukurydżane, kozi ser i tofu o różnej konsystencji

- miękkie, średnie i twarde. Na innych półkach zobaczył cztery gatunki oliwy, butelkowany domowym sposobem ocet ziołowy i kilka słoików nie konserwowanej melasy. Zamyślił się nad butelkami z octem.

Przy wejściu delikatnie zagrały dzwoneczki. Powiew zimnego powietrza wtargnął do wnętrza wraz z mężczyzną, który wyglądał tak, jakby zszedł prosto z ekranu, na którym wyświetlano właśnie wojenny film.

- Dzień dobry, Blade - przywitała go Zone z pewnym entuzjazmem, który zaskoczył Caleba. - Widzę, że nie możesz zasnąć. To była ciężka noc, prawda?

- Ostatnie trzy noce były bardzo trudne - mruknął Blade złowieszczo. Obejrzał się przez ramię i

wydał polecenie dwóm olbrzymim rottweilerom, które krążyły po chodniku: - Siad!

Caleb widział przez otwarte drzwi, że psy posłusznie wykonały rozkaz. Potem ponownie popatrzył na Blade'a i doszedł do wniosku, że dzięki Serenity rozpoznałby tego typa na końcu świata. Gdyby nie zdradzała go panterka i wojskowe buty, to broń, którą miał przy sobie, mówiła sama za siebie. Cały arsenał zwisał z niego jak sople lodu.

- Czy ty w ogóle spałeś? - zapytała Zone z troską w głosie.

- Planowałem kilkugodzinną drzemkę po południu. - Blade podszedł do lady. - Do tej pory pełniłem wartość.

A ty?

Zone pokręciła głową.

- Niewiele. Wektory negatywnych wpływów były za silne.

- Tak, rozumiem. - Blade oparł się łokciem na ladzie i wbił wzrok bazyliuszka w Caleba. - Ostatnio w okolicy pojawiło się całe mnóstwo negatywnych wpływów. Ciekawe, co?

Zone podążyła za jego spojrzeniem. Zmrużyła oczy.

- Tak, niewątpliwie.

- Coś nie w porządku? - zapytał grzecznie Caleb.

- Możliwe, możliwe - odpowiedział Blade.

Drzwi otworzyły się ponownie. Do ciepłego wnętrza wszedł pospiesznie Quinton Priestly, ubrany w futrzaną kurtkę z kapturem i szalikiem owijającym go szczelnie aż po usta.

- Robi się zimno. Niedługo spadnie pierwszy śnieg. Nieskończone wektory punktów na matematycznych płaszczyznach odbijają się w mikrokosmosie naszych pór roku. Dzień dobry wszystkim.

- Dzień dobry - odpowiedziała Zone.

- Dobry - mruknął Blade nie odrywając oczu od Caleba. - Właśnie gadaliśmy o wszystkich negatywnych wpływach w okolicy.

Quinton rozejrzał się po sklepie.

- Masz na myśli oczywiście niedawną śmierć członka naszej wspólnoty. Ambrose w wielu sprawach był trudnym człowiekiem, ale był jednym z nas. Będzie go nam brakowało.

- Niektórym bardziej, niektórym mniej - burknął Blade.

Quinton odwrócił się i dostrzegł Caleba.

- Chyba tak.

Caleb doszedł do wylotu stelaży z półkami i zwrócił się do całej trójki:

- Mamy tu jakiś problem?

- Zdaje mi się, że nastąpił niezwykle zbieg okoliczności - powiedział Blade.

- To znaczy? - zapytał Caleb.

- Nic na to nie poradzę, ale to pierwszy raz, jak ktoś nam tu umarł od lat, a stało się to tylko kilka godzin przed twoim przyjazdem do miasteczka. Ja tam wiem tylko tyle, żeś tu mógł być właśnie wtedy, jak Ambrose się wybierał na tamten świat - powiedział Blade.

Caleb stał nieruchomo.

- Co pan, do cholery, próbuje insynuować?

- Nic. - Blade zignorował Zone i Quintona, którzy rzucali mu ostrzegawcze spojrzenia. - Zbieram tylko do kupy kilka faktów. Przez tę mgłę i tak dalej nie można mieć pewności, gdzie kto był tej nocy, kiedy Ambrose umarł. Caleb zrobił krok do przodu.

- Daj spokój, Blade - szybko rzucił Quinton. - Nie dajmy się zwariować. Wszyscy wiemy, że śmierć Ambrose'a nastąpiła na skutek wypadku.

- Taaak? - Blade zerknął z ukosa na przybysza. - Ja wiem tylko, że Ambrose nie żyje.

- A ja wiem tylko tyle, że z ciebie kawał paranoicznego sukinsyna - powiedział cicho Caleb.

- Wygląda na to - ciągnął Blade - że może ten stary biedaczysko, Ambrose, miał niefart, bo stanowił twój pierwszy cel.

- Mój pierwszy cel?!

- Może twoi ludzie są sprytniejsi, niż przypuszczałem.

Może zamiast wysłać cały oddział, posłali tylko jednego faceta, żeby nas pozabijał jednego po drugim. Snajpera, który pracuje w pojedynkę. Jesteś taki dobry, Ventress? Na twarzy Zone odmalowało się poważne zaniepokojenie. Jej wzrok nerwowo przeskakiwał z Caleba na Blade'a.

- Blade, myślę, że nie powinieneś tak mówić. Nie po doba mi się kolor jego aury. Robi się coraz ciemniejszy.

- Tak, Blade - mruknął Quinton. - Uspokój się, duży chłopcze. Serenity zna Ventressa. Nie zaprosiłaby go tu taj, gdyby mu nie ufała.

- Serenity czasami bywa cholernie łatwowierna, gdy by ktoś chciał znać moje zdanie - powiedział Blade. - Ona jest... jak to się mówi?... Aha. Mam to. Naiwna.

- Uważam, że dość już usłyszałem. - Caleb mógł ją nazywać naiwną, ale co innego, gdy jakiś świr sobie na to pozwala. - Jeszcze jedno słowo i zaciągnę ci mocniej na szyi ten pas z zabawkami, który z niej zwisa. Jeśli zresztą uda mi się ją pod tym chłamek odnaleźć.

- Czyżby? - Blade odsunął się od lady i wyprostował.

Staął w pozycji bojowej na rozstawionych nogach. - Spróbuj, kiedy tylko zechcesz, czekam.

Caleb przyglądał mu się z zaciekawieniem.

- Gdzieś ty się nauczył tego stylu? Z filmów kung-fu?

- Zobaczymy, mistrzu, jaki jesteś dobry. - Blade ruszył do przodu jak skradający się krab.

Caleb sięgnął po butelkę z octem na najbliższej półce.

- Jezu - szepnął Quinton.

W tym momencie Zone otworzyła usta i wrzasnęła:

- Serenity! Chodź tu natychmiast!

Drzwi do biura otworzyły się z hukiem. Serenity obrzuciła wzrokiem wszystkich obecnych, wyczuwając napiętą atmosferę.

- Próbuję ubić pewien interes! Co tu się dzieje, na miłość boską?

- Wydaje mi się, że jesteśmy w samym centrum bardzo, ale to bardzo negatywnego pola - wyszeptała Zone.

Quinton zerknął z zakłopotaniem na Serenity.

- Blade poszedł odrobinę za daleko w swojej teorii spisku. Zasugerował, że twój przyjaciel Ventress miał coś wspólnego ze śmiercią Ambrose'a. Blade myśli, że on tu występuje jako zwiadowca oddziału.

Serenity zbladła z przerażenia, oczy jej zalśniły oburzeniem.

- To jest najgłupszy i najbardziej idiotyczny ze wszystkich twoich pomysłów, Blade. Wolno ci snuć swoje teorie spisku, ale nie masz prawa do nich mieszać mojego partnera w interesach. Czy wyrażam się dość jasno? Nie będę tego tolerować!

Blade miał zaciętą minę.

- Co ty wiesz o tym facecie?

Serenity uniosła podbródek.

- Wystarczająco wiele, by mieć pewność, że nie bierze udziału w tajnej operacji, której celem jest przejęcie Witt's End. Blade, na litość boską, to ja wybrałam pana Ventressa, a nie on mnie tu

odszukał. Dopóki mu sama nie powiedziałam, nie miał zielonego pojęcia, kim jestem i skąd pochodzę!

- Jesteś pewna? - zapytał Blade.

- No jasne! Ambrose umarł na skutek nieszczęśliwego wypadku. Wszyscy o tym wiemy. Nie pozwalam ci wysuwać bezpodstawnych oskarżeń pod adresem tego pana. Natychmiast go grzecznie przeproś!

Blade był wyraźnie speszony i ku zdziwieniu Caleba nawet nie próbował się kłócić z Serenity. Szorstko kiwnął głową w stronę Caleba.

- Przepraszam, Ventress. Ostrożności nigdy nie za wiele. Jesteś tu obcy, a dla mnie wszyscy obcy są niebezpieczni, dopóki się nie upewnię, że tak nie jest.

- Właśnie widzę. - Caleb spojrział na Serenity i zauważył, że nadal jest spięta. Pomyślał, że nigdy jeszcze nikt nie pospieszył mu z pomocą i nie stanął w jego obronie.

- Nie należy się zdawać na przypadek.

- Święta prawda. - Oczy Blade'a jaśniały jak stal.

Na krótką chwilę zapanowała cisza.

- To ty robisz te octy ziołowe, prawda? - zapytał swobodnie Caleb. Przyjrzał się butelce i odstawił ją na półkę.

- No. To mój towar - potwierdził Blade lekko podejrzliwym tonem. - Sam go butelkuję.

- To widać. - Caleb oglądał krótką, pękatą butelkę z octem. Poczł przebijającą delikatnie ze środka woń rozmarynu. - Serenity powiedziała mi, że robisz dobry ocet. Ale twoje opakowania są do niczego.

- Tak? - Blade podszedł do Caleba stojącego przy półce. - A co im brakuje?

- Brakuje im tego, że jeśli chcesz go sprzedawać przez katalog Serenity, to będziesz musiał jakoś uatrakcyjnić ten towar. Dzisiaj opakowanie jest niemal ważniejsze od zawartości.

- Naprawdę?

- Owszem. Ludzie kupią wszystko, jeśli to będzie dobrze opakowane. Musisz mieć ciekawsze butelki i atrakcyjne nalepki. Swój znak firmowy.

- Skąd ty to wiesz? - wypytywał Blade.

- Stąd, skąd ty wiesz, jak się posługiwać tą maszyną, którą masz na sobie. To mój fach. I jestem w nim bardzo dobry.

Blade ściągnął brwi w zamyśleniu.

- I uważasz, że mój ocet powinien mieć znak firmowy?

- Coś prostego - powiedział Caleb. - Na przykład: „Ziołowy ocet Blade'a”. I jakieś sprytne hasło. „Udoskonalona sałatę” albo coś w tym stylu.

Blade wpatrywał się w Caleba.

- Chcesz, żebym dał swoje nazwisko na butelkę?

- A czemu nie? To ty przecież go robisz, no nie?

- No tak, ale nigdy jakoś nie myślałem, żeby dawać swoje nazwisko na ten ocet. - Blade obracał butelkę w rękach. Przez moment był jakby całkiem zafascynowany pomysłem umieszczenia jego nazwiska na etykiecie. Ale po chwili spojrział na Caleba spode łba.

- Naprawdę myślisz, że ludzie będą kupować ten ocet, kiedy będzie w ładnej butelce?

- Możesz mi wierzyć, opakowanie to rzecz najważniejsza.

Blade był zaintrygowany.

- Będę musiał o tym pomyśleć.

- I nie zapomnij, co mówiłem o atrakcyjnej nalepce - dodał Caleb.

Blade spochmurniał.

- Nie jestem artystą malarzem.

Zone odchrząknęła.

- Ale ja jestem.

- Ty jesteś? - zdziwił się Blade.

- Byłam, zanim tu przyjechałam. Mam tytuł magistra sztuk pięknych. Mogę ci pomóc wybrać odpowiednie butelki i może nawet zaprojektować nalepkę.

- Znakomity pomysł - powiedział Caleb. - A przy okazji, czy jesteś w stanie wykonać wystarczającą ilość tych kwiatowych filiżanek, żeby pokryć zapotrzebowanie na zamówienia z katalogu?

Zone rozjaśniła się.

- Myślę, że tak. Podobają ci się?

- Tak, bardzo. Ale co ważniejsze, uważam, że się będą sprzedawały - odpowiedział Caleb z niewzruszoną pewnością w głosie.

- Wspaniale - powiedziała radośnie Serenity. - Ruszamy z interesem!

- Następny krok - ciągnął Caleb - to mobilizacja wszystkich mieszkańców: każdy ma przynieść swój produkt do oceny pod kątem sprzedaży katalogowej. Wybierzemy to, co pójdzie w pierwszym katalogu, i pomyślimy o projektach etykiet.

- Nie mogę się już doczekać - zapaliła się Serenity. - Dołączę do was, jak tylko skończę sprawy z George'em.

Caleb popatrzył na nią.

- Z George'em?

- To ten akwizytor u mnie w biurze.

- Ach, słusznie. George. - Caleb wziął do ręki pakiet zup fasolowych w proszku. - Nie musisz się spieszyć.

Serenity wróciła do biura. Pozostali spojrzeli znacząco po sobie.

Blade chrząknął.

- Skoro Serenity mówi, że jesteś w porządku, Ventress, to myślę, że jesteś w porządku.

- Doceniam to, Blade. Jestem rad, że sobie chwilkę pogawędziliśmy.

- To jakby nam troszkę oczyściło atmosferę, no nie? - Blade podszedł bliżej i ściszył głos. - Wiem, że wszyscy myślą, że jestem paranoik, ale to jeszcze nie znaczy, że jestem wariatem, wiesz?

- Dziękuję, że mi wytłumaczyłeś różnicę. Przez krótką chwilę się trochę martwiłem.

- Miałem powody, żeby cię uważać za podejrzanego - powiedział Blade kącikiem ust. - Tamtej nocy słyszałem samochód.

Caleb się zastanawiał, czy przypadkiem czegoś nie dosłyszał.

- Samochód?

- Wyjeżdżał spod domu Asterleya. - Blade obrzucił półki sklepowe badawczym, szybkim spojrzeniem, sprawdzając, czy nieprzyjaciel się nie ukrywa za beczkami z płatkami owsianymi. - Krótko po północy. Nie mogłem go rozpoznać w tej mgle.

- Rozumiem. Caleb w milczeniu przez kilka sekund przypatrywał się temu wielkoludowi. - Nie obrazisz się, jeśli zapytam, co robiłeś w pobliżu domu Asterleya w noc jego śmierci?

- Zwyczajny patrol. - Blade popatrzył w dół na butelkę octu, którą trzymał w ręku, ale jakby jej nie widział. Sprawiał wrażenie kogoś, kto patrzy na coś bardzo oddalonego lub ukrytego we własnym wnętrzu. - Musiałem podwoić stan gotowości, kiedy pogorszyła się widoczność. Taka pora jest najodpowiedniejsza do pierwszego ataku.

- Ach tak.

- Chyba już pójde. Mam coś do zrobienia. - Blade odstawił butelkę na półkę. - Ty naprawdę myślisz, że ten mój ocet będzie się sprzedawał w katalogu Serenity, kiedy będzie miał moje nazwisko?
- Jak świeże bułki.
- No dobra, w porządku. Forsa mi się przyda. No to na razie. - Blade wysunął się spomiędzy półek i wyszedł ze sklepu.
- W tej samej chwili z biura Serenity wyszedł George. Na pierwszy rzut oka było widać, że jest zupełnie nowym człowiekiem. Kiedy napotkał spojrzenie Caleba, ukazał mu podniesiony do góry kciuk.
- Jak po maśle - szepnął konspiracyjnie, gdy podszedł bliżej. - Trzeba tylko wiedzieć, jak ją podejść. Życzę ci fartu z tym tofu.
- Dzięki. - Caleb spoglądał w ślad za wychodzącym George'em. Potem popatrzył na Serenity, która w nonszalanckiej pozie zatrzymała się w progu swojego biura.
- Przypomniał sobie, jak stanęła w jego obronie przed kilkoma minutami.
- Słyszałem, że idzie z tobą jak po maśle, współniczko.
- To zależy, co sprzedajesz. - Serenity uśmiechnęła się. - Wspólniku.

Rozdział 6

Czy Blade miał jakiś szczególny powód, żeby cię wziąć za forpocztę oczekiwanej inwazji, czy po prostu był tylko podejrzliwy jak zwykle? - zapytała Serenity wieczorem.

Caleb skrzywił się nieznacznie, ale nie oderwał wzroku od rozłożonych papierów na stole w saloniku Serenity.

- Wspomniał coś o samochodzie odjeżdżającym spod domu Asterleya w noc wypadku.

- Hmm. - Serenity zastanawiała się przez chwilę i rozstrzygnęła problem: - To prawdopodobnie Jessie.

- Mówiłaś, że była dla niego kimś bliskim?

- Od czasu do czasu. Ale tego dnia, kiedy go znalazłam, wydawało mi się, że czułam w jego chacie dym z tytoniu fajkowego, a Jessie pali fajkę. I teraz sobie przypominam, że stały tam na stole dwa puste kubki po kawie.

Caleb napisał coś na marginesie kartki.

- Kiedy rozmawialiśmy z nią wtedy, w jego domu, ani słowem nie wspomniała, że była u niego wieczorem.

Serenity przyglądała się Calebowi z zainteresowaniem i pewną zazdrością. Znała niewiele osób, które potrafiłyby robić dobrze dwie rzeczy naraz. Ale on najwyraźniej nie miał żadnych problemów z równoczesną koncentracją nad papierami i sprawą Jessie.

- Właściwie wcale jej o to nie pytaliśmy - przypomniała.

- Ale powinna o tym wspomnieć.

- Niby dlaczego? Gawędziliśmy z nią tylko parę minut. Miała głowę zaprzątniętą innymi sprawami.

- Na przykład takimi, że odziedziczyła dom i małą fortunę w sprzęcie fotograficznym - mruknął ironicznie.

- Na litość boską, do czego ty zmierzasz? Nie widzę żadnego...

Urwała na dźwięk telefonu. Odłożyła pióro, które kręciła w dłoni, i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Witaj, witaj, kochana Serenity. Dawno się nie widzieliśmy. Jak tam moja najmilsza wegetarianka?

- Lloyd! Nie spodziewałam się ciebie usłyszeć. - Łagodnie powiedziane. Biorąc pod uwagę jej zachowanie, kiedy widzieli się ostatni raz pół roku temu, nie powinna go już spotkać nigdy w życiu.

Serenity rzadko traciła opanowanie, ale kiedy to się już zdarzało, zostawiało po sobie niezatarte wrażenie. Montrose, pełnoetatowy muzyk i półetatowy mechanik w jedynym warsztacie samochodowym w Witt's End powiedział jej kiedyś, że to z powodu jej rudych włosów. - Gdzie jesteś?

- Siedzę po godzinach w swoim gabinecie w naszym starym, poczciwym Bullington College. Chyba pamiętasz Bullington, prawda, kochanie? Aż tak wiele czasu nie upłynęło od twojego wyjazdu, żebyś zapomniała o ludziach z nizin, co? - Lloyd znacząco zawiesił głos. - Bo ja ciebie z pewnością nie zapomniałem.

Serenity zacisnęła palce na słuchawce. Napotkała pytające spojrzenie Caleba.

- Nie, nie zapomniałam Bullington.

- Miło mi to słyszeć - zapewnił ją Lloyd, radośnie jak zawsze. - U mnie zaszło mnóstwo zmian, od kiedy zostałem wicedziekanem. Rozmawiałem nawet z przedstawicielami Fordhama, żeby nam przyznali jakąś dotację, wyobrażasz sobie? Nie do wiary. Lloyd prowadził z nią zupełnie normalną rozmowę. Tak jakby byli starymi przyjaciółmi. Jakby nie próbował jej wykorzystać do swoich badań. Jakby nigdy nie dawał jej powodów do rozważań o założeniu z nim prawdziwej rodziny, o jakiej marzyła.

- Cieszę się, Lloyd. Słuchaj, w tej chwili jestem bardzo zajęta. Masz coś do mnie?

- Pomyślałem, że mógłbym wpaść do Witt's End i złożyć ci wizytę. Ile to już minęło? Pół roku?

- Tak. Pół roku.

- Chciałbym zobaczyć, jak ci się powodzi.

- Jasne. Obawiasz się o postępy swoich badań? Przykro mi, ale nie mam teraz czasu na wypełnianie szczegółowych ankiet - oznajmiła Serenity.

- To zabawne, że wspomniałaś o mojej małej ankiecie.

- Lloyd zachichotał. - Właśnie chciałem poruszyć ten temat.

- Och, nie! Nie. Wykluczone. - Serenity z wyrazem nieskrywanego obrzydzenia na twarzy klapnęła na sofę.

Uświadamiała sobie, że Caleb poświęca jej teraz niepodzielną uwagę. Nie robił już dwóch rzeczy naraz. Teraz całkowicie skoncentrował się na niej. - Już to przerabialiśmy. Zostaw to, Lloyd, nie mam zamiaru jeszcze raz posłużyć ci za obiekt badań.

- Chwileczkę, chwileczkę, nie tak prędko, Serenity.

Kto mówi o tym, że posłużysz jako obiekt?

- Ty.

- Nieprawda. - Lloyd zniżył głos do ciepłego, sugestywnego pomruku. - Słuchaj, czy tak trudno uwierzyć, że mam ochotę znów cię zobaczyć?

- Owszem, szczerze mówiąc, tak. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, postawiłeś sprawę jasno, że jedyny związek, jaki nas łączy, to coś w rodzaju szczura laboratoryjnego z naukowcem.

- Zaraz, zaraz, kochanie! To nie fair! - Lloyd był głęboko zraniony. - Łączył nas bardzo nowoczesny związek.

Wznieśliśmy się poza układy męsko-damskie. Byliśmy przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi? Ty nie masz zielonego pojęcia o przyjaźni, Lloyd. Przyjaciele nie wykorzystują się na wzajem. - Serenity spokojnie odłożyła słuchawkę.

Cisza była wręcz namacalna. Caleb z zadumą wpatrywał się w telefon.

- Któryś z twoich przyjaciół?

- Już nie.

Telefon ostro zadzwieczał. Serenity z jękiem sięgnęła po słuchawkę.

- Albo powiesz od razu, co chcesz ode mnie, Lloyd, albo wyłączę telefon.

- Słuchaj, Serenity, mówię poważnie. Chcę przeprowadzić pełne badania nad Witt's End. - Teraz miał głos suchy i rzeczowy. Cały wdzięk zniknął bez śladu. - To jest bardzo, ale to bardzo ważne. Serenity zachmurzyła się.

- Badania Witt's End? Zwariowałaś? Zapomnij o tym.

- Serenity, mówię poważnie. Te badania w sposób decydujący mogą rozstrzygnąć o mojej karierze. Chcę tam przyjechać i dokonać pełnej analizy dynamiki społecznej w Witt's End. Chodzi mi o sporządzenie alokacji pełnej struktury społecznej w tej miejscinie. No, sama wiesz, głębokie wejrzenie, szczegółowe wywiady, cały ten cyrk.

A szczególnie mi zależy na zobaczeniu tych źródeł powodujących wizje, o których mi opowiadałaś.

- I wszystkie obserwacje i wywiady będą dyskretnie nagrywane? - zapytała podejrzenie łagodnym tonem.

- Cholera, do końca życia będziesz mi wypominać ten drobny incydent? Serenity, skarbie, bądź rozsądna. Sama kiedyś tego uczyłaś, wiesz, jak się prowadzi prace badawcze. Chciałem mieć czyste, nie zafałszowane dane, nie mogłem ci powiedzieć, co robię, bo to by wpłynęło na rezultaty i na konkluzje.

- Powiedz mi, czy to było opublikowane? - zażądała.

Po drugiej stronie telefonu zaległa krótka cisza.

- Ach tak, w tym miesiącu. W „Przeglądzie Dynamiki Społecznej”. Nazwałem to „Doświadczenia osobiste. Obcy a formacja społeczna”. - W jego głosie zabrzmiała duma.

- Nie chciałem ci mówić, że ten artykuł wzbudził ogromne zainteresowanie w pewnych kręgach. Wiesz co? Przyślę ci egzemplarz.

- Czy jest tam moje nazwisko, czy występuję tylko jako „obiekt badawczy A” - spytała Serenity.

- Zawsze respektuję anonimowość moich obiektów - zapewnił ją uroczyście.

Nie wiedziała, czy się roześmiać czy trzasnąć słuchawką.

- Powinnam cię zaskarżyć, Lloyd. Gdybyśmy tu mieli prawnika, chyba bym to zrobiła. Ale ponieważ nie mamy, nie będę tym sobie zawracać głowy. Do widzenia.

- Serenity, zaczekaj, nie odkładaj słuchawki. Błagam cię na kolanach. Potrzebna mi twoja pomoc. Żaden z tych pomyleńców z Witt's End nawet ze mną słowa nie zamieni, jeśli nie powiesz im, że wszystko w porządku.

- Nie pozwolę ci zrobić z Witt's End podmiotu badawczego.

- Serenity, skarbie, ja muszę zrobić to studium. Jeśli w tym roku opublikuję jeszcze jedno badanie, to będę pierwszy w kolejce do objęcia stołka starego Hollinga.

- Ach tak, teraz rozumiem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Cały czas się zastanawiałam, o jaką grasz stawkę.

Teraz już wiem. Dobranoc, Lloyd. - Serenity ponownie odłożyła słuchawkę. Pochyliła się i odłączyła telefon z sieci.

Caleb założył ręce za głowę, wyciągnął przed siebie nogi i wygodnie rozparł się na fotelu. W zadumie wpatrywał się w sufit.

- Lloyd?

- Profesor Lloyd Radburn, wicedziekan wydziału socjologii w Bullington College. Chce zostać dziekanem. - Serenity bębniła palcami po oparciu sofy czytając notatki, które wcześniej sporządziła. Sprawdzić terminy dostaw wszystkich produktów. Zrobić spis pozycji do katalogu. Zdjęcia do katalogu - czarno - białe czy kolorowe? Okładka? Skontaktować się z drukarnią w Bullington.

- Ten Radburn chce dokonać badań w Witt's End?

- Tak. Wydaje mu się, że nasza osada jest osobliwym produktem zacołania, żywym przykładem systemu funkcjonowania typowych społeczności na dalekim odludziu.

- Myślisz, że ma rację?

- Uhm. - Uśmiechnęła się. - Ale w żadnym wypadku nie mam zamiaru pomóc mu tego udowodnić. Mam własny interes do załatwienia.

Caleb wstał i podszedł do okna. Spoglądając w ciemność zauważył na tylnej werandzie domku Serenity oszklony pokój kąpielowy z wanną, napełnianą wodą z gorących źródeł.

- Czy to z powodu tego Radburna porzuciłaś życie akademickie i wróciłaś tutaj?

- Słucham? - Serenity oderwała wzrok od notatek i zmarszczyła brwi. - Ach, rozumiem, co ci się przypomniało. Nie, to nie przez niego. Ja nigdy tak naprawdę nie porzuciłam Witt's End. Byłam tylko jakby rozerwana przez pewien czas pomiędzy Bullington a tą miejsciną, poza krótkim okresem buntu, kiedy mieszkałam w miasteczku akademickim.

- I co, nie wyszło?

- Na krótko. - Serenity uśmiechnęła się gorzko. - Nie pasowałam do Bullington. W każdym razie, jak tylko się zorientowałam i postanowiłam zostać jednak w Witt's End, rzuciłam wydział socjologii i założyłam sklep. To było trzy lata temu. Kiedy byłam w Bullington, Lloyd w ogóle tam jeszcze nie pracował. Uczelnia go zatrudniła gdzieś tak przed rokiem.

- W jaki sposób się poznaliście?

Serenity skrzywiła się.

- Zeszłej wiosny zaczął się tu pokazywać podczas weekendów. Kręcił się po sklepie i wysiadywał w kawiarni Ariadne, próbując się wtopić w krajobraz. No i jakoś tam się poznaliśmy.

- Jakoś? - Caleb nawet się nie odwrócił.

Serenity chrząknęła.

- Być może zauważyłeś, że nie ma tu zbyt wielu ludzi w moim wieku. Notabene, jest to jedna ze spraw, które mi leżą na sercu, i zamierzam to zmienić. Chciałabym, żeby Witt's End znowu się stało atrakcyjne dla młodych ludzi, tak jak to było na samym początku. Trzeba nam tu rodzin i małych dzieci. Ja właściwie jestem jedyną urodzoną tu i wychowaną osobą w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

- Tak więc Radburn był pierwszym odpowiednim mężczyzną, który tu bawił przez pewien czas, tak?

- Myślę, że można to tak określić - powiedziała ze wzrastającym zainteresowaniem. Nie miała pojęcia, o co mu chodzi. - On potrafi być czarującym kompanem i oprócz wieku coś jeszcze nas łączyło.

- Socjologia. Świat akademicki.

- Właśnie. Pracowałam w Bullington College jako wykładowczyni, kiedy się przygotowywałam do doktoratu. W każdym razie Lloyd usłyszał o Witt's End i to go zainteresowało. Przyjechał tutaj, żeby się rozejrzeć. I postanowił przeprowadzić nade mną badania. Tyle że zapomniał mi powiedzieć, że to był jedyny prawdziwy powód jego zainteresowania moją osobą.

- Kiedy się zorientowałaś, że nie jesteś dla niego kimś więcej niż tylko obiektem badań?

- Dowiedziałam się prawdy, gdy przypadkowo odkryłam jego magnetofon. - Serenity uśmiechnęła się smutno na to wspomnienie. - Właśnie coś dyktował, jakieś historie o roli mitu w strukturze socjologicznej Witt's End. Do szedł do wniosku, że ja w jakiś sposób jestem związana z lokalną legendą i że to jest decydujące dla dynamiki strukturalnej miejscowej społeczności. Taka tam kupa bzdur, ale przypuszczam, że w druku wyglądało to dość interesująco.

- I co się stało?

- Wściekłam się. Zrzuciłam ten magnetofon na podłogę i rozdeptałam. Kazałam mu się wynosić z miasteczka i nigdy tu nie wracać. To była naprawdę nieziemiska scena. Dawno nie byłam tak rozsierdzona. Od tamtej afery nigdy się nie odezwał, aż do dziś.

- Kiedy rozmawiałaś z nim przez telefon, nie sprawiałaś wrażenia wściekłej. Co najwyżej lekko poirytowanej.

Serenity zachichotała.

- No, w końcu minęło pół roku. Miałam czas, żeby się uspokoić. A poza tym trudno się wściekać na kogoś takiego jak Lloyd. Przyznaję, że byłam wtedy zraniona. Zwłaszcza moja duma. Czulałam się jak wykorzystana idiotka.

- Masz zamiar ponownie dać mu się wykorzystać? - zapytał spokojnie.

- Nie. - Serenity rzuciła notatki na stół. - Nawet gdy bym chciała mu pomóc przeprowadzić badania nad Witt's End, byłby to zmarnowany wysiłek.

- Dlaczego?

- Czy ty naprawdę widziałeś tu kogoś, kto się zgodzi odpowiedzieć na szczegółową ankietę i ściśle osobisty wywiad, żeby pomóc komuś obcemu w badaniach socjologicznych?

Caleb przez chwilę zastanawiał się nad takim pomysłem.

- Ciekawe byłoby zobaczyć reakcję Blade'a na osobiste pytania o jego styl życia i więzi społeczne. Serenity uśmiechnęła się.

- No właśnie. A może mimo wszystko powinnam pozwolić Lloydowi tu przyjechać? Ostatnim razem nie miał okazji spotkać Blade'a. Bo wiesz, Blade zazwyczaj sypia w dzień. Mogłabym ich sobie przedstawić, a potem stanąć z boku i obserwować.

- Ale nie zrobisz tego, prawda?

- Nie. Mam ważniejsze sprawy.

- Próbujesz uratować miasteczko.

- Właśnie. I o ile pamiętam, obiecałeś, że mi pomożesz.

- Serenity?

Coś nowego pojawiło się w jego głosie, więc stała się ostrożna.

- Tak?

- Wiesz, na co mam ochotę dziś wieczorem?

- Nie. - Poczła dreszczyk podniecenia. Napływ adrenaliny spowodował lekkie drżenie rąk. Co mu odpowiedzieć, gdyby poprosił, żeby poszła z nim do łóżka? Z jednej strony była przerażona, ale z drugiej chciała tego!

- Chciałbym wziąć gorącą kąpiel w twojej wannie.

Serenity czuła się jak balon przekłuty szpilką. Nagle wszystko w niej opadło.

- W mojej wannie?

- Nigdy nie brałem takiej kąpieli.

- Żartujesz.

Pokręcił głową.

- Nie, nie żartuję.

Serenity nagle zabrakło słów. Pomijając już inne względy, ona korzystała z gorącej kąpieli w wannie od wczesnego dzieciństwa. Ludzie w Witt's End uważali taką kąpiel za rutynową formę relaksu, pokrewną medytacji. Bardzo często zapraszała Ariadne i Jessie oraz parę innych kobiet do wspólnej kąpieli w ogromnej wannie na werandzie na tyłach jej domku.

- Rozumiem. No cóż, jeśli masz ochotę, to proszę bardzo, możesz skorzystać z mojej wanny - zaprosiła go w końcu uprzejmie.

Caleb odwrócił się. Na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia.

- Dziękuję.

- Aha. No, dobra. - Nadal zakłopotana tą dziwną prośbą wstała i podeszła do drzwi werandy. -

Pokażę ci, jak ją włączyć.

Caleb wyszedł za nią.

- Zimno dzisiaj.

- Już niedługo będzie o wiele zimniej. - Serenity odsunęła szklane drzwi do pokoju kąpielowego i weszła do środka, gdzie powietrze było przesycone wilgocią. Nawet nie zapaliła światła; było dostatecznie jasno od blasku z okien domku. - Pomóż mi zdjąć pokrywę, dobrze?

- Jasne. - Caleb ruszył jej z pomocą przy odpinaniu haczyków mocujących pokrywę. Uporali się z tym raz dwa.

Serenity pokazała mu, jak zwinąć ciężką winylową płachtę, i odłożyła ją na ławeczkę z boku.

Następnie włączyła mechanizm, który spowodował, że gorąca źródłana woda zaczęła pulsować i wirować delikatnie w głębokiej, przepastnej wannie. Z szafki wyjęła kilka grubych ręczników i położyła je przy wannie. Kiedy już wszystko było gotowe, popatrzyła na Caleba. W półmroku nie mogła wyraźnie dojrzeć wyrazu jego twarzy, ale wiedziała, że ją obserwuje z tym znanym jej głębokim napięciem, tak dla niego charakterystycznym. Poczła jakiś nowy, dziwny dreszcz pożądania, i teraz to nie była wyłącznie gra jej wyobraźni, to był naprawdę wpływ Caleba. Czowała się niebezpiecznie naładowana energią.

- Wszystko gotowe - powiedziała w końcu. - Proszę bardzo.

- Przyłączysz się do mnie?

Pomyślała, że to nie jest najlepszy pomysł. Zdecydowanie niedobry pomysł. Otworzyła usta, żeby mu powiedzieć, że ma jeszcze dużo pracy.

- Owszem, czemu nie? - usłyszała własne słowa, z trudem wierząc, że to rzeczywiście powiedziała.

To było głupie, naprawdę głupie. - Mogę się trochę zrelaksować.

Zdjęła zwiewną muślinową sukienkę, którą nosiła na kombinezonie, i starannie zawiesiła ją na mosiężnym haczyku. Palcami chwyciła za suwak przy kombinezonie. Zatrzymała się, próbując sobie przypomnieć, gdzie mogła schować stary kostium kąpielowy - zawsze kąpała się nago. Z powodu dręczących ją wątpliwości zaczęła się denerwować. Kiedy spotkała Caleba po raz pierwszy, była tak pewna, tak radośnie pewna, że coś ich ze sobą będzie łączyło. Patrzyła na niego i widziała majaczącą wspólną przyszłość, nadzieję na rodzinę. Ale jego pamiętna reakcja na wieść o fotografiach Ambrose'a wszystko zmieniła.

Serenity poczuła się głęboko zakłopotana i niepewna. Normalnie nie krępowała się swej nagości, ale nie przy Calebie. Tego wieczoru nic nie było jasne i przejrzyste, prócz powietrza w przeszklonym pokoju kąpielowym, naładowanego niemal namacalną elektrycznością. Po drugiej stronie wanny Caleb silnymi palcami powoli rozpinął koszulę, jeden guzik po drugim. Rozpięta do pasa koszula odsłoniła nagi tors. Serenity stała nieruchomo ze wzrokiem przykutym do ciemnych, kręconych włosów pokrywających pierś Caleba, ledwie widocznych w półmroku. Przełknęła ślinę.

- Coś nie tak? - zapytał.

- Nie wiem... gdzie jest mój kostium. I nie mam dla ciebie kąpielówek.

- Nie wiedziałem, że ludzie w wannie kąpią się w kostiumach.

- No nie, zwykle tego nie robią. Kąpiel w wannie z gorącym źródłem jest jak kąpiel w basenie ze źródłem lub jak japońska kąpiel.

- Świetnie. Wobec tego nie potrzebujemy kostiumów.

- Caleb rozpinął pasek.

Serenity szybko się odwróciła. Zrzuciła buty i rozpięła do końca suwak kombinezonu. Do tej chwili nigdy nie traktowała kąpeli w kategoriach doświadczenia seksualnego. No ale - jak dotąd - nigdy nie wchodziła do wanny z mężczyzną, przy którym drżała od środka. Usłyszała za plecami, że Caleb wszedł do bulgocącej wody.

- Wspaniałe wrażenie - wyznał łagodnym głosem.

- To prawdziwa terapia. Cudowna forma relaksu. - Zadrżała. Jej głos brzmiał o parę tonów za wysoko, nawet w jej uszach.

- Teraz rozumiem, dlaczego to lubisz.

Kierowana nagłym przymusem, obawiając się go zdefiniować, Serenity bardzo ostrożnie odwróciła się do Caleba. Kiedy zobaczyła, że jest bezpiecznie zanurzony aż po pierś, poczuła ulgę, choć z domieszką wyraźnego rozczarowania. Nie mogła wprawdzie dojrzeć jego twarzy pograżonej w cieniu, a sam półmrok zapewniał im dostateczny poziom zachowania skromności, ale w żaden sposób nie była w stanie zignorować widoku umięśnionego torsu Caleba. Jej wyobraźnia również pracowała gorączkowo, a Serenity, zgodnie ze słowami Caleba, nie była odporna na relacje męsko-damskie tego wieczoru. Przeciwnie, jeszcze nigdy nie uświadamiała ich sobie tak ostro.

Caleb położył wyciągnięte ręce wzdłuż brzegów wanny i rozluźnił się w musującej wodzie. Poblask bijący z okien domku wydobywał z mroku kontury mocnych barków, ukazując drzemiącą w nim siłę. Serenity z trudem łapała oddech. Pomimo parnej, tropikalnej atmosfery nie mogła opanować drżenia. To absolutnie nie był jej najlepszy pomysł!

Raz jeszcze odwróciła się do Caleba plecami, głęboko zaczerpnęła tchu, zsunęła kombinezon i okryła się ręcznikiem kąpielowym. Ściskając go mocno, przypomniawszy sobie, że to przecież wcale nie jej pomysł. To Caleb zaproponował wspólną kąpiel. Zastanawiała się, czy jemu też przychodzi z trudem naturalne zachowanie, czy też tylko ona jest tak zdenerwowana.

W gorącym, wilgotnym półmroku Caleb czekał na nią. Czowała na sobie jego spojrzenie, kiedy zbliżała

się do wanny. Wiedziała, że się porusza z delikatną ostrożnością łani, zbliżającej się do wodopoju. Czowała, że jest śmieszna, ale nie mogła zlekceważyć faktu, że choć on jest ledwo dostrzegalny w słabym blasku światła z okien za jego plecami, to ona jest całkowicie widoczna. Zamoczyła palce jednej nogi w wannie i znieruchomiła. Nie mogła się zmusić do zdjęcia ręcznika. Bezradnie wpatrywała się w zacienioną twarz Caleba, jakby go prosząc, by znalazł wyjście z tej okropnej sytuacji. Caleb chyba czytał w jej myślach, bo położył głowę na oparciu wanny i zamknął oczy. Serenity leciutko odetchnęła z ulgą, odwinęła ręcznik i zanurzyła się w wodzie. Od razu usiadła na umieszczonej w środku deseczce.

Uspokojona świadomością, że teraz nic nie widać spod bulgocącej wody, nerwowo przemyśliwała, jak by tu zacząć uprzejmą konwersację. Chwyciła się kurczowo pierwszego pomysłu, jaki jej przyszedł do głowy.

- Bardzo dobrze poradziłeś sobie dzisiaj z Blade'em.
 - Prawda? - Caleb nie otworzył oczu. - Biorąc pod uwagę fakt, że byłem nieźle wkurzony.
 - Wkurzony? - Serenity próbowała bezskutecznie dojrzeć jego twarz.
 - Tak, wkurzony. Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem ochotę komuś przypieprzyć.
 - Aha. - Nie wiedziała, co odpowiedzieć. - Doceniam to, że się pohamowałeś.
 - Drobiazg. To ja doceniam fakt, że skoczyłaś mi na pomoc. Też nie pamiętam, kiedy mi się coś takiego zdarzyło.
 - Krew pomiędzy półkami nie wpłynęłaby dobrze na rozwój firmy.
 - Masz zadatki na znakomitego przedsiębiorcę. - Lekko obrócił głowę. Światła wystarczyło akurat na tyle, że Serenity dostrzegła lekkie rozbawienie w kącikach jego ust. - Wiesz, biorąc wszystko pod uwagę, to był dla mnie niezwykle tydzień.
 - Naprawdę?
 - Mnóstwo czegoś po raz pierwszy.
 - Nie rozumiem.
 - Po raz pierwszy wziąłem tak zabawne zlecenie jak twoje.
 - To nie jest śmieszne zlecenie - zaprzeczyła Serenity, od razu ustawiając się w obronie.
 - Po raz pierwszy byłem bliski starcia z paranoicznym wariatem.
 - Bładenie jest wariatem. On tylko funkcjonuje w dwóch odmiennych rzeczywistościach w tym samym czasie. To nic nadzwyczajnego. Zone jest taka sama.
 - Po raz pierwszy uczestniczyłem we włamaniu z kradzieżą.
 - Chwileczkę! - Teraz była urażona. - Mówisz o tej historii w piwnicy Ambrose'a dziś rano? To nie było żadne włamanie z kradzieżą. Miałam niezbite prawo do odszukania tych negatywów.
 - Po raz pierwszy byłem zazdrosny o faceta, którego nigdy nie spotkałem.
 - Zazdrosny?! - Ta pozycja na jego liście „po raz pierwszy” ją zatkała. - Mówisz o Lloydzie?
 - Tak.
 - A z jakiego to powodu miałbyś być o niego zazdrosny?
- Caleb nie odpowiedział.
- Po raz pierwszy w życiu siedzę w wannie z wodą z gorącego źródła.
 - To już mi mówiłeś - przypomniała niezadowolona ze zmiany tematu. Czy on naprawdę jest zazdrosny o Lloyda? - To nic wielkiego. Ja to robię całe życie.
 - Czy siedziałaś w takiej wannie z Radburnem?
 - Co? Ach. Nie, nie siedziałam, a poza tym, to nie twój interes.
- Caleb uniósł lekko powieki i spojrzał na nią.
- Pragnę cię.

Serenity oniemiała. Nie przychodziła jej do głowy żadna sensowna odpowiedź. Żeby nie było wtedy tej afery ze zdjęciami! Żeby tylko mogła mu zaufać! Żeby tylko, żeby tylko, żeby tylko!

- Serenity? - zapytał nieco gardłowym głosem przesyconym pożądaniem.

Leciutko oblizała usta i kilkakrotnie przełknęła ślinę, żeby oczyścić gardło, i głęboko zaczerpnęła tchu.

- A zdjęcia?

- Zapomnij o tych cholernych zdjęciach. To nieważne.

- Caleb, jesteś pewien? - Gdyby tylko mogła mu uwierzyć!

- Jestem pewien - potwierdził. - Wtedy, kiedy cię pocałowałem u mnie w gabinecie, powiedziałaś, że pożałuję swojej reakcji na wiadomość o tych zdjęciach. - Wyciągnął przed siebie rękę. - Miałaś rację.

Serenity przez dłuższą chwilę przyglądała się jego mocnym palcom. Wiedziała, że chciała tego od samego początku. I tak naprawdę to dlatego pozwoliła mu wrócić. Ale było jeszcze za wcześnie. Jeszcze nie była pewna. Powoli, jak zahipnotyzowana, czując pożądanie Caleba, wyciągnęła rękę z wody i ujęła jego dłoń.

Zacisnął ciasno palce wokół jej dłoni. Bez słowa przyciągnął Serenity do siebie przez spienioną wodę. Nadpłynęła leciutko, prosto w jego objęcia. Ułożył ją na sobie i przyciągnął jej usta do swoich. Całował ją z takim pragnieniem, że Serenity niemal utraciła zmysły.

Napawała się jego gorącym, prawdziwie męskim pocałunkiem. Caleb mocno ją objął i natychmiast pod pośladkami poczuła twardy kształt jego ud i mocną erekcję.

- Byłem idiotą, kiedy pozwoliłem ci odejść wtedy z mojego biura - wyszeptał jej wprost do ust. - Wiedziałem, że któregoś dnia tak będzie między nami.

- Tak. - Ona też to wiedziała. Przywarła do niego z nowym zapalem. Dygotała z pożądania. Było to dziwne, zupełnie nie znane jej dotąd uczucie. Groziło zepchnięciem poza bezpieczną granicę, której nie powinna przekroczyć. Ręka Caleba powędrowała w dół, obrysowując kształt jej piersi pod wodą. Uchwycił miękką ciężar, głaszcząc czubkiem kciuka delikatny pączek. Niesamowity dreszcz przebiegł przez ciało Serenity. Jęknęła, mocno przyciskając głowę do jego barku. Jeszcze nie. Za wcześnie.

Podciągnął w górę jej unoszące się na wodzie ciało tylko na tyle, by odsłonić koniuszek piersi, i pochylił ku niemu głowę. Kiedy poczuła zaciskające się leciutko zęby, zadrżała i wbiła mu palce we włosy, i mocno przyciskając głowę do ramienia Caleba, całowała go w szyję. To było cudowne uczucie, kiedy tak trzymała go w objęciach, cudowne uczucie, gdy poddawała się uniesieniu.

Cudowne uczucie oczekiwania. Cudowne uczucie do Caleba.

- Jesteś smaczna - wymruczał. - Bardzo, bardzo smaczna. A ja jeszcze nigdy w życiu nie miałem takiego apetytu. Przejechał dłonią po jej brzuchu aż do miejsca, gdzie nadal ciasno zwierła nogi. Kiedy poczuła napierającą dłoń, powoli rozsunęła uda. Palce Caleba odnalazły jej wnętrze, pieściły, ostrożnie je rozwarły i wtargnęły do środka.

- Caleb!

- Taka ciasna. - Głos mu drżał z namiętności. - Ciasna i gorąca. Pragniesz mnie.

- Tak. - Pocałowała go w szyję z gwałtowną determinacją, której sama nie umiała sobie wytłumaczyć.

Powoli wyciągnął dłoń i po chwili wsunął ją odrobinę głębiej. Kciukiem gładził mały guziczek ukryty w fałdkach jej ciała. Powtarzał tę pieszczotę bez końca, aż Serenity poczuła, że za chwilę eksploduje. Przycisnęła się do niego i wbiła mu paznokcie w skórę.

- Za chwilę oszaleję - wyszeptał. Wysunął z niej dłoń, przycisnął Serenity do siebie i próbował

wstać razem z nią.

Rzeczywistość powróciła do Serenity bolesną falą świadomości wraz ze spływającą z nich wodą.

- Nie, zaczekaj - jęknęła. Przywarła do Caleba całym ciałem i wcisnęła twarz w zagłębienie szyi. -

Przepraszam cię, nie mogę. Jeszcze nie. To za wcześnie.

- Za wcześnie?

- Nie widzisz? Niczego już nie mogę być pewna.

Wszystko się teraz tak skomplikowało. Proszę, wybacz mi. Nie umiem ci tego wytłumaczyć. Po prostu nie wydaje mi się, że już nadszedł czas.

- Nie rozumiem?

- O rany, to wszystko moja wina. Za nic w świecie nie powinnam włączyć do tej cholernej wanny.

Wiedziała to. Wiedziała, ale nie mogłam się powstrzymać!

Caleb milczał. Stał po pas w bulgocącej wodzie, trzymając Serenity w kleszczowym uścisku ramion.

Mięśnie klatki piersiowej miał usztywnione, ręce i ramiona naprężone i gotowe do walki lub miłości.

Serenity niemalże oczekiwała, że Caleb uniesie głowę i zawyje z gniewu i frustracji do księżyca. Ale

nie zrobił tego. Zanurzył się tylko powoli z powrotem w kipieli i mocno objął Serenity. Wyczuwała

w nim ogromną siłę woli i opanowanie, i trochę się tego lękała.

- Caleb, tak mi przykro.

- Ciii... - Wsunął rękę w jej mokre włosy i pocałował Serenity w usta. - Ja to zacząłem i ja to skończę.

Uniosła głowę, by na niego spojrzeć, rozpaczliwie próbując wytłumaczyć mu coś, czego nie dało się wyrazić słowami.

- To po prostu nieodpowiednia pora. Jeszcze nie. Nie dla mnie.

- Wiem. Jesteś piękna. Trochę dziwna, ale piękna. - Było na tyle widno, że widziała głęboko zmysłowe wygięcie jego warg. Nie był zły. - Moja dzika, tajemnicza księżniczka. - Dotknął gryfa wiszącego nad piersiami Serenity.

Następnie przesunął rękę niżej, ku talii. - Płonę przytobie.

- Caleb...

- Wiem. Jest za wcześnie na to, czego pragnę - wyszeptał. - Ale czy na to też jest za wcześnie? -

Jeszcze niżej przesunął dłoń i ponownie odnalazł ciepłe, mokre miejsce ukryte między jej udami.

Serenity osunęła się i gwałtownie zachłysnęła powietrzem.

- Nie sądzę...

- Chcę cię tylko dotknąć. Czy możesz mi wreszcie choć trochę zaufać?

- Ale co będzie z tobą? - Czuli się jak idiotka.

Roześmiał się cicho.

- Ty też mnie możesz dotykać. Jeśli chcesz, oczywiście.

- Chcę - odpowiedziała. - Bardzo chcę, ale, Caleb...

- Zaufaj mi. - Pocałował ją w szyję pieszcząc pod wodą zakamarki jej ciała. - Ofiaruj mi choć tyle.

Będę cię tylko dotykał, nic więcej.

- Och, Caleb. - Jęknęła cicho i urwała czując pieszczotę jego dłoni. Powróciło wszechogarniające, niesamowite wrażenie sprzed kilku minut.

Ujarzmiona nieznanym, wibrującym napięciem, mogła się jedynie przytulić do Caleba. Rozwarła

szeroko oczy i szybko je zamknęła. Wiedziała, że on przygląda się jej w półmroku. Wyczuwała

emanujące z niego pożądanie i wyczekiwanie. Czekał na coś, co się miało wydarzyć. Ona również

czekała, ale nie była całkiem pewna, czego ma się spodziewać. Przypomniała sobie, że ona też miała go dotykać. Złożyła dłonie na jego piersi i przesunęła je w dół po płaskim brzuchu.

- Nie - szepnął jej do ucha. - Zmieniłem zdanie. Jeśli to zrobisz, to nie będę mógł ręczyć za siebie.

- Ale ja chcę cię dotykać.

- Nie dziś.

Jęknęła w odpowiedzi na jego niesamowicie erotyczną pieszczotę, a potem zeszywniała z zaskoczenia.

- Wszystko w porządku, nie bój się. Zaufaj mi.

- Ja nie... nie mogę... o Boże, ja będę, ja naprawdę... - Najpierw niedowierzenie, a potem cudowny wstrząs towarzyszył jej pierwszemu szczytowi rozkoszy. Bezradna wobec tego porywu, zarzuciła Calebowi ręce na szyję i drżała w jego ramionach.

- Serenity?

Zaśmiała się, potem zaszlochała i wreszcie ponownie opadła na jego pierś z radosną ulgą.

- A niech mnie - powiedział Caleb. - Nie mów mi tylko, że to znowu coś po raz pierwszy!

Po kilku minutach Serenity poruszyła się ospale i instynktownie przywarła ciaśniej do Caleba. Woda wirowała wokół niej. A może mimo wszystko to właściwa pora? Czuła się cudownie, bardzo pewnie. Zawstydzenie i skrupuły ustąpiły bez śladu w paroksyzmach szczytu rozkoszy. To było cudowne! Tak, to zdecydowanie właściwa pora. Zastanawiała się, dlaczego wcześniej nie doszła do tego wniosku. Wszystko było wtedy takie pogmatwane.

- Caleb?

Chwycił dłoń Serenity spoczywającą na jego piersi.

Mocno ścisnął jej palce, leżał z zamkniętymi oczami, opierając głowę o krawędź wanny.

- Chciałbym ci zadać jedno krótkie pytanie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Uhm? - Przeplotła nogi z jego nogami i chwyciła go ustami za płatek ucha.

- Czy to był twój pierwszy orgazm w życiu?

- Aha. To przyjemne.

- Bardzo. - Jego uśmiech był seksowny i figlarny, pełen męskiej satysfakcji. - Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego nie miałaś tego wcześniej?

- No... próbowałam. Po prostu jakoś nie wychodziło.

- Rozumiem. - Czekał na dalsze wyjaśnienia.

- Trzy lata temu był pewien mężczyzna. Na imię miał Stewart. Stewart Bartlett. Przerwij mi, jeśli nie chcesz wszystkiego wysłuchać.

- Słucham.

- Stewart przyjechał do Witt's End, ponieważ potrzebował tego miejsca.

- Dlaczego?

- Musiał się uzdrowić. Mnóstwo ludzi przyjeżdża tutaj z tego powodu. Zostają na pewien czas, jedni dłużej, inni krócej. Mówiłam ci, że świat potrzebuje takich miejsc jak Witt's End.

Caleb otworzył oczy i przesunął palcami po ustach Serenity.

- Był chory?

- Tak. Nie na ciele. Na duszy. Stracił żonę i syna w wypadku samolotowym. Stewart był pilotem i to on właśnie pilotował ten samolot, kiedy zdarzyła się katastrofa. On sam wyszedł z tego nawet bez zadrapania. I nie mógł sobie tego wybaczyć.

- I przyjechał tu, by zapomnieć. I poznał ciebie?

Serenity kiwnęła głową.

- Przez pewien czas byliśmy ze sobą bardzo blisko. Dokładnie rzecz biorąc, dwa i pół roku. I nagle pewnego dnia on zrozumiał, że wyzdrowieje. Doszedł do wniosku, że może wracać do życia, jakie czeka na niego w Seattle, i wyjechał.

- Dlaczego nie zabrał cię ze sobą?

Uśmiechnęła się delikatnie.

- Nie rozumiesz. Nigdy nie miałam z nim jechać.

Zawsze to wiedziałam. On zresztą też. Nasze wspólne dwa i pół roku było dla nas obojga czymś wyjątkowym. Czasem uczenia się i uzdrawiania, czasem dojrzewania. To był dobry okres, ale nie miał trwać wiecznie. On był z zewnętrznego świata, rozumiesz?

- I przez te całe dwa i pół roku z tym człowiekiem nigdy nie miałaś orgazmu? - Caleb był oszołomiony. - Trudno w to uwierzyć.

- Próbowaliśmy wiele razy - przyznała Serenity. Wiedziała, że oblała się rumieńcem, i była zadowolona, że Caleb nie może tego zauważyć. - Ale Stewart miał problemy.

- Jakie?

- No, wiesz, to była sprawa psychiki. Nie fizyczna.

Przypuszczam, że spowodowana jego poczuciem winy i smutkiem.

- Zaraz, zaraz. - Caleb zmrużył oczy i badawczo się jej przyglądał. - Chcesz mi powiedzieć, że spędziłaś dwa i pół roku swego życia z facetem, który nigdy nie miał erekcji?

- Seks to nie wszystko - zapewniła go z powagą Serenity.

- Tak, jasne. Dwa i pół roku z facetem, który nie mógł cię kochać jak należy? Rany boskie, to nie do uwierzenia!

- Caleb patrzył na nią ze zgrozą. - No to dlaczego nie zrobił tego co ja? Nawet impotent może dać kobiecie satysfakcję w ten sposób.

Serenity wzruszyła ramionami.

- Byliśmy zawsze tak zmartwieni jego stanem, że nie sądzę, bym się mogła wtedy zrelaksować i doznawać rozkoszy. To nie miało znaczenia.

- Zależy jak na to patrzeć.

Serenity zachnęła się.

- To był mój związek i mnie nie zależało. Byłam szczęśliwa.

- Pewnie dlatego, że nie wiedziałaś, co tracisz - mruknął Caleb.

- Jak mówi Quinton, wszyscy mogą znaleźć zaspokojenie w wielu różnych płaszczyznach egzystencji. Musimy tylko być otwarci na znalezienie spokoju w nas samych.

- Jasne. No więc, co się stało z tym cudownym związkiem, który się wznosił ponad seks?

- Już ci mówiłam, pewnego dnia Stewart doszedł do wniosku, że się uleczył. Wiedział również, że jego życie seksualne wróci do normy.

- To znaczy, że w końcu mógł mieć erekcję, i wtedy dał dyla? - zapytał ją rzeczowo.

- To raczej brutalne postawienie sprawy, ale w gruncie rzeczy tak właśnie było. Obydwoje doszliśmy do wniosku, że skoro już się uzdrowił, to może opuścić Witt's End. Stewart był bardzo dobrym człowiekiem i zrobił to, co uważał za najlepsze.

- Dobrym? Uważasz, że on był dobry? - Caleb przyglądał się jej ze zdumieniem. - On mi wygląda na kawał egoistycznego sukinsyna. Wykorzystał cię, żebyś go pocieszała, zanim mu znowu nie stanie, a potem wyjechał.

- On myślał, że to by nie było w porządku, gdyby się ze mną kochał, a potem wyjechał na zawsze. Wiedziałałam, że nadszedł czas, by pozwolić mu odejść. I tak to wyglądało.

- Nie obraż się, Serenity, ale sądząc po tym Bartlecie i z tego, co mi powiedziałaś o Radburnie, muszę wyznać, że miałaś cholernie dziwne związki.

- Skoro o tym mowa - powiedziała ochoczo - to zastanawiałam się i myślę, że mogłam się mylić. Może właśnie nadeszła dla nas odpowiednia pora.

- Nie. Miałaś wtedy rację. - Caleb głęboko westchnął.

Potem zdjął Serenity z siebie i wstał. Po błyszczącym, mocnym cieple spływała woda, kiedy wychodził z wanny. Sięgnął po ręcznik.

- Caleb? - Przyglądała się grze światła i cienia na jego mokrych, lśniących plecach.

Uśmiechnął się.

- Już późno. Muszę się dziś trochę przespać. Jutro mam przygotować analizę produktów, zapomniałaś?

- Tak, wiem, ale chciałam ci coś wytłumaczyć.

- Nie ma co tłumaczyć. W każdym razie nie dziś. Powiedziałem ci, że masz mi zaufać.

- Wiem. - Przyglądała się z żalem, jak Caleb się ubiera. Był szczupły i silny, i tak cudownie męski! Aż ją bolało, że może tylko na niego patrzeć. - Zdaje się, że próbujesz mi coś udowodnić, prawda?

- Uhm, tak mi się wydaje.

- Tego się obawiałam. - Z ociąganiem wyszła z wanny i sięgnęła po włochaty ręcznik.

Oboje dokończyli ubierania się w milczeniu.

Caleb zatrzymał się w drzwiach tylko na moment, by pocałować ją ostatni raz, i wyszedł z latarką w ręku.

Przez chwilę obserwowała go przez okno, a potem poszła do łóżka. Po kilku minutach, balansując na krawędzi snu, mogłaby przysiąc, że słyszy nadlatujące skądś dźwięki walca. Pomyślała, że to Montrose, który często grywał po nocy. W górskiej ciszy dźwięki niosły się daleko. Ale jej ostatnią myślą przed zaśnięciem było to, że walc nie należy do zwyczajowego repertuaru Montrose'a.

Rozdział 7

Caleb wszedł do sklepu minutę po tym, jak Serenity otworzyła go następnego ranka.

- Chciałbym cię prosić o pewną przysługę - zaczął bez żadnych wstępów.

Serenity była poruszona blaskiem jego oczu, bijącym spod przymrużonych powiek. Jeden problem już z głowy, pomyślała. Cały ranek myślała nad tym, co mu powiedzieć dziś rano. On ją wyręczył.

- O co chodzi?

Spojrzał na Zone, która pieczołowicie odkurzała półki po drugiej stronie sklepu. Potem znów popatrzył na Serenity i ściszył głos.

- Muszę odwiedzić rodzinę w ten weekend. Mój dziadek jutro będzie miał osiemdziesiąte drugie urodziny i powinienem tam być. Chcę, żebyś ze mną pojechała.

- To bardzo miłe z twojej strony, że mnie zapraszasz. - Grała na zwłokę, nie udzielając konkretnej odpowiedzi.

- Pojedziesz?

Kiedy spojrzała mu prosto w oczy, wiedziała, że nie może odmówić.

- Gdzie oni mieszkają?

- W Ventress Valley. Stąd dwie godziny jazdy.

- Ventress Valley? - Serenity podniosła głos. - Ventress Valley? - Wzięła się pod boki i nie spuszczała wzroku z Caleba. - Czy to jakiś niesamowity zbieg okoliczności z twoim nazwiskiem, czy też rzeczywiście jesteś członkiem rodziny, której nazwisko nosi cała miejscowość?

- Miasteczko zostało tak nazwane od mojego pradziadka. Co to ma do rzeczy?

- Dobry Boże!

Zacisnął zęby.

- Co w tym dziwnego? Czy żadni Wittowie nie mieszkają w Witt's End?

- Nie! Headcase Witt był prawdziwym wytworem lat sześćdziesiątych, autentycznym hipisem, który

próbował tu założyć komunę. Kiedy mu to nie wyszło tak, jak chciał, powędrował dalej na północ, na Alaskę. Od tamtej pory słuch po nim zaginął.

- Ventress Valley nie miało takiego szczęścia. Ventressowie wciąż tam siedzą. Do nich także należała większość okolicznej ziemi uprawnej.

- Należała? W czasie przeszłym?

- Po większej części. - Caleb oparł się jedną ręką o ścianę i patrzył na Serenity z lekkim zniecierpliwieniem. - W ciągu ostatnich paru lat sprzedaliśmy sporo ziemi, by zainwestować gdzie indziej. Mój dziadek za trzymał sobie kilka akrów. Ma stajnie, hoduje ogiery i jeździ konno. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Ile akrów? - zapytała podejrzliwie.

- To ma jakieś znaczenie?

Zastanawiała się nad tym zaciskając usta.

- Nie wiem. Czy ty jesteś strasznie bogaty, Caleb? To znaczy, wiem, że ci się dobrze powodzi, ale czy jesteś miliarderem albo coś w tym stylu?

- Na temat stanu moich finansów możemy porozmawiać kiedy indziej. Teraz chcę tylko otrzymać od ciebie odpowiedź tak lub nie. Pojedziesz ze mną do Ventress Valley?

Serenity przypatrywała mu się uważnie.

- Nie wiem. W gruncie rzeczy ostatnio zbyt wiele czasu spędziłam na innych zajęciach, zaniehbując sklep.

- Nie będzie nas tutaj tylko przez jedną noc. Zone może się zająć sklepem.

- Dlaczego chcesz, żebym z tobą pojechała?

- Bo chcę, żebyś poznała moją rodzinę. Tak czy nie?

Stała z założonymi rękami i lekko stuknęła stopą o podłogę.

- Myślisz, że się spodoba twojej rodzinie?

- A jakie to ma znaczenie, co oni sobie pomyślą? Tak czy nie?

- Tak. - Uniosła ręce w geście poddania. - Dobra. Tak.

W porządku. Pojadę z tobą.

Kiwnął głową.

- W takim razie, załatwione. Zobaczymy się później. Czeka na mnie cała kolejka ludzi w kawiarni Pod Słonecznikiem.

- Ach tak, słusznie. Ocena produktów. - Zmarszczyła brwi. - Pamiętaj, że chcę mieć miejsce w katalogu dla każdego chętnego.

- Specjalizuję się w uruchamianiu przedsiębiorstw, a nie w podbudowywaniu czyjś poczucia wartości artystycznej. Nikt nie wejdzie do katalogu bez produktu, który nie trzyma standardu.

Serenity uśmiechnęła się z przekonaniem.

- Jestem pewna, że wszystkie produkty będą odpowiadały stawianym im wymaganiom. Jeśli nie, to tak długo popracujemy nad wytwórcą, aż będą.

Caleb spojrział na nią przelotnie, ale nic nie powiedział, po czym odwrócił się i wyszedł ze sklepu. Kiedy zamknął za sobą drzwi, dzwonki głośno zadźwięczały. Zone odczekała, aż ucichną. Odłożyła ściereczkę do wycierania kurzu i złożyła dłonie.

- O co tu chodzi, Serenity?

- Cholera wie.

- Niebezpieczeństwo - szepnęła Zone. - Chaos, niebezpieczeństwo i zamieszanie.

- Nieee... Myślę, że jest tylko nie w humorze, bo nie miał w nocy partnerki.

Mam wrażenie, Ariadne, że to dla niego bardzo ważne. - Serenity sprawdziła nalepki cenowe na kilku słoikach przyprawy tahini przed ułożeniem ich na półkach. - Caleb chciał, żebym z nim dziś pojechała do domu, i powiedziałam, że pojadę. Wyjeżdżamy koło dziesiątej.

- A więc chce, żebyś poznała jego rodzinę. - Oblicze Ariadne Galpin, właścicielki kawiarni Pod Słonecznikiem, przybrało wyraz szczególnej troski. - To mi wygląda na bardzo tradycyjnego faceta. - Bo on taki jest.

- Jak dotąd nie układało ci się z tradycyjnymi typami, Serenity.

- Caleb jest inny.

Ariadne odrzuciła do tyłu gruby, siwiejący warkocz i skrzyżowała ręce pod obfitym biustem. Wszystko u Ariadne było obfite. Gdyby żyła w bardziej konwencjonalnym środowisku, byłaby uważana za stereotyp babci. Ale w Witt's End ludzie uważali ją za matkę-ziemię. I niewiele się mylili, jak kiedyś się zwierzyła Serenity.

- Poddaję się - wyznała Ariadne. - Jak może być jednocześnie tradycyjny i inny?

Serenity odłożyła ostatni słoik na półkę i wyprostowała się. Uśmiechnęła się do przyjaciółki najserdeczniej i najcieplej, jak tylko umiała. Ariadne знаła Serenity od dnia jej przyjścia na świat. Ona, wraz z garstką innych, którzy byli tego dnia w Witt's End, pomogła jej się urodzić.

To Ariadne nauczyła Serenity gotowania, obsługiwania kasy i prowadzenia rachunkowości. To również ona służyła dziewczynie radą i pomocą w trudnym i tajemniczym okresie przepoczwarczenia się z dziecka w kobietę.

I to w końcu Ariadne najlepiej rozumiała tęsknotę Serenity za własną prawdziwą rodziną. Za poczuciem intymnej bliskości matki, ojca i dziecka.

- Kiedy go poznasz, zrozumiesz, co mam na myśli - zapewniła ją Serenity.

Ariadne zastanawiała się z uniesionymi brwiami.

- To coś poważnego, prawda?

- Mam nadzieję. - Serenity kochała Ariadne jak własną ciotkę, ale trudno z nią było rozmawiać o facetach. Ariadne była najbardziej asekualną osobą, jaką kiedykolwiek spotkała. Już na pierwszy rzut oka widać było, że jest ponad wszelkie sprawy męsko-damskie. - Jak ci idzie z książką kucharską?

Ariadne westchnęła, ale zrezygnowała z wałkowania tematu Caleba.

- Kończę dania z fasoli i makaronów. Jessie robi ilustracje. Są jedyne w swoim rodzaju. Maszynopis powinien być gotowy do składu za dwa tygodnie.

- Świetnie. - Serenity otworzyła worek soczewicy, uniosła go opierając na biodrze i przesypała do otwartej beczułki. - To znaczy, że otrzymamy egzemplarze przed pierwszą edycją katalogu i będziemy mogli ją reklamować.

- Naprawdę myślisz, że cały ten wysyłkowy interes będzie działał?

- Jestem pewna. - Serenity uśmiechnęła się. - Jakżeby nie? Mamy najlepszego doradcę na świecie.

- Chyba już jest za późno, żeby ci mówić, by twoje związki z nim były czysto zawodowe?

- Od kiedy to każdy w Witt's End zna pojęcie „czysto zawodowe”?

- Tego się obawiałam.

Serenity zerknęła na zegar składając w kostkę pusty worek.

- Powinnam się już przebrać na wyjazd. Nadszedł czas, żebym wstąpiła do najbliższej budki telefonicznej i wyszła z niej jako „Miss Miasta i Wsi”.

Dwie godziny później Serenity siedziała na przednim siedzeniu zielonego Jaguara Caleba i z zachwytem oglądała wjazd do Ventress Valley. Całe akry porządnie utrzymanych pól i farm, winnice i końskie rancza, a wszystko to na malowniczo pofałdowanych wzgórzach. Na drogach było więcej

samochodów dostawczych niż osobowych. Po polach uwijały się traktory.

W małym miasteczku było sporo sklepów z narzędziami i żywnością, kilka kościołów, kawiarni i jedna spora tawerna. Na wystawach sklepowych wystawiono dzinsowe ogrodniczki, flanelowe koszule w kratę i kowbojskie kapelusze.

- To tutaj dorastałeś? - zapytała Serenity, gdy Caleb wjechał na główną ulicę. - Ta okolica przypomina mi obrazki Normana Rockwella.

- Rockwell miał odpowiednią manierę nieokazywania tego, co się naprawdę dzieje pod skorupą takich małych miasteczek jak to - odpowiedział Caleb. W jego głosie nie było ani śladu emocji. -

Zawsze marzyłem, żeby się stąd wydostać. I kiedy tylko skończyłem szkołę, wyjechałem.

- Gdzie jest dom twojego dziadka?

- Jakies dwie mile za miasteczkiem.

- Jesteś pewien, że twoja rodzina się mnie spodziewa?

- Zdając sobie sprawę, że nigdy właściwie nie miała możliwości nauczenia się dobierania konwencjonalnych strojów, Serenity spakowała się na ten wyjazd niezwykle starannie. Nie chciała przynieść wstydu Calebowi przed jego krewnymi.

Ubierała się w kilka nadzwyczaj nieciekawych strojów, które uważała za swoją kolekcję z katalogu „Miss Miasta i Wsi”. Pomysł, jak się ubrać, żeby ludzie z zewnątrz nie unosili ze zdziwienia brwi na jej widok, był dla niej sporym problemem, dopóki go nie rozwiązała, zamawiając wszystko z tego katalogu. W ten sposób, jak przekonywała sama sobie, nie mogła popełnić błędu. Pozostawiona manowcom własnego wyboru, miałyby tendencję do unikania subtelnych wymagań modnej elegancji, których nigdy w pełni nie zdołała pojąć.

Ubrania, które wkładała, kiedy przyjeżdżała do Seattle na spotkania z Calebem, co do jednego pochodziły z katalogu, w którym zapewniano, że służy klientom preferującym „krawiecki styl klasyczny”. Dziś miała na sobie rzeczy z tego samego katalogu. Mogła więc być przekonana, że wygląda w nich całkiem normalnie. Na podróż w nieznanne ostępy środkowych Stanów

Zjednoczonych Serenity wybrała pumpy z wełnianej gabardyny w kolorze wielbłądziej sierści, a do nich kremową bluzkę z jedwabiu. Szykowne pozłacane kolczyki były umieszczone na tej samej stronie katalogu co spodnie i bluzka, tak więc mogła się spodziewać, że były dopasowane do stroju.

- Dzwoniłem do domu dziś rano i rozmawiałem z Dolores - poinformował ją Caleb. - Miała dopilnować, żeby przygotowano ci jeden z pokoi gościnnych.

- Kto to jest Dolores?

- Gospodyni dziadka. Ona i jej mąż, Harry, są z Rolandem od przeszło piętnastu lat. Harry zajmuje się stajniami.

Serenity z fascynacją obserwowała, jak drzwi kościoła z oryginalną wieżyczką otwierają się, by wypuścić na zewnątrz orszak ślubny. Druhny ubrane na różowo ustawiły się na stopniach. Panna młoda, która miała tradycyjny welon i piękną białą suknię, wyszła z kościoła ze śmiechem, a pan młody, wyglądający na odrobinę skrępowanego swym uroczystym strojem, chwycił ją za rękę i pociągnął do wesoło udekorowanego samochodu. Goście weselni obsypywali ich ryżem.

- Jaki piękny widok. Znasz tych ludzi? - Serenity wskazała na kościół.

Caleb zerknął na pana młodego.

- Nie znam dziewczyny, ale on to chyba Chuck Jackson. Był dwie klasy niżej ode mnie w szkole średniej. Po maturze przejął sklep ojca w miasteczku.

Serenity uśmiechnęła się tęsknie.

- Brałeś udział w ceremonii ukończenia szkoły?

- Jasne. - Zerknął na nią z zaskoczeniem. - Ty nie?

- Właściwie nie. Uczyli mnie w domu.

- Kto? - Caleb zmarszczył brwi.

- Chyba każdy z Witt's End. Od każdego się czegoś nauczyłam, nawet od Blade'a. I widać nieźle to funkcjonowało, bo śpiewająco zdałam egzaminy na studia. - Serenity zachichotała. - Ale tak strasznie chciałam mieć uroczystość zakończenia szkoły, że Witt's End mi ją urządziło.

- Tylko tobie?

- Uhm. Ariadne uszyła mi bilet i togę. Montrose grał marsza. Wszyscy byli obecni. Quinton wygłosił natchnioną przemowę na temat przyszłości płaszczyzn matematycznych i o wszechświecie w ogólności, której nikt z nas nie zrozumiał. Ale najlepszy był ten moment, kiedy dostałam wszystkie nagrody. Bo nie było konkurencji.

Caleb przyjrzał się jej z pewnym zdumieniem.

- To wszystko brzmi trochę dziwnie.

- Nie śmieję się. Musiałam nawet wygłosić mowę pożegnalną.

- Nie wygłupiaj się.

Serenity spojrzała na niego niepewnie.

- Coś nie w porządku?

- Nie.

Czuła, że skłamał, ale postanowiła nie drażnić tego tematu. Intuicja jej podpowiedziała, że jeśli będzie nalegać na wyjaśnienia, on i tak zaprzeczy, że pojawił się problem. Z każdą przejechaną milą Caleb stawał się coraz bardziej zamyślony i małowówny. Im bardziej się zbliżali do Ventress Valley, tym bardziej był powściągliwy i chłodny. Serenity zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełniła błędu zgadzając się mu towarzyszyć w wizycie rodzinnej.

Dwa dni temu w przypiływie gwałtownej namiętności wszystko wydawało się zupełnie jasne i przejrzyste. Ale dzisiaj była zmuszona przyznać, że jej układ z Calebem był jak dawniej przysłonięty woalem mgły mieszanych uczuć.

- Założę się, że zmieniłeś zdanie o Ventress Valley po tylu latach nieobecności - zagadała do niego.

- Nie, prawdę mówiąc, wcale. Nadal nienawidzę tego miejsca.

Ukradkiem zerknęła na jego profil jak z granitu. Caleb wyglądał tak, jakby szykował się do walki.

- To twoje rodzinne strony. Tu się urodziłeś i wychowałeś. Nie mów mi, że od czasu do czasu nie ogarnia cię uczucie nostalgii.

- Równie dobrze mógłbym marzyć o najciemniejszym zakątku piekieł.

Serenity była zbита z tropu tym radykalnym komentarzem.

- A co ci się tu właściwie tak bardzo nie podoba?

- Nieważne.

- Czy przydarzyło ci się tu coś okropnego?

- Nie.

- No to dlaczego tak nienawidzisz tych stron?

- Zostaw to, Serenity. - Caleb skrzywił z głównej szosy w wąską ubitą drogę. - Nie powinienem w ogóle rozmawiać z tobą na ten temat. Nie chcę dyskutować o Ventress Valley ani o moim dzieciństwie.

Serenity skrzyżowała ręce i usiadła głębiej w fotelu.

- Zrozumiałam. O rany, zapowiada się wesoła podróż.

Nie wiem, jak ci wyrazić wdzięczność za zaproszenie. Możesz mi przypomnieć, kiedy wracamy?

Caleb zacisnął dłonie na kierownicy.

- Cholera jasna. Słuchaj, nie miałem zamiaru na ciebie warczeć. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

Nigdy nie tracę opanowania.

- Cha, cha, cha! Nie wciskaj mi kitu. Dostatecznie często widziałam, jak je tracisz. - Zauważyła w oddali ogromny, piękny starodawny dom i natychmiast zapomniała o kłótni z Calebem. - Dobry Boże, czy to twój dom?

- Mojego dziadka. Tu się wychowałem. Nie uważam go za dom.

- Masz rację. To raczej pałac. Sprawia takie wrażenie, jakby był umieszczony na liście zabytków. Dom wznosił się nad zielonymi trawnikami, pośród wysokich drzew. Parter i piętro były okolone galeriami. W oddali, za białym drewnianym płotem, pasły się konie z błyszczącą sierścią.

- Mówiłeś, że twój dziadek hoduje konie? - Serenity z zachwytem oglądała okolicę.

- Araby.

- Proszę, proszę, tradycjonalista. - Zaśmiała się. - Jeździsz konno?

- Tak.

- Zieleniałabym z zazdrości, gdybym cię znała, kiedy miałam dwanaście lat. Wtedy strasznie chciałam mieć kucyka.

- Rozumiem, że go nie dostałaś?

- Nie. Julius jednak dał mi cudownego psa. - Uśmiechnęła się. - Zobacz, prawdziwa stodoła!

- To stajnie.

- Stajnie - poprawiła się. - Pewnie z sianem i tym wszystkim, co?

- Jeśli ma się konie, to zazwyczaj trzeba mieć siano pod ręką.

- Ojej, proszę, proszę, klasyczne wiejskie życie. Nie do wiary! Prawdziwy kawałek Ameryki. Założę się, że tu wszyscy nadal opychają się krwistą wołowiną. Obiecuj mi, że przed wyjazdem zabierzesz mnie na gruntowne zwiedzanie.

- Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że to wszystko wygląda jak komedia pod tytułem: „Serenity odwiedza stany środkowe Ameryki”.

- Nie śmieję się. Podróże kształcą.

Caleb spojrział na nią dość dziwnie i skręcił w podjazd wysadzany drzewami.

- To są wschodnie rubieże stanu Waszyngton, nie krańce Mongolii.

- Jedno i drugie to dla mnie obce kraje - zwyczajnie stwierdziła Serenity.

Kiedy Caleb zaparkował Jaguara na okrągłym podjeździe, drzwi do domu Ventressów otworzyły się i pojawiła się w nich kobieta w fartuchu zawiązanym na sukience w kwiaty. Na głowie miała siwe loczki, a na nogach buty, jakie preferują ludzie, którzy większość czasu spędzają na stojąco.

- Oto Dolores. - Caleb wysiadł z samochodu. Podchodząc do drzwi od strony Serenity, uniósł rękę na powitanie.

- Najwyższa pora, młody człowieku - zawołała wesoło Dolores. - Twój dziadek już się zaczynał martwić.

- Wątpię. - Caleb otworzył drzwi Serenity. - Bardziej prawdopodobne, że był zły.

- To także. - Dolores ciepło się uśmiechnęła do Serenity. - To chyba jest panna Makepeace?

- Owszem. Serenity, to jest Dolores.

- Witam panią. - Serenity zgrabnie wysunęła się z samochodu. - Jaki piękny dom!

- Dziękuję. Jeden Bóg wie, że się zaharowuję na śmierć, żeby tak wyglądał. I nikt mi za to nawet nie podziękuje. Proszę do środka, panno Makepeace. Zaprowadzę panią do pokoju, żeby się pani mogła odświeżyć, zanim pozna pani resztę rodziny.

Caleb wyjął z kufra walizki.

- Wszyscy już przyjechali?

- Tak. Mniej więcej przed godziną. Czekaliśmy już tylko na ciebie i pannę Makepeace. - Dolores

uśmiechnęła się do Caleba. - Wiesz, że dziadek niczego by nie zaczął, dopóki nie przyjedziesz.

- Masz szczęście, że należysz do tak zżytej ze sobą rodziny - szepnęła Serenity do ucha Calebowi, kiedy wchodzili na górę.

- Tak Ventressowie wyglądają - zgodził się Caleb. - Jak jedna wielka szczęśliwa rodzina.

Po piętnastu minutach, odświeżona i pewna siebie dzięki strojowi z „Miss Miasta i Wsi”, Serenity szła przez długi hall do wielkiego pokoju we frontowej części domu. Niosła mały prezent, który przywiozła Rolandowi Ventressowi.

Po pokonaniu niezmierzonej wręcz odległości skręciła w bok i znalazła się twarzą w twarz z grupą ludzi, którzy, jak sądziła, co do jednego byli Ventressami. Patrząc na nich wszystkich razem, z łatwością się dostrzeżało podobieństwo. Byli wysocy, ciemnowłosi, cechowała ich pewność siebie i postawa charakterystyczna dla członków dumnego, arystokratycznego klanu.

Serenity wzięła głęboki oddech i próbowała przywołać w pamięci umiejętności rozwinięte podczas przyjęć uczelnianych w Bullington College.

- Witam - rzuciła w przepastne głębie salonu.

Przez mały tłumek przebiegł cichy pomruk. Wszyscy się odwrócili, by na nią popatrzeć.

Caleb stał przy oknie i rozmawiał półgłosem z siwowłosym mężczyzną, który z pewnością był jego dziadkiem. Na dźwięk głosu Serenity momentalnie odwrócił głowę i spojrzał na nią badawczo.

- Sir, oto Serenity Makepeace. Serenity, to jest mój dziadek, Roland Ventress.

- Miło mi pana poznać, panie Ventress. - Serenity uśmiechnęła się patrząc z zaciekawieniem na starszego mężczyznę.

Caleb powiedział jej, że dziadek obchodzi osiemdziesiąte drugie urodziny, ale tego człowieka otaczała aura takiej żywotności, że sprawiał wrażenie o wiele młodszego. Był niemal tego samego wzrostu co Caleb, a prostych pleców ani trochę nie przygarbiły lata pracy na farmie. Oczy - piwne, a nie szare jak u Caleba, były baczne - o ostrym spojrzeniu.

- Panno Makepeace. - Roland skłonił głowę w staromodnym geście. W głosie wyczuwała leciutki zachodni akcent. - Cieszę się, że mogła pani do nas dołączyć. Proszę pozwolić, że przedstawię pani resztę rodziny. - Kiwnął głową w kierunku przystojnej, ale raczej dość przeciętnej kobiety w średnim wieku, ubranej w granatowy żakiet i niebiesko-białe pumpy.

- To moja siostrzenica, Phyllis Tarrant.

- Miło mi poznać, panno Makepeace - powiedziała Phyllis z chłodną uprzejmością. Przyglądała się Serenity z leciutkim wyrazem dezaprobaty.

Roland wskazał tęgiego mężczyznę, który stał obok Phyllis.

- Jej mąż, Howard. Zajmuje się nieruchomościami.

- Bardzo mi miło, panie Tarrant... - Serenity grzecznie się ukloniła.

Howard kilkakrotnie kiwnął głową i uśmiechnął się życzliwie.

- Mój bratanek, Franklin Ventress - kontynuował Roland.

- Prezes zarządu Banku Ventress Valley. Jego żona, Beverly.

Serenity uśmiechnęła się, po czym rzuciła Calebowi króciutkie, karcące spojrzenie. Ani słowem nie wspomniał, że jego rodzina zajmuje się również bankowością. Caleb lekko wzruszył ramionami.

- Panno Makepeace. Tak się cieszę, że mogła pani przyjechać z Calebem - powiedziała Beverly z czarującym wdziękiem, który Serenity natychmiast skojarzyła z profesjonalną oglądą żon nauczycieli akademickich.

Franklin, dystyngowany mężczyzna po pięćdziesiątce, był za młodu bez wątplenia pozeraczem serc niewieścich. Miał owe charakterystyczne dla większości rodziny ciemne oczy, a niegdyś czarne włosy teraz niemal całkowicie przyprószyła siwizna.

- Miło mi panią poznać, panno Makepeace.

- Mnie również, panie Ventress.

Franklin przejął na siebie dalszy ciąg ceremonii prezentacji.

- Oto córka Howarda i Phyllis, Jessica, i jej mąż, Sam.

Sam jest współnikiem w miejscowej firmie prawniczej.

Ta dwójka młodych to ich latorośle.

Serenity skinęła głową, próbując przebrnąć bez uchybień przez tę całą ceremonię. Uśmiechnęła się do dzieci, które wyglądały na siedem i pięć lat, z prawdziwym szacunkiem. Dzieciaki zachichotały.

W oczach Franklina błysnęła rodzicielska duma, kiedy kiwnął w kierunku przystojnego mężczyzny koło trzydziestki.

- Mój syn, Peter. Razem z żoną Laurą, oto ona, kierują piwnicami winnic Ventress. Być może spotkała się pani z tą nalepką. Ich cabernety dostawały złote medale przez ostatnie trzy lata.

- Ależ tak, oczywiście - gładko skłamała Serenity. - Moje gratulacje.

Peter uśmiechnął się.

- Dziękuję. Bardzo nam miło. Winnice Ventress są stosunkowo nowym przybyszem w grupie znanych win, ale mamy wrażenie, że mieliśmy dobry start.

- Dzięki Calebowi. - Laura, atrakcyjna szatynka z niebieskimi oczami, uśmiechnęła się do Serenity. - To on zadbał o rozkręcenie naszej firmy. Caleb jest bardzo dobry w tych sprawach.

- O tak, wiem - mruknęła Serenity. Uśmiechnęła się do Laury i pozostałych i szybko w myślach dokonała podsumowania. Nieruchomości, bankowość, prawo, piwnice win, farma hodowlana arabów i miasto, noszące imię rodziny. Raz jeszcze wzięła głęboki oddech, sądząc, że jej własna wersja „Miss Miasta i Wsi” sprostą pokładanym w niej nadziejom.

- Sherry czy whisky, Serenity? - Caleb podszedł do tekowego wózka z alkoholami i podniósł butelkę.

- Poproszę sherry. - Zobaczyła, że Caleb miał w szklance whisky. Nagle przypomniała sobie o kolorowo zapakowanej paczuszce, którą trzymała w ręku.

- A to co? - zapytał Caleb przechodząc przez pokój, by jej podać drinka.

- Prezent dla twojego dziadka. - Pokrzepiła się solidnym haustem sherry. - Przecież mówiłeś, że to będzie przyjęcie urodzinowe, prawda?

Caleb zmarszczył czoło.

- Tak, ale nikt nie oczekiwał, że przywieziesz prezent.

- Kiedy się przychodzi na czyjeś urodziny, to się przynosi prezent. Taka jest tradycja. Obawiam się tylko, że nie miałam zbyt wiele czasu, żeby dokonać odpowiedniego wyboru. Musiałam zgarnąć parę rzeczy z półek w sklepie.

- To nie ma znaczenia - zapewnił ją Caleb. - Nie powinnaś tym sobie w ogóle zawracać głowy.

Serenity zignorowała jego zapewnienia i radośnie się uśmiechnęła do Rolanda.

- To dla pana, panie Ventress. Gdzie mogę to położyć?

- Dolores zabierze i położy razem z innymi prezentami - zakomenderowała prędko Phyllis, zanim Roland zdążył odpowiedzieć.

- Nie - sprzeciwił się Roland. Przez parę sekund przyglądał się Serenity. - Sądzę, że rozpakuję go teraz, panno Makepeace. Ciekawość mnie zżera.

- Mnie też - przyznała. - Zawsze gdy dostaję prezent, muszę go natychmiast rozpakować. - Zdając sobie sprawę z niezadowolenia Phyllis, Serenity szybko podeszła do stojącego przy oknie Rolanda. - I proszę mówić mi po imieniu.

- Zgoda, Serenity. - Roland wychylił do końca whisky i obrócił prezent w rękach. - To miło, że mi przywiozłaś prezent.

- Mam nadzieję, że się panu spodoba. - Przyglądała się, jak odwiązywał zieloną wstążeczkę i darł papier, by wyjąć tekturowe pudełko.

- Co my tu mamy? - Roland uniósł pokrywkę pudełka i przyglądał się leżącym w środku wyrobom.

- To zestaw produktów z mojego sklepu - wyjaśniła Serenity. - Butelka najlepszego octu ziołowego do sałatek, cytrynowa i pomarańczowa konfitura z kawiarni Pod Słonecznikiem, paczka mieszanych suszonych fasoli i przepis na najwspanialsze chili oraz trochę domowej mieszanki płatków owsianych. Lubi pan płatki?

- Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek próbował.

- Te są najlepsze na świecie. Proszę zapytać Caleba, on ich próbował.

Roland podejrzliwie popatrzył na wnuka.

- Czy to prawda?

Caleb po raz pierwszy od chwili wyjazdu z Witt's End przejawiał leciutkie oznaki rozbawienia.

- Nie zapomnij dolać mleka. W innym wypadku bywa trochę za sucha.

- Na litość boską, Caleb. - Serenity popatrzyła na niego oburzona. - Jestem pewna, że twój dziadek wie, że do płatków należy wlać mleko!

Caleb nie powiedział ani słowa.

- Dziękuję ci, Serenity - powiedział Roland. - Spróbuję tych różnych produktów. Wydaje mi się, że powiedziałaś jakoby wszystkie pochodziły z twojego sklepu?

- Zgadza się.

- I gdzie to jest? - zapytał.

- W Witt's End. Nigdy pan nie słyszał?

- Nie sądzę - odparł Roland.

- A ja chyba tak - poinformowała ich Jessica. - To mała osada w górach Cascade, prawda?

Serenity była mile połączona.

- Tak. Była tam pani kiedyś?

- Nie - zaprzeczyła Jessica. - Czasami jeździmy na narty w pobliską okolicę.

- Czy pani rodzina mieszka tam od dawna? - zapytał Peter.

- Ja się tam urodziłam - odpowiedziała z dumą Serenity. - Jestem pierwszą i jak dotąd jedyną osobą urodzoną w Witt's End.

- Naprawdę? - Roland przyglądał się jej z uwagą. - A twój ojciec? Czy on prowadził sklep, zanim go przejął?

- Och, nie. - Serenity wypięła łyce sherry. - Sama otworzyłam swój sklep trzy lata temu.

- A czym zajmował się twój ojciec? - drążył temat Roland.

Serenity uświadomiła sobie, że została poddana przesłuchaniu. Wiedziała, że ludzie ze świata Caleba uważają takie grubiańskie pytania za całkiem normalne, ale ona została wychowana w innych kanonach społecznych. W Witt's End nikt nie zadawał tak osobistych pytań, dopóki nie został do tego upoważniony. Ale jednak, skoro wpadł między wrony, upomniała się...

- Julius zajmuje się pracą w drewnie - odpowiedziała, nie chcąc obciążać konwersacji długimi tłumaczeniami, w jaki sposób nazwisko Juliusa znalazło się na jej metryce urodzenia.

- I motocyklami - mruknął Caleb.

Roland spojrzał chmurnie.

- Motocyklami?! Sprzedaje je?

- Nie, po prostu je lubi - wyjaśniła Serenity. - On i Bethanne mają Harleye-Davidsony. Julius lubi się przechwalać, że w młodości jeździł z takimi różnymi typami w gangu motocyklowym, ale tak między nami, to zawsze słucham tych opowieści z przymrużeniem oka.

Phyllis wlepiła w nią wzrok.

- W jaki sposób, na Boga, twój ojciec może się utrzymać z pracy w drewnie?

Serenity wypła jeszcze jeden łyk sherry i dopiero teraz poczuła rozluźnienie. Doszła do wniosku, że ci ludzie nie są tak naprawdę grubiańscy, są po prostu zaciekawieni.

- Julius i Bethanne jeżdżą na wiosnę i latem po targach rzemieślniczych.

Franklin zacisnął dłoń na szklance.

- Objeżdżają targi rzemieślnicze?

- Sprzedają swoje wyroby na różnych targach wzdłuż całego wybrzeża stanu - wyjaśniła Serenity z ochotą.

Phyllis wydeła wargi.

- Chce pani powiedzieć, że sprzedają jakieś kiczowate paskudztwa na tych tanich bazarach sztuki i rzemiosła?

Wszystkie rozpaczliwe starania Serenity, by okazać się wobec nich tolerancyjną, prysnęły w mgnieniu oka.

- Julius i Bethanne są niezwykle utalentowanymi artystami. Nie sprzedają żadnej kiczowatej tandety! Jessica zaczerwieniła się.

- Matka nie chciała pani urazić. Była tylko trochę zaskoczona, to wszystko.

Phyllis zerknęła na Caleba.

- Poznałeś tych ludzi, Caleb?

- Nie - odparł. - Chwilowo nie ma ich w kraju.

- Nie ma ich w kraju? - Brwi Rolanda powędrowały wysoko w górę. - A cóż oni robią za granicą?

- Sądzę, że są w podróży poślubnej, sir. - Caleb spojrział na Serenity. - Mam rację?

- Owszem. - Serenity stopniowo odzyskiwała opanowanie. Ze względu na Caleba musi być uprzejma!

- Pobrali się przed miesiącem.

Laura sprawiała wrażenie otumanionej.

- Nie rozumiem. Czy dla któregoś z nich to było drugie małżeństwo?

- Nie - odpowiedziała Serenity. - Pierwsze dla nich obojga. Żyli ze sobą od piętnastu lat i Bethanne w końcu doszła do wniosku, że nadszedł czas, by wziąć ślub.

Nastąpiła krótka, wręcz namacalna cisza. Roland wypił potężny łyk whisky.

- Jak poznałaś mojego wnuka?

- Poznaliśmy się, kiedy go wynajęłam na doradcę do mojej nowej firmy wysyłkowej - wyjaśniła. - Tak było, Caleb, prawda?

- Tak. - Caleb badawczo wpatrywał się w swoją whisky.

- Nie stać jej było na moje honorarium, więc podpisaliśmy umowę o wspólnym prowadzeniu firmy. Kiedy wyjdzie katalog i rozkręcę firmę, będę partycypował w zyskach. Znakomity interes, którego nie mogłem przegapić.

Roland miał coraz bardziej wściekłą minę.

- Jaki diabeł podkusił cię do współudziału w firmie wysyłkowej?

- Lokuję pieniądze w różnych przedsięwzięciach.

Nastąpiła kolejna niezręczna chwila ciszy.

Phyllis z hałasem odstawiła szklaneczkę z sherry na politurowany dębowy stół.

- To niedorzeczne. O co tu chodzi, Caleb? Z pewnością nie mówiłeś serio o współudziale w przedsięwzięciu panny Makepeace.

- Całkiem poważnie, ciociu Phyllis. Mam podpisaną umowę - powiedział cicho Caleb. - To bardzo interesujący projekt. Ostatnio zajmował mi wiele czasu, praktycznie wręcz przeniósłem się do Witt's

End.

Serenity spojrzała na niego. Przez moment wydawało się jej, że widzi w jego oczach zimny gniew i jeszcze chłodniejszą dumę, jako reakcję na dezaprobatę i zaskoczenie rodziny. Miała nieprzyjemne wrażenie, że między nim a resztą rodziny powstała niewidzialna linia frontu.

Spojrzenie Caleba po chwili złagodniało, zdążyło jednak zasiać w umyśle Serenity mocno niepokojące podejrzenia. Być może Caleb nie przywiózł jej tutaj, by ją przedstawić rodzinie z czysto konwencjonalnych, tradycyjnych powodów? Może chciał ją wykorzystać jako pionek w niezrozumiałej grze, którą prowadził z krewnymi?

Ludzie z tego zewnętrznego świata funkcjonują w innym systemie wartości. Czasami zawile subtelności tych gier były dla Serenity niezauważalne. Tak czy owak powinna wytłumaczyć Calebowi, że nie ma zamiaru dać mu się wykorzystać.

Rozdział 8

Tandetna szkatułka na biżuterię tkwiła w tym samym miejscu, gdzie ją zostawił w wieczór swych osiemnastych urodzin. Caleb odsunął tylną ściankę biurka i sięgnął do środka. Palce dotknęły szkatułki. Powoli ją wyciągnął i obejrzał w świetle nocnej lampki. Wyglądała jeszcze tandetniej, niż ją zapamiętał. Dwa sztuczne kamienie obluzowały się. Falszywa pozłotka wytarła się niemal doszczętnie i wyblakła. Zewnętrzna powłoka z niebieskiego winylu wypłowiwała, miejscami popękała i złuszczyła się.

Caleb odłożył szkatułkę na nocny stolik i usiadł na łóżku. Pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i badawczo przyglądał się jedynej rzeczy, jaką odziedziczył po matce. Roland dał mu tę szkatułkę w dniu jego osiemnastych urodzin. Wtedy po raz pierwszy Caleb zdał sobie sprawę, że dziadek pozwolił, by w ogóle cokolwiek zostało po Crystal Brooke.

- Tam jest wszystko - powiedział wręczając ją wnukowi. - Cała ta przeklęta historia o tym, jak ta kobieta uwiodła i zniszczyła twojego ojca. Trzymałem te parszywe wycinki tylko po to, żebyś zobaczył, że tej dziwce omal się nie udało zniszczyć naszej rodziny.

- Dlaczego mi to dajesz, dziadku? - Caleb patrzył na szkatułkę i widział w niej puszkę Pandory.

- Dlatego, że zawiera prawdę. Mężczyzna winien stawić czoło prawdzie bez mrugnięcia powieką. A ty już jesteś mężczyzną, Calebie.

- Tak, sir. - Caleb chwycił szkatułkę, jakby była z roztopionego ołowiu. Parzyła go w ręce.

- Całe życie hodowałem konie. - Roland stał w oknie salonu i spoglądał na padok, gdzie pasł się jego ulubiony, wielokrotnie nagradzany ogier, Windstar. - I nauczyłem się jednego: że krew się zawsze odzywa. Wiele razy już ci to powtarzałem. Caleb zaciskał palce na szkatułce tak mocno, że omal nie pękła. Rzeczywiście, słyszał już tę przemowę wielokrotnie.

- Tak, sir.

- Masz w sobie jej krew. Temu się nie da zaprzeczyć. Krew taniej dziwki, nawet nie kurwy z klasą. Ale jednocześnie w twoich żyłach płynie krew Ventressów, Calebie. A Ventressowie to silna rasa. Bóg jeden wie, że zrobiłem co mogłem, by mieć pewność, że krew Ventressów u ciebie przeważa. Caleb miał gardło ściśnięte ślepą furją, ale twarz spokojną jak zawsze.

- Zdaję sobie z tego sprawę, sir.

- I myślę, że mi się udało. - W głosie Rolanda brzmiała nuta satysfakcji. - Wiem, że czasami byłem dla ciebie za surowy, ale to było dla twojego dobra.

- Tak, sir.

- Powiem ci prawdę, Calebie. W tym, co się stało przed laty, była także część mojej winy. Franklin ma rację, mówiąc, że byłem zbyt pobłażliwy dla Gordona, kiedy dorastał. Twój ojciec był moim

jedynym synem i chciałem, żeby miał wszystko. I to był poważny błąd. Moja pobłażliwość osłabiła jego poczucie obowiązku i odpowiedzialności. To go uczyniło podatnym na wpływy. I kiedy ona się pojawiła, był dla niej łatwą zdobyczą.

- Wiem. Już mi to mówiłeś.

- Ale, na Boga, nie popełniłem tego samego błędu wobec ciebie! Zrobiłem wszystko, by mieć pewność, że rozumiesz, co to znaczy być Ventressem, czego się od ciebie oczekuje.

Teraz wyjeżdżasz na studia. Przyszłość rodziny Ventressów leży w twoich rękach. Nigdy o tym nie zapominaj.

- Zrobię, co w mojej mocy, sir.

Roland odwrócił się i popatrzył na wnuka, w oczach miał błysk determinacji.

- Oczywiście, że się postarasz. Ventressowie zawsze robią wszystko, co w ich mocy. Przyniesiesz zaszczyt temu nazwisku.

- Tak, sir.

- A kiedy nadejdzie pora - kontynuował Roland stanowczo - ożenisz się z odpowiednią kobietą, kobietą, która będzie absolutnie bez zarzutu, która na powrót wniesie do tej rodziny silną, czystą krew. Wybierzesz kobietę, która będzie absolutnym przeciwieństwem tej prymitywnej dziwki, która cię urodziła. Zrozumiałeś mnie, Calebie?

- Tak, sir.

Ciche skrobanie na zewnętrznej galerii okalającej sypialnię Caleba wyrwało go z zamyślenia.

Odepchnął wspomnienia i wstał z łóżka. Ciche, ale stanowcze pukanie do drzwi balkonowych usłyszał w momencie, gdy chwycił za klamkę.

- Caleb? - rozległ się ledwie słyszalny głos Serenity. - Jesteś tam?

Kiedy otworzył balkon, zobaczył na galerii Serenity ubraną w szlafrok i kapcie. Włosy miała zebrane w luźny węzeł na czubku głowy. Ta fryzura podkreślała wdzięczną linię szyi. Dziewczyna trzęsa się z zimna.

Caleb na jej widok poczuł narastające uczucie wewnętrznego ciepła. Dobrze, że przyszła - tylko ona mogła oderwać jego myśli od tej szkatułki.

- Fajnie cię widzieć - powiedział ciepło.

- Mogę wejść? Okropnie zimno.

- Proszę uprzejmie. - Przytrzymał jej drzwi. - Nie spodziewałem się ciebie.

- Muszę z tobą porozmawiać.

Caleb powoli zamykając balkon uniósł brew z lekkim zdziwieniem.

- Stało się coś?

- Nie wiem. Właśnie o to chcę cię zapytać. Muszę ci zadać kilka pytań. - Serenity urwała na widok szkatułki leżącej na stoliku. - Co to jest? Wygląda jak damska szkatułka na biżuterię.

- Bo jest. Należała do mojej matki.

- Naprawdę? - Serenity podeszła bliżej i wzięła ją do ręki. - Jest śliczna.

- To tylko tandetny plastik.

- Co to ma za znaczenie? - Serenity z podnieceniem i ciekawością uważnie oglądała szkatułkę. - Twoja matka prawdopodobnie używała jej do przechowywania rzeczy, które były dla niej bardzo ważne. Wyobrażam sobie, że to pudełko wiele dla niej znaczyło, a więc i dla ciebie też musi być bardzo ważne, bo należało do niej.

- Nie jestem sentymentalnym typem.

Uśmiechnęła się bardzo znacząco, jakby wiedziała więcej niż on.

- Ależ jesteś. Jesteś bardzo uczuciowym człowiekiem.

To jedna z cech, która mi się w tobie spodobała na samym początku.

- Na samym początku spodobało ci się to, że mogę ci pomóc w założeniu i rozkręcaniu firmy.

Serenity popatrzyła na niego z irytacją.

- Co się dzisiaj z tobą dzieje? Od chwili, gdy wyjechaliśmy z gór, jesteś w absolutnie obrzydliwym humorze.

- Wybacz, ja nie miewam humorów. W gruncie rzeczy, nie mam w ogóle humoru. - Caleb wyjął jej szkatułkę z rąk. Otworzył najniższą szufladę biurka i schował w niej pudełko.

- Weźmiesz ją jutro ze sobą, kiedy wyjedziemy?

- A niby po co? - Zasuwał szufladę.

- Dlatego, że ma dla ciebie wielkie znaczenie. - Serenity dotknęła gryfa na szyi. - Wszyscy odczuwamy potrzebę posiadania kilku rzeczy, które mają dla nas szczególne znaczenie. Nikt nie powinien starać się żyć w próżni, Caleb.

- Skończmy już z tą szkatułką. Miałaś jakieś pytania?

- Ach, tak. - Zmarszczyła czoło. - Chcę wiedzieć, dla czego mnie tu przywiozłeś.

- To chyba jasne. Jesteśmy ze sobą, więc chciałem, żebyś poznała moją rodzinę. - Poglaskał ją palcem popoliczku. - Jestem konwencjonalnym facetem, zapomniałaś?

Ta zwyczajna pieśczoła podnieciła go. Szeroka wyrwa, jaka powstała w głębi jego duszy w chwili wyjęcia szkatułki ze schowka, teraz się zasklepiła. Stary, zapiekły gniew został bezpiecznie upchnięty w głąb i zamknięty za stalową bramą. Caleb znowu był sobą. Zdawał sobie sprawę, że Serenity dostrzegła w jego oczach pożądanie, bo głęboko odetchnęła i cofnęła się o krok. Uśmiechnął się. Nie umiała nic ukryć. Nie miała takiej praktyki jak on w ukrywaniu uczuć.

- Chodzi o to, że nie jestem pewna, czy to był prawdziwy powód - powiedziała. - A przynajmniej nie w tym konwencjonalnym znaczeniu.

- Nie?

- Nie. Wyglądało na to, że niemal marzyłeś o tym, żeby mnie nie zaakceptowali. A ja z całych sił próbowałam wyrzeć dobre wrażenie.

- I wywarłaś.

- No, robiłam co mogłam, ale ty mi tego nie ułatwiałeś.

Nie podobało mi się to wszystko, co zaszło dziś wieczorem, Caleb. Odniosłam wrażenie, że kpisz z własnej rodziny.

- Kpię? Z nich?

- Kpisz, szydzisz, nazwij to jak chcesz. - Serenity machnęła ręką ze zniecierpliwieniem. - Wydawało mi się, że chcesz ich sprowokować, i wykorzystałeś mnie w tym celu.

- Po co miałbym prowokować własną rodzinę? - Pod szedł do niej i tym razem zirytowało go, że znowu się cofnęła o krok.

- Nie wiem. - Cofając się pod ścianę patrzyła mu w oczy. - Ale sporo myślałam, zanim tu przyszedłam. I mimo woli przypomniałam sobie, jak gwałtownie zareagowałeś na te zdjęcia, które mi zrobił Ambrose.

- Co te cholerne zdjęcia mają do rzeczy? - Calebowi nie podobał się kierunek, w jakim zdążały wnioski z przemyśleń Serenity. Instynktownie chciał zbić ją z tropu. Oparł się rękami o ścianę po obu stronach dziewczyny, przygważdżając ją w pułapce. Podniosła głowę do góry.

- Przyszło mi do głowy, że twój dziadek byłby jeszcze bardziej wściekły niż ty, gdyby kiedykolwiek się o nich dowiedział. Cóż, on jest w końcu z zupełnie innego pokolenia. Założę się, że jest jeszcze bardziej pruderyjny i konwencjonalny niż ty.

- Nie przejmuj się. On się nie dowie o tych zdjęciach.

- Ale jeśli kiedykolwiek ta sprawa wyjdzie na jaw, to będzie bardzo przygnębiony - upierała się Serenity. - Być może wtedy w ogóle mnie nie zaakceptuje. Będzie chciał, żebyś się przestał ze mną spotykać.

Caleb zacisnął zęby.

- Chcesz powiedzieć, że choć przez sekundę przychodziło ci do głowy, że zakończę naszą znajomość, bo mój dziadek cię nie zaakceptuje? Musisz coś zrozumieć, Serenity. Bardzo wiele robię dla tej rodziny, ale nie pozwolę im na wtrącanie się w moje sprawy osobiste.

- Bardziej się martwię, że możesz zakończyć ze mną znajomość na oczach własnej rodziny.

Obserwowałam cię dzisiaj. Wyglądało na to, że zależy ci wręcz na tym, żeby mnie odrzucili.

- A niech ich wszystkich szlag trafi! - Chwycił ją za brodę i zamknął jej usta pocałunkiem. Nie walczyła z nim, ale też nie odpowiedziała na ten pocałunek tak jak ostatnim razem. Czekwała tylko, aż Caleb skończy ją całować. Kiedy wreszcie podniósł głowę, oddychał ciężko i gwałtownie.

- Serenity, to nie ma nic wspólnego z moim dziadkiem.

- Jesteś pewien?

- Jak cholera.

- Caleb, ja mówiłam poważnie. - Próbowała spojrzeć mu w oczy. - Nie pozwolę, żebyś się mną posługiwał w jakiejś prywatnej wendecie, której, być może, zamierzasz dokonać na rodzinie.

- Pragnę cię - mruknął jej w okolice ucha. - Przywiozłem cię tutaj, żeby cię przedstawić dziadkowi. Wychowałem się w rodzinie pielęgnującej tradycyjne wartości i obrządek i wszyscy się po mnie spodziewają, że będę je respektował. Ale nic, co Roland Ventress powie lub zrobi, nie będzie miało wpływu na to, co jest między nami.

Jasne?

Wahała się przez moment, po czym nieznacznie się rozluźniła. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Słowo honoru?

- Słowo honoru - wyszeptał.

Kiedy zdał sobie sprawę, że powiedział te słowa absolutnie na serio, uderzyło to w niego z siłą fali przyboju. Pragnął Serenity bardziej niż czegokolwiek i kogokolwiek w życiu. Była jednym z niewielu pożądanых obiektów, które chciał mieć tylko dla siebie, nie po to, by zadowolić dziadka ani zaspokoić nieustanne pretensje tego starca do perfekcji i sukcesu.

Caleb zdawał sobie sprawę, że przez uczucie do Serenity jest podatny na ciosy, i to w takim stopniu, jaki nigdy przedtem nie miał miejsca. Ta dziewczyna miała nad nim większą władzę niż jakakolwiek kobieta dotychczas. Ale jednocześnie Caleb miał pewność, że da sobie z tym radę. Jeśli rzeczywiście nauczył się czegoś dorastając w domu dziadka, to tego, w jaki sposób panować nad emocjami. Co więcej, nie miał zamiaru popełnić tego samego błędu co ojciec. Nie pozwoli, żeby kobieta, żadna kobieta, zniszczyła mu życie. Nawet Serenity nie ma nad nim takiej władzy!

- Caleb?

- Pocałuj mnie. - Uwięził ją w uścisku rąk i dotknął ustami jej warg. Tym razem jednak raczej się przymilał niż atakował, nalegał, a nie żądał.

Serenity rozluźniła zamknięte wargi i oddała pocałunek. Objęła go w talii i przywarła do niego całym ciałem. Caleb poczuł wzbierającą falę pożądania. Wsunął rękę pod jej szlafrok i dotknął słodkiej, nabrzmiałej piersi. Serenity zadygotała. Pragnęła go! Ta świadomość rozpałała mu krew do białości. Nie przerywając pocałunku, Caleb zaczął się przesuwac w stronę łóżka. Z początku Serenity odczo poddawała się jego woli, ale po dwóch krokach zaparła się piętami o dywan.

- Nie - szepnęła wrywając się z jego objęć. - Nie możemy.

- A to dlaczego? - Nie chciał się z nią kłócić. Myślał tylko o zaciągnięciu jej do łóżka. - Tamtej nocy

miałem wrażenie, że zmieniłaś zdanie, chciałaś, żebym cię kochał.

Zerknęła na niego pochmurnie, szybko poprawiając swoje ubranie.

- To nie ma znaczenia, czego chcę lub nie. W każdym razie nie dzisiaj. Jestem pewna, że to by stanowiło straszliwe naruszenie dobrych manier w pojęciu twojego dziadka. Ludzie z jego pokolenia nie aprobują takiego zachowania. Tylko w ten sposób możemy uszanować jego zasady, kiedy jesteśmy pod jego dachem.

- Cholera jasna, Serenity! Mówiłem ci, że mnie nic nie obchodzi, co on sobie pomyśli!

- Tak, wiem, ale ja jestem jego gościem i czuję, że powinnam się zachowywać zgodnie z jego zasadami.

Sprawił na mnie wrażenie bardzo staroświeckiego człowieka. Z pewnością uznałby za wysoce nieeleganckie nasze pójście do łóżka w twojej sypialni z czasów dzieciństwa. Caleb zrozumiał, że Serenity mówi całkiem poważnie.

- Dziadek skończył osiemdziesiątkę, ale nie jest starym ramolem. Gwarantuję ci, że jest przekonany, że śpimy ze sobą.

- Nie chodzi o to - burknęła idąc do drzwi balkonowych. - Ważne jest to, że on jest takim człowiekiem, który oczekuje, że jego wnuk będzie utrzymywał swoje miłosne igraszki w sekrecie.

Tak się postępowało w jego czasach.

- Skąd ty to możesz wiedzieć?

- Daj spokój, przecież to oczywiste. - Zatrzymała się z dłonią na klamce. - Powiedz mi prawdę. Czy kiedykolwiek kochałeś się z jakąś kobietą pod jego dachem?

Caleb oparł się ręką o biurko i przez kilka sekund przyglądał się Serenity w milczeniu. Uświadomił sobie, że udało jej się autentycznie go zirytować. Zamierzał zrobić następny krok w historii ich znajomości, ale Serenity zaczęła sprawiać trudności z niezrozumiałych powodów. Gdyby to była inna kobieta, zacząłby podejrzewać, że gra z nim w kotka i myszkę. Ale to przecież Serenity. Nie potrafiłby jej sobie nawet wyobrazić w takiej grze.

- Nie. Nie robiłem tego - odpowiedział.

- No proszę, widzisz? Aż do dzisiaj czułeś potrzebę zachowania dyskrecji w tych sprawach podczas wizyt w domu. Sam przyznaj.

Caleb zastanowił się nad tym i wzruszył ramionami.

- Można to tak nazwać. - Czasami Serenity była cholernie spostrzegawcza. To prawda, że podczas kilku okazjonalnych wizyt u Rolanda z jakąś towarzyszką zawsze dbał o to, by się zachowywać tak, jak tego od niego oczekiwano.

- Poza tym to jest małe miasteczko, z drobnomieszczańskimi zasadami - kontynuowała pouczającym tonem. - Twój dziadek spędził tu całe życie. Ty się tu wychowałeś. Wszyscy cię znają. Nie trzeba socjologa, by się domyślić, że pewne rzeczy w małych miasteczkach nigdy się nie zmieniają.

- Skoro jesteś tak zdecydowana respektować drobnomieszczańskie zasady, to dlaczego przysłałaś do mojej sypialni? - zapytał Caleb.

Serenity oblała się szkarłatem.

- Przyszłam, bo koniecznie musiałam z tobą porozmawiać! Chciałam mieć twoje słowo, że się mną w jakiś sposób nie posługujesz.

- Serenity...

- Ale teraz, po krótkiej rozmowie, już wiem, że nic nie knujesz przeciwko rodzinie, i spokojnie mogę wrócić do siebie.

- Serenity - powtórzył cierpliwie Caleb.

- Co? - Zbierając jedną ręką rozchylające się poły szlafroka, drugą otworzyła wielkie drzwi

balkonowe i wyjrzała na dwór. Wyraźnie nie chciała, by ktoś ją zobaczył w drodze powrotnej do jej pokoju.

- Pomyślałem, że może chciałabyś wiedzieć, że nie było ich wiele.

- Czego? - rzuciła przez ramię.

- Kobiet. I zawsze byłem nadzwyczaj dyskretny.

Uśmiechnęła się.

- Wiem. To jedna z tych rzeczy, które mi się u ciebie podobają, Caleb. Ty po prostu we wszystkim masz poziom.

- Chyba nie tylko ja, prawda?

- Owszem. Ja też mam swój poziom. - Wyszła na ciemną galerię i cichutko zamknęła drzwi.

Caleb podszedł do balkonu i ponownie go otworzył, by popatrzeć na Serenity szybko biegnącą do swego pokoju. Kiedy dotarła do siebie, znowu zamknął balkon i z głębokim westchnieniem żalu oparł się o drzwi. Biorąc pod uwagę stan, w jakim znajdowało się jego ciało, doszedł do wniosku, że bardzo trudno będzie mu zasnąć. To już weszło w jakiś nieznośny zwyczaj. Któregoś dnia zrobi z tym wreszcie porządek.

Spojrzał na biurko, w którym schował plastikową szkatułkę Crystal Brooke, po czym podszedł do niego i wyciągnął szufladę. Przez chwilę stał nieruchomo i wpatrywał się w tandetne pudełko. W głowie dźwięczały mu echem słowa Serenity: „Wyobrażam sobie, że to pudełko wiele dla niej znaczyło, a więc i dla ciebie też musi być bardzo ważne, bo należało do niej”. Serenity nie miała racji. Ta szkatułka nic dla niego nie znaczy. Pewnego dnia po prostu ją wyrzuci.

Caleb postawił jedną nogę w bucie do konnej jazdy na dolnej barierce ogrodzenia padoku, i opierając się na łokciach o górną, z satysfakcją znawcy i jeźdźca przyglądał się wspaniałemu ogierowi. Od dziecka umiał rozpoznawać na pierwszy rzut oka znakomitego konia, a co do tego araba nie było najmniejszych wątpliwości. Windsailer był jednym z najwspanialszych ogierów, jakiego stajnie Rolanda Ventressa kiedykolwiek miały. Ogier był dzieckiem Windstara, i to było widać. W dużych ciemnych oczach malowała się inteligencja, a linia pięknie zbudowanego zwierzęcia była pełna gracji i siły.

- Nieźle wygląda, co? - zapytał Roland zbliżając się do Caleba.

- Oszalamiający. - Caleb przyglądał się ogierowi, który jadł siano.

- Każde z jego źrebiąt jest takie samo - powiedział Roland. - Wszystkie mają jego wygląd i wytrzymałość.

We wszystkich zobaczysz Windstara. Krew dochodzi do głosu.

- Zawsze to mówiłeś.

Roland oparł się o górną barierkę.

- Różni się od innych.

- Z tegorocznych źrebiąt?

- Nie mówię o koniach - powiedział Roland. - Mówię o Serenity Makepeace.

Caleb uśmiechnął się w duchu.

- O tak, jest inna.

- Czy z nią to coś poważniejszego niż z tamtą, która tu była ostatnim razem?

- Poważniejszego?

- Do diabła, przestań się ze mną bawić, chłopcze. - Roland zmrużył oczy. - Wiesz, o czym mówię.

Masz za miar się z nią ożenić czy nie?

- Powiem ci, kiedy się zdecyduję - zapewnił go uprzejmie Caleb.

- Najwyższy czas, żebyś się ustatkował i założył rodzinę. Cholera, w twoim wieku miałem już dwunastoletniego syna.

- Zdaję sobie z tego sprawę, sir.

- Cholera, rozmowa z tobą ostatnio przypomina walenie grochem o ścianę. Za każdym razem, kiedy cię widzę, jest gorzej.

- A co się spodziewasz ode mnie usłyszeć? - zapytał Caleb.

- Ty wiesz co. - Roland ścisnął barierkę. - Chcę usłyszeć, że masz zamiar poślubić dobrą kobietę i zabrać się do robienia dzieci. Ja nie będę żył wiecznie. I zanim legnę w grobie, chcę mieć pewność, że powstanie następne pokolenie Ventressów.

- Moi kuzyni mają pełno dzieci. Na twoich urodzinach było całe mnóstwo Ventressów.

- To nie jest to samo i ty to cholernie dobrze wiesz - odpalił zezłoszczony Roland. - Nie powinienem ci pozwolić zakładać Ventress Ventures. Trzeba było nalegać, żebyś wrócił do Ventress Valley. Od czasu, kiedy założyłeś własny interes, wszystko zaczęło się psuć.

Caleb wzruszył ramionami. Obaj dobrze wiedzieli, że Roland nie miał nic do powiedzenia w sprawie ustanowienia Ventress Ventures. Caleb postanowił założyć własną firmę jeszcze na długo przed ukończeniem studiów. Doskonale wiedział, że nigdy nie będzie żył w Ventress Valley. Ventress Ventures była jedną z kilku rzeczy, które należały jedynie do niego. Prowadził firmę po swojemu i był odpowiedzialny wyłącznie przed sobą.

- Co miałeś na myśli mówiąc, że wszystko zaczęło się psuć? - zapytał.

- Mam wrażenie, że oddalasz się ode mnie. - Roland zrobił bolesną minę, przez jego twarz przemknął cień gniewu i rozzalenia. - Cholera, nie wiem, jak to wytłumaczyć. Kiedy spoglądam wstecz, uświadamiam sobie, że to się zaczęło jeszcze wcześniej, nawet przed tym, jak założyłeś Ventress Ventures. Chyba tego dnia, kiedy wyjechałeś na studia, prawda?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odparł Caleb. - Chcesz mi powiedzieć, że zaniedbałem swoje obowiązki wobec rodziny?

- Nie, do diabła! Nadal robisz wszystko jak należy, ale to mi wygląda tak, jakbyś tylko pociągał za odpowiednie sznurki lub naciskał właściwe guziki.

- To trochę niejasne - sucho skomentował wypowiedź dziadka. - Może spróbujesz mi to wyjaśnić? Czy są jakieś skargi na temat moich sposobów zarządzania majątkiem rodziny?

- Nie, do diabła! - Roland groźnie spojrzał na wnuka. - Sytuacja finansowa rodziny nigdy nie wyglądała lepiej i doskonale o tym wiesz. Ventressowie mają dziś o wiele więcej pieniędzy niż kiedykolwiek.

- Zaskakuje mnie to, co mówisz.

- Dlaczego? Robisz dokładnie to, co należy. I nie tylko rodzina wyszła dobrze na twoich inwestycjach, ale cała dolina rozwinęła się gospodarczo dzięki twoim radom.

- No więc na co właściwie się skarżysz?

- Nadal nie rozumiesz? - Roland zakreślił ręką krąg, wskazując dom i stajnie. - Jaki ma sens posiadanie tego wszystkiego, skoro nie mogę mieć pewności, że nadejdzie nowe pokolenie Ventressów? Straciłem już syna z powodu tej szmaty, która go ukradła i uwiodła, licząc na jego poczucie odpowiedzialności. Mam teraz tylko ciebie.

Caleb zerknął na zegarek.

- Dolores czeka na nas ze śniadaniem.

- To cholerne śniadanie może poczekać - mruknął Roland. - Od pewnego czasu coś mnie gnębi i wydaje mi się, że już czas wyłożyć karty na stół. Chcę ci zadać jedno pytanie i proszę o szczerą odpowiedź. Wychowałem cię na prawdomównego człowieka i, o ile mi wiadomo, nigdy dotąd mnie

nie okłamałeś. Więc nie zaczynaj teraz.

- Co to za pytanie?

- Obaj wiemy, że tylko ty jesteś w stanie naprawić szkodę wyrządzoną przez tę dziwkę przed laty - zaczął Roland.

- Tylko ty możesz przekazać moją krew przyszłym pokoleniom. Pytanie brzmi: czy zamierzasz to zrobić?

- Nie nazywaj jej dziwką.

Rolanda najwyraźniej zatkalo.

- O czym ty mówisz, do cholery?

Caleb tak mocno ścisnął barierkę, że aż dziw, że nie pękła, ale zrobił co mógł, by mówić beznamyślnym głosem. Z niejasnych powodów przypomniał sobie zachwyty na twarzy Serenity, kiedy oglądała szkatułkę na biżuterię.

- Powiedziałem, żebyś nie nazywał jej dziwką - powtórzył spokojnie Caleb. - Zła czy dobra, Crystal Brookes była moją matką.

Roland zupełnie zgłupiał.

- Co ty gadasz? Postradałeś zmysły? Przecież wiesz, kim była. Mówiłem ci to wiele razy.

- Zgadza się, mówiłeś. I być może masz rację. Ale Jestem jej synem i więcej sobie nie życzę, by ktokolwiek nazywał ją dziwką, szmatą albo kurwą.

- Czyś ty zwariował, chłopcze? Co w ciebie wstąpiło?

- Kto to wie? - odparł Caleb. - Może w końcu odezwała się we mnie ta zła krew? Proszę mi wybaczyć, sir. Idę na śniadanie. Czeka mnie dzisiaj długa droga powrotna. - Odwrócił się i poszedł w stronę domu.

- Nie waż się odwracać do mnie plecami, Calebie Ventress! - wrzasnął Roland. - To ja cię przygarnąłem i wychowałem. Dałem ci dom, dach nad głową, nauczyłem tego, co powinien umieć prawdziwy mężczyzna! Na Boga, należy mi się jakiś szacunek!

Caleb zatrzymał się. Powoli się odwrócił i popatrzył na starego człowieka. Zmarnował prawie całą młodość pragnąc sprostać jego wymaganiom.

- Tak, sir.

- A to co ma znaczyć?

- To znaczy, że masz mój szacunek, sir. Zawsze go będziesz miał.

W oczach Rolanda kipiał gniew. Zażądał okazania szacunku przez Caleba i otrzymał go. Ale to nie wystarczało i obaj o tym wiedzieli. Kiedyś było to coś więcej i Caleb miał kłopotliwe wrażenie, że nadal to coś istnieje. Ale Roland nigdy nie okazał, że zależy mu na miłości wnuka, i to nie nazwane coś, co ogrzewało czasami ich wzajemne stosunki, po prostu wyparowało.

- W takim razie odpowiedz na moje pytanie - zażądał Roland. - Czy zamierzasz dać mi wnuki, by zapewnić przyszłość naszej rodzinie, czy nie?

- Czy nie dawałem ci zawsze wszystkiego, czego chciałeś? - cicho zapytał Caleb. - Czy zawsze nie robiłem tego, co chciałeś?

- No to dlaczego teraz tego nie robisz? - wybuchnął Roland.

- Po pierwsze, muszę znaleźć kobietę, której nie zrazi moja zła krew.

Serenity zatrzymała się przed olbrzymią przeszkloną szafą w pokoju śniadaniowym. Z dużym zainteresowaniem oglądała jej zawartość. Leżały tam poukładane w równe rzędy błyszczące puchary, błękitne wstęgi, medale, rozetki i plakietki. Kilka półek poświęcono zawodom konnym, na innych były odznaki skautowskie. Na paru innych trofea akademickie.

- O matko, Dolores, czy naprawdę Caleb wygrał to wszystko?

- Oczywiście.
- Nadzwyczajne. - Serenity oglądała lśniący puchar na końcu jednej z półek, który miał plaketkę upamiętniającą zwycięstwo w zawodach baseballowych. Caleb był rozgrywającym. Dolores rozstawiała na stole szklane pucharki z grapefrutem.
- Ten chłopak przynosił do domu takie nagrody i puchary, że by pani nie uwierzyła. Jak już się do czegoś wziął, to żaden chłopiec nie miał przy nim szans.
- Nie wiedziałam, że Caleb miał w sobie takiego ducha współzawodnictwa.
- Jeśli chce pani wiedzieć prawdę, to wcale nie miał.
- Wolał robić swoje własne rzeczy, jak to się mówi... indywidualista. Moja matka, która pracowała w tym domu trzydzieści lat, mówiła mi, że nigdy nie widziała, żeby się cieszył z odniesionego zwycięstwa.
- Miał ich jednak wiele. Tych zwycięstw.
- To prawda.
- Ciekawe, dlaczego nie trzyma niektórych pucharów u siebie w gabinecie?
- A po co? - Dolores postawiła ostatnią miseczkę. - Wszyscy wiedzą, że Caleb nie wygrywał tych nagród dla siebie, tylko dla dziadka. Myślę, że uważał, że powinny stać tam, gdzie ich miejsce, czyli w domu dziadka.
- Chyba zaczynam rozumieć. Biedny Caleb.
- Dolores spojrzała na nią ze zrozumieniem.
- No właśnie. Moja matka przysięga, że często chciało jej się płakać, kiedy Caleb przychodził do domu z nagrodą. Nigdy się nie chwalił tak jak inni chłopcy i nigdy o tym nie mówił. Nigdy nie wyglądał na zadowolonego.
- Dawał tylko trofea dziadkowi i ruszał do następnego zadania, jakie mu wyznaczył pan Ventress.
- A co mówił jego dziadek, kiedy Caleb znosił do domu te wszystkie nagrody? - zapytała cicho Serenity.
- Kiedy Caleb wygrywał, pan Ventress stawiał sprawę jasno: że chłopiec zrobił to, czego po nim oczekiwano. Ale nie daj Boże, żeby nie udało mu się zająć pierwszego miejsca. - Dolores pokręciła głową. - Matka mi opowiadała, że się kilka razy przemogła i powiedziała panu Ventressowi, że za surowo traktuje chłopca, ale on jej za każdym razem kazał pilnować własnego nosa. Mówił, że nie chce popełnić tych samych błędów co ostatnim razem.
- Serenity okręciła się na pięcie.
- Ostatnim razem?
- Chodziło mu o błędy, które rzekomo popełnił wychowując własnego syna, Gordona - wyjaśniła jej cicho Dolores. - Czasami trudniej wybaczyć sobie samemu niż innym. A Bóg jeden wie, że Ventressowie są uparci jak osły.
- Jakie błędy?
- Dolores zawahała się.
- O to musi pani zapytać Caleba. Ja i tak za dużo powiedziałam. A jeśli już postanowi pani zadawać pytania, to proszę coś dla mnie zrobić.
- Co takiego?
- Nie mówić, że to ja je pani wbiłam do głowy.

Rozdział 9

I co pan sądzi o konfiturach Ariadne, panie Ventress? - zapytała Serenity. Roland popatrzył na nią z odległego końca stołu, przy którym panowała wręcz bolesna cisza. W odróżnieniu od wczorajszej

oficjalnej uroczystości, dzisiejsze gremium było nieliczne. Na śniadanie zostali zaproszeni jedynie ciotka Caleba, Phyllis, i jego wuj Franklin. Obydwoje robili co mogli, by podtrzymać konwersację, ale nieubłagane milczenie pomiędzy Calebem a dziadkiem nie ustępowało mimo największych wysiłków pozostałych biesiadników.

- Niezła. - Roland ugryzł grzanekę, którą posmarował konfiturą. - Przypomina mi tę, którą robiła moja matka. Dobra i cierpkawa.

Nie za słodka. Wygląda na to, że ostatnio większość rzeczy jest za słodka jak na mój gust.

- To prawda - potwierdziła Phyllis z niepewnym uśmiechem. - Weźmy na przykład te modne płatki śniadaniowe. Większość z nich jest tak słodka, że smakuje jak cukierek.

Serenity przychwyciła spojrzenie Caleba.

- To mi nasuwa pewien pomysł rynkowy. Zareklamujemy konfitury i dżemy Ariadne jako przysmaki. Napišemy, że zostały stworzone specjalnie dla smakoszy o wyrafinowanym smaku. Co o tym myślisz?

- Coś w tym jest. - W głosie Caleba było tyle entuzjazmu, co u kapitana statku, który zobaczył górę lodową.

Upił łyżeczek kawy. - Jesteś już spakowana i gotowa do wyjazdu?

- Tak. - I tyle wyszło z prób poruszenia nowego tematu. Postanowiła zmienić taktykę. - Panie Ventress, te wszystkie nagrody w szklanej szafie za panem mimo wolnie przyciągają wzrok.

- Caleb je wygrał.

- Tak, wiem. Widziałam jego imię i nazwisko na wszystkich plakietkach. Musi pan być z niego bardzo dumny.

Roland rzucił jej chmurne spojrzenie.

- Caleb wie, czego się od niego oczekuje. Zawsze wiedział.

- Widzę, że był również uczniem wybranym do wygłoszenia mowy pożegnalnej na zakończenie szkoły - kontynuowała Serenity, zdecydowana do końca utrzymać pogodny nastrój wypowiedzi. - Ja także wygłaszałam mowę w mojej klasie. Byłam również wytypowana na studentkę, która z pewnością skończy studia z wyróżnieniem.

Caleb zakrztusił się kawą. Szybko odstawił filiżankę.

- Coś ci się stało? - zapytała Serenity z przesadną troską.

- Nie, nic takiego. - Wstał od stołu. - Chciałbym jak najszybciej wyruszyć, Serenity.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Ale... Myślałam, że mi pokażesz stajnie. Chciałam obejrzeć konie.

- Może kiedy indziej. Czeka nas długa podróż, a w prognozie pogody ostrzegali przed opadami śniegu dziś wieczorem.

- Bzdura. Jeszcze za wcześnie na śnieg.

Caleb spojrzał na nią spod na wpół przymkniętych powiek.

- Nie chciałbym się zatrzymywać, by zakładać łańcuchy na koła, jeśli mogę tego uniknąć.

Serenity leciutko westchnęła.

- Będę gotowa za pięć minut.

- Zaniosę bagaże. - Caleb ruszył wzdłuż stołu.

- Nie trzeba ci pomóc? - zapytał Franklin. - Harry jest na dole, może je zabrać.

- Dam sobie radę. - Caleb ruszył do drzwi.

Serenity uśmiechnęła się do Rolanda, który wyglądał, jakby miał szczęki ze stali.

- Jestem bardzo wdzięczna za gościnę, panie Ventress. Pobyt tutaj był dla mnie wielką przyjemnością.

- Dziękuję za prezent - odpowiedział jej Roland ze wzrokiem wbitym w plecy Caleba. - Mam nadzieję, że będziesz mogła nas jeszcze kiedyś odwiedzić.

- Z przyjemnością. - Serenity nagle wpadła na pewien pomysł. - Caleb, nie zapomnij zabrać ze sobą tej szkatułki twojej mamy. Wydaje mi się, że wczoraj wieczorem widziałam, jak ją wkładasz do szuflady w biurku.

Atmosfera w pokoju śniadaniowym, aczkolwiek do tej chwili pełna napięcia, to jednak z grubsza opanowana, teraz nabrała charakteru totalnej klęski. Dolores zmartwiała z tacą w rękach, Phyllis szeroko otworzyła oczy w kompletnym szoku, a Franklin wyglądał jeszcze bardziej ponuro niż zawsze. Roland ani drgnął. Serenity uświadomiła sobie, że mówiąc te słowa popełniła straszliwe głupstwo. To były właśnie te problemy ze światem zewnętrznym, pomyślała ze smutkiem. Komuś takiemu jak ona było tak cholernie łatwo wszystko popsuć! Spojrzała ze skruchą na Caleba i zastanawiała się, jak naprawić szkodę, którą wyrządziła i jemu, i sobie. Z wdzięcznością zauważyła, że Caleb wcale nie przejawiał zakłopotania z powodu jej gafy. Na jego twarzy nie było ani śladu emocji. Zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na nią z zadumą.

- Dziękuję, że mi przypomniałaś. Na pewno ją zapakuję.

Phyllis i Franklin wymienili pełne grozy spojrzenia. Roland kurczowo zacisnął palce na nożu do masła.

- Nie wiedziałem, że nadal masz tę starą szkatułkę.

Nigdy o niej nie wspomniałaś. Myślałem, że się jej po zbyłeś już wiele lat temu.

- Mój Boże, dlaczego miałby to zrobić? - zapytała Serenity. Szkoda została już wyrządzona, więc nie było sensu udawać, że nie widziała tej szkatułki. - Powiedział mi, że należała do jego matki, więc z pewnością musi wiele dla niego znaczyć. Przecież nie mógł jej wyrzucić!

Phyllis pierwsza doszła do siebie.

- Tak, oczywiście. My tylko nigdy nie sądziliśmy, że Caleb jest taki sentymentalny, prawda, Franklinie?

- Tak - mruknął Franklin. - Nie sądziliśmy.

- To dziwne - zauważyła Serenity, czując ulgę z powodu powrotu do normalnej konwersacji. - Ja już pierwszego dnia znajomości z Calebem uświadomiłam sobie, że jest bardzo uczuciowym człowiekiem. A trzeba państwu wiedzieć, że w tych sprawach mam nieomylną intuicję.

- Istotnie? - zapytał Franklin.

- Ależ tak. - Serenity zachichotała. - Nietrudno było się domyślić, że w głębi duszy Caleb jest troskliwym, wrażliwym mężczyzną. Ilu bardzo bogatych i uznanych doradców finansowych zgodziłoby się podpisać kontrakt, żeby uratować Witt's End? Zwłaszcza że nie ma absolutnej pewności, czy kiedykolwiek zobaczy choćby grosz z zysku?

Wszyscy wlepili w nią wzrok.

- Wyjeżdżamy - rzucił Caleb od drzwi i bez żadnych dodatkowych słów wyszedł z jadalni.

Dokładnie piętnaście minut później Caleb przekręcił kluczyk w stacyjce Jaguara. Silnik zamruczał cichutko. Serenity pomachała małej grupce ludzi na schodach, kiedy ruszyli podjazdem w kierunku szosy. Roland, Phyllis, Franklin i Dolores unieśli dłonie w uprzejmym geście pożegnania. Serenity wygodnie usadowiła się w fotelu.

- Wybacz mi to faux pas. Nie mam pojęcia, co mnie podkusiło do mówienia o szkatułce twojej matki w obecności innych.

- Nic się nie stało.

- Sama nie mogę uwierzyć, że coś takiego zrobiłam.

Tak bardzo uważałam, żeby mnie nikt nie zobaczył, kiedy szłam do twojego pokoju, a nawet zrobiłam

ci solidny wykład na temat szacunku dla poczucia własności twego dziadka, pamiętasz?

- Pamiętam.

- I po tym wszystkim jak ta głupia przypominam ci o szkatułce podczas śniadania.

- I co z tego?

- No jak to, przecież to jasne, że zepsułam dobre wrażenie, które starałam się stworzyć. - Serenity spojrzała na niego z rozpaczą w oczach. - Teraz twój dziadek icała reszta pewnie sobie pomyśla, że spędziłam z tobą noc.

Caleb patrzył na nią przez chwilę nic nie mówiącym spojrzeniem.

- I tym się tak przejęłaś? Myślałaś, że wszystkim przy stole opadły szczęki tylko dlatego, że wspomniałaś o swojej wizycie w mojej sypialni?

- Szczyciłam się do tej pory umiejętnościami życia w dwóch światach, ale prawda jest taka, że wcale nie jestem w tym dobra. Jeśli spędzę za dużo czasu w twoim świecie, to bez wątpienia wszystko pokręcę. - Serenity z przygnębieniem przyglądała się swemu ubraniu. Miała na sobie te same pumpy co poprzedniego dnia, a do kompletu bluzkę koszulową i sweter z tego samego katalogu. Była absolutnie pewna, że jej ubiór jest bez zarzutu, ale przecież nie zawsze szata czyni człowieka! Nikt tego nie wiedział lepiej niż ona.

- Nic nie pokręciłaś - powiedział cicho Caleb. - A w każdym razie, nie tak, jak myślisz.

Serenity uśmiechnęła się z odrobiną nadziei.

- Naprawdę uważasz, że twój dziadek nie był głęboko obrażony przypuszczeniem, że spędziliśmy wspólnie noc pod jego dachem?

- Wątpię, czy w ogóle zwrócił na to uwagę. Na pewno nie po tym, jak wspomniałaś o szkatułce.

- Jak to? Przecież to była pierwsza myśl, jaka mu przyszła do głowy! Jemu i wszystkim obecnym w tym pokoju! - Serenity przewróciła oczami. - Sam widziałeś, jak zareagowali.

- Ta szkatułka jest w małej torbie na tylnym siedzeniu. Wyjmij ją.

- Dobra, ale po co? - Serenity odpięła pas, uklękła na siedzeniu i sięgnęła do torby.

- Chcę, żebyś na własne oczy zobaczyła, dlaczego wszyscy zdrętwieli, kiedy o niej powiedziałaś.

Serenity zwróciła uwagę na niebezpiecznie obojętny ton jego głosu i wiedziała, że mimowolnie znowu wkroczyła na grząski grunt. Położyła dłonie na zamku błyskawicznym torby.

- Caleb, jeśli to coś bardzo osobistego, o czym byś wolał nie rozmawiać, to ja to zrozumiem.

- Wyjmij szkatułkę.

Westchnęła i otworzyła zamek. Niebiesko-złota szkatułka leżała na starannie złożonym szarym swetrze. Serenity wyjęła ją ostrożnie i zamknęła suwak torby.

- I co mam z nią zrobić? - zapytała.

- Otwórz.

Serenity przyglądała się pudełku.

- Nie jestem pewna, czy powinnam. Czuję, że to mnie nie dotyczy.

- Mylisz się - poinformował ją cicho Caleb. - Od tej chwili dotyczy także i ciebie. Otwórz ją i zajrzyj do środka.

Serenity poczuła, że drżą jej palce. Ta niewinnie wyglądająca szkatułka nagle ciążyła jej w dłoniach jak granat.

- Tutaj jest kluczyk do nakręcania pozytywki.

- Jak chcesz, to ją nakręć.

Posłuchała go. Kiedy skończyła, powolutku odpięła zatrzask i uniosła pokrywkę. Rozległy się dźwięki melodyjki.

- To walc - wyszeptała.

- Co powiedziałaś?

- To gra walca.- Wpatrywała się zafascynowana w dwie malutkie figurki z plastiku, kobietę z mężczyzną, które wysunęły się ze środka i zaczęły obracać w urywanym, mechanicznym tańcu.

- Dobrze, to nieważne, zobacz, co jest w środku tej przegródki.

Przegródka była wyścielona tanim niebieskim aksamitem. Satyna pod małym lusterkiem na wewnętrznej stronie wieczka była rozdarta. Szkatułka nie zawierała biżuterii, natomiast pełno w niej było starych pożółkłych wycinków z gazet. Wyglądały tak delikatnie, że Serenity bała się ich dotknąć.

- Co to takiego? - zapytała.

- Moja przeszłość. - Caleb nie spojrział nawet na otwartą szkatułkę, cały czas patrzył prosto przed siebie na drogę. - Dziadek dał mi tę kasetkę pełną wycinków, kiedy skończyłem osiemnaście lat.

Chciał być pewien, że nie zapomnę o matce.

- To bardzo szlachetnie z jego strony.

Caleb wykrzywił usta w nieznacznym uśmiešku.

- O tak, z pewnością.

Serenity ostrożnie rozłożyła pierwszy wycinek i zobaczyła gruboziarniste, czarno-białe zdjęcie.

- Czy to twoja matka?

- Tak.

Zdjęcie przedstawiało imponującą platynową blondynkę, ubraną w krótką i obcisłą sukienkę nazywaną cekinami. Dekolt w kształcie litery V sięgał aż po pępek, odsłaniając tylko wewnętrzne wzniesienia piersi, lecz jednocześnie tworzył wspaniałą zmysłową iluzję, znakomicie uchwyconą na zdjęciu. W pięknych oczach kobiety było coś naturalnie prowokacyjnego, jakby doskonale była świadoma własnego seksapilu i cieszyła się tym faktem.

Ciężki makijaż, choć przyciemnił na fotografii jej pełne wargi i powiększył oczy, nie zasłonił jednak harmonijnych rysów i powabu młodości.

- Caleb, ona była cudowna - wystękała Serenity. - I taka fascynująca. Wydaje mi się, że oczy masz po niej.

- Tak mi mówiono.

Serenity przyglądała się zdjęciu z zachwytem.

- Czy ona była modelką?

- Przeczytaj artykuły.

Serenity przeleciała wzrokiem po nagłówkach wycinków, których większość pochodziła z „Ventress Valley News”. „Ventress w obliczu groźby szantażu”. „Ventress przyznaje się do romansu z modelką porno”. Serenity wzięła następny wycinek. „Fotomodelka z rozkładówki twierdzi, że Ventress jest ojcem jej dziecka”. „Ventress występuje o rozwód”.

- Czytaj dalej - powiedział cicho Caleb. - Wszystkiego się dowiesz. O szantażu, romansie, rozwodzie, wypadku, o wszystkim.

Serenity coraz szybciej przebiegała wzrokiem po tekście, niemal połykając cały artykuł. Zatrzymała się na dłużej przy akapicie, który omawiał sprawę szantażu. Poczuła, że wywraca się jej żołądek.

- Ktoś próbował szantażować twojego dziadka?

- Szantażysta wysłał mu zdjęcia Crystal Brooke. Między nimi znalazły się i takie, do których pozowała nago.

Było także parę zdjęć uwieczniających ją z moim ojcem, kiedy się kochali na plaży w Santa Barbara.

- O mój Boże!

- Dziadek stanowczo odmówił zapłacenia szantażyście, który z zemsty wysłał zdjęcia do „Ventress Valley News”. Wydawca tej gazety od wielu lat miał z moim dziadkiem na pieńku, więc zdjęcia

zostały opublikowane, a cała reszta, jak to się mówi, to już historia.

- Och, Caleb, jakie to musiało być okropne dla wszystkich zainteresowanych! - Przerwała czytanie i starannie poukładała wycinki. - Nie ma się co dziwić, że wpadłeś w szała, kiedy ci powiedziałam o próbie szantażowania mnie tymi fotografiami. To było tak, jakby ktoś rzucił ci w twarz przeszłość twoich rodziców, prawda? Caleb obrzucił ją pełnym niesmaku spojrzeniem.

- Nie wpadłem w szała.

- Owszem, wpadłeś. Teraz wiem dlaczego.

- Cholera jasna, Serenity!

- Zaczynasz tracić opanowanie - wytknęła mu. - Ale chyba wolę to od twojego nastroju zombie.

- Nastrój zombie! Co to jest, do cholery, nastrój zombie?

- To jest wtedy, gdy jesteś cały lodowaty i kompletnie bez wyrazu. Jesteś znakomity w ukrywaniu swych uczuć, wiesz? Chyba ćwiczyłeś całymi latami.

- Nie jestem typem emocjonalnym. - Caleb wyraźnie i stanowczo wypowiedział każde słowo.

Serenity delikatnie zamknęła szkatułkę. Walc ucichł.

- Nie uważasz, że twoja reakcja była wysoce emocjonalna?

- Powiedzmy, że wiadomość o tym, że pozowałeś komuś nago do zdjęć, lekko mnie zaskoczyła.

Serenity uśmiechnęła się ponuro.

- O tak, niewątpliwie. Przepraszam cię, Caleb, nie powinnam ci tak obrzydliwie nawymyślać.

- Chodzi ci o tego pruderyjnego, konwencjonalnego, aroganckiego i sztywnego typu? - Caleb lekko uniół brwi. - Nie przejmuj się. Zupełnie o tym zapomniałem.

- Tak samo jak ja zapomniałam, że nazwałeś mnie naiwną i łatwowierną. - Serenity wodziła palcem po wyblakłym złoceniu na szkatułce. - Zastanawiam się, dla czego dziadek dał ci te wycinki, bo nie sprawił na mnie wrażenia okrutnego człowieka. Być może twardego i nie ugiętego, tak jak ty pod pewnymi względami, ale nie okrutnego.

Caleb uśmiechnął się niewesoło.

- Wątpię, czy w ogóle rozważał to w kategorii aktu okrucieństwa. On po prostu chciał mieć pewność, że nigdy nie zapomnę o złej krwi, która płynie w moich żyłach. Wierzył, że jego obowiązkiem jest przypominać mi, bym się strzegł przed skutkami wpływu genetycznego dziedzictwa po matce. On hoduje konie, zapomniałaś? Ogromnie wierzy w siłę genów.

Serenity przypomniała sobie szafę pełną odznak i nagród.

- I dlatego przez całe dzieciństwo próbowałeś mu udowodnić, że nie zostałeś nacechowany genami Crystal Brooke.

- I nic to nie dało.

- Czy coś się wydarzyło między dziadkiem a tobą, zanim przyszedłeś na śniadanie?

- Mieliśmy drobną sprzeczkę.

- Sprzeczkę?

- Nazwał Crystal Brooke dziwką. Nie było to zresztą nic nowego. Za każdym razem, gdy przez trzydzieści cztery lata wymawiał jej nazwisko, nazywał ją kurwą, dziwką lub kobietą, która zniszczyła rodzinę.

- I co mu powiedziałaś?

- Żeby nie nazywał jej dziwką. - Caleb zacisnął dłonie na kierownicy. - Zrobiłem to po raz pierwszy w życiu. Pierwszy raz mu powiedziałem, że sobie nie życzę, by się tak o niej wyrażał.

Serenity położyła mu dłoń na udzie.

- Jesteś jej synem. Masz pełne prawo bronić jej pamięci. A co z twoim ojcem? Czy jego Roland też obrzuca wzywiskami?

- Nie. Uważa mojego ojca za ofiarę typowej naciągaczki. Dziadek oskarża sam siebie o zbytnią pobłażliwość i wyrozumiałość w stosunku do syna. Myśli, że mój ojciec był nie uodporniony na kogoś takiego jak Crystal Brooke.

- I postanowił nie popełniać tego samego błędu wobec ciebie.

- To wszystko. Historia mojej rodziny w pigułce.

Serenity trzymała oburącz szkatułkę i kołysała nią.

- Przynajmniej masz w ogóle jakąś rodzinną historię, sięgającą wstecz dalej niż jedno pokolenie. Ja nigdy nie znałam moich dziadków. Oboje moi rodzice bardzo wcześnie zostali sami na świecie. Od Juliusa wiem, że matka mu kiedyś powiedziała, że i ona, i mój ojciec wychowywali się u obcych. Właściwie poza tym nic o nich nie wiem, ale często o tym rozmyślałam i doszłam do wniosku, że ponieważ obydwójce tak dobrze wiedzieli, czym jest samotność, dlatego byli sobie tak bliscy.

- Być może - odparł Caleb.

Serenity myślała nad czymś przez chwilę.

- Ciekawa jestem, czy to właśnie przyciągnęło do siebie twoich rodziców?

- To chyba oczywiste. Matka była fotomodelką z wkładek do czasopism i marzyła o karierze gwiazdy filmowej, a ojciec zamożnym obiecującym politykiem. Pasowali do siebie jak jasna cholera.

- Nie sądz ich zbyt surowo, Caleb. Po tylu latach trudno się dowiedzieć, jakie były ich uczucia naprawdę.

W każdym razie cokolwiek się zdarzyło, była to sprawa ich dwojga, a ty z pewnością za nich nie możesz ponosić odpowiedzialności.

- Czyżby? Czasami mam wrażenie, że całe moje życie jest zapłatą za to, co zrobili.

- Wszyscy mieliśmy przeszłość i wszyscy mamy przyszłość. Jedyne, co możemy zrobić, to sobie wybrać, czy chcemy żyć jednym czy drugim. Mnie się wydaje, że życie przeszłością nie ma sensu.

Caleb nic nie odpowiedział.

Po krótkiej chwili Serenity odwróciła się i włożyła szkatułkę z powrotem do torby.

Stypa po Asterleyu okazała się ważnym wydarzeniem w życiu mieszkańców Witt's End. W niedzielę o ósmej wieczorem prawie wszyscy zebrali się w kawiarni Pod Słonecznikiem, by wypić kieliszek za jego pamięć. Zaraz po przyjeździe Serenity poszła na zaplecze, by pomóc Ariadne i kilku innym osobom w przygotowaniu jedzenia i napojów.

Caleb został sam na skraju tłoczącej się gromady. Był zaskoczony tak licznym przybyciem gości. Z tego, co powiedziała mu Serenity, wywnioskował, że nikt prócz Jessie nie był zżyty z Asterleyem. A jednak zebrało się tu mnóstwo ludzi, którzy chcieli się z nim pożegnać. Zastanawiał się, czy przypadkiem tak wielkie zgromadzenie nie jest spowodowane niedostatkiem innych rozrywek w osadzie oraz darmowym poczęstunkiem, a nie przyjaznymi uczuciami mieszkańców Witt's End wobec zmarłego.

W każdym razie, niezależnie od przyczyny, wszyscy przedstawiciele miejscowej ludności byli obecni. Kilka osób Caleb poznał już wcześniej, podczas oceny produktów do katalogu wysyłkowego Serenity. Uprzejmie przywitał niektórych kiwnięciem głowy, pogryzając moczzonego w jogurcie krakersa z pełnoziarnistej mąki, i jednym uchem przysłuchiwał się urywkom anegdot z życia Ambrose'a.

- Pamiętajcie ten dzień, kiedy Ambrose myślał, że wreszcie będzie miał wystawę w galerii Seattle, a właściciel galerii wykorkował, zanim zdjęcia powieszono na ścianach? - Facet ubrany w czarną skórę i łańcuchy pokiwał głową ze współczuciem i połknął chrupki kukurydzone maczane w paście z żółtek.

- Ja pamiętam. - Kobieta z krótko ostrzyżonymi, sterczącymi włosami, ubrana w koszulę w kratę i

ciasno opięte dzinsy, smutno kiwnęła głową. - Jessie powiedziała, że się wtedy upił i wykrzykiwał, że zniszczy wszystko, co zrobił.

- Taki był Ambrose w waszych oczach - powiedział Quinton podchodząc do grupki stojącej przy chrupkach z kukurydzy. - Pozornie nic mu się nie udawało. A on zawsze był schwytyany pomiędzy kosmiczne płaszczyzny. Matematyka wszechświata jest na swój sposób podobna do talii kart. I Ambrose zawsze trafiał na niefortunne rozdanie.

- Tak, prawdziwy pechowiec w sferze karmy, zgadza się - potwierdził facet z łańcuchami. - Ale na swój sposób był okay.

- Trudno o nim mówić jak o facecie pełnym ducha. To był raczej samotnik - zauważyła kobieta ubrana w suknię uszytą z kilku warstw wstążek. - Ofiara pecha. Ale był fantastycznym fotografikiem, wiesz?

- Wiem - potwierdził Quinton.

- Janine i ja powiesiliśmy nad łóżkiem zdjęcie, które nam kiedyś zrobił - wyznała ostrzyżona na jeża kobieta. Z oka spłynęła jej łza. - Jest piękne. Jessie przepchnęła się do bufetu.

- On miał talent - powiedziała cicho do Caleba. - Nie które jego zdjęcia są wprost niewiarygodnie wspaniałe. Czy Serenity pokazała ci w końcu te, które jej zrobił?

- Nie. - Caleb pomyślał o kopercie, którą Serenity zabrała z archiwum Asterleya. - Nie pokazała. - Kwestia zaufania!

- Powinieneś je obejrzeć - nalegała Jessie. - Są wspaniałym przykładem jego talentu. Pewnego dnia chciała bym je zobaczyć na wystawie. Byłaby to swoista danina spłacona talentowi Ambrose'a. Caleb wyobraził sobie zdjęcia Serenity wystawione na widok publiczny w galerii, jej piękne, wdzięczne ciało obnażone przed wszystkimi bez wyjątku. Z krakersa, który trzymał w palcach, posypały się okruchy.

- Nie sądzę, by Serenity spodobał się ten pomysł - powiedział wreszcie. Jessie spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Dlaczego?

- Bo zrobiłbym piekło, gdyby się zgodziła. - Gorączkowo zastanawiał się nad jakimś logicznym powodem. - „Sprzedaż Wysyłkowa Witt's End” nie potrzebuje takiej reklamy.

- Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób mogłoby to jej zaszkodzić - powiedziała Jessie. Już zamierzała wygłosić następny komentarz, gdy podszedł do nich Blade.

- Cześć, Blade. Jak tam leci? Widzę, że jak na razie Witt's End jest względnie bezpieczne przed siłami inwazji.

- Nie byłbym taki pewien. - Blade wiecznie przymrużonymi oczami profesjonalisty czujnie omiół całe pomieszczenie. - Chyba mamy kłopoty.

- Dlaczego tak myślisz? - zapytał Caleb, wykazując średnie zainteresowanie.

- Zone się dziwnie zachowuje.

- Zone sprawia na mnie wrażenie osoby, która zawsze się dziwnie zachowuje - zauważył Caleb. - Co w tym nowego?

- Jest nerwowa. Może nawet przestraszona. Ciągle gada o niebezpieczeństwie i zamieszaniu. - Blade kiwnął głową w kierunku Zone, która stała samotnie przy wazie z ponczem. - Coś mi się to nie podoba.

- Może jest tylko przygnębiona? - zasugerował Caleb.

- W końcu to stypa.

- Chyba nie w tym rzecz. - Blade wziął pełną garść chrupek. - Myślę, że będą kłopoty. Duże kłopoty.

- Namów Serenity, żeby z nią pogadała - poradziła Jessie. - Ona jest najbliższej z nią związana.

- Może tak zrobić. - Blade ruszył w stronę zaplecza, gryząc chrupki z precyzją maszyny.

Jessie uśmiechnęła się.

- Zaczynam się zastanawiać, czy Zone i Blade nie są przypadkiem stworzeni dla siebie. Jest w nich coś takiego, co do siebie pasuje. Co o tym myślisz?

- Nie zastanawiałem się nad tym - przyznał się Caleb,

- Ale myślę, że oboje mają świra.

- Według twojej opinii prawdopodobnie każdy w Witt's End ma świra - powiedziała Jessie. - Skoro nie pochwalasz świra, to co tu robisz?

- Przecież wiesz. Interesy.

- Gówno prawda - stwierdziła Jessie. - Nie jestem głupia. Na pierwszy rzut oka widać, że nie o to chodzi.

Jesteś tutaj z powodu Serenity, no nie?

- Zapomniałaś, że mnie wynajęła? - Zanim jednak Caleb zdążył zmienić temat, ktoś zrobił to za niego.

Wielki, kędzierzawy mężczyzna, ubrany we flanelową koszulę i wyszmelcowany kombinezon, zdecydowanie przepychał się do przodu. Zatrzymał się przed Calebem.

- Ty jesteś Ventress?

- Nie przypominam sobie, żebyśmy się poznali - odpowiedział Caleb.

- Jestem Webster. Nie byłem na ocenie wyrobów w piątek, bo byłem zajęty.

- Ach tak.

- Teraz przyniosłem swój produkt i pomyślałem, że może zechcesz rzucić okiem. Powiesz mi, czy się nadaje do katalogu Serenity.

- Dobra, czemu nie. Ambrose na pewno nam wybaczy drobne interesy na jego stypie.

Webster sięgnął do ogromnej kieszeni i wyjął kamień wielkości pięści. Z dumą go zaprezentował na wielkiej usmolonej dłoni.

- Popatrz. No i co myślisz, Ventress? Piękny, nie?

Caleb wpatrywał się w kamień. Wyglądał jak kamień. Jak najzupełniej zwykły kamień.

- Co to właściwie jest?

Webster zmarszczył czoło.

- To jest kamień. A co, nie wygląda?

- Kamień. - Caleb wziął go do ręki. - Interesujące.

Webster rozpromienił się.

- Wiedziałem, że ci się spodoba. Tam, skąd go mam, jest ich pełno. Jak myślisz, ile muszę mieć pod ręką, kiedy wyjdzie pierwszy katalog? Może ze sto, co?

- Webster, muszę być z tobą szczerzy - zaczął dyplomatycznie Caleb. - Nie wydaje mi się, żeby było duże zapotrzebowanie na takie kamienie.

Webster zmarkotniał.

- Moje kamienie są piękne.

Nagle tuż przy boku Caleba zmaterializowała się Serenity. Była lekko zaniepokojona.

- Jaki cudowny kamień, Webster. - Uśmiechnęła się promiennie do Caleba. - Webster jest znawcą kamieni, zbiera je. Jestem pewna, że znajdziemy dla nich miejsce w katalogu.

- Nie sądzę - odparł Caleb.

Webster miał spłoszoną minę.

- A co ci się nie podoba w tych kamieniach?

- Caleb, proszę - nalegała Serenity. - Przecież jesteś geniuszem marketingu. Na pewno znajdziesz sposób na sprzedaż kamieni Webstera.

- Powtarzam ci, że nie ma popytu na zwyczajne kamienie - powtórzył cierpliwie Caleb.

- Webster wyrwał swój kamień z ręki Caleba.

- Chcesz mieć jeszcze ładniejsze? Dobra, przyniosę ci. Zobaczysz! - Odwrócił się na pięcie i torując sobie drogę przez tłum ruszył do wyjścia.

- No proszę, zraniłeś jego uczucia - poskarżyła się Serenity.

- Masz zamiar założyć biznes, a nie instytucję charytatywną - uświadomił ją Caleb. - Nie będziemy zamieszczać kamieni w katalogu.

Serenity popatrzyła na niego surowo i odeszła do kuchni.

- Ona się troszczy o wszystkich ludzi w miasteczku - powiedziała ciepło Jessie. - A ja powinnam cię chyba ostrzec, że my się troszczymy o nią. Wyjeżdżałeś z nią w ten weekend.

- Miałem wrażenie, że to jest miejsce, gdzie każdy pilnuje własnych spraw - powiedział sucho Caleb.

Na twarzy Jessie zagościł chłodny uśmiech.

- A więc powiem ci coś nowego. To jest małe miasteczko, a wszystkie małe miasteczka, nawet takie jak Witt's End, mają parę cech wspólnych.

- Wiem wszystko co trzeba o małych miasteczkach.

W jednym z nich się wychowałem.

- No więc wiesz, że ludzie w małych miasteczkach gadają.

- Tak - potwierdził Caleb. - Wiem. To się nazywa plotki.

Stare plotki o jego rodzicach bynajmniej nie zmarły przed laty śmiercią naturalną. Kiedy mieszkał w Ventress Valley od czasu do czasu zmartwychwstawały. Opowieści o tym, jak to potomek rodu górującego nad miastem został uwiedziony przez dziewczynę z rozkładówki, nigdy nie dotarły do uszu Rolanda, ale Caleb niejednokrotnie staczał walki na pięści w murach szkolnych, na dziedzińcu lub za stodołami z powodu szyderstw kolegów, którzy słyszeli rozmowy rodziców. Caleb staczał te młodzieńcze bójkę z takim samym nieustępliwym gniewem i determinacją, z jakimi zdobywał wstęgi i puchary dla Rolanda. Czasami dziadek dostrzegał podbite oko lub zakrwawiony nos wnuka, ale nigdy nie pytał o przyczynę bójkę. Chciał jedynie wiedzieć, czy Caleb wygrał.

Jessie przyglądała się badawczo Calebowi.

- Nie mówiłam o plotkach. A przynajmniej nie w takim sensie jak ty. Miałam na myśli to, że w małych miasteczkach ludzie uważają na siebie wzajemnie. Serenity jest jedną z nas. Marzyła o założeniu własnej firmy wysyłkowej i wygląda na to, że wierzy, że jej w tym pomożesz. I wszystko w porządku, dopóki jest szczęśliwa. Ale jeśli ją skrzywdzisz lub wykorzystasz, to wiele osób naprawdę się wścieknie.

- Będę o tym pamiętał.

- Postaraj się. - Jessie odwróciła się od niego i ruszyła przed siebie.

- Jessie!

Zerknęła na niego przez ramię.

- Co?

- Nigdy nie poznałem Asterleya, ale Serenity mi mówiła, że byliście kimś więcej niż przyjaciółmi. - Caleb spojrzał jej w oczy. - Chciałem, żebyś wiedziała, że jest mi bardzo przykro z powodu tego, co się wydarzyło.

Wzrok Jessie zmiękł.

- Dziękuję. - Popatrzyła wokół, na pokój pełen rozradowanych żałobników. - Wiesz, tym razem naprawdę wierzyłam, że na dłuższy czas zostanie trzeźwy. Kiedy wychodziłam od niego tamtej nocy, był w porządku. Może trochę przygnębiony, ale nie sądzę, by na tyle, żeby sięgnąć po butelkę. Kiedy

tam byłam, pił kawę.

- Kiedy od niego wyszłaś? - zapytał z zainteresowaniem Caleb.

- Koło jedenastej. Ugotowałam mu kolację i trochę pogadaliśmy.

- Dowiedziałem się, że umarł koło północy. W takim razie kiedy wyszłaś, musiał pić jak szewc.

- Kiedy Ambrose uderzał w gaz, nie potrzebował wiele czasu, by się upić. - Jessie odeszła i przyłączyła się do grupki stojącej z drugiej strony pomieszczenia.

Caleb wyciągnął rękę po następną porcję chrupek, ale natrafił na przeszkodę w postaci Blade'a, który zmrużył oczy jak szparki. Obok niego z lewej strony stał Quinton, który wyglądał niemal tak samo groźnie jak jego towarzysz. Po prawej stronie Blade'a stał łysawy facet z siwą kitką. Miał czarną pelerynę na ramionach i jeden złoty kolczyk w uchu.

- To jest Montrose - zaczął Blade bez zbędnych wstępów. - Prowadzi warsztat. Gra muzykę. Znasz go?

- Tak - odparł Caleb. - Poznaliśmy się.

Blade wyprostował wielkie kwadratowe ramiona.

- My trzej gadaliśmy trochę. Postanowiliśmy, że nadeszła pora na małą pogawędkę z tobą, Ventress.

Caleb zerknął na zegarek.

- Trochę za późno wpadliście na ten pomysł, no nie?

Już prawie dziesiąta. Samo południe już dawno minęło.

Blade zmierzył go groźnym spojrzeniem.

- O czym ty gadasz, do cholery?

- Skończ z tymi dowcipami a la „W samo południe” - powiedział cicho Montrose. - Mówimy poważnie.

- Montrose ma rację - potwierdził Quinton. - Chcieliśmy, żebyś wziął udział w naszym prywatnym pożegnaniu Ambrose'a.

- Na ile prywatnym? - zapytał sceptycznie Caleb.

- Tylko my z tobą. Przy źródłach.

- Czemu nie? - odparł Caleb. - Powiem wam coś. Biorąc pod uwagę fakt, że nigdy nawet nie poznałem tego faceta, to Asterley zdecydowanie wywarł ogromny wpływ na moje życie.

Rozdział 9

Kłęby srebrzystych oparów unosiły się nad krystalicznie czystymi źródłami. Caleb wpatrywał się w delikatnie wirującą mgiełkę wznoszącą się łagodnie ponad wodą gorącego źródła. W powolnym tańcu mgiełki było coś szczególnie fascynującego. Olbrzymia jaskinia skrywająca źródła była otwarta z jednej strony na nocny chłód, ale zewnętrzny ziąb nie sięgał daleko do środka tej kamiennej komnaty. Można było odnieść wrażenie, że wejście oddziela wielka szklana, niewidoczna ściana. Gorące powietrze ze źródeł zmieniało jaskinię w balsamiczną grotę. W którymś momencie długiej historii źródeł jakaś przedsiębiorcza dusza zaciągnęła do jaskini kabel elektryczny i umocowała go wzdłuż jednej z kamiennych ścian. Garstka małych żarówek ćmiła przydymionym światłem, oświetlając wnętrze niesamowitym, tajemniczym blaskiem. Quinton pokazał Calebowi wyłącznik światła, który był umieszczony na zewnątrz, przy wejściu do jaskini.

Czterej mężczyźni byli tu zupełnie sami. Styks i Charon zostały na zewnątrz, cierpliwie czekając w ciemnościach na Blade'a. Od czasu do czasu Calebowi zamajaczył przy wejściu błysk psiego oka.

- Psy tu nie wejdą - wytłumaczył mu Blade.

- Dlaczego? - zapytał Caleb.

- Nie wiem. Nie wejdą, i tyle.

No cóż, tak samo dobra odpowiedź jak każda inna. Caleb nie miał wyrzutów sumienia z powodu zostawienia rottweilerów przed jaskinią, chociaż własna obecność w środku nasuwała mu pewne wątpliwości, zwłaszcza biorąc pod uwagę towarzystwo, w jakim się tu znalazł.

Wędrówkę do jaskini w mroźnym powietrzu rozświetlał im jedynie zimny, biały księżyc. Ścieżka wiodła wprost z domu Serenity w las na wzgórze. Kiedy już weszli do jaskini, wszyscy mężczyźni usiedli na ławce opartej na jednym z wielkich głazów, okalających największe źródło. Quinton postawił karton domowego piwa i rozdał butelki.

- Za Ambrose'a. - Quinton łyknął solidny haust. - Niech mu się uda podróż do Wielkiej Ciemności.

- Miejmy nadzieję, że wreszcie dotarł tam, gdzie doceniają dobrych fotografów o nieprzyjemnej osobowości. - Montrose wznosił butelkę w pożegnalnym salucie.

- Ambrose - mruknął Blade po przełknięciu piwa. - Znałem kiedyś takiego gościa jak on. Był okay.

Caleb z obowiązku uniósł butelkę. Zauważył ironię tej sytuacji - wznoszono piwem toasty za mężczyznę, który zmarł z powodu poważnego problemu alkoholowego. Chciał coś o tym powiedzieć, ale szybko zrezygnował. Zastanawiał się nad czymś bardziej stosownym.

- Za Ambrose'a - powiedział w końcu. - Może znalazł się tam, gdzie nigdy nie dociera światło z Narodowego Funduszu Wspierania Sztuki.

Ponownie zapadła cisza.

Blade wpatrywał się w głębię źródła.

- Może ci się uda zobaczyć tu wizje, wiesz?

- Tak? - Caleb niemało zaskoczony stwierdził, że piwo jest całkiem dobre. Zerknął na nalepkę. Old Hogwash.

- Tak powiadają - mruknął Quinton. - Ludzie z Witt's End nazywają je źródłami wizji. To stara legenda.

- Jak stara? - zapytał Caleb.

- Pochodzi z najwcześniejszych dni Witt's End - odparł Quinton.

- Nie pieprz. - Caleb patrzył na zielone kamienie pod powierzchnią wody. - To znaczy sięgająca aż tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego lub dziewiątego?

- Może nawet trochę wcześniej. - Głęboka bruzda za rysowała się między brwiami usilnie wpatrującego się w źródło Blade'a. - Ja słyszałem, że najpierw trzeba tu spędzić wiele czasu, medytując i oczyszczając mózg.

Wtedy, czasami, jak wszystko jest w porządku, to możesz mieć wizję.

- Mówisz, że ta legenda datuje się na późne lata sześćdziesiąte? - Caleb wpatrywał się w źródło. - Z tego, co słyszałem, w tamtym czasie, u schyłku złotych lat, wizje bywały bardzo powszechne i zazwyczaj nie były poprzedzane medytacjami i oczyszczaniem mózgu. Myślę, że raczej jakoś wizji była zależna od tego, kto co palił.

- Nie należy kpić z czegoś, czego się nie rozumie - powiedział Quinton. - Nie możemy ogarnąć wszystkich płaszczyzn matematycznych zwykłymi pięcioma zmysłami.

- Może masz rację. - Caleb wzruszył ramionami.

I znowu było cicho.

- Kiedyś miałem tu wizję - powiedział prawie szeptem Montrose. - Wiele lat temu.

- Tak? - Blade popatrzył na niego z zaciekawieniem. - I jak to było?

- Trudno to wytłumaczyć. Pamiętam, że miałem wtedy lekcję z Serenity, uczyłem ją po południu grać na skrzypcach. Z pewnych powodów przyszedłem tu potem, żeby sobie pomyśleć. Często to robiłem w tamtych czasach.

- Pamiętam - potwierdził Quinton.

- Ta wizja była jak sen, tyle że ja wiedziałem, że nie śpię i że to nie jest sen. - Montrose rolował butelkę w dłoniach. - Jeśli chcecie znać prawdę, to było zupełnie niesamowite. Coś niezwykle osobistego. Do tej pory nigdy nikomu o tym nie mówiłem.

- Czy mógłbyś to nazwać wizją w sprawdzalnej matematycznej rzeczywistości? - zapytał z zaciekawieniem Quinton. - Była w tym jakaś symboliczna logika?

Montrose pokręcił głową.

- To po prostu była wizja.

Caleb wyciągnął nogi przed siebie i napił się Old Hogwasha.

- No i co? Co widziałeś?

Montrose wpatrywał się w wodę.

- Mojego starego. Przysłuchiwał się, jak bębniłem ćwiczenia na pianinie, i mówił mi, że jestem dobry. Mniej więcej w ten sam sposób, jak ja mówiłem wcześniej Serenity na lekcji. W tej wizji byłem małym chłopcem, miałem z osiem, może dziewięć lat. Pamiętam, jakie to było cudowne uczucie wiedzieć, że mój stary jest ze mnie dumny. To mnie jakoś grzało w środku.

Caleb smakował piwo, które wydało mu się trochę za ciepłe.

- To przypomina raczej wspomnienia, a nie wizję.

- Cokolwiek to było, to nie wspomnienia - powiedział Montrose. - Mój stary odszedł, zanim się urodziłem. Nigdy go nie widziałem.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Wszyscy wpatrywali się w krystaliczne źródło.

- Może miałeś fart. - Blade ścisnął mocno swą butelkę.

- Ja bym się tam wolał obejść bez znajomości z moim starym. Łał mnie i matkę pasem. Czasami używał pięści.

Milion razy chciałem dać dyla z domu, ale zostałem, bo wiedziałem, że dopóki mnie będzie mógł prać, to zostawi mamę w spokoju.

Caleb spojrzął na Blade'a.

- Bronieś matki?

- Nie była bardzo macierzyńska. Słaba i płaczliwa.

Nigdy nie miała dość ikry, żeby odejść od ojca. Pozwalała, żeby nas lał. Ale była moją mamą i czułem, że coś muszę zrobić, rozumiesz?

Caleb przypomniał sobie rozmowę z Rolandem na padoku. Nie nazywaj jej dziwką!

- Tak, wiem. - Patrzył na wodę w źródle. - Uderzyłeś kiedyś ojca?

- W dzień śmierci matki. Wróciłem do domu z pogrzebu i powiedziałem mu, że odchodzę na zawsze i nigdy nie wrócę. Zamachnął się na mnie, a ja rzuciłem nim o ścianę. Na zimno mu przyładowałem, wyszedłem z domu, wstąpiłem do piechoty morskiej i nigdy więcej już go nie widziałem. Słyszałem pięć lat temu, że zmarł. Nie pojechałem na pogrzeb.

Mała grupka ponownie pogrzyżyła się w milczeniu. Caleb oparł się o nagrzaną parą głaz.

- To wszystko jest niezmiernie interesujące, ale czy przyprowadziliście mnie tak sobie, czy też chcieliście mi powiedzieć coś szczególnego?

- Przyprowadziliśmy cię tu, bo chcieliśmy z tobą pogadać o Serenity - powiedział Quinton.

- Jessie i Ariadne uważają, że trzeba wyjaśnić parę spraw - dodał Montrose. - Postanowiły, że my ci mamy powiedzieć to, co trzeba.

Caleb oparł głowę na kamieniu.

- Mówcie. Słucham.

- Nie wiemy, czy ty właściwie rozumiesz, jak to jest z Serenity i większością z nas, mieszkańców Witt's End - powiedział Blade. - My jesteśmy jej rodziną. Jedyńą, jaką ma.

- Powiedziała mi to - poinformował ich Caleb.

- To miasto ją wychowało - powoli tłumaczył Quinton.

- Byłem tu tego dnia, kiedy zjawiała się jej matka. Powiedziała, że się nazywa Emily Smith, i że ojciec Serenity zginął w wypadku. Nie miała dokąd pójść. Żadnej rodziny, nikogo.

- Została z nami, my też nie mieliśmy dokąd pójść - uzupełnił Montrose. - Quinton, Ariadne, Julius, Jessie, Blade i ja - tylko my tu wtedy byliśmy.

- Byliśmy tu także wtedy, kiedy urodziła się Serenity.

- Quinton podrapał się po brodzie. - Jezu, nigdy nie zapomnę tej krwi. Przestraszyła nas. Wszyscy byliśmy tak cholernie młodzi. Nie wiedzieliśmy, co robić.

Caleb zmarszczył brwi.

- Urodziła ją tutaj? Nikt jej nie zawiózł do szpitala?

- Zaczęła rodzić nagle, bez ostrzeżenia. - Quinton zacisnął usta. - Ariadne powiedziała, że coś idzie nie tak.

Wezwaliśmy felczera, ale to był środek zimy, a drogi były oblodzone. Zanim przyjechała karetka z Bullington, upłynęła cała wieczność. Nie chcieliśmy sami z nią jechać, bo poważnie krwawiła, a z każdym ruchem było coraz gorzej.

- W każdym razie medycy przyjechali w porę - powoli powiedział Montrose. - Albo raczej tak się nam wydawało. W każdym razie zatrzymali krwotok i Selenity bezpiecznie przysłała na świat.

Wszyscy, nawet lekarze, byli pewni, że Emily się wykaraska.

- Leżała na noszach - podjął Quinton. - Lekarze przygotowali ją do transportu. Poprosiła, żeby dać jej na kilka minut dziecko i jeden z lekarzy podał jej małą. Emily ucałowała ją i powiedziała, że daje jej imię Serenity. Po tem podała dziecko Juliusowi. Pewnie dlatego, że stał najbliżej noszy.

- Zdjęła z szyi wisiołek i podała go Ariadne. - Montrose napił się piwa i wbił wzrok w źródlaną wodę. - Powiedziała, że ma go od ojca Serenity i że musi mieć pewność, że Serenity go dostanie.

- Emily popatrzyła na nas wszystkich zgromadzonych przy noszach - powiedział Blade - i błagała nas, żebyśmy się zajęli dzieckiem. Myśleliśmy, że jej chodzi o ten czas, kiedy będzie w szpitalu, więc się zgodziliśmy i powiedzieliśmy, żeby się nie martwiła.

- Zmarła w drodze do doliny - podjął wątek Montrose.

- Lekarze powiedzieli, że to był wstrząs. Ale nam się wydaje, że się po prostu poddała i zabrała się z powrotem. Mówiła nam, że bardzo kochała ojca Serenity. Wszyscy wiedzieliśmy, jak bardzo za nim tęskniła.

- Zupełnie tak, jakby odechciało jej się żyć, kiedy już zrobiła to, co musiała. - Blade oparł łokcie na kolanach. - Znałem kiedyś takiego faceta. Zastrzelił się podczas zadania. Wiedział, że nigdy z tego nie wyjdzie żywy, ale poczekał do zakończenia zadania. A potem się zabił.

- Emily znalazła w sobie dość sił, żeby przetrwać do urodzenia córki, a potem nastąpił koniec - powiedział Quinton. - Nie miała już po co żyć.

- A Witt's End zostało z dzieckiem do wychowania. - Caleb ze zdumieniem pokręcił głową. - Dziwi mnie, że opieka społeczna pozwoliła wam ją zatrzymać.

Quinton, Blade i Montrose wymienili znaczące spojrzenia.

- No, trochę im to ułatwił - powiedział ostrożnie Blade. - Ariadne i Jessie powiedziały, że najpewniej będą chcieli nam ją zabrać, jeśli nic nie zrobimy. Powiedziały, że Serenity wyląduje w domu dziecka, tak jak jej matka i ojciec. A my wiedzieliśmy, że Emily by tego nie chciała.

- Ariadne też się wychowała w domu dziecka - wytłumaczył mu Quinton. - Wiedziała, jak to wszystko działa, i wiedziała, jak załatwić papiery i tę całą biurokrację. Poradziła nam, jak uniknąć kłopotów.

- I co zrobiliście? - zapytał Caleb.

- Nałgaliśmy w szpitalnych formularzach - wyjaśnił Montrose. - Mężczyźni z naszej grupy wyszli na parking. Ciągnęliśmy zapalki. Nazwisko zwycięzcy wpisaliśmy do metryki urodzenia Serenity. W szpitalu nie mieli żadnych obiekcji przed wydaniem Serenity jej ojcu.

- Musieliśmy sfałszować jej metrykę, żeby tamci nie wyciągnęli po nią łap - powiedział Blade. Caleb wpatrywał się w bulgoczącą wodę u źródła.

- Rozumiem, że Julius Makepeace był zwycięzcą, tak?

- Tak - Quinton wzruszył ramionami. - Ale to nie miało żadnego znaczenia. Tego dnia każdy z nas stał się krewnym Serenity.

- Tak, jasne. - Caleb oglądał nalepkę na butelce Old Hogwasha i zastanawiał się, dlaczego nagle ma tak lekką głowę. - Tak, chłopaki, to niewiarygodne, ale prawdziwe. Księżniczka z bajki wychowywana przez zdiczałych hipisów.

- Cholera, Ventress, to nie są żarty. - Quinton zmierzył go wzrokiem. - A my nie jesteśmy hipisami. Tu nie został żaden hipis. Ostatni umarł wiele lat temu.

- Nie byłbym taki pewien - powiedział Caleb. - Myślę, że zawsze są jacyś hipisi, tacy czy inni. Tyle że w każdym pokoleniu inaczej się nazywają. Cyganeria, bitnicy, kontestatorzy, punki, świry i co tam chcecie.

- Nie jestem żaden świr. - Blade przybrał złowieszczy wygląd.

- Jasne, że nie - łaskawie przyznał Caleb. - Z całą pewnością jesteś tak samo normalny jak każdy w tym miasteczku.

- Żebyś wiedział - mruknął ugłaskany Blade.

- Wzięliśmy Serenity i wychowaliśmy ją najlepiej, jak umieliśmy - zapewnił go Montrose. - Wszyscy po kolei ją uczyliśmy tego, co kto umiał. Ja ją uczyłem muzyki i jak się zmienia olej w samochodzie. Jessie uczyła ją sztuki.

- Ja filozofii i matematyki - dodał Quinton. - Ariadne nauczyła ją gotowania i podstaw prowadzenia małej firmy.

- Julius literatury i poezji - powiedział Blade. Caleb popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Naprawdę?

- No. Julius lubi czytać - potwierdził Blade. - I nauczył ją jeździć samochodem. Quinton zerknął na Caleba.

- Wszyscy przyłożyliśmy rękę do jej edukacji. Każdy z nas czegoś ją nauczył. Ale tak naprawdę, to ona dała nam więcej niż my jej. Caleb uśmiechnął się nieznacznie.

- Poczucie celowości istnienia? Jakiś sens życia? Wrażenie robienia czegoś ważnego? Uczucie, że jesteście potrzebni i poczucie odpowiedzialności?

- Tak, coś w tym stylu. - Montrose pokiwał głową. Quinton uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Blade ponuro popatrzył na Caleba.

- Skąd ty to wiesz?

- Udało mi się zgadnąć. - Caleb omiół ich wszystkich wzrokiem. - Cały czas czekam na to, co mi macie do powiedzenia.

- To proste, Ventress. - Montrose napił się piwa. - Wszyscy należymy do rodziny Serenity, więc pomyśleliśmy, że mamy prawo zadać ci kilka pytań.

- Dotyczących mnie?

- Tak, ciebie - powiedział Blade. - Zauważyliśmy, że ostatnio poświęcasz Serenity sporo uwagi.

Quinton odchrząknął.

- Zorientowaliśmy się, że jej związek z tobą jest o wiele poważniejszy i bardziej głęboki niż ten, jaki miała z tym idiotą socjologiem pół roku temu.

- A może nawet poważniejszy niż ten, który miała z tym facetem, który tu przybył po stracie rodziny w katastrofie lotniczej - dodał Montrose.

Quinton popatrzył na Caleba.

- Dlatego czujemy, że spoczywa na nas obowiązek zadania ci paru pytań.

- Niech mnie piorun strzeli. - Caleb usadowił się wygodniej. - Wy, chłopaki, pod osłoną tego całego malowniczego indywidualizmu jesteście tak samo staroświeccy i konserwatywni, jak związek drobnych farmerów, co?

Ściągnęliście mnie tutaj, żeby się dowiedzieć, jakie są moje intencje.

- Przestań pieprzyć - zażądał Blade. - Powiedz prosto z mostu, czy tylko podrywasz Serenity czy myślisz o niej poważnie.

- I kiedy powiem, że tylko igram z jej uczuciami i w ogóle nie mam poważnych zamiarów, to zwiążecie mi ręce i nogi, zatopicie stopy w cemencie i wrzucicie do jednego z tych źródeł?

Blade uniósł jedno potężne ramię.

- Niegłupio gadasz.

- Ona jest jedną z nas - powiedział spokojnie Quinton. - Pierwszy dzieciak urodzony w Witt's End. Nie chcemy, żeby ją spotkała krzywda.

- Nie zamierzam jej skrzywdzić. - Caleb zacisnął dłonie na butelce. - Na miły Bóg, czy wy tego nie rozumiecie? Za nic w świecie nie chciałbym tego zrobić!

Trzej mężczyźni przyglądali mu się w milczeniu. Blade i Montrose dopili piwo i wstawili puste butelki do kartonu.

- A co byś chciał? - zapytał Quinton po chwili.

Caleb wbił wzrok w źródlaną głębię.

- Serenity.

Przyjemnie było wypowiedzieć głośno to pragnienie. Z niejasnych powodów po tej słownej deklaracji poczuł się trochę bardziej rzeczywistym, trochę bardziej zbliżonym do realnego świata.

- Chcieć jej to trochę za mało - powiedział łagodnie Quinton.

Caleb położył lewą dłoń na udzie i wyprostował palce.

- Zaopiekuję się nią. Macie na to moje słowo.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odezwał. Caleb zdawał sobie sprawę, że siedzi tu już dość długo, ale nie odczuwał potrzeby opuszczenia ciepłej jaskini. Powoli sączył piwo i wpatrywał się w parę, która sączyła się z dna źródła i rozpuszczała w powietrzu.

- Robi się późno - powiedział w końcu Blade. - Chyba na mnie pora. Muszę iść na obchód. - Wstał i odczepił od pasa małą latarkę. Podał ją Calebowi. - Masz. Może ci się przydać, jak będziesz wracać.

- Dzięki. - Wepchnął latarkę do kieszeni marynarki.

Quinton i Montrose zaczekali, aż ucichnie echo ciężkich kroków Blade'a na kamienistej powierzchni. Wtedy obydwaj wstali i bez słowa wyszli z jaskini. Caleb obserwował ich kątem oka, ale nie ruszył się z miejsca.

Z nieokreślonej bliżej przyczyny nie miał ochoty się do nich przyłączyć.

I bez nich znajdzie drogę powrotną do miasteczka, to nie powinno być trudne. Przez chwilę chciał zostać sam.

Zamknął oczy i pomyślał, co by powiedzieli jego krewni, gdyby go teraz zobaczyli, samotnego, w jaskini ogrzewanej tajemniczymi źródłami. Czas upływał. Minęło kilka minut lub kilka godzin, Caleb

stracił rachubę czasu. Otworzył oczy i spojrzął na zegarek, ale jego uwagę przyciągała wirująca mgiełka nad gorącym źródłem.

Opary stały się teraz bardziej gęste, bardziej namacalne, wzrosło wrażenie głębokości i ciemności. Caleb wpatrywał się w mgłę z bezstronnym zainteresowaniem, jakby oglądał jakiś obraz. Coś w tej mgle przyciągnęło jego wzrok i zmusiło do spojrzenia w dół, na wodę. Krystalicznie czyste wody źródła powoli zaczęły krążyć wokół centralnego punktu tworząc wir.

W wodach źródła powstał korytarz, który nie miał ani początku, ani końca. W jego ścianach było wiele drzwi i Caleb wiedział, że jedne z nich otworzą mu drogę ucieczki z tego nie kończącego się korytarza. Musiał tylko znaleźć te właściwe. Kiedy wpatrywał się zafascynowany w ten nieskończony, wirujący korytarz, dojrzał w nim postać mężczyzny biegnącego wzdłuż ścian; zatrzymywał się przy wszystkich mijanych drzwiach i otwierał je na moment. Przez każde z nich zaglądał do bezkształtnego, szarego pomieszczenia. Zamykał drzwi i biegł do następnych. Caleb nie mógł dojrzeć twarzy mężczyzny, ale był pewien, że go zna. Czuł to samo, co ta postać w tunelu. Znał myśli tego człowieka, wyczuwał jego napięcie i pośpiech. Zdawał sobie na równi z nim sprawę, że czas nieubłaganie ucieka. Serce waliło mu jak młotem, a pot zrosił czoło.

To on był tym mężczyzną, biegnącym nie kończącym się korytarzem! Chciał się zatrzymać, ale nie mógł. Ciemność na końcu korytarza czyhała na niego, musiał biec, musiał otwierać kolejne drzwi, za każdym razem z nadzieją, że znajdzie te właściwe, zanim będzie za późno. Musiał ją znaleźć! Jego przyszłość była w jej rękach! Palce Caleba zacisnęły się na następnej, lodowato zimnej, klamce. To już ostatnie drzwi! Otworzył je.

Pokój za tymi drzwiami nie był taki szary jak pozostałe. Był jasny, biały, przepiękny słonecznym światłem. I ona tam była. Poczul nagły przyływ ulgi, gdy zobaczył, że czeka na niego tuląc niemowlęta do piersi. Wszedł do pokoju. Gdzieś z oddali napływały dźwięki walca. Uśmiechnęła się do niego. Wyciągnął do niej ramiona. Wizja w źródle zniknęła.

Caleb nagle wrócił do rzeczywistości. Głęboko zaczerpnął tchu i otarł pot z czoła. Serce waliło mu tak mocno, jakby szybko biegł przez dłuższy czas. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Wtedy zobaczył mgiełkę, unoszącą się nad kamienistym źródłem. Skręcała się i wirowała, tworząc nie kończące się wzory. Pomimo ciepła bijącego od wody poczul na plecach lodowaty dreszcz. Rozejrzał się mętnym wzrokiem po jaskini i zerknął na zegarek. Ze zdumieniem stwierdził, że jest prawie północ. Trójka mężczyzn opuściła go przed godziną.

Caleb wstał czując, że serce zaczyna mu bić coraz spokojniej. Podeszedł do wyjścia z jaskini i zatrzymał się, wpatrując się w otaczającą go ciemność. Nieliczne światła z rozrzuconych po okolicy domostw przebijały pomiędzy drzewami u podnóża pagórka. Wiedział, że przyjazny blask z najbliższego okna pochodzi z domku Serenity, położonego tuż przy wylocie ścieżki wiodącej do jaskini.

Sięgnął do kieszeni po latarkę, którą zostawił mu Blade, ale uświadomił sobie, że nie jest mu potrzebna. Księżyc wystarczająco oświetlał drogę na dół. Po dziesięciu minutach dotarł do chaty Serenity. Na ganku przed drzwiami wciąż świeciła się lampa. Wszedł na schodki i zapukał do drzwi. Serenity, już w szlafroku i kapciach, natychmiast mu otworzyła. Na ramiona spływała kaskada rudych loków, a z pełnego obawy spojrzenia jej pięknych oczu wyczytał, że na niego czekała.

- Caleb. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Już się zaczynałam martwić. Quinton i reszta wstąpili tu ponad godzinę temu i powiedzieli, że zostałeś sam w jaskini. Mówili, że chyba tu zajrzysz w drodze powrotnej.

- Ostatnie drzwi - wyszeptał Caleb.

- Co?

- Nieważne. - Wyciągnął do niej ramiona.

Nie zniknęła.

Caleb objął Serenity i zanurzył twarz w jej pachnących włosach.

- Pragnę cię.

- Wiem. To dobrze, Caleb. Ja ciebie też pragnę. Wiesz przecież.

Uniósł głowę i popatrzył w jej błyszczące oczy. Zatracił się w tym spojrzeniu.

- Potrzebuję cię.

Odwróciła głowę i pocałowała go w szyję.

- Tak. Ja też cię potrzebuję. Już czas.

Wziął ją na ręce, kopnął drzwi za sobą i zaniósł Serenity do sypialni. Korallikowe zasłony wokół łóżka błyszczały w półmroku. Caleb odsunął jedną zasłonę, która zamigotała jak woda na powierzchni krystalicznego źródła. Tysiące maleńkich szklanych paciorków zadzwoniło i zadźwięczało w ciemności. Położył się na łóżku z Serenity w ramionach. Dygotały mu ręce, tak bardzo jej pożądał. Serenity cichutko jęknęła. Przyłgnęła do niego z namiętym, słodkim oddaniem. Całe ciało Caleba napięło się w bolesnym oczekiwaniu. Jej zapach, aromatyczny i tak nie do zniesienia kobiecy, wzniecił w nim ogień. Z jękiem wsunął nogę między jej uda i szarpnął pasek szlafroka.

Pod spodem natrafił na ciepłą koszulę nocną z flaneli. Ściągał ją niecierpliwie z ramion Serenity aż po talię. Przesuwał dłoń po gładkiej, delikatnej skórze, aż dotarł do ciepłego gniazdka włosów.

Przyłgnęła do niego jeszcze mocniej.

- Tak. Proszę.

- Powiedz - mruknął Caleb. - Powiedz mi, jak bardzo mnie pragniesz.

- Nie mogę. Nie ma takich słów.

- No to mi pokaż. - Caleb pocałował ją gwałtownie i wsunął palce w wilgotne ciepło jej wnętrza. -

O Boże, tak.

Przesuwał ustami po jej szyi, rozpinając suwak w swoich dzinsach, i gorączkowo gmerał w kieszeni szukając małego pakiecika z folii. Sądził, że upłynęła cała wieczność, zanim wreszcie był gotów, ale w rzeczywistości trwało to tylko kilka zapierających dech chwil. Kiedy ułożył się między nogami Serenity, zaczepił stopą o zasłonę przy łóżku. Szklane koraliki zafalowały i zadźwięczały.

- Caleb?

- Jestem tu. - Czuł ciepło bijące od jej wewnętrznych mięśni. Była gotowa na jego przyjęcie i pragnęła go. Jeszcze nigdy w życiu niczego nie pożądał tak straszliwie, jak jej teraz. Zaczął w nią wchodzić, niespiesznie i rozważnie. Cicho jęknął. Była ciepła, gładka i tak rozkoszna, że brakowało mu tchu, ale ciasna, za ciasna! Usłyszał, że Serenity zatrzymała oddech i naprężyła się, gdy wtargnął w nią głębiej. Zatrzymał się, drżąc na całym ciele.

- O Boże, Serenity!

- Nie, nie zostawiaj mnie - szepnęła. - Już nadszedł czas. Ty jesteś tym właściwym mężczyzną.

- Dobrze się czujesz? - zapytał cicho.

- Tak. Tak, dobrze. - Objęła go mocno i uniosła biodra. - Ja tylko nigdy nie marzyłam nawet, że tak może być.

- Jak?

- Jakbym znalazła swoją drugą połowę.

Caleb stoczył straszliwą walkę z własnym opanowaniem, ale poddał się w chwili, gdy Serenity przyciągnęła go do siebie. I wtedy chwycił ją tak mocno, jak nigdy przedtem nie trzymał nikogo. Uczucie triumfu, spełnienia i radości spłynęło na niego jak kaskada, znalazł się w obliczu cudownego zawirowania uczuć, których nie mógł opanować. Ale nie przejął się tym. W tym cudownie wstrząsającym momencie wiedział tylko jedno, wiedział na pewno, i to mu na razie wystarczało. Nie jest duchem!

Światło migotało mu przed oczami jak kaskada klejnotów. Caleb wyczuwał nawet jego kolory - bursztynu, rubinu, szafiru i szmaragdu. Było to dziwne uczucie, nie przykre, ale dziwne. Czekał z zaciekawieniem, kiedy mu przejdzie, ale gdy wciąż nie mijało, otworzył oczy. Ocknął się w strumieniu słonecznego światła przefiltrowanego przez zasłonę szklanych paciorków, zaciągniętą wokół łóżka Serenity.

Obrócił głowę i zobaczył, że jest sam. Po szumie wody zorientował się, że Serenity jest pod prysznicem. Przez chwilę leżał bez ruchu, jakby w obawie, że wspomnienia z tej nocy rozpląną się jak mgiełka nad gorącym źródłem. Ale wraz ze światłem słonecznego poranka narastało w nim poczucie rzeczywistości. Nagrzane, pomięte prześcieradła oraz wypełniająca go satysfakcja były wystarczającym dowodem na to, że nie śni. Wyobraził sobie Serenity pod prysznicem i uśmiechnął się. Usiadł i odsunął na bok kołdrę.

Na widok trzech czarno-białych fotografii leżących na kołdrze kompletnie go zamurowało. Ambrose Asterley dokonał rzeczy niemożliwej. Uchwycił na kliszy fotograficznej istotę stworzoną ze światła i czarów. Na jednym zdjęciu Serenity leżąc na wielkim głazie patrzyła przez ramię do tyłu, prosto w obiektyw. Oczy miała pełne niewinnie zmysłowej ciekawości, jak leśna nimfa. Łagodna krzywizna bioder i ud odbijała się delikatnym cieniem na skąpanym w słońcu głazie.

Drugie zdjęcie przedstawiało ją w pozycji siedzącej na skale, z kolanami podciągniętymi aż po brodę. W tej pozycji nie było nic zdrożnego, chociaż dziewczyna była zupełnie naga. Asterleya najwidoczniej o wiele bardziej zafascynowała gra światła i cienia na kobiecej skórze niż to, co mogłoby podniecić oglądającego zdjęcie.

Na trzecim Serenity leżała na brzuchu, z ręką zanurzoną w strumieniu. To zdjęcie także tchnęło wręcz czarowną, naturalną niewinnością dziewczyny, która wpatrywała się w wodę. To była nie tylko kobieta, która leży na skale obok strumienia - była to kwintesencja kobiecości. Kobieta, delikatna boginka, pewna swego kobiecego uroku.

Caleb popatrzył raz jeszcze na te trzy zdjęcia i zrozumiał, że otrzymał niezwykle rzadki i cenny podarunek. Przepelniony wdzięcznością zebrał fotografie, położył je na stoliku obok łóżka i poszedł do łazienki. Gdy otwierał drzwi, akurat zadzwonił telefon. Caleb zawahał się, wzruszył ramionami i zamknął drzwi z powrotem. Zgarnął z podłogi spodnie i poszedł do saloniku, żeby podnieść słuchawkę.

- Halo?

- Caleb, na miłość boską, czy to ty? - Głos Franklina był szorstki, niemal wściekły. - Twoja sekretarka dała mi dziś rano ten numer. Szukam cię wszędzie od wczoraj.

- O co chodzi? Coś się stało z dziadkiem? - zapytał Caleb spokojnym tonem.

- Nie, nie chodzi o to.

- No więc, w czym problem? - Caleb poczuł wewnętrzny niepokój. Z Rolandem wszystko w porządku. Pewnego dnia, pomyślał czując dziwny skurcz, będzie się musiał zmierzyć z wiadomością o śmierci dziadka. Ale nie dziś, Bogu dzięki, nie dziś.

Zaniepokoiła go własna reakcja. Nigdy nie pozwalał sobie na myślenie o swoich uczuciach do starszego pana, chyba że o gniewie.

- Caleb, uważam, że powinieneś wiedzieć, że wczoraj po południu zapłaciłem pięć tysięcy dolarów za plik zdjęć pornograficznych.

- To trochę za drogo, wujku. Wydaje mi się, że sporo przepłaciłeś.

- Ja nie żartuję! - Franklin wyszeptał szorstkim, zduszonym głosem. - Zapłaciłem pięć tysięcy dolarów szantażyście, słyszysz? Pięć tysięcy dolarów. Po twoim wyjeździe z Ventress Valley dostałem telefon. Ten człowiek powiedział mi, że muszę przyjść z pieniędzmi albo zdjęcia twojej nowej przyjaciółki zostaną wysłane do gazet.

- Serenity? - Caleb przez moment zupełnie nic nie rozumiał. Nagle wszystko było jasne. - Cholera! Ktoś ci przysłał fotografie?

- Wiedziałaś o nich?

- Tak, do cholery. Wiedziałem.

- Ona jest naga, Caleb. Pozowała nago do tych zdjęć.

Są obsceniczne. To znowu cała Crystal Brooke. Coś ty narobił?!

- Uspokój się, Franklin.

- Ten człowiek grozi, że pošle zdjęcia do „Ventress Valley News”. Tak samo jak wtedy. No więc mu zapłaciłem. Musiałem to zrobić dla dobra rodziny!

- Uspokój się, Franklin.

- Rodzina byłaby upokorzona, gdyby tak się stało. To wszystko twoja wina, niech cię szlag trafi! Po tym wszystkim, co Roland zrobił dla ciebie, okrywasz go hańbą w taki sam sposób jak twój ojciec. Idziesz w ślady Gordona. Uwiodła cię tania żdzira, a teraz my wszyscy będziemy musieli za to zapłacić.

Rozdział 11

Serenity oglądała swoją twarz w zaparowanym lustrze, zwijając włosy w węzeł na czubku głowy. Stwierdziła ze zdumieniem i zachwytem, że nie widać żadnej różnicy. Umocowała wijącą się burzę włosów wielką spinką i choć kilka kosmyków wymknęło się spod zapięcia, nie zwróciła na to uwagi. Pochyliła się nad umywalką i popatrzyła na siebie z bliska. Nic. Nada. Niente. Zero. Ta sama stara Serenity.

Ale wiedziała, że wcale już nie jest taka sama. Bulgotało w niej cudowne poczucie satysfakcji. Okazało się, że wcale się nie myliła co do Caleba. Żaden mężczyzna nie kochałby jej tak, jak on, chyba że byłby ogromnie zakochany. Kiedy poprzedniego wieczoru otworzyła drzwi i zobaczyła Caleba na schodach, w jego oczach ujrzała prawdę. Albo przynajmniej miała takie wrażenie. Ale na pewno dostrzegła coś znaczącego w wyrazie jego oczu. Wyglądał jak człowiek, który doznał objawienia. Dzikiej namiętności towarzyszyło inne surowe uczucie, tak mocne i gwałtowne, że to mogła być tylko miłość.

I dlatego zaryzykowała i pokazała mu zdjęcia. Obudziła się z przekonaniem, że teraz Caleb zrozumie. Teraz może obejrzeć zdjęcia bez żadnych uprzedzeń. Odwracając się od lustra, Serenity uśmiechnęła się. Czuliła się zdolna do latania lub przebiegnięcia maratonu, mogła tańczyć na powierzchni gorących źródeł. Nie było takiego cudu, jakiego nie byłaby w stanie dokonać. Zawinęła się w szlafrok, wsunęła stopy w klapki i otworzyła drzwi od łazienki. Z saloniku dobiegł ją głos Caleba.

- Powiedziałem ci, że się tym zajmę, Franklin.

To mówił ten stary Caleb, ten, którego poznała w kancelarii w Seattle. Beznamiętny, obojętny, wręcz lodowaty; niedawne ciepło zostało starannie przykryte warstwą chłodnej stali.

- Nic nie rób, jasne? Siedź tylko cicho, ja się wszystkim zajmę.

Zimny powiew ostudził gorące opary euforii Serenity. Usłyszała, że Caleb odłożył słuchawkę niezwykle delikatnie. Serce podskoczyło jej do gardła, kiedy sobie uświadomiła, że musiało się stać coś strasznego. Pomyślała o zdjęciach, które zostawiła mu na kołdrze, i zastanawiała się, czy nie popełniła błędu. Zaciskając poły szlafroka wzięła głęboki oddech i zmusiła się, żeby powoli przejść przez korytarz. Weszła do saloniku i zobaczyła Caleba - w samych spodniach i na bosaka stał przy telefonie. Jego twarz przyoblekła chłodną maskę.

- Caleb?

- Mamy pewien problem.

- Jakiego rodzaju?

- Myślę, że z całą pewnością możemy stwierdzić, że Ambrose Asterley nie był jedyną osobą, która chciała cię szantażować.

Wszystkiego mogła się spodziewać, ale na pewno nie tego! Nie wiedziała, czy powinna odczuwać ulgę, czy się przestraszyć.

- O czym ty mówisz?

- Wczoraj po południu, kiedy wyjechaliśmy z Ventress Valley, ktoś zadzwonił do Franklina i powiedział mu, że ma pewne fotografie na sprzedaż. Zażądał za nie pięć tysięcy dolarów.

Żołądek podjechał Serenity do gardła.

- Nie rozumiem.

- Nie? Dla mnie to zupełnie jasne. Ktoś, kogo znasz, ma te negatywy i postanowił je wykorzystać.

Tym razem nie poto, żeby cię powstrzymać przed robieniem ze mną interesów, ale żeby wyciągnąć pieniądze od mojej rodziny.

- O Boże! - Serenity powoli opadła na fotel. Objęła się w pasie rękami i zgięła w pół. - Przykro mi. Tak mi przykro.

- Do cholery, Serenity, co tu się dzieje? - Caleb przemawiał podejrzenie spokojnym tonem.

- Nie wiem. Sama chciałabym wiedzieć. - Spojrzała na niego z pełnym rozpaczy, niemym błaganiem. Prawdopodobnie nie był to właściwy moment, żeby go zapytać, co naprawdę myśli o tych zdjęciach, ale nie mogła się powstrzymać. Musiała wiedzieć, czy słusznie podjęła ryzyko, pokazując mu je dziś rano. - Widziałeś te zdjęcia.

Chyba nie uważasz, że są okropne, prawda?

- To nie ma nic do rzeczy. Nie rozumiesz? To nieważne, co ja uważam. - Wsunął palce we włosy i skrzywił się.

Był skoncentrowany na katastrofalnych wiadomościach od Franklina, a nie na pocieszaniu Serenity. - Ważne jest to, że ktoś się skontaktował z moją rodziną, znakomicie wiedząc, co się stanie. Tym razem to nie mógł być Asterley, bo on już nie żyje.

- Nie mam pojęcia, co się dzieje - wyszeptwała Serenity.

- Mogę się tylko domyślać, że ktoś tutaj, w Witt's End, brutalnie walczy z moimi planami.

Ktokolwiek by to był, jest absolutnie pewien, że jeśli odejdiesz i odrzucisz współpracę ze mną, to mój projekt upadnie.

- Myślę, że tu chodzi o coś więcej - powoli wycedził Caleb. - I chyba od początku tak było. Ale ja byłem zbyt zajęty innymi sprawami, żeby się dokładnie nad tym zastanowić.

- O czym ty mówisz?

- Zastanów się, Serenity. Fakty są takie, że te twoje zdjęcia są bardzo wątpliwym powodem do szantażu.

- Zawsze tak uważałam - mruknęła. - Cały czas ci mówiłam, że to zdjęcia artystyczne, a nie pornograficzne.

- Owszem, zgoda, ale myślę, że śmiało można powiedzieć, że prawdopodobnie nie ma takiej rodziny, która nie miałaby nic przeciwko przyjęciu do swego grona osoby, która pozowała nago do jakichkolwiek fotografii.

- Chyba masz rację. Mnóstwo ludzi nie potrafi docenić prawdziwej sztuki.

Zignorował jej uwagę.

- W każdym razie mam poważne podejrzenia, że istnieje sporo rodzin, które, żeby użyć twojego wyrażenia, dostałyby szału na widok takich zdjęć, a z pewnością zalicza się do nich rodzina Ventressów.

- Przerwał na moment. - Przed chwilą miałem zresztą wyraźny przykład w osobie mojego wuja.

Serenity zmarszczyła czoło.

- Wydaje mi się, że wiem, do czego zmierzasz.

- Ten, kto ma negatywy, doskonale wie wszystko o mnie i przeszłości mojej rodziny. I teraz musimy stawić czoło faktowi, że to nie Ambrose Asterley jest tą szują. I szlag trafił teorię, że szantażysta zna moje nazwisko z gazet.

- A może ktoś znalazł te negatywy po śmierci Ambrose'a, tak jak się obawialiśmy? - Serenity wzdrygnęła się. - A może koperta w archiwum Ambrose'a była pusta dlatego, że ktoś zabrał negatywy przede mną?

- Bardzo możliwe, że ktoś je wziął na długo przedtem, zanim zaczęłaś ich szukać. Może nawet przed śmiercią Ambrose'a. Ktoś, kto znał sprawę szantażu w mojej rodzinie.

- Jakkolwiek by na to patrzeć, to musi być ktoś z Witt's End - szepnęła Serenity. - Ale nie mieści mi się w głowie, jak ktoś tutaj mógłby wiedzieć to wszystko o tobie i twojej rodzinie, nie mówiąc już o tym, że w ogóle mógłby zrobić coś takiego. Ambrose był absolutnie jedyną osobą, która wchodziła w rachubę.

- I nie żyje. - Caleb chodził tam i z powrotem po pokoju. - Zacznijmy od początku. Fakt numer jeden: wszyscy w Witt's End wiedzieli, że pozowałaś Asterleyowi, tak?

- Tak, chyba tak. Nikogo to nie obchodziło, ale chyba wszyscy wiedzieli. To nie była żadna tajemnica.

- Fakt numer dwa: nic się nie działo do momentu, kiedy spotkałaś się ze mną kilka razy i powiedziałaś ludziom w Witt's End, że podpiszesz ze mną umowę.

- Właśnie - powiedziała Serenity. - I nie zapominaj, że wtedy szantażysta nie chciał pieniędzy. Chciał, żebym zerwała z tobą negocjacje.

- A teraz mamy drugi szantaż. Tym razem chodzi o forszę. Więc może są dwaj różni szantażyści? Pierwszym mógł być Asterley, tak jak to sobie poprzednio założyliśmy. W jego przypadku wyglądało na to, że chodzi mu tylko o storpedowanie twoich planów.

- A drugi szantażysta, który wiedział, co robi Ambrose, po jego śmierci doszedł do wniosku, że może wykorzystać zdjęcia w bardziej intratnym celu. - Serenity skrzywiła się.

- Na przykład, żeby wyłudzić pieniądze od twojej rodziny.

Caleb podszedł do piecyka, otworzył drzwiczki i dołożył kilka polan do ognia.

- Dwóch szantażystów. Obydwaj wiedzieli o zdjęciach, o twojej umowie ze mną i o mojej przeszłości. Jeden z nich chciał przeszkodzić ci w zawarciu ze mną umowy, ale drugi chciał więcej. Chciał pieniędzy.

- Myślę, że Ambrose mógł powiedzieć komuś o tym, co robi. - Serenity w zamyśleniu przygryzała

dolną wargę. - Ale jedyną osobą, której się zwierzał, była Jessie.

A ja wiem, że Jessie nigdy by nikogo nie szantażowała.

- Wiesz? - Caleb był sceptyczny. - Wiesz to na pewno?

Serenity plasnęła dłońmi o uda.

- Jasne, że wiem! Znam Jessie przez całe życie! Jest członkiem mojej rodziny.

- Serenity, jeśli chodzi o tę aferę, niczego nie możemy być pewni. - Caleb zamknął drzwiczki od piecyka. - Nawet tego, jak naprawdę umarł Asterley.

- Co takiego? - Serenity zeszywniała. - Nieprawda!

Ambrose się upił, potknął i spadł ze schodów do piwnicy.

- Na pewno?

- Caleb, co ty wygadujesz? Że ktoś go mógł popchnąć? - Serenity była zdumiona. - Ale kto mógłby zrobić coś takiego?

- Drugi szantażysta. Ten, który chciał wykorzystać zdjęcia w bardziej lukratywnym celu.

- Och nie. - Serenity gwałtownie kręciła głową. - Nie, nie, nie. Morderca? Tutaj, w Witr's End? Nie, to niemożliwe. Za długo siedziałeś z Blade'em. To mi zaczyna pachnieć jego teorią spisku.

- Sam Blade też może być szantażystą i mordercą.

Serenity drgnęła.

- Absolutnie wykluczone! W żadnym wypadku w to nie uwierzę. Poza tym on nie może nic wiedzieć o przeszłości twojej rodziny.

- Asterley mógł mu powiedzieć. Cholera jasna, Serenity, za blisko jesteś z tym związana, żeby myśleć logicznie. Jesteś za bardzo zaangażowana emocjonalnie.

- A ty nie jesteś? - zapytała z powątpiewaniem.

- Nie. Przynajmniej nie tak jak ty. Jestem opanowany.

Potrafię spojrzeć na całą sytuację o wiele bardziej obiektywnie niż ty.

Serenity zerwała się na równe nogi.

- Jak możesz tak mówić po tym, co się wydarzyło między nami tej nocy?!

Spojrzał na nią zaskoczony.

- To przecież nie ma z tym nic wspólnego.

- Nie ma nic wspólnego? Ma wszystko wspólne! Nie wierzę własnym uszom! - Wskazała na sypialnię. - Nie byłam tam sama w nocy!

- Wiem o tym.

- I to twoja rodzina teraz jest szantażowana. - Serenity założyła ręce na piersiach i popatrzyła na niego z uśmiechem triumfu. - I nie próbuj mi wmówić, że nie jesteś zaangażowany emocjonalnie aż po same uszy.

- Niech to cholera weźmie, ja próbuję podejść do tego problemu w sposób inteligentny, logiczny i pragmatyczny.

- Proszę bardzo. Ale mi nie mów, że nie jesteś zaangażowany emocjonalnie. I nie próbuj mi wmówić, że któryś z moich przyjaciół jest mordercą albo szantażystą. Bo i tak ci nie uwierzę.

Caleb wykrzywił usta w kpiącym uśmiešku.

- Spotkałaś kiedyś szantażystę?

- No... nie - przyznała Serenity. - Ale wiem, że bym go rozpoznała.

- Tak? A jak by wyglądał?

- No, byłby to przebiegły typ z fałszywym spojrzeniem i bardzo małym szacunkiem do samego siebie.

- To nie są żarty - wycodził Caleb przez zęby. - Ktoś dla zysku bezpardonowo wykorzystuje fakty z mojej przeszłości i posługuje się tobą, żeby osiągnąć cel. On lub ona mógł zabić Asterleya, żeby to

osiągnąć. Chcę wiedzieć, co się dzieje w tym oryginalnym, malowniczym miasteczku.

Serenity westchnęła.

- Wiem, że chcesz znać odpowiedź. Ja też.

- Dowiemy się.

- Jak?

- Myślę, że powinniśmy zacząć od ponownego przejrzenia archiwum Asterleya - powiedział Caleb. - Jessie chyba go jeszcze nie usunęła z domu, co?

- Nie. Wczoraj mi powiedziała, że zabrała sprzęt fotograficzny, ale zostawiła szafki z materiałami. Nie ma gdzie ich umieścić. Ale czego będziemy szukać w tym archiwum?

- Nie wiem. - Caleb zerknął na okno, słysząc nadjeżdżający samochód. - Kto to może być o tak wczesnej godzinie?

- Nie mam pojęcia. - Serenity odwróciła się i podeszła do drzwi.

- Zaczekaj. Co robisz? Przecież jesteś w szlafroku.

Serenity spojrzała na siebie.

- Na litość boską, przecież jestem przyzwoicie ubrana!

- Nie, nie jesteś. - Zmierzył ją wzrokiem od czubka rozczochranej głowy po boscie stopy w kapciach. Na moment z jego oczu zniknął wyraz chłodnego opanowania i ustąpił miejsca mdłemu przeblyskowi niedawnej namiętności. - Wyglądasz, jakbyś wstała prosto z łóżka.

Serenity zarumieniła się pod jego spojrzeniem. Nagle zabrakło jej tchu.

- Nie jesteś zaangażowany uczuciowo, co?

- Idź się ubrać - zaburczał. - Ja zobaczę, kto przyjechał.

- Dobrze już, dobrze - powiedziała unosząc ręce. - Pójdę się ubrać. Zawsze taki jesteś o poranku?

- Tylko wtedy, kiedy po przebudzeniu dowiaduję się, że ktoś szantażuje moją rodzinę i że dziewczyna, z którą sypiam, ma zwyczaj otwierania gościom drzwi ubrana jedynie w szlafrok.

- Wiesz, jaki masz problem, Caleb?

- Tak. Jestem staroświecki, pruderyjny, nudny i konwencjonalny.

- W jednym się mylisz - sprostowała Serenity. - Nie jesteś nudny. Nigdy nie jesteś nudny. - Zanim zdążył jej odpowiedzieć, była już w sypialni.

Na dworze rozległo się trzaśnięcie drzwi samochodu. Serenity włożyła zielone legginsy i właśnie wciągała obcisły fioletowy golf, kiedy usłyszała pukanie. W niskim głosie Caleba, który przywitał gościa, usłyszała nutę wyzwania.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - Słowa były uprzejme, w przeciwieństwie do tonu, jakim zostały wypowiedziane.

- Kim pan jest? - zapytał zaskoczony Lloyd Radburn.

Serenity pomyślała, że jeszcze tylko tego jej brakowało. W pośpiechu zapinała farbowaną własnoręcznie, postrzępioną na dole spódnicę.

- Lloyd?! - zawołała z sypialni. - To ty?

- Jasne, kochanie - krzyknął Lloyd w odpowiedzi. - Pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, co słyhać. Chciałem omówić z tobą kilka szczegółów moich badań. Serenity jęknęła w duchu, idąc korytarzem do saloniku. Zerknęła na twarz Caleba i zorientowała się, że za kilka minut wydarzenia przybiorą ryzykowny obrót. Odwróciła się twarzą do nieproszonego gościa.

- Cześć, Lloyd. Co za niespodzianka.

- No, no, no. Strasznie się cieszę, że cię znowu widzę, kochana Serenity. - Lloyd przywitał ją swoim wystudiowanym uśmiechem.

Serenity także odpowiedziała uśmiechem, choć zupełnie niewesołym. Lloyd bywał irytujący, ale tak

naprawdę trudno było się długo na niego gniewać. Był skoncentrowany na swojej osobie i bez wątpienia bardzo ambitny, ale nie był okrutny ani złośliwy.

A poza tym nie dało się zaprzeczyć, że miał swoisty urok, który przysparzał mu wiele zwolenniczek wśród kilku pokoleń studentek. Wyglądał bardziej na rzutkiego zagranicznego korespondenta niż na profesora socjologii. Skórzana kurtka, którą włożył na koszulę khaki, pochodziła z bardzo dobrego domu mody i świetnie współgrała z wysokimi skórzanymi butami i sztucznie spranymi dzinsami. Jasno kasztanowe włosy miał modnie obcięte, a jeden lok z grzywki stale opadał mu na ciemne oko. Kapelusz z dobrej skóry, który przed chwilą odwiesił na mosiężny hak w korytarzu, przypominał nakrycie głowy poszukiwacza przygód na Dzikim Zachodzie.

- Serenity, kochana, cudownie wyglądasz. - Bez ostrzeżenia Lloyd pochylił się nad nią, objął ją w talii i zatoczył nią koło w powietrzu. - Wiesz co? Tęskniłem za tobą.

- Lloyd, proszę, puść mnie.

- Tak cholernie się cieszę, że znowu cię widzę, kochanie. Jak tam moja królewna z bajki?

- Puść ją. - Głos Caleba miał ostrość stalowego noża.

- Dobrze, dobrze. Za chwileczkę. - Lloyd próbował pocałować Serenity gdzieś w okolicę kącika ust. Zachichotał, kiedy się uchyliła. - Serenity, przecież jesteśmy starymi przyjaciółmi, prawda, kochanie? Nie widzieliśmy się od wielu miesięcy.

- Na miłość boską, Lloyd, wystarczy. - Serenity położyła mu ręce na ramionach i odepchnęła się. - Puść mnie, zanim dostanę choroby morskiej.

Lloyd wybuchnął śmiechem i zaczął obracać dziewczyną w drugą stronę.

Dłoń Caleba spoczęła na ramieniu Lloyd'a.

- Postaw ją na podłodze albo połkniesz własne zęby.

Lloyd natychmiast się zatrzymał i puścił Serenity. Odwrócił się do Caleba i spojrzał na niego wojowniczo.

- Kim on jest, Serenity? Jakiś facio, co myśli, że jest twoim starszym bratem?

- Nie - odpowiedział bardzo spokojnie Caleb. - Nie jestem jej bratem.

- Jest moim doradcą - powiedziała pospiesznie Serenity. Sięgnęła do włosów, by umocować spinkę, która się wysunęła.

- Doradcą? - Lloyd miał głupią minę. Popatrzył znowu na Serenity. - Jakim doradcą?

Serenity podniosła głowę z majestatyczną godnością.

- Doradcą w interesach. Nazywa się Caleb Ventress.

Caleb, pozwól, to jest Lloyd Radburn, profesor z Bullington College. Sądzę, że wspomniałam ci o nim tego wieczoru, kiedy telefonował.

- Owszem, wspomniałaś. - Caleb oglądał Lloyd'a w taki sposób, jakby rozważał możliwość przygotowania z niego potrawy na lunch.

Lloyd uśmiechnął się do Serenity z niedowierzaniem.

- No, no, no, kochanie. Chyba żartujesz? Na cholere ci doradca w interesach? Masz kłopoty z policzeniem fasoli w sklepie?

- Jeśli się nie pogniewasz, to pójdę zaparzyć herbatę.

- Masz może kawę? - zapytał Lloyd bez wahania.

- Nie cierpię herbaty. - Poszedł za Serenity do kuchni.

- Przykro mi. Nie pijam kawy.

- Tak, racja, zapomniałem. No to chyba zostanę przy herbacie. - Lloyd wybrał sobie jedno z krzeseł przy kuchennym stole, odwrócił je tyłem do przodu i usiadł opierając ręce na rzeźbionym oparciu.

Caleb stanął w progu.

- Masz jakąś konkretną sprawę, Radburn?

Lloyd zachichotał.

- Chciałem pogadać z Serenity.

Serenity naląła wodę do czajnika.

- Jeśli o tym idiotycznym pomysle badań nad Witt's End, to wybij go sobie z głowy, Lloyd.

Powiedziałam ci, że nie przyłożę do tego ręki.

- Czeka, kotku. Nie tak szybko. - Z twarzy Lloyd'a zniknął uśmiešek. - Mówiłem ci przedwczoraj, że

to dla mnie bardzo ważne. Mogę mieć znakomite studium. W Witt's End czas się zatrzymał. To

wspaniały przykład nowego wcielenia klasycznego amerykańskiego miasteczka na pograniczu.

- Niezupełnie - zauważyła Serenity.

- Ależ tak. Co więcej, to idealny temat dla mnie - upierał się Lloyd. - Zgodnie z panującymi zasadami, to miasteczko nie ma prawa tak długo istnieć. No bo przecież założyło je kilku wyrzutków społecznych i odszczepieńców i do tej pory jest przez nich zamieszkane.

Znajdziemy tu wszystkich, od byłych kultystów aż do kompletnych paranoików.

- Mówisz o członkach mojej rodziny - warknęła Serenity. - Lepiej trzymaj język za zębami.

- Daj spokój, kochanie. Sama kiedyś to studiowałaś, więc wiesz, o czym mówię. Dynamika społeczna tej osady jest fascynująca. Bazując na moich obserwacjach poczynionych pół roku temu, stworzyłem teorię. A teraz chcę ją udowodnić.

- Jaką teorię?

- Jest związana z rolą legendy w małych społecznościach, zwłaszcza w małych osadach pogranicza. Uważam, że lokalne mity są jedną z głównych sił tworzących substancję struktury społecznej i dzięki nim to wszystko funkcjonuje. Mity jednoczą wspólnotę. Krótko mówiąc, moja teoria zakłada, że miasteczka lub wspólnoty, które nie mają kilku lokalnych mitów, muszą je stworzyć, żeby przetrwać.

- To brzmi interesująco - przyznała Serenity.

- Czasami mity wyglądają na zupełnie nie oderwane od rzeczywistości, zwłaszcza dla obcych - kontynuował Lloyd. - W wielu przypadkach brzmią jak plotki o sąsiadach. Kto z kim śpi, na przykład. W dawnych czasach niektóre lokalne legendy w miasteczkach pogranicza prawdopodobnie dotyczyły rewolwerowców, szulerów albo poszukiwaczy złota. W każdym razie chodzi o to, że wspólnoty potrzebują takich opowieści, w takiej czy innej formie, aby odczuwać zespolenie.

- Rozumiem, o co ci chodzi. - Serenity kiwnęła głową.

- Słuchaj, obiecuję, że wszystko ci później opowiem.

Ale teraz potrzebna mi jest twoja pomoc. Nie uda mi się praca w terenie bez twojego wsparcia.

Wiesz dobrze, że nie przeprowadzę właściwych wywiadów lub obserwacji, jeśli nie przekonasz tubylców do współpracy ze mną.

- Mowy nie ma - powiedziała Serenity.

- Ależ tak. - Z głosu Lloyd'a zniknęła radosna nuta, zastąpił ją pełen determinacji uśmiešek. -

Powiedziałem ci przez telefon, że muszę zrobić to studium. Cholernie dużo od tego zależy, zwłaszcza w mojej karierze.

- Znajdź sobie jakieś inne miasteczko - poradziła Serenity.

- Ale, Serenity, kochanie, Witt's End jest jedyne w swoim rodzaju! I o ile wiem z literatury na ten temat, nikt go jeszcze nie odkrył, nie mówiąc już o badaniach.

Caleb uniósł jedną brew.

- I myślę, że tubylcom, jak ich nazwałeś, bardzo to odpowiada.

- Nie mam zamiaru się wtrącać do ich stylu życia - upierał się Lloyd. - Cholera, wcale nie mam na to ochoty.

Ale muszę się znaleźć wewnątrz społeczności, żeby porozmawiać. Ta wspólnota, o ile wiem, funkcjonuje na niemal plemiennych zasadach. I to mi podsunęło pomysł zwrócenia uwagi na znaczenie lokalnych legend.

Serenity popatrzyła na niego z uwagą.

- A właściwie jakie lokalne legendy zamierzasz zanalizować, Lloyd?

- Tę o źródłach wizji, czy jak tam je nazywacie.

- Słuchaj no, o czym ty mówisz? - zapytała lodowatym tonem.

- Przestań, Serenity, nie strugaj ze mnie wariata. To ja, twój stary kumpel, Lloyd, zapomniałaś już? -

Uśmiechnął się. - Sama mi powiedziałaś o gorących źródłach, które są tu gdzieś ukryte w jaskini.

- Być może o nich wspomniałam. To nie tajemnica, że w tej części gór są gorące źródła - odparła wymijająco. - W każdym razie nigdy nie były wykorzystywane. Trudno się do nich dostać.

- Ale są przecież przedmiotem lokalnego mistycyzmu i legend, no nie? - upierał się Lloyd. - Ludzie przyznają, że miewali tam wizje.

- Bzdura - krótko ucięła Serenity. - Nie znam nikogo, kto by miał prawdziwą wizję u źródeł.

- Cholera, wiem, że nikt nigdy nie miał prawdziwej wizji. - Lloyd machnął ręką. - Nie ma czegoś takiego. Chodzi mi o to, że istnieje mit o źródłach, a to czyni je niezwykle interesującym elementem lokalnej dynamiki społecznej.

- Te źródła nie mają najmniejszego wpływu na naszą strukturę społeczną. - Serenity otworzyła szafkę i wyjęła trzy filiżanki. - Lloyd, próbuję ci to wbić do twojej zakutej głowy: nie pomogę ci w przeprowadzeniu badań w Witt's End.

- Porozmawiamy później na ten temat - odparł lekko, zerkając na Caleba, po czym spojrzał groźnie na Serenity.

- Powiedz mi jeszcze raz, po co ci doradca? Nie zrozumiałem za pierwszym razem.

- Pewnie dlatego, że ci nie odpowiedziałam. - Serenity zalała herbatę wrzątkiem. - Rozwijam swój sklep w dom sprzedaży wysyłkowej. Myślę, że to przyniesie korzyści całemu miasteczku. Wielu mieszkańców Witt's End ma sporo rzeczy do sprzedania, ale nie mamy praktycznego sposobu dotarcia na rynek, poza lokalnymi targami rzemiosła. Kiedy ruszy moja firma, będą mogli sprzedawać produkty poprzez katalog.

- Mówisz poważnie?! - Lloyd był najwyraźniej przerażony. - Chcesz rozwinąć sklep w firmę sprzedaży wysyłkowej?

Serenity popatrzyła na niego zdziwiona.

- Tak. I po to wynajęłam Caleba. On się specjalizuje w zakładaniu i uruchamianiu przedsiębiorstw.

- O kurwa. - Lloyd wlepił w nią wzrok. - Ta sprawa absolutnie nie ulega żadnej kwestii. Nie możesz tego zrobić, Serenity.

- A to niby dlaczego? - zapytał od progu Caleb. - Ja jej pomogę, a jestem w tym bardzo dobry.

Lloyd spojrzał na niego z obrzydzeniem.

- Ona tego nie robi, dopóki nie skończę tu badań. Nie rozumiesz?! Jeśli Serenity wprowadzi większe zmiany w miejscową ekonomię, to istniejąca struktura społeczna zostanie poważnie naruszona. Wszystkie podstawowe składniki zostaną zmienione lub zmodyfikowane. Tak się musi stać!

- No i co z tego? - zapytał Caleb. - To się nazywa postęp.

- No właśnie, nie życzę sobie żadnych zmian w Witt's End, dopóki nie skończę badań! - ryknął Lloyd.

- Jak daleko już zaszły prace?

- Właśnie zakończyliśmy wstępne plany, ocenę handlową produktów i badania marketingowe. -

Caleb zamyślił się. - Sporządziłem listę towarów do wysyłki. Katalog wyjdzie w przyszłym miesiącu. Myślę, że śmiało można stwierdzić, że ruszyliśmy na dobre.

- Rany boskie, natychmiast musisz to przerwać! - Lloyd skoczył na równe nogi i odwrócił się do Serenity. - Wszystko mi zniszczysz!

Serenity spokojnie nalała herbatę i oparła się o stół kuchenny.

- Lloyd, musimy sobie coś wyjaśnić. Mam swoje plany i nie odłożę ich na bok dlatego, że ty masz zamiar badać moje miasteczko jak przyszpiloną pluskwę. Zabrałoby ci to kilka tygodni, może nawet miesiące, te wszystkie wywiady i obserwacje. I wymagałoby to współpracy mieszkańców, której nie otrzymasz.

- Otrzymam, jeśli mi pomożesz - szybko zripostował Lloyd. - Oni cię posłuchają, Serenity. Ty jesteś kluczem do wszystkiego. Zorientowałem się już pół roku temu. Jeśli ich poprosisz, żeby ze mną współpracowali, to będą współpracowali.

- Tylko że ona ich nie poprosi - wtrącił się Caleb. - Prawda, Serenity?

- Właśnie. Mam ważniejsze sprawy do załatwienia.

- Twoja firma wysyłkowa nie może być ważniejsza od moich badań! - wrzasnął Lloyd. - Od tego zależy moja kariera!

- A od moich planów zależy niezależność finansowa i poziom życia wielu mieszkańców Witt's End - odpaliła Serenity. - Idź sobie poszukać innego miasteczka, Lloyd.

- Jak możesz się tak zachowywać po tym wszystkim, co nas ze sobą łączyło, Serenity?!

Serenity wbiła w niego wzrok.

- Lloyd, myślę, że nadszedł czas, żeby powiedzieć sobie prawdę. Tak naprawdę nic nas ze sobą nie łączyło. Próbowaleś mnie wykorzystać do swoich zwariowanych badań, a kiedy się zorientowałam, co robisz, posłałam cię do diabła. Teraz wyciągasz łapy po moje rodzinne miasteczko i powiem ci to samo, co ostatnim razem. Spadaj.

- Cholera, ja i tak zrobię te badania, Serenity.

- Świetnie. Rób sobie. Ale nie oczekuj ode mnie pomocy.

- Nie mogę uwierzyć, że mi zrobiłaś coś takiego. Znajdę sposób na przeprowadzenie i opublikowanie tych badań. - Lloyd obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

Caleb grzecznie usunął mu się z przejścia i patrzył beznamiętnie, jak Lloyd zdejmuje z haka swój kowbojski kapelusz i wychodzi z domku trzaskając drzwiami. Serenity popijała herbatę i wsłuchiwała się w odgłosy silnika samochodowego na podjeździe. Spojrzała Calebowi w oczy.

- Zanim nam tak bezpardonowo przerwano, mówiłaś chyba coś o przeszukaniu archiwum Ambrose'a?

- Tak, poruszyłem ten temat. - Caleb podszedł do stołu i wziął filiżankę z gorącą herbatą. - Chcesz się przyłączyć?

- Za żadne skarby bym nie zrezygnowała. Kiedy?

- Dziś wieczorem. Późno.

- A dlaczego nie poprosimy Jessie, żeby nam pozwoliła przejrzeć rzeczy Ambrose'a?

- Bo według mnie, dopóki sprawa się nie wyjaśni, Jessie jest na równi ze wszystkimi w tym miasteczku podejrzana o szantaż. Ale to tylko jeden z powodów, dla których nie chcę nikomu mówić o naszych planach ponownego włamania.

- Jest jeszcze jakiś?

- Tak. - Caleb popatrzył na nią chłodno i uważnie. - Pomyśl logicznie, Serenity. Jeśli ktoś jeszcze oprócz nas dojdzie do wniosku, że Asterley spadł ze schodów nie przypadkiem, to jak myślisz, na kogo padną główne podejrzenia?

Serenity drgnęła. Przez brzeg filiżanki przelała się herbata, parząc jej palce.

- Ja?

- Tak, ty.

- O Boże, o tym nie pomyślałam.
- Masz pierwszorzędnny motyw. Asterley próbował zniweczyć twoje plany wzbogacenia się na sprzedaży wysyłkowej.
- Serenity patrzyła na niego rozszerzonymi oczami.
- Nikt by w to nie uwierzył. Nawet przez sekundę.
- Nie mam zamiaru dać im powodów. Nikomu nie powiemy ani słowa o naszej wyprawie do Asterleya.
- Serenity przysiadła na krześle, które uwolnił Lloyd. Zauważyła, że cała się trzęsie.
- To daleko wykracza poza twoje obowiązki, współniku.
- Zawsze do usług, współniczko. - Caleb trzymając filiżankę pochylił się nad stołem. - Chciałbym cię o coś zapytać.
- O co?
- Czy powiedziałaś Radburnowi, że legenda o źródłach wizji jest bzdurą, bo próbowałaś go zniechęcić, czy też naprawdę uważasz, że jest bzdurą?
- Nie bądź śmieszny - odpowiedziała Serenity. - Oczywiście, że jest bzdurą. Możesz sobie wyobrazić jakąkolwiek rozsądną, inteligentną osobę, która naprawdę wierzy, że można mieć wizje u gorących źródeł? Bądź poważny.

Rozdział 12

- Serenity w końcu postanowiła coś powiedzieć, kiedy Zone wypuściła z rąk worek fasoli pinto i zawartość rozsypała się po podłodze. To już był trzeci drobny wypadek Zone tego ranka.
- Zone, dobrze się czujesz?
 - Tak, dobrze. - Zone idąc za ladę po miotłę unikała spojrzenia Serenity. - Z pewnych powodów jestem dziś tylko trochę niezdarna.
 - Na pewno?
 - Na pewno.
 - Wyglądasz na trochę spiętą - zauważyła Serenity.
 - Nie jestem spięta - burknęła Zone, co było do niej zupełnie niepodobne. Machała miotłą tak energicznie, że strąciła z dolnej półki karton z ryżowymi krakersami. Fasola rozprysnęła się na wszystkie strony. Większość wylądowała w koszu na śmieci.
 - Serenity w zamyśleniu przypatrywała się swej asystentce. Od czasu gdy Zone zaczęła pracować w sklepie przed czterema miesiącami, nigdy nie straciła opanowania. Musiało się stać coś bardzo niedobrego, ale kodeks obyczajowy obowiązujący w Witt's End powstrzymał Serenity przed drażnieniem tego tematu.
 - No dobrze - powiedziała łagodnie. - Nie chciałam się wtrącać. To chyba ja jestem spięta. Może przenoszę swój nastrój na ciebie?
 - Zone oderwała wzrok od zmiatania, próbując spojrzeć Serenity w oczy.
 - Dlaczego jesteś spięta?
 - Serenity zgarnęła stertę papierów.
 - Bez żadnej konkretnej przyczyny. Myślałam właśnie o tym wszystkim, co muszę jeszcze zrobić przed uruchomieniem firmy.
 - Na przykład o grzebaniu w archiwum Ambrose'a tej nocy.
 - Na przykład o nadziei, że człowiek, którego kocham, nie odwróci się ode mnie, ponieważ narażam jego rodzinę na ponowny szantaż.
 - Na przykład o tym, kto spośród ludzi w Witt's End, których znam i którym ufam, mnie nienawidzi.

- Wszystko się uda, Serenity. Ja to wiem.

- Mam nadzieję. - Serenity uśmiechnęła się. - Ale mam wrażenie, że to ty zapowiadałaś niebezpieczeństwo, zamieszanie i niepokój.

- Tak. Nadal to czuję. - Zone chwyciła miotłę oburącz. Długie pomarańczowo-żółte rękawy jej szaty powiewały wokół jak ogromne skrzydła. Czarne brwi i rzęsy mocno kontrastowały z ogoloną głową.

- Ale nie jestem już taka pewna przyczyny. Na początku uważałam, że to jest związane z Calebem, ale teraz się zastanawiam, czy ktoś inny nie jest w to wplątany.

- Ktoś inny?

Zone miała zmartwioną minę.

- Serenity, czy mogę ci zadać jedno pytanie?

- Proszę.

- Żyjesz tutaj od urodzenia. Czy ty wierzysz w źródła wizji?

Serenity wlepiła w nią wzrok. Po chwili się roześmiała.

- Już druga osoba zadaje mi dzisiaj to pytanie. Mówisz poważnie?

- Tak.

- No, powinnaś wiedzieć o wizjach więcej ode mnie - odparła lekko Serenity. - Jestem tylko zwyczajną, przeciętną właścicielką sklepu. Nie mam prawa wyrażać sądów o źródłach wizji.

- A więc nie wierzysz w nie?

- Powiem ci coś, Zone. Kiedy byłam nastolatką, spędziłam kilka nocy w jaskini. Miałam nadzieję, że będę miała wizję. I nic, nawet najmniejszego przecucia, co dostanę na urodziny. Rok temu powtórzyłam eksperyment, kiedy mój przyjaciel, Stewart Bartlett, wyjechał stąd. Czułam się wtedy samotna i trochę przygnębiona.

- I co się stało?

Serenity zachichotała.

- Myślę, że się dodzwoniłam pod niewłaściwy numer.

- Rzeczywiście coś zobaczyłaś?

- Zasnęłam i wyobraźnia spłatała mi figła - przyznała Serenity. - Ale to nie miało sensu. I nie udało się. A w ogóle, to był tylko sen.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie. - Serenity była teraz szczerze zatroskana. - Coś się stało, prawda, Zone? Jeśli dojdiesz do wniosku, że chcesz o tym porozmawiać, to wiesz, że możesz mi zaufać, prawda?

- Wiem. - Zone zacisnęła dłonie na kiju od szczotki. - Zawsze byłaś dla mnie bardzo dobra, Serenity. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdybyś nie dała mi tej pracy.

Cztery miesiące temu naprawdę odchodziłam od zmysłów.

Serenity uśmiechnęła się.

- To działa w dwie strony, wiesz? Ty też byłaś dla mnie bardzo ważna. Byłaś jedyną osobą w Witt's End, która miała pojęcie o regularnych godzinach pracy.

- Pewnie dlatego, że pracowałam tak przez wiele lat, zanim tutaj przyjechałam.

Serenity zerknęła na kolczyk w nosie Zone.

- Nie mogę sobie ciebie wyobrazić w zwykłej, konwencjonalnej pracy.

- Wzornictwo graficzne nie jest właściwie konwencjonalną pracą. W każdym razie muszę przyznać, że nie nosiłam wtedy tego kolczyka w nosie. I ubierałam się w kostiumy, a nie w te szaty. No i byłam zaręczona z maklerem giełdowym.

- Maklerem? Nie pasujesz mi do maklera. I co się stało?

- Pewnego dnia zrozumiałam, że jestem nieszczęśliwa. Postanowiłam się rozejrzeć za czymś innym.

Ruszyłam swoją własną drogą do oświecenia, która w końcu zaprowadziła mnie tutaj, do Witt's End.

- No, za to mogę być tylko wdzięczna.

- Ja też. - Zone wróciła do zamiatania. - Byłam tutaj szczęśliwa. Czułam się bezpieczna.

- Bezpieczna?

- Do zeszłego tygodnia - szepnęła Zone. Nagle wykrzywiła jej się twarz i Zone wybuchnęła płaczem. Puściła szczotkę i bezradnie patrzyła na Serenity przez łzy.

- Zone! - Serenity wybiegła z za lady, puściła się pędem pomiędzy półki, objęła przyjaciółkę i mocno ją przytuliła. - Co się stało?

- Tak strasznie się boję, Serenity. - Zone otarła łzy rękawem żółtego rękawa. - Sama już nie wiem, czy tracę zmysły, czy on naprawdę jest tutaj.

- O kim ty mówisz?

- O moim byłym narzeczonym. - Zone dygotała w objęciach Serenity. - Widziałam go zeszłej nocy. Albo tak mi się wydawało. Stał przed moim domem i patrzył na mnie przez okno.

- I co?

- Wrzasnęłam i zaciągnęłam zasłony. Potem obleciałam cały dom i pozamykałam wszystkie zamki. Ale nic się nie działo. Nikt nie pukał do drzwi. Telefon nie zadzwonił. Wiedziałam, że się zachowuję jak wariatka, ale spędziłam całą noc w szafie z pistoletem, który przywiozłam z Los Angeles.

- Mój Boże! Co za koszmar. Powinnaś do kogoś zadzwonić.

- Wiem, że to głupio zabrzmiało, ale bałam się wyjść z szafy przed świtem. Dziś rano wmawiałam sobie, że to sobie tylko wymyśliłam, i zmusiłam się do wyjścia na dwór. Nie zobaczyłam żadnych śladów, nawet pod oknem, tam, gdzie go widziałam.

- W nocy padało - przypomniała jej Serenity.

- Wiem, ale zaczęłam się zastanawiać, czy to może było moje drugie straszne przywidzenie. Tak bardzo uważałam, kiedy wyjeżdżałam z miasta, zatarłam za sobą wszystkie ślady. On się nie mógł dowiedzieć, gdzie jestem.

- Kto?

- Royce Kincaid. Tak okropnie się go bałam. Wszyscy uważali go za wspaniałego faceta. Idealny mężczyzna, mówili. Przystojny, dobrze sytuowany, inteligentny, świetne maniery. Idealny. Zbyt idealny. Serenity, to jest potwór!

- Zrobił ci krzywdę?

Zone kiwnęła głową i ponownie otarła łzy.

- To się zaczęło zaraz po tym, jak się do niego wprowadziłam, i było coraz gorzej. Nie pozwalał mi się nigdzie ruszyć ani na krok, poza pracą. Oskarżał mnie o różne romanse. Wpadał w szały, kiedy szłam na zakupy z koleżankami. Nikomu nie wolno było mnie odwiedzać. Nie miałam rodziny, więc nie mogłam do nikogo zadzwonić po pomoc.

- I co zrobiłaś?

- Pewnego dnia spakowałam walizki i uciekłam. Wróciłam do mojego starego mieszkania. Przyszedł tam i z za drzwi groził, że mnie zabije, że pożaluję jeszcze, że od niego odeszłam. Wierzyłam w to, więc uciekłam. - Łzy trysnęły jej z oczu. - Uciekałam blisko rok. Kiedy dotarłam do Witt's End, pomyślałam, że już wszystko będzie dobrze.

- Ale zobaczyłaś go zeszłej nocy?

- Myślałam, że to był on - szepnęła Zone. - Ale teraz nie jestem pewna. To się zdarzyło już drugi raz.

- Kiedy był pierwszy?

- Tej nocy, kiedy umarł Ambrose. Medytowałam przy oknie, wpatrując się w mgłę, i rzeczywiście się z nią stapiałam. Tamtej nocy była straszna mgła.

- Tak, pamiętam.

- Wydawało mi się, że zobaczyłam błysk światła we mgle. Mogłabym przysiąc, że widziałam sylwetkę mężczyzny idącego pomiędzy drzewami przed moim domem. Wmawiałam sobie, że to nie może być Royce, ale jednocześnie wiedziałam, że to nie był Blade. Nie wiem dlaczego, coś było innego w tej sylwetce. Nie był taki wysoki jak on.

- Widziałaś jego twarz?

- Nie. Był zawinięty w duży płaszcz z kapturem. Zanim zdążyłam pomyśleć, czy to mi się aby nie przywidziało, ten człowiek zniknął.

- Tym błyskiem mogło być światło latarki we mgle. - Serenity poczuła chłód na plecach. - Dlaczego następnego dnia nic nie powiedziałaś?

- Bo nie byłam pewna, czy naprawdę coś widziałam. - Zone znowu załapała się łzami. - Byłam w transie. Pomyślałam, że może poniosła mnie wyobraźnia. Parę tygodni wcześniej Ariadne zabrała mnie do źródeł wizji. Ostrzegła mnie, że nie zawsze się widzi to, co się chce w nich zobaczyć.

- Miałaś wizję w jaskini?

Zone szybko pokręciła głową.

- Nie. Z pewnych powodów nie chciałam do tego dopuścić. Ale dziś rano zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem cudowna moc źródeł nie sięga poza jaskinię.

- Mam wrażenie, że cię rozumiem - powiedziała cichutko Serenity. - Zastanawiałaś się, czy wczoraj w nocy nie miałaś wizji spowodowanej wpływem źródeł, prawda?

- Może wektory sił z gorących źródeł mają wpływ na całą okolicę? - powiedziała Zone z nadzieją w głosie. - Może ktoś miał wizje także poza jaskinią?

- Nie - kategorycznie zaprzeczyła Serenity. - Nikt nigdy nie mówił o wizjach poza jaskinią. A ja w ogóle jestem bardzo sceptyczna w stosunku do opowieści o wizjach wewnątrz jaskini.

- Naprawdę?

- Absolutnie. Te bzdury o źródłach są tylko starą legendą, pochodzącą z okresu początków Witt's End. Nie chcę okazać braku szacunku naszym jaśnie oświeconym ojcom-założycielom, ale podejrzewam, że od czasu do czasu w tych jaskiniach popalali coś więcej niż jedynie tytoń.

- Więc jeśli nie miałam wizji, to są tylko dwie możliwości. - Zone mówiła cichym szeptem. - Pierwsza taka, że zwariowałam. A druga, że naprawdę widziałam Royce'a.

- Jest jeszcze trzecia, że po prostu masz bardzo bujną wyobraźnię, czego się zresztą po artystce można spodziewać - uspokoila ją Serenity.

- Chciałabym wiedzieć, co mi się przydarzy.

- Jedno jest pewne. Nie możesz być sama w nocy, bo się wykończysz nerwowo. - Serenity już chciała zaprosić Zone do siebie, kiedy przypomniała sobie, co Caleb zaplanował na tę noc. Trudno byłoby wytłumaczyć gościowi, dlaczego gospodyni znika o północy na kilka godzin.

- Zaczekaj, muszę się zastanowić.

- Mam pistolet - szepnęła Zone. - Dam sobie radę.

- To za mało. Dziś w nocy potrzebujesz innego towarzystwa. - Dzwonki nad wejściem cicho brzęknęły. Serenity zerknęła w stronę drzwi.

- Serenity?! - zawołała Ariadne. - Gdzie jesteś?

- Między półkami! Koło krakersów i suszonych owoców! - Serenity wysunęła się do przodu, nadal obejmując jedną ręką drżące ramiona Zone. - Dobrze, że przyszedłaś, Ariadne. Zone potrzebuje pomocy.

- Świetnie. - Ariadne uśmiechnęła się po matczynemu. - O co chodzi?

Około wpół do dwunastej w nocy Caleb drugi raz zwątpił w słuszność decyzji zabrania Serenity na wyprawę do archiwum Asterleya. Co prawda miał wątpliwości przez cały dzień, ale gdy zbliżyła się pora wyruszenia, zaatakowały go ze zdwojoną siłą. Z drugiej jednak strony analizował całe przedsięwzięcie chyba z dziesięć razy i nie mógł się w nim dopatrzeć żadnego większego ryzyka. Istniało minimalne prawdopodobieństwo, że ktoś zobaczy Serenity wchodzącą lub opuszczającą chatę Asterleya. Tej nocy znowu była mgła. Da im pożądaną osłonę przed śledzącymi oczami. Pożądana osłona? Śledzące oczy? Grzebanie w archiwum zmarłego? Na litość boską, co tu się w ogóle wyrabia? Do tej pory był przecież człowiekiem, który nie wplątywał się w takie sytuacje! No dobrze, ale także nie podpisywał kontraktów z małymi sklepikami żywnościowymi. Ani nie siadywał w wannie z wodą z gorących źródeł. Nie spędzał nocy w jaskini. Nie miał wizji wpatrując się w źródlaną wodę. No i nigdy, przenigdy, nie sypiał z kobietą, która jest potencjalnym obiektem szantażu.

Ostatnio całe jego życie wywróciło się do góry nogami. Nie wiedział, jak to się stało, ale miał poważne podejrzenia, że już za późno na zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i powrót na poprzedni kurs. Co więcej, wcale nie miał na to szczególnej ochoty! Owszem, czasami w Witt's End wydarzenia były trochę zwariowane, ale z nie wyjaśnionych przyczyn czuł się tu znakomicie. Czuł się tak, jakby wreszcie był we właściwym miejscu.

Caleb sięgnął na półkę przy drzwiach wejściowych domku Serenity po latarkę. Kątem oka dostrzegł swoje odbicie w lustrze. Automatycznie spojrzął za siebie, po czym zrobił krok do przodu. Widział się w lustrze całkiem wyraźnie, jego odbicie było czyste i ostre.

- Caleb? - Serenity wchodząc do pokoju zapinała haftowaną kurtkę z frędzlami. - Jestem gotowa. - Nasunęła kaptur na niesforną rudą czuprynę. - Masz latarkę?

- Tak. - Popatrzył na nią i w tym momencie uświadomił sobie z całkowitą pewnością, że już nigdy nie będzie tym człowiekiem, którym był kiedyś.

- No to do roboty.

Otworzył drzwi na wirującą na schodach mgłę.

- Jeszcze nie jest tak tragicznie - zauważyła Selenity przechodząc obok niego. - Ale chyba będzie gorzej. Lepiej się pospieszmy.

- Wolę nie używać latarki, dopóki to nie będzie konieczne. - Caleb zamknął za sobą drzwi.

- Nie będzie nam potrzebna. Księżyc jasno świeci.

A poza tym mieszkam tu od urodzenia, zapomniałeś?

Mogę chodzić po Witt's End z zawiązanymi oczami.

- Cieszę się, że choć jedno z nas wie, dokąd idziemy - mruknął pod nosem i postawił kołnierz.

Pod pewnym względem ta noc przypominała mu inną, z okresu dzieciństwa. Przypominał ją sobie bardzo wyraźnie. Miał wtedy jedenaście lat. Dziadek obudził go i powiedział, że jedna z klaczy będzie rodzić i że mogą być komplikacje. Caleb wygramolił się z łóżka, wciągnął dzinsy i bluzę i ruszył za Rolandem w zimną, mglistą noc. Klacz rzeczywiście miała problemy. Caleb obawiał się, że stracą i ją, i źrebaka. Ale Roland udzielał chłodnych, jasnych instrukcji, a on wykonywał je precyzyjnie. Obaj z dziadkiem uratowali klacz i jej maleńką latorośl.

Teraz, podążając we mgle za Serenity, Caleb przypominał sobie wyraźnie, co czuł tamtej nocy, kiedy stał obok Rolanda i przyglądał się, jak mały źrebaczek próbuje ustać na cieniutkich, wątych nóżkach. Przypominał sobie uczucie ulgi, którego wtedy doświadczył, ale przede wszystkim zapamiętał krótkotrwałe wrażenie dzielenia tamtej chwili z dziadkiem. To była jedna z rzadkich okazji, kiedy Roland sprawiał wrażenie prawdziwie zadowolonego z wnuka. Uśmiechnął się wtedy i poczochnął włosy chłopca swą wielką, spracowaną dłonią.

- Udało nam się, synu. Chcesz go sam nazwać?

- Windstar - powiedział od razu Caleb.

- Niech będzie Windstar - zgodził się Roland. - Będzie z niego znakomity ogier. Ma dobrą krew. Najlepszą.

Caleb otrząsnął się ze wspomnień, kiedy Serenity się odezwała.

- Właśnie coś mi się przypomniało. Jessie powiedziała mi, że zamknęła chatę Ambrose'a. Klucz ma agent wynajmu nieruchomości w Bullington. Jak się dostaniemy do środka?

- Nie sądzę, żebyśmy z tym mieli większe problemy.

Zauważyłem, że w Witt's End nikt specjalnie nie dba o zabezpieczenia. W żadnych drzwiach nie widziałem przyzwoitego zamka. W najgorszym razie będziemy musieli wyłamać okno.

Serenity dziwnie mu się przyjrzała.

- Mówisz tak, jakbyś już przedtem robił takie rzeczy.

- Nie robiłem, ale jestem pojętnym uczniem. - Mimo powagi sytuacji Caleb zaczął odczuwać radosne podniecenie. Czeka mnie przygoda! Uśmiechnął się pod nosem.

- Caleb? Coś nie w porządku?

- Może. Ale nie będę się tym teraz martwił. - Kiedy będzie po wszystkim, pójdą do łóżka i będą się kochać.

Na myśl o tym adrenalina rozgrzała mu żyły jak wino.

- Co zrobimy, jeśli nic nie znajdziemy?

To pytanie natychmiast go otrzeźwiło.

- Nie wiem. Po przeszukaniu archiwum porozmawiam z Franklinem. Muszę się dowiedzieć wszystkiego co się da o tym, jak się kontaktował z tym facetem i umówił z nim w sprawie okupu. Może z tego uda się nam coś wywnioskować.

- W dalszym ciągu nie mogę uwierzyć, że Witt's End jest w to zamieszane.

- Nie ma innej możliwości, szantażysta musi być związany z miasteczkiem - powiedział Caleb. - A po tym, co mi powiedziałaś o przypuszczeniach Zone, musisz przyznać, że, jeśli chodzi o twoich przyjaciół i sąsiadów, to jest mnóstwo spraw, o których nie wiesz.

- Niestety, chyba masz rację. - Serenity głębiej nasunęła kaptur na głowę. - Ale większość z nich znam o wiele dłużej niż Zone. Ona jest nowa.

- To, że znasz kogoś bardzo długo, nie znaczy jeszcze, że wiesz o wszystkich jego tajemnicach.

- Nie - przyznała. Szła obok niego w milczeniu.

Po dziesięciu minutach marszu z gęstej mgły wyłoniła się przed nimi ciemna bryła chaty Asterleya. Drzewa przy domu stały jak widma na straży przy otwartym grobie. Caleb omal głośno nie jęknął. Niech mnie szlag! Zaczynam mieć bujną wyobraźnię!

Nigdy nie popuszczał wodzy wyobraźni, chyba że w interesach. We wszystkich pozostałych dziedzinach wyobraźnia jest niebezpieczna. Budzi uczucia.

- Coś w tym domu teraz mnie przeraża - szepnęła Serenity przyglądając się chacie. - Za każdym razem, kiedy tu przychodzę, przypominam sobie, jak znalazłam zwłoki Ambrose'a.

- Nie dziwię się. To wspomnienie zostanie w tobie na zawsze.

Caleb poprowadził ją ścieżką do tylnej werandy. Wszedł po schodkach i nacisnął kłamekę. Nie puściła.

- Zamknięte? - cichutko zapytała Serenity.

- Tak. - Ruszył wzdłuż werandy do najbliższego okna.

Pchnął je na próbę i okno się uchyliło. - Wygląda na to, że Jessie nie zawracała sobie głowy oknami, kiedy zamykała dom.

- Może zapomniała?

- Albo zapomniała, albo zamek jest wyłamany. - Caleb szeroko otworzył okno. Poczł zapach stęchlizny. - Nadal tu śmierdzi.

- Nie ma się co dziwić. - Serenity przyglądała się z obawą, jak Caleb wchodzi do ciemnej kuchni.

- Dobra, teraz ty. - Wychylił się, żeby jej pomóc.

Serenity wgramoliła się przez parapet i rozejrzała po pomieszczeniu.

- Nic nie widzę.

- Musimy po omacku znaleźć drogę do piwnicy. Nie chcę zapalać latarki w domu, bo ktoś mógłby to zobaczyć.

- Chodźmy, to chyba tutaj. - Serenity zrobiła kilka kroków w gęstych ciemnościach.

Caleb przebiegł palcami po futrynie okna.

- Miałem rację. Ktoś wyłamał zamek.

- Pewnie od lat był wyłamany. Ambrose nigdy nie był złotą rączką. Auuu!

- Co się stało?

- Znalazłam drzwi do piwnicy. Wlazłam na nie. Bogu dzięki, że były zamknięte.

- Na litość boską, bądź ostrożna! Nie chcę, żebyś tam zleciała głową w dół!

- Nie bój się. Aha, oto i klamka.

Skrzypienie zawiasów oznaczało, że Serenity otworzyła drzwi. Ruszył w kierunku dźwięku. Wzrok powoli przyzwyczajał się do otaczającej ciemności. Caleb mógł teraz rozróżnić zarys sylwetki Serenity przy wejściu do piwnicy.

- O ile pamiętam, to po lewej stronie jest poręcz.

- Wiem. Właśnie się jej trzymam.

Caleb namacał poręcz i pierwszy stopień. Sięgnął za siebie i zatrzasnął drzwi. Potem namacał na ścianie kontakt i zapalił światło. Mdły blask gołej żarówki pod sufitem rozświetlił pomieszczenie.

- O wiele lepiej. - Serenity zawahała się, stojąc na schodach przed Calebem, po czym zeszła na dół.

Caleb ruszył za nią.

- Mówiłaś, że układał zdjęcia datami, a oprócz tego nazwiskami. Zaczniemy od najświeższych dat i będziemy się cofać.

- Czego szukamy?

- Nie wiem. Wszystkiego, co wygląda podejrzanie. - Caleb otworzył pierwszą szufladę.

Kiedy zaczęli całą akcję, była pełna entuzjazmu, jednak po półgodzinie i trzech szufladach Serenity zaczęła tracić nadzieję. Grzebała właśnie w środku litery Pi, jak dotąd, nie znalazła nic niezwykłego.

- Te fiszki są niewiarygodne - powiedział Caleb otwierając szufladę oznaczoną „T do V”. - Powoli zaczynam zmieniać zdanie o Asterleyu. Nie tylko był cholernie dobrym fotografikiem, ale wiedział, jak się porządnie zakłada katalog. Wiesz, jak rzadko to się zdarza? Nawet sobie nie wyobrażasz, ile firm miało kłopoty z powodu bajzlu w dokumentach.

Serenity zeszywniała.

- Coś ty powiedział?

- Że Asterley trzymał w idealnym porządku swoje papiery. - Caleb zmarszczył czoło zagłębiając wzrok w otwartej teczce.

- Nie, nie to. - Serenity była tak podniecona, że zgubiła miejsce, które właśnie przeszukiwała.

Jedynym przykładem prac Ambrose'a, które widział Caleb, były jej zdjęcia. - Co miałeś na myśli mówiąc, że był cholernie dobrym fotografikiem?

Caleb nie oderwał się od metodycznego przeszukiwania fiszek.

- Sądząc po tych zdjęciach, które ci zrobił... Cholera!

- Co się stało? Znalazłeś coś? - Serenity zerknęła naniego przez ramię.
 - Powiniennem zacząć od tej szuflady. Ale chyba wydawało mi się to zbyt oczywiste.
- Serenity patrzyła na kopertę, którą trzymał w ręku. Na wierzchu było wypisane nazwisko Ventress.
- Aha!
 - To by wszystko wyjaśniało, prawda?
 - Nazwisko Ventress nie występuje chyba bardzo często?
 - Nie. - Caleb wyciągnął teczkę z archiwum i otworzył ją. Wbił wzrok w jedyny dokument w środku.
 - Niech to szlag trafi!
 - To jest dowód sprzedaży - szepnęła Serenity.
 - Za plik zdjęć sprzedanych Franklinowi Ventressowi.

Na sumę pięciu tysięcy dolarów.

- O rany! - Serenity przekrzywiła głowę, żeby lepiej widzieć. - Jaka tam jest data?
- Dwudziesty października. - Caleb popatrzył na nią twardym wzrokiem. - Dwa dni przed tym, jak przyszedł do mojej kancelarii, żeby podpisać umowę, i przypadkiem wspomniałaś, że ktoś cię szantażuje.
- Nie powiedziałam tego przypadkowo - broniła się Serenity. - Tylko wtedy nie myślałam, że to ma takie znaczenie. Skąd mogłam wiedzieć, że dostaniesz świra z tego powodu?
- Nie zaczynajmy od nowa tej kłótni. - Caleb zamknął teczkę. - Chodź. Idziemy stąd. - Zamknął szufladę i ruszył w stronę schodów.

- Z największą przyjemnością. - Serenity zatrzasnęła swoją szufladę i popędziła za nim.

Na szczycie schodów Caleb zgasił światło, ponownie pogrążając piwnicę w ciemności. Otworzył drzwi i popchnął Serenity do mrocznej kuchni. Po omacku odszukiwała drogę do otwartego okna. Kiedy już do niego dotarła, poczuła rękę Caleba obejmującą ją w pasie. Podniósł ją i posadził na parapecie. Przerzuciła nogi na drugą stronę i wylądowała na werandzie. Odgarnęła włosy z oczu i poprawiła kaptur, czekając na Caleba. Wsadził teczkę pod kurtkę i chwycił Serenity za rękę.

- Idziemy - zakomenderował.

Nie potrzebowała zachęty. Szła szybko przy jego boku po schodach oświetlonych przebijającym przez mgłę światłem księżyca.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziała po chwili. - Dlaczego dowód sprzedaży zdjęć twojemu wujowi został antydatowany na dwudziestego? Przecież on ci powiedział, że dostał te zdjęcia przedwczoraj.

- Tak. - To jedno słowo było ostre jak brzytwa. - Tak mi powiedział.

- Ale ja byłam wcześniej szantażowana - kontynuowała Serenity. Ciężko jej było myśleć logicznie, bo Caleb wciąż przyspieszał kroku i brakowało jej tchu. - Dostałam odbitki i pogrózkę do hotelu dwudziestego trzeciego rano. Jeśli Franklin rzeczywiście kupił te zdjęcia od Ambrose'a, to kto mi wysłał odbitki?

- Dobre pytanie. Jedno z wielu, jakie mam zamiar zadać Franklinowi.

- Myślisz, że miał je cały czas? Ale to nie ma sensu, Caleb.

- Myślę, że ma - odpowiedział szorstko.

- Teraz nie pora na to, żebyś był tajemniczy i enigmatyczny - burknęła Serenity. - Nie jesteś Sherlockiem Holmesem, a ja doktorem Watsonem. Chcę dostać kilka odpowiedzi, Caleb.

- Ja też. I je otrzymam.

Serenity nagle zdała sobie sprawę, że Caleb jest wściekły. A jego ukryty gniew był bardzo niebezpieczny. Nigdy nie widziała go tak złego, nawet tego pamiętnego dnia, gdy powiedziała mu o zdjęciach i szantażu.

- Hmm, Caleb, wydaje mi się, że powinniśmy o tym porozmawiać, zanim coś zrobisz bez zastanowienia.

- Później.

- Tak, jasne, że później - zgodziła się Serenity. - Kiedy wrócimy do mnie, zaparzę herbatkę, usiądziemy sobie i porozmawiamy o wszystkim bardzo szczegółowo, zanim podniesiesz słuchawkę i zadzwonisz do wujka. Caleb nawet jej nie odpowiedział. Serenity zaryzykowała zerknięcie kątem oka, żeby zobaczyć jego minę. Była niesamowita. Zastanawiała się nad różnymi wariantami łagodzących jego wściekłość uwag, gdy ciemny, drapieżny kształt zmaterializował się tuż przed nią. Zdusiła cichy okrzyk, kiedy Caleb ją zatrzymał.

Spośród drzew wyłonił się Blade, za nim bezszelestnie podążały rottweilery.

- Wydawało mi się, że was słyszałem - powiedział prawie szeptem.

- Wyszliśmy tylko na wieczorny spacer - powiedział cicho Caleb. - Ale co ty tu robisz, do cholery?

- Mamy pewien problem, Ventress - odparł Blade. - Możesz mi pomóc?

- Problem? - Serenity zorientowała się, że automatycznie przybrała ton Blade'a i ściszyła głos. - Jaki znowu problem?

- Nie wiem, gdzie on jest. Lepiej chyba najpierw za prowadzimy cię do domu, a potem ruszymy za nim.

- Za kim? - Serenity przenikliwym szeptem domagała się odpowiedzi. - Jeśli to ma coś wspólnego z wielką inwazją, to głosuję za tym, żeby akcję przesunąć na jutro. Jest już bardzo późno.

- Spiesz się, Blade - niecierpliwie rzucił Caleb. - o co chodzi?

- Wzmocniłem patrolowanie okolicy domu Zone - odparł Blade. - Słyszałem, że była tak zdenerwowana, że poszła spać do Ariadne. Właśnie wracam z ostatniej rundy. Ktoś wybił u niej okno i zdemolował wnętrze.

- Rany boskie! - szepnęła Serenity. - Więc może naprawdę go widziała? Może przyszedł po nią?

- Kto?! - zapytał gwałtownie Caleb.

- Ten facet, o którym powiedziała mi dziś rano. Jej były narzeczony, Royce Kincaid. Ona się go strasznie boi.

To przez niego przyjechała do Witt's End. Dziś mi mówiła, że się boi, bo widziała go wczoraj przez okno. Wmawiała sobie, że jej się tylko przywidziało, ale była tak przerażona, że Ariadne wzięła ją do siebie na noc.

- Cholera! - zaklął Caleb. - Jak nie urok to... - Chwycił ją pod rękę i pociągnął w las. - Zaprowadźmy Serenity do domu, Blade. Potem pójdziemy się rozejrzeć do domu Zone.

- Dobra. - Blade odwrócił się i poszedł z nimi. Styks i Charon ruszyły bezgłośnie za nim. Oba psy sprawiały wrażenie zaniepokojonych.

- Pójdę z wami do domu Zone - zaproponowała Serenity.

- Nie, nie pójdziesz - odpowiedział Caleb. - Chcę, żebyś była w bezpiecznym miejscu. Wystarczy mi kłopotów. Jeszcze tego brakowało, żebym się musiał o ciebie martwić.

- Chodzi ci o tego bandziora?

- Nie, chodzi mi o to, że muszę spędzić wątlą resztę nocy kręcąc się wokół we mgle ze zwariowanym konspiratorem uzbrojonym po zęby.

- Mówiłem ci już, że nie jestem wariatem - powiedział Blade bez śladu urazy w głosie.

- Wiem, że mi mówiłeś, ale zapomniałem.

Serenity zobaczyła w oddali blask lampy nad gankiem jej domu.

- Wolalabym iść z tobą, Caleb.

- Będzie o wiele mądrzej, jeśli pójdziesz do domu i zadzwonisz do Ariadne i Zone. Powiesz im, żeby

uważały, bo możemy mieć kłopoty, rozumiesz? Każ im dokładnie pozamykać wszystkie drzwi i okna.

- Tak, jasne. - Serenity uświadomiła sobie, że to, co mówi Caleb, jest rozsądne. - Zone ma pistolet.

- Powiedz jej, żeby się zabarykadowały w pokoju z Ariadne i żeby miały broń w pogotowiu. Każ im tam zostać, dopóki któryś z nas im nie powie, że już po wszystkim. I niech pod żadnym pozorem nie otwierają drzwi. A potem zadzwoń do wszystkich po kolei. Niech nie śpią i będą w pogotowiu.

- Zrozumiałam.

- Świetnie. - Caleb zatrzymał się w połowie schodów na ganek. Przytulił mocno Serenity i pocałował ją szorstko i gwałtownie. Potem dał jej teczkę z archiwum Ambrose'a. - Idź już.

Serenity wbiegła po schodach. Caleb, Blade i psy zaczęli czekać, aż wejdzie do środka i zamknie drzwi. Odrzuciła kaptur do tyłu i przeszła przez salonik do telefonu. Wyciągała akurat rękę do słuchawki, gdy nagle znikąd pojawił się jej przed oczami jedwabny szalik. Wylądował na jej szyi, zanim sobie zdała sprawę, co się dzieje. W następnej sekundzie zacisnął się mocno na gardle, tamując jej głos, grożąc odcięciem powietrza.

- Ani piśnij, ty dziwko. Ani mi piśnij. Bo umrzesz.

Rozdział 13

Na krótką chwilę panika zupełnie ją sparaliżowała. Serenity odsunęła rękę od telefonu. Czowała, że szalik owija jej szyję jak garota, ale jak dotąd była to tylko pogrożka. Ciągle mogła przełykać i wciąż mogła oddychać. Z trudem.

- Kim jesteś? - wyszeptała. - Czego chcesz?

- Nieważne. - Głos napastnika brzmiał jak przepuszczony przez tarkę do kartofli. Każda zgłoska poszarpana na strzępy. - Gdzie ona jest?

- Nie wiem, o kim mówisz. - Serenity przy pomniała sobie lekcje samoobrony. Dudniły jej w głowie słowa instruktora, zupełnie jakby stał obok niej. Najpierw wszystko się dzieje w głowie. Jeśli poddasz się panice albo strachowi, będzie po wszystkim, będziesz martwa. Wkrocz w inne miejsce, tam gdzie będziesz mogła jasno myśleć. Zrób to!

- O Marion. - Głos mężczyzny wibrował nie kontrolowaną wściekłością. - Gdzie ona jest? Dziś jest ta noc.

Dostanie nauczkę, będzie wiedziała, że nie wolno mnie porzucać. Gdzie ona jest?

- Nie znam żadnej Marion. - Ręka Serenity powędrowała do szyi.

- Teraz nazywa się jakimś kretyńskim imieniem. Zone, czy jakoś tak. Tylko mi nie pieprz, że nie wiesz, gdzie ona jest. Wyśledziłem ją tutaj. Pracuje dla ciebie.

Pokazałem się jej wczoraj w nocy. Wiedziałem, że się przestraszy. Niech myśli, że zwariowała.

- Jesteś Royce Kincaid, prawda?

- Powiedziała ci o mnie? - Był zadowolony.

- Tak. Powiedziała, że jesteś psychicznie chory.

- Gówno prawda, nie jestem chory! - wysyczał Kincaid. - Robię tylko to, co muszę. To jej wina. Ona mnie do tego zmusiła.

- Czyżby? Ma taką władzę nad tobą? Jesteś taki słaby?

- Zamknij dziób - syknął. - Zamknij się. Niech cię krew zaleje, nie jestem słaby! I zaraz ci to udowodnię.

- Tutaj jej nie ma.

- Wiem sam, ty dziwko. Przeszukałem już ten dom.

Przyszedłem tu prosto od niej, bo myślałem, że ją schowałaś. Gdzie ona jest?

- Nie wiem. - Serenity chwyciła wiszący pod szalikiem łańcuszek. Wyczuła kształt gryfa na skórze.

- Wiesz, wiesz dobrze, gdzie ona jest. W takim małym miasteczku wszyscy wiedzą, co się dzieje. Albo mi powiesz, gdzie ona jest, albo wycisnę z ciebie życie. - Kincaid zacisnął mocniej pętlę z szalika.

Wkrocz w inne miejsce, tam gdzie będziesz mogła jasno myśleć.

- Zaczekaj, to naprawdę nie moja sprawa - szepnęła Serenity. - To dotyczy jej i ciebie.

- Tak, jej i mnie. Ty nigdy nie powinnaś się do tego wtrącać.

- Słuchaj, jeśli mi obiecasz, że natychmiast stąd wyjdiesz, to powiem ci, gdzie się ukryła.

- Gdzie ona jest? - Kincaid zacisnął szalik jeszcze mocniej.

- Tu jest ścieżka - wycharczała Serenity. - Zaczyna się za domem i biegnie w górę lasem. Nie przegapisz jej, jeśli weźmiesz latarkę. Idź cały czas do góry. Tam jest specjalne miejsce. Bezpieczne.

- Nie ma bezpiecznego miejsca dla Marion - powiedział mężczyzna triumfalnie. - Ani dla ciebie, ty suko.

Chciałaś jej pomóc, co? Założę się, że to ty jej poradziłaś, żeby się schowała przede mną.

- Puść mnie. - Serenity zacisnęła palce na gryfie.

- Chyba nie, ty suko. Tobie też muszę dać nauczkę. - Skręcił w dłoniach końce szalika.

W takich sytuacjach jak ta masz tylko jedną szansę. Wykorzystaj ją. Zapomnij o delikatności. Celuj w oczy, jeśli możesz. Nawet jeśli nie trafisz, to na kilka sekund pozbawisz go koncentracji.

Serenity mocniej chwyciła za łańcuszek. Delikatne ogniwa pękły, a gryf został w dłoni. Raptownie zrobiła krok w tył uderzając twardo o ciało Kincaida. Zachwiał się, zaskoczony. Zanim się opamiętał, Serenity zamachnęła się ponad głową do tyłu i z całej siły walnęła metalowym gryfem w twarz napastnika. Poczowała pod palcami, że ostra krawędź rozcięła mu skórę, i mocno szarpnęła ręką w dół. Kincaid wydał zduszony jęk bólu i złości. Uścisk szalika na moment zelżał, kiedy napastnik próbował się odchylić do tyłu, by uniknąć ponownego ciosu. Serenity tylko na to czekała. Obróciła się i kopnęła go w lewe kolano piętą prawej stopy. Kincaid zawył i zachwiał się, próbując złapać równowagę. Serenity nie czekała, żeby zobaczyć, czy został unieszkodliwiony. Me rób głupstw.

Uciekaj przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Podbiegła do drzwi. Kincaid wstając zrzucił z hukiem książki ze stołu.

- Ty przekłeta dziwko! Zabiję cię! A potem ją!

Serenity otworzyła drzwi.

- Caleb! - wrzasnęła. Przeleciała przez ganek i schody, zanurzyła się we mgle. - Blade! On tu jest!

Wiedziała, że Kincaid jej nie goni, ale nie przestała uciekać.

- Caleb! Gdzie jesteś? Pospiesz się! Proszę, pospiesz się!

Pierwsze znalazły ją psy. Oślepiąca mgłą i ciemnościami, Serenity potknęła się o Styksa, zanim go dojrzała pod nogami. Upadła. Pies stał nad nią i obwąchiwał jej twarz. Nadbiegł Charon i przypatrywał jej się z prawdziwą troską na psim pysku.

- Serenity? - rozległ się ostry głos Caleba. Strumień światła przeciął mgłę. - Gdzie jesteś, do diabła?

- Tutaj. - Delikatnie odepchnęła psy i wstała. Cała się trzęsła.

- Dobrze się czujesz? - Caleb nadbiegał przez mgłę.

Widziała groźną, niesamowitą sylwetkę bez twarzy, pod świetloną blaskiem odbitego światła latarki i księżycy.

Serenity rzuciła mu się w ramiona.

- Byłam taka przerażona - wyszeptała mu w kołnierz.

- Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałam.

- Co się stało?

- On tam był, w domku, czekał na mnie.

- Kincaid?

- Tak.

Caleb przytulił ją mocniej.

- To drań.

- Chciał mnie zabić. Zacisnął mi szalik na szyi.

- Jezu - jęknął Caleb.

- Uciekłam. - Serenity podniosła głowę tak gwałtownie, że uderzyła w szczękę Caleba. - Musimy go znaleźć. Nie zdążyłam ostrzec Zone i Ariadne. Musimy go znaleźć!

- Znajdziemy. - Głos Caleba był nagle pozbawiony wszelkich emocji.

- Gdzie jest Blade? - Serenity rozejrzała się trwożliwie.

- Tutaj. - Ciemna sylwetka Blade'a wynurzyła się spośród drzew. - Słyszałem, co mówiłaś. Szpieg był w twoim domu, co? Cholera. Mogłem to przewidzieć. Jesteś cała i zdrowa?

- Tak. - Serenity uświadomiła sobie, że nadal zaciska pięść na gryfie. Jego skrzydła wbiły się w dłoń. - Próbował mnie udusić. Walnęłam go po oczach swoim wisiorkiem. Kiedy na chwilę popuścił, kopnęłam go w kolano. Upadł i uciekłam.

- Zuch dziewczyna - pochwalił ją Blade z nieukrywaną dumą i satysfakcją. - Wiedziałem, że będziesz to umiała.

- Gdzieś ty się, do cholery, nauczyła takiej walki? - zapytał Caleb.

- Ja ją nauczyłem - powiedział Blade.

Caleb popatrzył na niego zdumiony.

- Ty?

- Jasne.

- Jestem ci dłużny.

- Gównu mi jesteś dłużny - powiedział Blade. - Serenity to rodzina. Każdy z rodziny przyłożył rękę do jej wychowania. Każdy ją czegoś nauczył.

- Słuchajcie, później o tym porozmawiamy - przerwała im Serenity. - Nie wiem, czy Kincaid ciągle jest w domu. I nie wiem, czy ma broń. Nie widziałam pistoletu, ale to nie znaczy, że go nie ma.

- Jasne, że to nic nie znaczy - potwierdził Blade. - Przede wszystkim najpierw musimy zobaczyć, czy nadal jest w domu. - Wyciągnął mały pistolet z siatkowego pasa i zerknął na Caleba. - Miałem zapytać wcześniej, czy umiesz się tym posługiwać?

Caleb popatrzył na pistolet.

- Tak. - Pochylił się i wyjął broń z ręki Blade'a.

Serenity przypomniała sobie nagle całą furę nagród Caleba w przeszklonej szafie, między innymi za strzelanie. Teraz zaczynała się obawiać zupełnie czego innego.

- Caleb, słuchaj, nie wiem, czy...

- Ruszamy! - Blade kiwnął na psy - Styks i Charon posłuchały go natychmiast - zgasił latarkę i poszedł cicho w las. Psy szły przy nodze, każdy z jednej strony.

Caleb również zgasił latarkę i wsunął ją do kieszeni.

Dłonią w rękawiczce pogłaskał Serenity po policzku. W ciemnościach nie widziała jego twarzy, ale głos miał nad podziw opanowany.

- Idź za nami, ale cały czas trzymaj się z tyłu, dopóki nie sprawdzimy, co się dzieje.

Serenity kiwnęła głową, po czym uświadomiła sobie, że pewnie mógł tego nie zobaczyć, więc dodała głośno:

- Dobrze. Ale, Caleb, obiecaj mi, że będziesz ostrożny! Kincaid jest psychicznie nie zrównoważony.

- Może mi nie uwierzysz, ale zdążyłem się tego domyślić.

Serenity ruszyła za Calebem i Blade'em przez las do polany, gdzie zaczynał się podjazd do jej domku. W blasku lampy na ganku zobaczyła otwarte drzwi, tak jak je zostawiła.

Blade dał sygnał psom. Styks i Charon ruszyły naprzód, dwa lśniące i mordercze cienie we mgle. Kiedy bestie wbiegły po schodkach do domu, Serenity z wrażenia przestała oddychać.

Przez kilka minut było zupełnie cicho, a po chwili w drzwiach pojawił się Styks. Charon stał tuż za nim. Psy zbiegły po schodkach i popędziły przez podjazd do swego pana stojącego pośród drzew.

- Wygląda na to, że nikogo tam nie ma - powiedział Blade. - Ten skurwiel prysnął.

- Ale nie wyszedł na tę stronę, bo psy by go wyczuły.

Musiał wyjść tyłem.

- Jaskinia - wyszeptała Serenity.

Blade i Caleb popatrzyli na siebie, a potem na nią.

- Po co miałby tam iść? - zapytał Blade.

Serenity wsadziła rękę do kieszeni.

- Bo mu powiedziałam, że Zone tam się schowała.

Może mi uwierzył. Ten facet to wariat.

- Jeśli poszedł na górę ścieżką - powiedział Blade - to wpadł w pułapkę. Nie ma innej drogi powrotnej, chyba żeby się wspinał po skałach. Chodźmy sprawdzić, Ventress.

- Serenity będzie musiała iść z nami - powiedział Caleb. - Nie mam zamiaru drugi raz ryzykować.

- Dobra. - Blade popatrzył na psy, które czekały na rozkazy. Powiedział coś do nich szeptem. Psy znowu ustawiły się w szyku - jeden po prawej, drugi po lewej stronie swego pana. Blade poszedł na tyły domu.

- Zupełnie mi się to nie podoba, ale nie widzę innego wyjścia - mruknął Caleb do Serenity. - Trzymaj się środka, między Blade'em a mną.

- Nie mam zamiaru pędzić przodem i odgrywać bohaterki, jeśli to twoje główne zmartwienie - odparła. - Miałam dziś tyle wrażeń, że mi wystarczy do końca życia.

- Mnie też. Jeśli dostanę w swoje łapy tego psycha, to go...

- Cicho! - usłyszeli głos Blade'a.

Caleb zamilkł, ale Serenity wyczuwała, że aż się gotuje od furii.

Blade znalazł ścieżkę w blasku z okien domku, a resztę drogi w wystarczającym stopniu oświetlał im mdły blask księżyca, rozproszony we mgle. Wspinali się gęsiego, prowadziły psy.

Atmosfera była gęstsza od mgły. Serenity miała wrażenie, że noc aż kipi grozą. Srebrzysta mgła tworzyła złowieszczy i obcy nastrój w znajomym i swojskim lesie. Najlżejszy dźwięk powodował, że dziewczyna niemal skakała do góry ze strachu. Pocieszała się myślą, że psy zawczasu ostrzegą ich przed obecnością Kincaida. Na szczycie wzgórza Blade gwałtownie podniósł rękę. Serenity, która wpatrywała się w ścieżkę pod stopami, nie zauważyła, że stanął, i na niego wpadła. Caleb złapał ją za rękę i przytrzymał.

Popatrzyła w górę i zobaczyła, że Blade i Caleb obserwują psy. Charon i Styks stały bez ruchu kilka kroków przed wejściem do jaskini. Z głębi groty wydostawał się wędrujący po ścianach promień latarki.

- Marion, ty suko, wyłaź! - Głos Kincaida rozchodził się ostrym echem po jaskini. - Nie schowasz się przede mną. Zabiję cię! Za to, że ode mnie uciekłaś, muszę cię zabić, ty dziwko!

Blade przysunął się blisko Caleba i powiedział mu coś na ucho tak cicho, że Serenity nic nie dosłyszała. Zauważyła, że Caleb kiwnął głową, a potem zrobił coś z pistoletem, który trzymał w dłoni. Usłyszała cichy trzask. Drżącą ze strachu ręką dotknęła ramienia Caleba. Popatrzyła na niego znacząco, nakazując mu zachowanie ostrożności. Poklepał ją po dłoni, po czym wskazał jej

rumowisko skalne. Zrozumiała, że ma się tam ukryć.

Z ociąganiem wypełniła to nieme polecenie. Blade znowu dał psom jakiś sygnał ręką. Charon i Styks momentalnie zajęły obronną pozycję przy Serenity, a mężczyźni rozdzielili się i zniknęli we mgle. Serenity uświadomiła sobie, że z trudem może oddychać, tak była przerażona. Sięgnęła do kieszeni kurtki i namacała gryfa, który uratował jej życie. Podarunek od rodziców. Zaciśnęła go w dłoni i powiedziała sobie, że Calebowi i Blade'owi nic się nie stanie.

Promień latarki Kincaida wędrował chaotycznie po ścianach jaskini, sklepieniu i podłożu. Z zewnątrz wyglądało to na jakiś psychodeliczny spektakl świetlny.

- Zabiję cię za to, Marion, ty kurewska suko! - Głos Kincaida przybierał coraz wyższe tony, jakby balansując na skraju niewidzialnej przepaści, niemal wymykając się spod kontroli. - Zabiję cię, a jak już skończę z tobą, to wrócę i załatwię tę drugą, co ci pomagała! Ona też mi się nie wymknie! Obie zobaczycie, że nie jestem słaby!

Caleb słuchając wrzasków Kincaida wyczuł straszliwe i złowrogie niebezpieczeństwo; miał nieodparte wrażenie, że wokół czai się niemal namacalne zło. Pochyliwszy się nisko, przeszedł na lewą stronę wejścia i zaczekał, aż Blade zajmie swoją pozycję po prawej.

- Niedobrze, że nie możemy wykorzystać psów - szepnął Blade. - Dopadłyby go po ciemku jak nic, ale one nie wejdą do jaskini.

- Światło - mruknął Caleb. - Możemy je zapalić i go zaskoczyć. Wyłącznik jest na zewnątrz, no nie?

- Tak. Zapal. Zobaczmy, co się stanie.

Caleb natrafił na metalową skrzynkę na skale i przekręcił kontakt. Na jednej ścianie jaskini zapłonął rząd żarówek, rzucając słabe światło na zewnątrz.

- Co jest?! - zawołał przestraszony Kincaid. - Ej, ty, co tam jesteś, nie włącz tu! - Ostrzeżeniu towarzyszył pojedynczy strzał, który odbił się rykoszetem po skale. - To nie twój interes, słyszysz?! To sprawa moja i Marion!

- Rzuć broń i spokojnie wyjdź na zewnątrz - polecił mu Caleb.

- O nie, jeszcze z nią nie skończyłem. Odpieprz się ode mnie, bo ciebie też zabiję! Wszystkich was zabiję, poczuwając od tej dziwki, co mnie tu przysłała! Okłamała mnie! To była nędzna sztuczka!

- Facet gada jak jakiś wariat - cicho mruknął Blade.

Caleb pomyślał, że w tym przypadku porównanie było zbyt precyzyjne, bo diagnoza jest aż nadto oczywista.

- Chyba nie damy rady się z nim dogadać.

- Mowy nie ma. Znałem kiedyś takiego gościa. Chyba będziemy musieli go zabić - odpowiedział rzeczowo Blade.

- On stąd nie ucieknie. Jeden z nas może go tu trzymać w pułapce, a drugi pójdzie wezwać szeryfa. Gliny są wyszkolone w postępowaniu w takich przypadkach. Oni mogą z nim pogadać.

- Kłopot w tym, że nie wiemy, czy przypadkiem szeryf też do nich nie należy.

- Blade, nie czas teraz na te twoje spiskowe teorie!

- To nie teoria, to są fakty. Założę się, że jak oddamy Kincaida szeryfowi, to za tydzień go wypuszczą. Kincaid jest na pewno ich najlepszym agentem. Takie struganie wariata to naprawdę sprytna zagrywka. Głowę dam, że ćwiczył to latami.

- Na miłość boską, ten facet naprawdę ma poprzestawiane we łbie. Próbował popełnić morderstwo. Nie mogą go wypuścić po tygodniu.

Jaskinia zagrzmiała echem następnego wystrzału. Blade wzruszył ramionami.

- No to może odstawią cyrk, że niby go wsadzają do wariatkowa na kilka miesięcy i potrzymają go tam, zanim wszystko ucichnie. A potem powiedzą, że jest wyleczony, i go wypuszczą. A on od razu

jak po sznurku przyjdzie załatwić Serenity i Zone.

- Cholera - szepnął Caleb. - Jesteś kompletnym paranoikiem, przyjacielu, ale prawdopodobnie masz rację.

- Mówiłem ci, że znałem kiedyś takiego gościa. Ten nasz będzie marzyć o zemście. I będzie tu wracał tyle razy, aż mu się uda albo ktoś go powstrzyma na dobre. Podejrzenie Blade'a, że Kincaid jest szpiegiem bandy tajemniczych konspiratorów, było zwariowane, ale reszta przewidywanego przez niego scenariusza wydarzeń, niestety, aż nadto prawdopodobna, i Caleb dobrze o tym wiedział. Każdy, kto czyta gazety i ogląda telewizję, też by to wiedział. Dopóki Kincaid jest żywy, stanowi zagrożenie dla Serenity i Zone.

Kincaid znowu wystrzelił. Echo wystrzału niosło się po jaskini.

- Nie włącz mi tutaj! - wrzasnął. - To sprawa między mną a Marion!

- Jak ja się, do ciężkiej cholery, w to wplątałem? - Caleb wznosił oczy do nieba, jakby zadawał to pytanie czarnej nocy i mgle.

- Miałeś fart, i tyle - odpowiedział mu Blade. - Słuchaj, uważaj teraz. Widzę, że światło latarki jest nieruchome, pada cały czas na lewą ścianę. Chyba ją odłożył, jak zapaliliśmy światło. Jesteś na to przygotowany?

- W porządku. - Caleb próbował sobie przypomnieć, jak się przygotowywał do strzelania w tych czasach, kiedy zdobywał wszystkie nagrody. Słowa dziadka dźwięczały mu w uszach tak wyraźnie, jakby stał tuż obok niego.

Oczyść umysł z innych myśli i skoncentruj się. Weź głęboki wdech, wypuść powietrze do połowy. Pociągnij za spust. Jeśli kiedyś będziesz to musiał zrobić naprawdę, to istnieje możliwość, że ten facet cię zabije, więc zrób to dobrze za pierwszym razem.

Kiedy Caleb usłyszał następny strzał w jaskini, pomyślał, że przynajmniej będzie działał w samoobronie. Kincaid zamierzał zabić jego i Blade'a, a jeśli ten bydlak im ucieknie, to na pewno zabije Serenity i Zone. Trzeba go powstrzymać za wszelką cenę.

- Skoro odłożył latarkę, to wpadnie w panikę, kiedy zgasimy światło - powiedział Caleb. - Nic nie będzie widział.

- Dobry pomysł. Przekręć jeszcze raz.

Caleb zgasił światło. Kincaid, nagle pogrążony w ciemnościach, wrzasnął z wściekłości.

- Słyszę, jak szuka po omacku latarki - powiedział Blade. - Musimy go teraz capnąć.

Caleb cały czas trzymał rękę na wyłączniku. Przekręcił go ponownie. Kiedy pędził do wejścia, żarówki się rozjarzyły. Kątem oka dostrzegł ciemną sylwetkę Blade'a, który biegł za nim. W chwili gdy Caleb dobiegł do wlotu jaskini, rozległ się przeraźliwy krzyk. Kincaid, ledwo widzialny w słabej poświacie, chybotął się na gładkiej i mokrej kamienistej krawędzi największego źródła, próbując złapać równowagę na śliskiej powierzchni. Kiedy Caleb go zauważył, szalencie wrzasnął jeszcze raz, poślizgnął się i runął głową w dół. Pistolet wypadł mu z ręki i uderzył o skałę.

Nagła, śmiertelna cisza wypełniła wnętrze jaskini.

Blade opuścił pistolet i popatrzył na Caleba.

- Chyba już nie wstanie, co?

- Nie. - Powoli opuścił rękę z pistoletem i zbliżył się do źródła. - Nie wstanie.

Podszedł do brzegu i zmusił się do spojrzenia w dół. Kincaid patrzył na niego spod wody martwym, pustym wzrokiem szeroko otwartych oczu; usta miał ciągle otwarte w ostatnim, bezgłośnym krzyku. Ciemny strumyczek krwi sączący się z czaszki martwego mieszał się z przejrzystą źródlaną wodą. Obok Kincaida leżała latarka.

- Pewnie spanikował i chciał ją złapać, kiedy zapaliliśmy światło - powiedział Blade. - Tak, jak

przewidziałeś.

- Myślę, że najwyższa pora zawiadomić szeryfa.

- Mam lepszy pomysł - zaproponował Blade. - Wykopiemy dół, wsadzimy go i zasypujemy. Znam takie miejsce, gdzie nigdy nikt go nie znajdzie.

- Nie będziemy wprowadzać zwyczaju zakopywania zwłok dokoła Witt's End - powiedział Caleb. - Nie posłuży to interesom. Poza tym to wcale nie jest takie proste. Będzie cała masa pytań. Lepiej się z tym uporać od razu.

Blade najwyraźniej nie miał na to ochoty.

- Sam nie wiem. Nie lubię gadać z gliniarzami.

- Ja się tym zajmę - uspokoił go Caleb. - Jestem niezły w te klocki.

Odwrócił się, słysząc cichy dźwięk u wylotu jaskini. W wejściu pojawiła się Serenity. Miała szeroko otwarte oczy, w których malowała się głęboka troska. Caleb uświadomił sobie, że udzielenie kilku odpowiedzi policjantom jest niską ceną za świadomość, że Kincaid nigdy już nie zagrozi Serenity.

- Nic wam się nie stało?

- Sytuacja została opanowana - zameldował Blade.

Po raz drugi tej nocy Serenity pobiegła prosto w objęcia Caleba. A on pomyślał, że tam jest właśnie jej miejsce.

Dwa przypadkowe zgony w jednym tygodniu w takiej maleńkiej osadzie jak Witt's End wyglądają trochę niezwykle - zauważył szeryf Banner dwie godziny później.

- Cholerny zbieg okoliczności - przyznał Caleb. Przypatrywał się, jak ładują zwłoki Kincaida do karetki.

- Sprawdziłem, że Kincaid otrzymał prawie przed rokiem zakaz oddalania się z miejsca zamieszkania. - Banner był wielkim mężczyzną, najwyraźniej uzależnionym od gumy do żucia.

Obserwował sanitariuszy zamykających drzwi do karetki i rytmicznie poruszał szczęką. - Wygląda na to, że próbował go naruszyć.

- Owszem. A po drodze omal nie zabił Serenity Makepeace.

- To miła dziewczyna. Kiedy przejeżdżam przez Witt's End, zawsze się zatrzymuję w jej sklepie. - Banner metodycznie żuł gumę. - Sprzedaje najlepsze płatki owsiane, jakich próbowałem. Pan jest jej przyjacielem?

- Tak.

- Różni się pan trochę od reszty tutejszych mieszkańców.

- Jestem doradcą finansowym. Pracuję dla Serenity.

- Aha. - Banner przez chwilę żuł w milczeniu. - Nie bardzo rozumiem, po co Kincaid przyszedł do tej jaskini.

- Serenity powiedziała mi, że Marion tam się schowała. Ten facet był nienormalny i jej uwierzył.

- A pan z Blade'em go tam przyszpilił?

- Zgadza się. Mówiłem panu, że chcieliśmy go tam przetrzymać do czasu, aż ktoś was wezwie, ale zanim zdążyliśmy coś zrobić, Kincaid poślizgnął się i wpadł do źródła.

- Taak, to już tu zapisałem. - Banner wypluł gumę i popukał w służbowy notatnik. - Sprawa wygląda na całkiem jasną.

W blasku świateł karetki Caleb napotkał wzrok Banner'a.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Chyba nie. Kincaid naruszył zakaz oddalania się z miejsca pobytu, próbując odnaleźć swoją byłą narzeczoną. Był uzbrojony i niebezpieczny i zaatakował panią Makepeace. Poszedł do jaskini szukać

kobiety, którą nazywał Marion. Nie znając miejsca, w którym się znalazł, poślizgnął się i upadł. Uderzył głową o kamień przy jednym ze źródeł. Koniec.

- Tak, to by było wszystko. Jeśli byłbym jeszcze do czegoś potrzebny, proszę do mnie zadzwonić.

- Dobra. - Banner rozpakował nowy listek gumy. - Ale wydaje mi się, że to wystarczy. Wie pan, miałem już do czynienia z takimi typami jak Kincaid.

- Nie wątpię, znając rodzaj pracy, jaką pan wykonuje.

- Wyjątkowo nieprzyjemne typki.

- Zgadzam się - przyznał Caleb.

- Właściwie nie ma na nich sposobu. - Banner zmarszczył brwi wkładając gumę do ust. - Każdy przyzna, że są szurnięci jak cholera, ale nie można ich zamknąć, dopóki w końcu kogoś nie zabiją.

- To musi być frustrujące doświadczenie dla ludzi pilnujących prawa.

- Cholernie frustrujące. - Banner położył dłoń na kolbie rewolweru i podjął przerwane żucie. - Ale wygląda na to, że z tym będziemy już mieli spokój. Problem został rozwiązany, co?

- Tak sędzę - odparł Caleb.

- No i dobrze. - Szeryf kiwnął głową z pewną satysfakcją. - I bez tego mam masę problemów.

Przyjemnie mieć jeden z głowy. - Podszedł do sanitariuszy, by dać im ostatnie instrukcje.

Serenity oderwała się od małej grupki mieszkańców Witt's End, którzy zebrali się na ulicy. Podeszła do Caleba i razem z nim obserwowała odjazd karetki za samochodem szeryfa. Oba samochody ruszyły górską drogą w dół do Bullington.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

Caleb objął ją ramieniem i przycisnął do siebie.

- Sytuacja została opanowana, proszę pani. Ale chciałbym cię przy okazji poinformować, że tego rodzaju doradztwo nie zostało objęte umową. Będę ci wdzięczny, jeśli w przyszłości będziesz unikała podobnych sytuacji.

- Będę, jeśli ty też. - Serenity przytuliła twarz do jego płaszcza i mocno objęła Caleba. - O Boże, Caleb, tak strasznie się bałam, gdy usłyszałam strzały w jaskini.

- Chyba nie bardziej niż ja, kiedy się dowiedziałem, że Kincaid omal cię nie udusił. Przez wiele lat ten cholerny szalik będzie mi się śnił po nocach.

- Mnie też. - Serenity rozwarła ciasno zaciśnięte palce i popatrzyła na leżące na dłoni gryfa. - Czy miałeś kiedyś wrażenie, że coś może być w tych teoriach Quintona o przecinających się płaszczyznach?

Caleb spojrzał na drugą stronę ulicy, gdzie Zone stała tuż obok Blade'a, tuląc twarz do jego ramienia. W świetle latarni nad sklepem dostrzegł, że trzyma rękę na łbie jednego z rottweilerów.

- Do dzisiaj nie - odpowiedział.

Dużo, dużo później Serenity kręciła się w swym ozdobionym paciorkami łóżku. Drobnutkie kryształki migotały i cichutko podzwaniały w ciemnościach. Udo Caleba spoczywało w opiekuńczym geście na jej nogach.

- Nie możesz spać? - zapytał.

- Znowu się obudziłam przed kilkoma minutami - przyznała. - Zastanawiam się nad tym, co powiedział Kincaid, kiedy zaciskał mi szalik na szyi.

- Nie myśl o tym. - Ramię Caleba objęło ją mocniej.

Serenity uśmiechnęła się smutno.

- Nie mogę przestać o tym myśleć.

- On nie żyje, Serenity. Już cię nie skrzywdzi.

- Wiem. Dzięki tobie i Blade'owi. - Przytuliła się ciaśniej do jego muskularnego ciała, instynktownie

szukając bezpieczeństwa w męskich objęciach. Pocałowała go w ramię. - Ale te słowa utkwiły mi w pamięci.

- Jakie?

- Powiedział, że rozmyślnie pokazał się Zone wczoraj w nocy. Chciał ją przestraszyć, zanim ją zabije.

- Kawał sukinsyna.

- Owszem. Ale teraz mnie zastanawia to, co Zone mi powiedziała, że chyba widziała go także w noc śmierci Ambrose'a.

- Może zaplanował długotrwałą kampanię terroru - zasugerował Caleb. - On był naprawdę stuknięty, Serenity.

- Wiem, ale działał według własnej logiki. Wiedział, kim Zone teraz jest, gdzie mieszka i co ma zamiar z nią zrobić.

Mówienie mi o tym sprawiało mu prawdziwą przyjemność.

Ale powiedział mi, że tylko raz się jej pokazał.

- Mógł nie wiedzieć, że go wtedy zauważyła - powiedział Caleb. - Mógł się tutaj kręcić, robiąc rozpoznanie, jak by powiedział Blade, zanim się zabrał do zabijania.

- Być może.

- Nie jesteś do końca przekonana?

- Nie daje mi spokoju to, że z okna Zone widać tylną werandę u Ambrose'a. Powiedziała mi, że tamtej nocy siedziała przy oknie i medytowała. Wydawało jej się, że zobaczyła kogoś we mgle.

- Mgła była wtedy bardzo gęsta. Zone mogła widzieć jelenia albo Blade'a na patrolu.

- Dostrzegła tylko krótki blask, kiedy ktoś zgasił latarkę i zniknął we mgle. Nie widziała go wyraźnie, ale bała się, że to Kincaid.

- Tego się nigdy nie dowiemy - powiedział Caleb.

Serenity próbowała dojrzeć jego twarz.

- A jeśli to nie był ani jelen, ani Blade? Jeśli to był ktoś inny i szedł do chaty Ambrose'a?

Caleb jęknął i przygarnął ją do siebie.

- A więc o to ci chodzi? Twoja rozpasana wyobraźnia posuwa się za daleko, Serenity. Raz otarłaś się o mordercę i już zaczynasz ich widzieć wszędzie dokoła.

- Caleb, ja mówię poważnie.

- Ja też. - Odwrócił ją na plecy i podciągnął brzeg jej nocnej koszuli.

- Caleb?

- Zobaczymy, czy mi się uda sprawić, żebyś zaczęła myśleć o czymś innym. - Ruszył ustami w wędrowną po jej ciele.

Serenity objęła go za szyję. Pomyślała, że Caleb ma rację. Powinna myśleć tej nocy o czymś innym. On, jak zawsze, wie, co robić.

Rozdział 14

Cierpki zapach fermentującego ziarna wypełniał mały browar za księgarnią. Caleb z zaciekawieniem przyglądał się, jak Quinton sprawdza kadzie. Nowa partia Old Hogwash była gotowa do butelkowania.

- Specjalne zimowe warzenie - wytłumaczył mu Quinton, zerkając na wskaźnik. - Robię je tylko raz w roku, by uczcić dzień nadejścia zimy.

- Rozumiem - powiedział Caleb.

- Muszę cały czas pilnować warzenia. - Quinton dokonał drobnej poprawki w przyrządach. - Przy

piwie najważniejsze jest zgranie czynności w czasie i precyzja, tak samo zresztą jak w całym matematycznym wszechświecie. W procesie warzenia można dojrzeć odbicie interakcji różnych wektorów kosmicznych. W piwie siły destrukcji, zmiany i tworzenia odzwierciedlają się w symbolicznej skali, która może być dostrzegana i zrozumiana przez ludzki umysł.

- Wypiję za to. - Caleb stał w kurtce zarzuconej na ramię opierając się ręką o ścianę. Popatrzył na zegarek. - Skoro już mówimy o czasie, to może mi powiesz, po co mnie tu zaprosiłeś, Priestly? Wydaje mi się, że nie chciałeś rozmawiać o piwie i siłach kosmicznych.

- Skąd ten pośpiech? Wybierasz się gdzieś?

- Prawdę mówiąc, tak.

Quinton zmarszczył czoło.

- Wyjeżdżasz z miasta?

- Na krótko.

- Serenity jedzie z tobą?

- Nie - odpowiedział Caleb. - Nie jedzie.

- Wrócisz niebawem?

- Spodziewam się wrócić dziś wieczorem. Dlaczego pytasz?

- Tak tylko. - Quinton uspokoił się i wrócił do obsługiwanego przyrządów. - No to w porządku.

- Cieszę się, że się zgadzasz. No więc, o co chodzi?

- O dwie sprawy. - Quinton majstrował przy zaworach. - Po pierwsze, chciałem ci podziękować za to, co zrobiłeś wczorajszej nocy.

- To znaczy, co zrobił Blade wraz ze mną, tak? Ale my nie zrobiliśmy nic poza tym, że mieliśmy szczęście, kiedy Kincaid poślizgnął się i wpadł do jednego ze źródeł wizji.

Quinton zachichotał.

- Słusznie. Wpadł do źródła.

- To prawda.

- Hej! - Quinton podniósł dłoń. - Cokolwiek powiecie z Blade'em o tym, co się wydarzyło w jaskini, to się już wydarzyło. Ani ja, ani nikt inny w mieście nie będzie się z wami spierał.

- Miło mi to słyszeć, jako że powiedzieliśmy wam prawdę. Kincaid zaczął szukać latarki, poślizgnął się i upadł. Czysty zbieg okoliczności. Szczęśliwy dla nas, fatalny dla niego.

- Skoro tak, to trudno orzec, czy była to sprawa pecha czy czegoś innego. Może stał się ofiarą kolidujących ze sobą przestrzeni geometrycznych.

- To z pewnością logiczne wytłumaczenie - zgodził się Caleb.

- W każdym razie, nie mówię już o tym, jak zginął Kincaid, chociaż było to szczególne i poważne wydarzenie dla nas wszystkich. Miałem na myśli to, co zdarzyło się potem.

- Potem?

- Sposób, w jaki załatwiłeś wszystko z szeryfem Bannerem i resztą.

- Odpowiedziałem tylko na kilka pytań.

- Zrobiłeś o wiele więcej. - Quinton oparł rękę o pokrywę małej stalowej kadzi i podrapał się w brodę. - Wszystko mogło się potoczyć zupełnie inaczej, gdyby Blade musiał tłumaczyć tę sprawę. On nie za dobrze daje sobie radę z policją i innymi przedstawicielami władzy.

- To dziwne, ale ja też odniosłem takie wrażenie.

- Na samą myśl, że Blade miałby tłumaczyć szeryfowi wydarzenia zeszłej nocy, można dostać gęsiej skórki.

Caleb zastanowił się, jak Banner zareagowałby na teorię spisku Blade'a. Mimowolnie się uśmiechnął.

- Tak, niewątpliwie. Ale to mogłoby być interesujące.

- Mogłoby sprowadzić na nas olbrzymią katastrofę - mruknął Quinton. - Nie mówiąc już o tym, że nie wygrzebalibyśmy się ze śledztwa i papierkowej roboty. Nie można także wykluczyć, że mogliby zabrać Blade'a do aresztu albo wziąć go na obserwację do jakiejś kliniki psychiatrycznej. A on by się z tym nie pogodził.

- Masz rację. Nie pogodziłby się z żadną z tych sytuacji.

- No więc próbuję ci powiedzieć, że dziękuję za uratowanie życia Serenity i Zone i dziękuję za trzymanie Blade'ja z dala od kłopotów. - Quinton błysnął zębami w uśmiechu. - Nie jesteś najgorszy jako doradca w interesach.

- Zawsze do usług.

- I punkt numer dwa - kontynuował Quinton - dotyczy polityki.

- Osobiście nigdy się w to nie mieszam.

- Ja też. Ale w życiu nie da się od niej uciec.

- Nigdy bym nie pomyślał, że polityka może mieć kosmiczne implikacje - powiedział Caleb.

- Ale ma. Tak samo jak siły wszelkich zmian. A my będziemy mieli zmiany w Witt's End. Miasteczko jest jak gwiazda, musi płonąć w określonej temperaturze albo umrzeć. Nasze miasteczko umierało, powoli, ale zdecydowanie, dopóki Serenity nie otworzyła sklepu przed trzema laty.

- I to zapoczątkowało proces zmian?

- To zatrzymało proces zagłady - powiedział Quinton.

- Teraz zanosi się na to, że znowu zrobimy krok naprzód. Firma wysyłkowa Serenity może dać nam coś, co będzie przypominało prawdziwą gospodarkę.

- Jeszcze raz zapłonie jasno świetlista gwiazda Witt's End.

- I stąd te zmiany - powiedział Quinton. - Nikt nie może powstrzymać zmian. Jedyne, co można zrobić, to nie dać się im pokonać.

- Co ma z tym wszystkim wspólnego polityka? - zapytał Caleb.

- Polityka tak jak wszechświat kieruje zmianami. To miasteczko potrzebuje kogoś, kto potrafi zrobić to, co ty zeszedł nocy.

- Załatwiać sprawy z władzami?

- Na początek. Spodziewam się, że z czasem będzie tu coraz więcej pracy dla kogoś takiego, kiedy Witt's End będzie zmuszone do komunikowania się ze światem zewnętrznym. Trzeba będzie, na przykład, ściągać więcej turystów, zwłaszcza latem. Potem zjadą się ludzie z departamentu zdrowia, żeby posprawdzać nasze kuchnie, bo w katalogu będą oferowane nasze produkty. Prawdopodobnie zaczną się problemy z komunikacją, ściekami, bezpieczeństwem - cała masa problemów.

- Quinton, trochę się spieszę. Mógłbyś przejść do rzeczy?

Quinton popatrzył na niego.

- Rzecz w tym, że Blade nie jest jedyną osobą w miasteczku, która nie umie rozmawiać z przedstawicielami świata zewnętrznego. Większość z nas ma problemy z takimi sprawami. To zresztą jedna z przyczyn, dla których tu wylądowaliśmy. Tak więc dziś rano mieliśmy wybory.

Caleb popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Wybory?

- Z samego rana wszyscy zebraliśmy się w kawiarni u Ariadne i obgadaliśmy sprawy. Wybraliśmy ciebie na pierwszego burmistrza Witt's End.

Serenity zajęła swój stolik przy oknie w kawiarni Pod Słonecznikiem i naląła do filiżanek herbatę, świeżo zaparzoną przez Ariadne. Po drugiej stronie stolika siedziała Zone. Z tego miejsca obie miały na oku wejście do sklepu spożywczego. Zbliżała się dopiero dziesiąta rano i akurat nie było żadnych

klientów. Serenity doszła do wniosku, że mogą sobie wreszcie porozmawiać.

- Nie ma co, to było dla wszystkich naprawdę wstrząsające doświadczenie. - Serenity podniosła filiżankę do ust. - Ja, na przykład, nigdy w życiu nie włożę szalika na szyję.

- Strasznie mi przykro z powodu tych wszystkich wydarzeń - powiedziała Zone już chyba po raz setny. - Przyjechałam tu, żeby się ukryć. Za nic w świecie nie przypuszczałam, że moje problemy będą dla innych zagrożeniem. Tak mi przykro.

- Przestań się oskarżać, to nie twoja wina. W każdym razie wszystko się dobrze skończyło.

- Dzięki Blade'owi i Calebowi. - Zone wzdrygnęła się.

- Nie mogę znieść myśli, co mogłoby ci się stać, gdybyś nie знаła techniki samoobrony.

- Przestań się zadręczać tymi wszystkimi „gdyby” - surowo poleciła jej Serenity. - Muszę cię zapytać o coś ważnego.

- O co?

- Co chcesz robić teraz, kiedy już Kincaid na zawsze dał ci spokój?

- Robić?

- Wrócisz do Kalifornii?

Zone była zakłopotana.

- Dlaczego miałabym wracać?

- Sama mówiłaś, że przyjechałaś tu, żeby się ukryć przed Kincaidem. Skoro nie musisz się już dłużej ukrywać, to chciałabym wiedzieć, czy masz zamiar zostać.

- Nie myślałam o wyjeździe - powiedziała z wahaniem Zone. - Wydaje mi się, że Witt's End to miejsce, w którym chciałabym żyć. - Popatrzyła w oczy przyjaciółce. - Chcesz mi powiedzieć, że nie będę ci potrzebna w sklepie? Wiem, że dałaś mi tę pracę, bo było ci mnie żal. Jeśli chodzi o to, że nie będziesz mogła mi płacić takiej samej pensji, to mogę dostawać mniej.

- Zaraz, zaraz.

- Życie w Witt's End nie jest drogie. Jestem pewna, że się utrzymam za mniejsze pieniądze.

- Nie bądź śmieszna. Nie mam najmniejszego zamiaru się ciebie pozbywać. Kto inny w Witt's End byłby w stanie codziennie punktualnie otwierać sklep? - Serenity zachichotała. - Miałam tylko stracha, że możesz wyjechać i musiałabym poszukać nowej asystentki.

Zone uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nie planuję żadnego wyjazdu.

- Co za ulga! A tak za pamięci, nie obetnę ci pensji i jeśli ten mój przystojny, bardzo drogi doradca finansowy jest choć w połowie tak dobry, jak sam mówi, to niedługo będę mogła ci dać podwyżkę.

- Twój przystojny, bardzo drogi doradca i wspólnik - powiedział kwaśno Caleb - jest nawet lepszy, niż sam mówi.

- I do tego tak uroczo skromny. - Serenity odwróciła się patrząc na stojącego tuż za nią Caleba.

Widok jego świeżo wypastowanych butów odrobinę ją zaniepokoił. - Wybierasz się gdzieś?

- Tak.

Serenity poczuła nieprzyjemne ssanie w dołku.

- Dokąd?

- Właśnie przyszedłem ci powiedzieć.

- Kiedy wrócisz?

- Dziś wieczorem.

Dopiero teraz wypuściła wstrzymywane powietrze i przywołała na twarz uśmiech, który w jej przekonaniu miał być wesoły i świeży jak poranek.

- Przez chwilę myślałam, że może doszedłeś do wniosku, że Witt's End jest za trudne dla takiego

wysublimowanego doradcy.

- Nie ma tu nic takiego, czego dobry doradca finansowy by nie załatwił. Caleb zerknął na ladę. - Za chwilę wszystko ci wyjaśnię, ale najpierw muszę się napić kawy.

- Dobrze - zgodziła się Serenity.

- Czy to będzie prywatna rozmowa? - zapytała Zone.

- Jeśli się nie pogniewasz. - Caleb leciutko się uśmiechnął.

- Nie, skądże znowu. - Zone wstała. - Porozmawiajcie sobie, pójdę się zająć sklepem.

- Dzięki - powiedział Caleb. - To nie potrwa długo.

Zone zatrzymała się i spojrzała na niego uważnie.

- Jeszcze raz chciałam ci podziękować za to, co zrobiłeś wczoraj w nocy.

- Nie ma o czym mówić. Zapomnij o tym.

- Nie mogę zapomnieć, ani nie chcę. Zapytałam Blade'a, co się stało w jaskini. Powiedział mi, że Royce poślizgnął się i upadł.

- Tak właśnie było.

- Rozumiem, że chcesz mi oszczędzić świadomości, że z mojego powodu ty i Blade zostaliście zmuszeni do zabicia człowieka. To bardzo szlachetnie z twojej strony, że próbujesz mnie chronić.

Ale powiedziałam już Blade'owi, że to nie jest potrzebne.

- Zone, patrz mi na usta - Kincaid poślizgnął się i upadł.

- Skoro tak sobie życzysz... - Zone uśmiechnęła się domyślnie. - To jasne, że ty i Blade nie chcecie o tym rozmawiać. Więcej już nie poruszę tego tematu.

- Cieszę się.

- Teraz rozumiem, że źle odczytałam wibracje emanujące ze źródeł wizji. To nie ty byłeś powodem zamieszania i niebezpieczeństwa, które odczuwałam. Ty byłeś przeciwwagą.

- Aha - mruknął Caleb. - To wszystko tłumaczy.

- Właśnie - potwierdziła poważnie Zone. - Wibracje, które wyczuwałam wokół ciebie, miały niewątpliwie tę samą długość fal, co te zwiastujące niebezpieczeństwo, więc oczywiście twoje wibracje odbijały się na tej samej częstotliwości, co tamte.

- Oczywiście.

- I przypadkowo wzięłam je za energię negatywną, zamiast pozytywną.

- Rozumiem, że łatwo popełnić taką pomyłkę - zapewnił ją Caleb.

- Dziękuję ci za wspaniałomyślność. Zachowam ją w pamięci jak najcenniejszy skarb. Na zawsze pozostanę twoją dłużniczką. - Pochyliła gładko wygoloną głowę w pełnym wdzięczności ukłonie, odwróciła się i odpłynęła do wyjścia z kawiarni.

Caleb obserwował ją, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Potem popatrzył na Serenity.

- Czy ona naprawdę wierzy w cały ten bełkot o wibracjach i przeciwsilach, czy tylko robi mnie w konia?

- Nie wiem - odpowiedziała szczerze Serenity. - Mówiłam ci, że ona pod paroma względami jest podobna do Blade'a. Oboje żyją jednocześnie w dwóch płaszczyznach egzystencji, w jednej, którą my uważamy za rzeczywistość, i drugiej, która prawdopodobnie istnieje tylko w ich wyobraźni.

- Innymi słowy, oboje są stuknięci. Jessie miała rację.

Prawdopodobnie są dla siebie stworzeni. Zaczekaj ze mną, aż dostanę kawę.

- Oto i ona - powiedziała Ariadne wychodząc zza lady. W jednej ręce niosła filiżankę, w drugiej migdałowe biszkopty domowego wypieku. - Proszę uprzejmie.

- Dziękuję. - Caleb powiesił kurtkę na oparciu krzesła, które zwolniła Zone. Usiadł, przysunął bliżej filiżankę i zamoczył biszkopta w kawie.

- Na zdrowie. - Ariadne się uśmiechnęła. - I dzięki za to, co zrobiłeś zeszłej nocy.

- Zrobiłem tylko tyle, że kręciłem się w pobliżu z Blade'em, kiedy maniak o morderczych skłonnościach wpadł do jednego ze źródeł wizji.

- Jeśli chodzi o mnie, zadowolili mnie każda twoja wersja.

Caleb gryząc biszkopta mruknął coś pod nosem.

- Ale nie tylko to miałam na myśli - powiedziała cicho Ariadne. - Chciałam ci podziękować za zajęcie się tym wszystkim, co było potem. Sprawy mogły się bardzo skomplikować.

- Zdradzę ci pewien sekret - powiedział Caleb. - Szeryf Banner nie chciał niepotrzebnie wszystkiego komplikować. Sprawdził Kincaida i przekonał się, że ten facet był chodzącą bombą zegarową. Miałem wrażenie, że szeryfowi tak samo ulżyło jak wszystkim, kiedy ten drań rozwalił sobie głowę.

- Banner to fajny facet - powiedziała Ariadne. - Ale coś mi się zdaje, że on i Blade nigdy się nie rozumieją.

Tak więc raz jeszcze dziękuję.

- Nie będę twierdził, że w tym czasie po prostu nie miałem nic lepszego do roboty. - Caleb przerwał i obejrzał z namysłem pół odgryzionego biszkopta.

- Jak długo można to przechowywać?

- Te biszkopty są świeże przez miesiąc albo i dłużej - zapewniła go Ariadne. - Piekę je dwukrotnie w odstępie kilku godzin, więc są suche jak krakersy. Jadłam i takie, co miały sześć miesięcy. Nie ma różnicy między tymi a świeżo upieczonymi.

- Uważam, że możemy dodać twoje biszkopty do konfitur i książki kucharskiej w naszym katalogu - stwierdził Caleb.

- Mogę je robić w kilku smakach. - Ariadne aż pokraśniała z zadowolenia.

- Świetnie. Nad opakowaniem zastanowimy się potem. Porozmawiaj z Zone o projekcie graficznym.

- Dobrze. Przejrzę moje najlepsze przepisy. Chyba będę musiała kogoś zatrudnić na pół etatu do pomocy w pieczeniu.

- I tak się narodziła ekonomia - mruknął Caleb.

- Słucham?

- Nic takiego. To tylko uwaga na temat fundamentalnej natury pewnych sił kosmicznych.

- Aha. - Ariadne cofnęła się za ladę i od razu obłożyła się stertą książek kucharskich.

Serenity przyglądała się, jak Caleb macza resztkę biszkopta w kawie. Pochyliła się do przodu, by mu coś szepnąć nad stolikiem.

- Sam widzisz, że nikogo nie obchodzi, co się stało w jaskini. Wszyscy są tylko wdzięczni, że się zająłeś całą sprawą, no i oczywiście Blade'em. Teraz wszyscy mają do ciebie zaufanie. Jesteś jednym z nas.

- Kimś w rodzaju honorowego mieszkańca Witt's End, co?

- Można to i tak nazwać.

Caleb uśmiechnął się gorzko.

- Przyjemna jest ta świadomość, że ma się gdzieś swoje miejsce na świecie.

- No więc dlaczego wyjeżdżasz dzisiaj z Witt's End?

Chcesz odwiedzić kancelarię w Seattle?

- Nie, rozmawiałem z panią Hotten dziś rano. Wszystko przebiega bez zakłóceń.

- Gdzie jedziesz?

- Do Ventress Valley. Sporo myślałem dziś rano.

- O czym?

- O rachunku za sprzedaż zdjęć, który znaleźliśmy w archiwum Ambrose'a.

Serenity jęknęła.

- W tym całym zamieszaniu zupełnie o tym zapomniałam.

- Ale ja nie.

- Jasne. - Serenity bacznie mu się przyglądała. - No dobrze, powiedz mi, co wymyśliłeś.

Caleb objął dłońmi filiżankę i wbił wzrok w kawę.

- Pomyślałem, że może mój pierwszy wniosek był błędny, może wcale nie było dwóch szantażystów.

I myślę, że Franklin od samego początku był w to zamieszany. Przy drobnej pomocy Asterleya.

- Franklin? - Serenity była oszołomiona. - Co to znaczy? Dlaczego miałby robić coś takiego? To nie ma sensu.

- Serenity, to wszystko pasuje. Przyjmijmy, że rachunek, który znaleźliśmy, jest prawdziwy. Franklin kupił zdjęcia od Asterleya dwudziestego. Wysłał ci je anonimowo dwa dni później, próbując zerwać nasze pertraktacje.

- Dlaczego miałby się interesować jakimś twoim projektem? - zapytała szybko Serenity.

- Wcale mu nie chodziło o mój następny projekt. Ale jeśli podejrzewał, że zaczynam się angażować w związek z tobą, i jeśli wiedział o twoich zdjęciach, to zaczął się martwić. - Caleb zacisnął wargi. -

Franklin i Phyllis po dzielają obawy dziadka, że moja zła krew w końcu da o sobie znać.

- Inaczej mówiąc, oni wszyscy się boją, że zostaniesz uwiedziony przez kobietę z paskudną przeszłością - podsumowała Serenity.

- Coś w tym rodzaju.

- Ale skąd Franklin o mnie wiedział?

- Dobre pytanie.

- No, może jednak dotknął cię taki los, jakiego się obawiali, jak myślisz? - Serenity uśmiechnęła się ponuro.

- Moja przeszłość jest tak niepewna, nawet nie wiem, jak wyglądali moi rodzice. Ty przynajmniej masz zdjęcia matki i ojca. Ja nie.

- To musi być dziwne uczucie.

- Jest dziwne - szepnęła Serenity. - Ale czasami odczuwam z nimi jakąś więź. Zeszłej nocy ten talizman uratował mi życie. - Instynktownie sięgnęła do gryfa, który znowu wisiał na jej szyi. - To cały mój spadek po nich. No i jeszcze pomogły mi lekcje Blade'a. Gdyby nie to, już bym nie żyła.

- Nie przypominaj mi - mruknął ponuro Caleb.

Serenity opuściła rękę.

- To dziwne, prawda?

- Co, mianowicie?

- Jak wszyscy są ze sobą połączeni, nawet jeśli myślimy, że jesteśmy zupełnie sami na świecie, nawet jeśli właściwie nie chcemy być połączeni. To jest tak, jakby w nas, czy tego chcemy, czy nie, utkwiło to i owo z innych ludzi. Weźmy na przykład ciebie i Blade'a.

- Co masz na myśli? - Caleb się skrzywił.

- Obydwaj uczestniczyliście wczoraj w wydarzeniu, które musiało na was zostawić niezatarte piętno. I tak naprawdę nikt poza nim i tobą nie wie, co tam się rzeczywiście wydarzyło. I już do końca życia, kiedykolwiek to sobie przypomnicie, każdy z was pomyśli o tym drugim, bo razem przez to przeszliście.

- Psychiczenie związany z Blade'em na wieki. Cóż za wspaniała perspektywa! - Caleb z brzdękiem odstawił filiżankę. - Wydaje mi się, że wkroczyliśmy w metafizyczną atmosferę. To mi trochę nie po drodze. Jestem doradcą finansowym, zapomniałaś już?

- Jednym z najlepszych na całym Północnym Zachodzie. Albo tylko tak mówisz.

- O nie, to święta prawda. I teraz, jeśli się nie obrazisz, wolałbym operować na jednej matematycznej płaszczyźnie. Wracajmy do wuja Franklina.

- Zamieniam się w słuch.

- Zacząłem ci już tłumaczyć, zanim mi tak niedelikatnie przzerwano, założenia mojej teorii. Zakładam, że miał te zdjęcia i wysłał je tobie, licząc na to, że gdy się zorientujesz, że gra skończona, to po cichu zejdziesz ze sceny.

A gdybyś mimo to nie zrezygnowała i zaryzykowała powiadomienie mnie o zdjęciach, to ja bym wtedy z tobą zerwał, tak przynajmniej przypuszczał.

- Ale ty, zamiast się wypiąć na mnie i mój projekt, pojechałeś za mną do Witt's End. Powiedziałeś mi, że żadne z nas nie może się wycofać z kontraktu. Ty z powodu tych swoich cennych zasad.

Caleb uniósł brwi i napił się kawy.

- Moja teoria zakłada, że kiedy wuj Franklin zorientował się, że jego plan nie odniósł skutku, a ja nadal byłem bardzo zaangażowany, i to do tego stopnia, że przywiozłem cię do domu, wpadł w panikę i przystąpił do bardziej drastycznych posunięć.

- Zadzwoił do ciebie i powiedział, że jest szantażowany.

Caleb kiwnął głową.

- Powiedział też, że muszę cię przestać widywać, bo ktoś grozi, że pošle zdjęcia do „Ventress Valley News”.

- I w ten sposób nazwisko twej szlachetnej rodziny ponownie zostałoby zmieszane z błotem. -

Serenity zastanawiała się nad tym przez chwilę. - W gruncie rzeczy to nie jest takie głupie. Ale kilka spraw nadal należałoby wyjaśnić.

- Tak, niewątpliwie. - Caleb oparł się wygodnie na krześle i popatrzył przez okno na wejście do sklepu Serenity. - Pierwsza z nich, to skąd wuj w ogóle wiedział o tych zdjęciach?

- No właśnie. Na litość boską, przecież jest bankierem, a nie kimś, kto się spotyka z mieszkańcami Witt's End! Kto mógł mu powiedzieć, że są takie zdjęcia i że może je kupić od Ambrose'a?

- Może sam Asterley? - zasugerował Caleb. - Cały czas mam wrażenie, że to on wszystko zaczął. Ale nie po to, by powstrzymać proces zmian w Witt's End, miał prostszy cel. Chciał pieniędzy. Z tego, co słyszałem o twoim przyjacielu Asterleyu, zawsze próbował kogoś naciągnąć na pożyczkę, żeby kupić nowy sprzęt, zgadza się?

- No, tak- przyznała niechętnie Serenity. - To prawda.

- Jeśli przyjmiemy, że wiedział z gazet o starym skandalu, to możemy także przyjąć, że przysłał cię do mnie, bo od razu obmyślił sobie dochodowy interes.

- Nadal jednak trudno mi w to uwierzyć, ale mogę przypościć, że Ambrose tak rozpaczliwie potrzebował pieniędzy, że wysławszy mnie do ciebie skontaktował się z twoim wujem.

- Powiedział Franklinowi, że dobre imię Ventressów jeszcze raz będzie zagrożone wplątaniem w skandaliczną aferę, i zaproponował mu kupno zdjęć.

- A on je kupił za pięć tysięcy dolarów - powiedziała Serenity. - Najpierw próbował mnie nimi nastraszyć. Kiedy to się nie udało, zwrócił się do ciebie, twierdząc, że jest szantażowany.

- Teraz to wszystko trzyma się kupy.

- Pozytywną stroną twojej teorii jest fakt, że nie musimy się martwić drugim szantażystą - powiedziała Serenity.

- Cała sprawa zamyka się pomiędzy chciwością Asterleya a troską Franklina o dobre imię rodziny.

- Ale jak wytłumaczyć zaginięcie negatywów? - upierała się Serenity. - Sprzedaż zdjęć była legalna, Ambrose miał rachunek, więc nie było mowy o szantażu. Nie miał nic do ukrycia. Wolno mu było sprzedać zdjęcia.

- Może negatywy też sprzedał Franklinowi? Wuj z pewnością chciał je mieć.
- Może. No więc co teraz zrobisz? - zapytała Serenity.
- Spojrzenie Caleba było tak tajemnicze jak źródło wizji.
- Wracam do Ventress Valley, żeby zweryfikować moją teorię.
- Serenity zaniepokoiła się, ale robiła co mogła, żeby tego po sobie nie okazać.
- Aha. W jaki sposób zamierzasz odkryć, czy masz rację co do powiązań twojego wuja z Ambrose'em?
- Zrobię małe przedstawienie. Zbiorę w pokoju całe towarzystwo, to znaczy Franklina, Phyllis i dziadka, i przycisnę wuja do ściany. Zmuszę go, żeby się przyznał do udziału w tej aferze.
- Caleb, to chyba nie jest najlepszy pomysł.
- Franklin prawdopodobnie uważa, że będę chodził wokół tej sprawy na paluszkach. Zakłada, że dla dobra rodziny przemilczę ten pseudo szantaż. Ale się myli. Po wiem o wszystkim.
- Franklin próbuje tylko ocalić dobre imię rodziny.
- Przyznaję, że posunął się za daleko, ale na pewno rozumiesz, dlaczego to zrobił. Uważam, że powinieneś podchodzić do tej sprawy z dużą delikatnością i taktem.
- Mówisz o delikatności i takcie? - Uśmiech Caleba był chyba jeszcze zimniejszy niż jego wzrok. - Przez całe życie postępowałem z rodziną w ten sposób i co mi to dało? Robiłem to, czego ode mnie oczekiwano. Spełniałem wszystkie żądania, robiłem to, o co mnie prosili, próbowałem wszystkich zadowolić. Ale to zawsze było za mało.
- Jak to „za mało”?
- Niezależnie od tego, co zrobiłem, nigdy nie udało mi się wymazać winy moich rodziców. Za każdym razem, kiedy dziadek i inni na mnie patrzyli, nie widzieli mnie, ale fatalny upadek mojego ojca i złą krew matki. Za każdym razem, gdy patrzyłem im w oczy, widziałem, że obserwują mnie i czekają na ten dzień, kiedy udowodnię, że ich podejrzenia są uzasadnione.
- Och, Caleb. - Serenity wyciągnęła rękę i dotknęła go.
- I ten wielki dzień w końcu nastąpił. - Caleb wstał i zdjął kurtkę z oparcia krzesła.
- Zaczekaj! - zawołała szybko Serenity. - Proszę cię, nie działaj pochopnie i bez zastanowienia.
- Pochopnie? W twoich ustach brzmi to dość zabawnie. - Pochylił się i pocałował ją mocno w otwarte usta.
- Kiedy uniósł głowę, wzrok mu błyszczał. - Ty mnie nauczyłaś, co znaczy to słowo.
- Kiedy ruszył do wyjścia, złapała go za rękaw.
- Słuchaj, jeśli w takim humorze przystąpisz do konfrontacji, możesz doprowadzić do rozbicia rodziny.
- Myślisz, że mi zależy?
- To twoja rodzina, Caleb.
- Nieprawda. Nigdy nie byłem pełnoprawnym członkiem tej rodziny. A w ogóle zrezygnowałem już nawet z zamiaru, by się nim stać. Wystarczająco wiele dla nich zrobiłem przez te wszystkie lata, w nadziei odkupienia grzechów moich rodziców i spłacenia szantażu. Ale wiadomo, co się mówi o szantażu - że się nigdy nie kończy. Można go powstrzymać tylko w jeden sposób - przestać płacić.
- Serenity skoczyła na równe nogi.
- Skoro upierasz się przy konfrontacji z rodziną, to lepiej będzie, jak pojedę z tobą.
- Nic z tego. Nie chcę cię mieszać do tego wszystkiego.
- Ale ja i tak jestem zamieszana.
- Nie pojedziesz ze mną i nie ma o czym mówić.

W otwartych drzwiach kawiarni pojawił się Webster, ubrany w swój wyszmelcowany kombinezon. Triumfalnym gestem wysunął dłoń, na której leżał mały, okrągły otoczek.

- No i co powiesz, Ventress?

Caleb popatrzył na kamień.

- Webster, nie mam teraz czasu. Może porozmawiamy o tym, jak wrócić?

- Ten lizaczek jest idealny - kontynuował Webster.

Zerknął chytrze na Caleba. - I wiem, gdzie mogę znaleźć jeszcze ze sto takich jak ten! I wszystkie co do jednego tak samo piękne.

- Słuchaj, mówiłem już, że teraz bardzo się spieszę.

- Weź go do ręki - upierał się Webster. - Włóż do kieszeni. Pochodź z nim przez jakiś czas.

Zobaczysz, jak to jest.

- Dobrze już, dobrze, daj. - Caleb wziął kamień i wsadził go do kieszeni w kurtce. - A teraz bądź tak uprzejmy i przepuść mnie. Czeka mnie daleka droga.

- Jasne. - Webster zmarszczył czoło z troską. - Ale nie wyjeżdżasz na zawsze, prawda?

- Wracam dziś wieczorem. Porozmawiamy o możliwościach zbytu na twoje kamienie, jak tylko będę miał okazję bliżej się temu przyjrzeć.

- Dobra. - Websterowi rozpogodziła się mina. - Chciałem ci podziękować za to, co zrobiłeś zeszłej nocy.

- Nie ma o czym mówić. Nic nie zrobiłem.

- Jasne. - Webster mrugnął domyślnie. - Jak sobie życzysz, Ventress.

Caleb zignorował tę uwagę. Wyszedł szybko na dwór i przemaszerował po drewnianym chodniku do zaparkowanego Jaguara.

- Przepraszam, Webster. - Serenity zgarnęła kurtkę z krzesła.

- Co? Ach, przepraszam. Nie chciałem ci stanąć na drodze. - Webster odsunął się na bok, gdy Serenity przeciskała się koło niego. - Ventressowi spodoba się ten kamień, zobaczysz!

- Na pewno. - Serenity zatrzymała się na moment i zerknęła na Ariadne. - Powiedz Zone, że wyjeżdżam z Calebem. Wróć wieczorem.

- Dobrze, powiem - zapewniła ją Ariadne.

Serenity odwróciła się na pięcie, wyleciała z kawiarni i podbiegła do Jaguara. Caleb już siedział za kierownicą i właśnie zapuszczał silnik. Serenity otworzyła przednie drzwi i klapnęła na fotel.

- Co ty wyprawiasz, do diabła? - zapytał Caleb.

- Jadę z tobą - odparła zapinając pasy.

- Nic podobnego.

- Nie możesz mnie zostawić. - Serenity oparła się w fotelu i zamknęła drzwi. - Zapomniałeś już, że jesteś moim współnikiem? Nigdy nie porzucam swoich współników. Muszę zachować pewien poziom.

- Niech to jasny szlag - rzucił Caleb.

Nacisnął na gaz i Jaguar wyjechał na drogę.

Rozdział 15

Po przejechaniu dziesięciu mil w dół górską drogą Caleb wreszcie się odezwał.

- To nie będzie nic przyjemnego, Serenity.

- Wiem.

- Nie pozwolę ci się wtrącać.

- Nie będę się wtrącać.

- To, że będziesz przy tym, w niczym nie zmieni sposobu, w jaki chcę to przeprowadzić.
 - Rozumiem.
 - Nie uda ci się mnie namówić, żebym to zrobił inaczej.
 - Zdaję sobie z tego sprawę.
 - Jeszcze nie jest za późno. Mogę zawrócić i zawieźć cię do Witt's End.
- Serenity położyła rękę na jego długim, umięśnionym udzie.
- Nie zostawię cię z tym samego. Pamiętasz, co powiedziałam przedtem, że w każdym z nas utkwiło to i owo z innych ludzi?
 - Pamiętam.
 - Może teraz tego nie widzisz, ale w tobie utkwiło całe mnóstwo ze mnie. A mnie bardzo trudno z siebie wyrzucić.

Caleb zupełnie nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Serenity się nie myliła. Prawdopodobnie nawet sama nie wiedziała, jak bardzo się nie myliła. Z każdym mijającym dniem i z każdą nocą coraz bardziej uświadamiał sobie, jak wiele z niej w nim utkwiło, jak bardzo stała się nieodłączną jego częścią, żywotną i niezbędną.

Caleb zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył w nim swoje odbicie. Obraz był trwały, prawdziwy i żywy. Co prawda miał wściekłą minę, ale wyglądał jak rzeczywisty. Żywy. Mógł dotykać rzeczy, czuł różnicę. A rzeczy i ludzie mogli dotykać jego.

- O rany! - mruknęła Serenity.
- Co się stało? Zmieniłaś zamiar?
- Nie, nie w tym rzecz.
- No więc o co chodzi?

Szarpnęła przód długiej, szerokiej koszuli z batiku, którą włożyła na powiewające spódnico-spodnie od kompletu. W talii była ściśnięta oryginalnym paskiem, nabijanym masywnymi ćwiekami.

- Nie zdążyłam wejść do budki telefonicznej i zamienić się w „Miss Miasta i Wsi”.
- Nie przejmuj się. - Caleb zerknął na jej niesforne rude loki i uśmiechnął się. - Wyglądasz doskonale.

- Naprawdę tak uważasz?
- Wierz mi lub nie, ale nigdy nie wyglądałaś lepiej.

Poza tymi zdjęciami, które ci zrobił Ambrose.

Serenity odwróciła głowę szybkim ruchem zdradzającym zaskoczenie.

- Właściwie wcale mi nie powiedziałaś, co myślisz o tych zdjęciach.

Caleb przywołał w pamięci to szczególne zestawienie niewinności z odwieczną kobiecą mądrością, które udało się uchwycić Asterleyowi na zdjęciach Serenity.

- Miałaś rację, to są dzieła sztuki. Asterley sprawił, że wyglądasz na nich jak jakaś mityczna leśna boginka, a jednocześnie jesteś bliska natury, ziemską. Piękna.
- Cieszę się, że ci się podobają. - W jej głosie zabrzmiała ulga. - Trochę się martwiłam, jak na nie zareagujesz. Niewiele powiedziałaś po ich obejrzeniu.
- Wybił mnie z nastroju telefon Franklina, potem była ta rozmowa, no i nie zdążyłem wrócić do tego tematu.

W każdym razie zdjęcia są oszałamiające.

- Dziękuję.

Kątem oka dostrzegł, że Serenity uśmiechnęła się z wyraźną satysfakcją.

- A kiedy już będzie po wszystkim - dodał stanowczym tonem - postaram się za wszelką cenę być jedynym właścicielem negatywów i wszystkich odbitek.

- Dlaczego? - zapytała zdziwiona.
- Te zdjęcia będą częścią mojej prywatnej kolekcji artystycznych fotogramów.
- Nie wiedziałam, że masz taką kolekcję.
- Do niedawna jeszcze nie miałem.

Z niezbadanych przyczyn tym razem Ventress Valley nie zrobiło na Serenity tak uroczego wrażenia jak poprzednio. Być może działało się tak za sprawą pochmurnego nieba i szarawego światła dnia, stwarzającego przygnębiającą, ponurą atmosferę. A może nie najweselszy nastrój Serenity sprawiał, że prawdziwie amerykański krajobraz jawił jej się jako smętna i groźna okolica.

Niezależnie od przyczyny, nie dało się ukryć, że po żniwach okoliczne pola tchnęły smutkiem i były opustoszałe. W sklepach wzdłuż głównej ulicy miasteczka panował bezruch, a na stopniach kościoła nie było weselnego orszaku, który wniósłby może nutę optymizmu w tę atmosferę.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? - Serenity wyprostowała się w fotelu, kiedy Jaguar wjechał na drogę dojazdową do domu dziadka Caleba.

- Tak.

- A może powinieneś rozważyć inny sposób rozwiązania tego problemu? Konfrontacje zawsze są dosyć nieprzyjemne.

- Ostrzegłem cię, że to będzie niemiłe. Proponowałem, że cię zawiozę z powrotem do Witt's End. Ostatni wysiłek Serenity, by Caleb zmienił zdanie, spalił na panewce. Od początku wiedziała, że nic nie będzie mogła zrobić, żeby powstrzymać Caleba. Chodziło tylko o to, by być z nim, kiedy będzie nicował na strzępy własną przeszłość.

Caleb zajechał przed dom i zgasił silnik. Wielkie drzwi się otworzyły i Dolores wyszła na ganek. Na jej twarzy odmalowała się radość i zaskoczenie. Szybko zeszła po schodach na spotkanie gościom.

- Caleb, skąd się tu wziąłeś? Nie spodziewaliśmy się ciebie. - Uśmiechnęła się do Serenity. - Miło panią widzieć znowu, Serenity. Za chwileczkę przygotuję wasze pokoje.

- Nie trzeba. - Caleb zatrzasnął drzwi samochodu. - Nie będziemy tu długo.

Uśmiechnięta Dolores zrobiła zdziwioną minę.

- Jak to? Przecież dopiero przyjechaliście. Musicie przenocować.

- Nie - odpowiedział Caleb. - Niestety, to niemożliwe.

Z twarzy Dolores zniknął uśmiech.

- Stało się coś złego, prawda?

- To sprawy rodzinne. - Głos Caleba był lodowaty i ponury jak stalowoszare chmury nad ich głowami. - Dziadek jest w domu?

- Jest z Harrym w stajniach.

- Czy mogłabyś zadzwonić w moim imieniu do wuja Franklina i ciotki Phyllis? Powiedz im, że potrzebni mi są zaraz tutaj w domu.

- Oczywiście. - Dolores z obawą pospiesznie zerknęła na Serenity. - Franklin jest w biurze, w banku. Nie lubi, jak mu się przeszkadza w pracy.

- Powiedz im, że chodzi o interesy rodzinne - polecił jej Caleb. - I powtórz mu, że lepiej, żeby tu przyszedł, bo inaczej odbędę tę rozmowę u niego w biurze.

- O Boże! - Dolores załamała ręce i oparła je na fartuchu.

Serenity szczerzej owinęła się kurtką. Cienki materiał nie dawał ochrony przed zimnym powietrzem. W tej chwili zza rogu domu wyłonił się Roland. Był zaskoczony widokiem małej grupki stojącej przy Jaguarze. Zatrzymał wzrok na Calebie. Serenity mogłaby przysiąc, że z głębin spojrzenia starego człowieka wynurzyło się coś ciepłego i serdecznego, coś, co mogło być nadzieją. Uczucie to było ukryte pod zimną, obojętną maską, podobną do tej, jaką nauczył się często przyoblekać Caleb. To i

owo z innych ludzi.

- Nie spodziewaliśmy się pani tak prędko, panno Makepeace. - Roland uprzejmie skłonił głowę przed Serenity i popatrzył na wnuka. - Co się dzieje, do diabła?

- Chodzi o sprawy z przeszłości - odparł Caleb. - I przyszłości. Wejźmy do środka i zaczekajmy na Franklina i Phyllis.

Było o wiele gorzej, niż Serenity oczekiwała. Atmosfera w salonie była cięższa niż na dworze. I bardziej napięta. Caleb przemierzał pokój tam i z powrotem, jak lew w klatce. Emanował tak niebezpieczną energią, że Serenity niemal oczekiwała, kiedy tuż obok niego strzeli piorun.

Caleb poprosił wszystkich obecnych o uwagę. Roland przyglądał mu się w taki sposób, jak starzejący się monarcha obserwuje młodego wojownika, który ma zająć jego miejsce. Tylko po silnym uścisku palców na skórzanym oparciu fotela można było rozpoznać, że jest spięty.

Phyllis siedziała prosto na sofie, usta miała ściągnięte w wąską, pełną dezaprobaty linię. Była tak wyprostowana, jakby do pleców miała przywiązany kij od szczotki. Franklin siedział obok niej, ze zmarszczonymi gniewnie brwiami. Był zły, ale ostrożny.

- Myślę, że już dosyć tego dramatyizmu - odezwał się Roland. - Powiedz nam, o co chodzi.

- Chodzi o szantaż - oznajmił Caleb.

Phyllis zaparło dech ze zdumienia i strachu. Sięgnęła ręką do szyi. Roland był nadal nieporuszony, tak samo jak jego wnuk. Franklinowi ze zdumienia opadła szczeka. Po kilku daremnych wysiłkach w końcu przemówił:

- Ty głupcze. Czy wiesz, co robisz, Caleb?

Caleb zatrzymał się przy oknie i spojrzał na niego.

- Robię to samo, co Roland trzydzieści cztery lata temu, kiedy ktoś mu zagroził szantażem.

Odmawiam płacenia okupu. Przyjechałem tu, żeby to oficjalnie zakomunikować wszystkim zainteresowanym, by nie było potem żadnych nieporozumień.

- Szantaż. - Roland był bardziej zdziwiony niż oburzony. - O czym ty mówisz, do ciężkiej cholery?

Caleb nie spuszczał wzroku z Franklina.

- Może mu powiesz, wuju?

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi - warknął Franklin.

- W porządku, skoro nie chcesz, ja mu powiem. - Caleb przeniósł wzrok na dziadka. - Franklin wczoraj do mnie zatelefonował i powiedział, że został ofiarą wymuszenia pieniędzy.

- Na jakim tle? - Roland zeszywniał.

- Tym samym co zawsze. - Uśmiech Caleba był lodowaty. - Zdjęcia. Tym razem Serenity.

- Co to ma znaczyć? - Roland wlepił wzrok w Serenity.

- Panny Makepeace? - Phyllis zerknęła na Serenity, poczym przyszpiliła Caleba potępiającym spojrzeniem. - Chcesz nam powiedzieć, że gdzieś krążą ohydne zdjęcia panny Makepeace?

- Nie są ohydne - odparł Caleb. - Są prawdziwymi dziełami sztuki, wykonanymi przez utalentowanego fotografa. I o ile mi wiadomo, krążąc dotarły jedynie do Franklina, który, właściwie rzecz biorąc, nie był szantażowany. Przeciwnie.

- Przeciwnie? - Phyllis wykrzywiła twarz w ponurym grymasie.

- Właśnie - potwierdził Caleb. - To on jest szantażystą.

- Ja? Szantażystą? - Franklin skoczył na równe nogi z twarzą poczerwieniałą z wściekłości. - To obelga! Jak śmiesz oskarżać mnie o szantaż? To mnie szantażowano tymi plugawymi zdjęciami.

- Chryste Panie! Szantaż. - Roland odchylił głowę na oparcie fotela i przymknął powieki. - Nie. Nie tym razem.

Franklin zbliżył się do niego.

- Roland, wysłuchaj mnie. W liście było napisane, że jeśli nie zapłacę pięciu tysięcy dolarów, to zdjęcia panny Makepeace zostaną wysłane do „Ventress Valley News”. Tak samo jak wtedy.

- Niech to szlag trafi! - Roland otworzył oczy. Miał wściekłą minę. - Niech to jasny szlag trafi!

- Zrobiłem co mogłem. Zadzwoiłem do Caleba i powiedziałem mu, o wszystkim - rozpaczliwie tłumaczył dalej Franklin. - Na litość boską, wcale go nie szantażowałem. To ja byłem ofiarą. My wszyscy byliśmy potencjalnymi ofiarami. I to z winy panny Makepeace. To ona sprowadziła na nas katastrofę!

- O mój Boże. - Phyllis wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć. - Roland ma rację. To zupełnie tak samo jak wtedy.

Franklin odwrócił się, żeby spojrzeć jej w twarz.

- Z tą różnicą, że tym razem ja dostałem zdjęcia.

I oczywiście, zrobiłem co mogłem, żeby ochronić rodzinę. Natychmiast zadzwoniłem do Caleba i powiadomiłem go bez ogródek, z jaką kobietą się zadaje. Spodziewałem się, że załatwi tę sprawę dyskretnie.

- Ale kilka dni temu wysłałeś te zdjęcia Serenity, prawda? - zapytał Caleb ze śmiertelnym spokojem.

- I dołączyłeś list, w którym groziłeś, że jeśli panna Makepeace natychmiast nie zerwie pertraktacji z Ventress Ventures, to wyślesz mi te zdjęcia. Myślałeś, że Serenity odstąpi od umowy ze mną.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - powiedział Franklin.

Caleb zignorował jego uwagę.

- A ona, zamiast zerwać umowę, przyszła do mnie i powiedziała mi o zdjęciach i szantażu. Tego się nie spodziewałeś, prawda? Ale jeśli nawet wzięłeś to pod uwagę, to prawdopodobnie oczekiwałeś, że będę tak zde gustowany wiadomością, że Serenity pozowała nago, że natychmiast zerwę z nią znajomość.

- Pozowała nago!? - Głos Phyllis przeszedł w pełen oburzenia i przerażenia skrzek. - Panno Makepeace, czy nie ma pani za grosz wstydu?

- Zrobiłam to dla sztuki - bąknęła Serenity. Pomyślała, że skoro już o sztuce mowa, to ta scena zaczyna być dość surrealistyczna.

- Sztuka? Niech się pani nie waży usprawiedliwiać takie go plugastwa sztuką. Znam takie jak pani - odpaliła Phyllis.

- Pani się obraca w kręgu tych niemoralnych, lewicujących pseudoartystów, czyż nie? Tych, którzy się utrzymują z naszych ciężko zarobionych pieniędzy i wykorzystują je na tworzenie obscenicznych fotografii i tych wulgarnych przedstawień.

Serenity miała wrażenie, że nagle znalazła się pod mikroskopem.

- Jeśli to panią martwi, to mogę zapewnić, że nie szczęsny Ambrose nie dostał złamanego grosza z Narodowego Funduszu Wspierania Artystów.

- I pomyśleć, że nasz rząd tak nisko upadł, by finansować takie wstrętne fotografie - kontynuowała Phyllis. - To nie do pomyślenia!

- Wystarczy, ciociu Phyllis - ostrzegł ją Caleb.

- Właśnie! - parsknęła. - Franklin ma rację, to jest oburzające.

- Oczywiście. Nie będę tego tolerował - oświadczył Franklin.

- O to mi właśnie chodzi - powiedział Caleb. - Po to tu przyjechałem. Żeby wam powiedzieć, że nigdy więcej nie będę tolerował szantażu.

- Cholera jasna - wycharczał Franklin. - Nie udowodnisz, że próbowałem kogokolwiek szantażować!

Roland zmierzył Serenity podejrzliwie, po czym ostro popatrzył na Caleba.

- No i co? Możesz udowodnić to, co mówisz, Caleb?

Caleb wyciągnął z kieszeni dowód sprzedaży.

- Mam to z archiwum Ambrose'a Asterleya. Tu jest napisane, że sprzedał serię zdjęć Serenity Makepeace Franklinowi Ventressowi. Zwróćcie uwagę na datę. Transakcja została zawarta dwudziestego października, czyli dziesięć dni temu. Ale Franklin zadzwonił do mnie w tej sprawie dopiero wczoraj.

- Kłamiesz! - wycedził przez zęby Franklin.

- Nie. - W oczach Caleba pojawił się krótkotrwały błysk.

- Nie kłamię i myślę, że cokolwiek dziadek o mnie myśli, jedno wie z pewnością - że nigdy go nie okłamałem.

Roland był wyraźnie poruszony, ale nic nie powiedział.

- Do diabła, dlaczego ten Asterley miałby ci dać rachunek za zdjęcia, które rzekomo sprzedał mnie? - zapytał szybko Franklin.

- Nie miał wielkiego wyboru - powiedział Caleb. - Ambrose Asterley umarł kilka dni temu.

Znalazłem ten rachunek w jego archiwum już po jego śmierci.

- To niemożliwe. Pokaż mi to. - Franklin przemaszerował przez pokój i wydarł Calebowi z ręki świstek inkryminowanego papieru. Przyglądał mu się skonsternowany przez dłuższą chwilę, po czym ramiona mu opadły i wyglądał jak przekłuty balon.

- Franklin! - zawołała ostro Phyllis. - Co to jest? O co chodzi?

- Nic nie rozumiem - mruknął Franklin. - Dosłownie nic nie rozumiem. To niemożliwe. Za każdym razem zrobiłem wszystko, co mi polecił.

Caleb wyjął mu rachunek z ręki.

- Czego nie rozumiesz, Franklin?

- Nie powinno być żadnego rachunku. On mnie zapewnił, że nie będzie żadnego śladu tej transakcji. -

Franklin podrapał się po garbku na nosie. Był oszołomiony. - Za każdym razem postępowałem według instrukcji w liście.

- Jakich instrukcji? - zapytała Serenity.

- Zaparkowałem samochód w centrum handlowym w Ventress Valley, na wydzielonym parkingu. -

Franklin patrzył przez okno na ciemnoszare niebo. - Lewe drzwi zostawiłem otwarte, a pieniądze w skrytce na desce rozdzielczej. Wszedłem do środka i krążyłem tam przez piętnaście minut. W ogóle go nie widziałem, ale kiedy wróciłem do samochodu, pieniądze zniknęły.

- A w skrytce były fotografie? - zapytał Caleb.

- Tak. Za pierwszym razem. Zapłaciłem za nie pięć tysięcy.

- A za drugim razem?

Franklin był zaniepokojony.

- Drugi raz zadzwonił w niedzielę. Powiedział, że to jeszcze nie koniec, że wciąż ma negatywy i że je wyśle do „Ventress Valley News”, jeśli mu nie zapłacę pięciu tysięcy dolarów.

- A więc przyznajesz, że kupiłeś te zdjęcia? - zapytał szorstkim tonem Roland.

Franklin wyprostował ramiona i dumnie uniósł głowę.

- Tak, przyznaję. Jak się tylko dowiedziałem o ich istnieniu, zrozumiałem, że to mój obowiązek.

Musiałem sprawdzić, jaka jest ta kobieta, która zaciska swe chciwe szpony na Calebie.

- A kiedy już miałeś w ręku te zdjęcia, próbowałeś zastraszyć Serenity, tak? - zapytał Caleb. -

Posłałeś jej odbitki i ostrzegłeś, że jeśli nie zerwie ze mną układów, to wyślesz te zdjęcia do mnie.

- Miałem nadzieję, że ma na tyle poczucia wstydu, że sama to zakończy. - Franklin popatrzył na Serenity z wściekłością. - Ale powinienem wiedzieć, czego się po niej można spodziewać. Kobiety o tak niskim poziomie moralnym, że bez oporów pozuje nago do zdjęć, nie obchodzi, kto je ogląda.

- Nie przejmuj się poziomem moralnym Serenity - powiedział Caleb. - Mogę cię zapewnić, że jest o wiele wyższy od twojego.

- Jak możesz mówić takie rzeczy o kimś z twojej własnej rodziny? - zapytała oburzona Phyllis.

- Na mojej skali wartości szantażyści stoją o wiele niżej od fotomodelek- zapewnił ją Caleb.

- Doprawdy - wycedziła Phyllis - nie uważam, by Franklin kogokolwiek szantażował.

- Zrobiłem tylko to, co musiałem, żeby cię przed nią uratować. - Franklin patrzył na Caleba. - Nie rozumiesz?

Miałem obowiązki w stosunku do rodziny. Nie mogłem pozwolić, żebyś powtórzył błąd z przeszłości! Po prostu nie mogłem na to pozwolić! Zbyt wiele wtedy wszyscy wycierpieliśmy. Nie mogłem dopuścić, byś poszedł w ślady twego ojca.

W pokoju nagle zaległa cisza. Te straszne słowa zostały w końcu głośno wypowiedziane. Serenity wiedziała, że wszyscy ich oczekiwali.

- Nie, myślę, że rzeczywiście nie mogłeś do tego do puścić, prawda? - zapytał cicho Caleb. - Nie po tym, jak razem z dziadkiem i ciotką Phyllis przez tyle lat ciężko pracowałeś nad tym, bym nie powtórzył błędów ojca.

Serenity zerknęła na zaciętą twarz Rolanda i zrobiło jej się zimno. Teraz bardzo dokładnie widziała ból, malujący się na tym obliczu. Każde wypowiedziane tu słowo wbijało mu się w serce jak sztylet.

- Zrobiliśmy co w naszej mocy - powiedziała Phyllis wzniosłym tonem. Skupiła wzrok na Serenity. - Jak widać, ponieśliśmy porażkę.

Serenity poruszyła się na krześle.

- Wydaje mi się - wtrąciła się do rozmowy - że wszyscy przeoczyliście pewien istotny fakt, który odróżnia tę sytuację od tego, co się zdarzyło w przeszłości.

- I cóż to takiego? - zapytała Phyllis pogardliwie.

- To, że Caleb nie jest żonaty, tak jak jego ojciec wtedy, gdy wybuchł skandal - podkreśliła cicho Serenity.

- Możecie nie aprobować jego związku ze mną, ale nie macie prawa twierdzić, że powtarza grzechy ojca. Nie popełnia cudzołóstwa, nie zdradza żony.

- Ale zdradza rodzinę, tak jak jego ojciec. - Głos Phyllis drżał z oburzenia.

- No cóż, tym razem nie ma tu niewinnej żony, ale fakty pozostają nie zmienione. - Franklin zmierzył Caleba piorunującym spojrzeniem. - I rezultat końcowy będzie taki sam. Ściągniesz hańbę na całą rodzinę. Znowu nas wszystkich upokorzysz, tak jak Gordon. To małe miasteczko, wszyscy będą o tym wiedzieli. Phyllis uniosła brodę.

- Być może Caleb właśnie tego chce.

Roland spojrział na nią zdumiony.

- Co ty mówisz, do diabła?

- Że prawdopodobnie o to właśnie mu chodzi. - Phyllis parsknęła. - Przyszło mi do głowy, że wdając się w romans z taką osobą jak panna Makepeace, twój wnuk chce nas wszystkich skutecznie ukarać.

- Ukarać? A to za co? - dopytywał się Roland. - Wziąłem go do siebie i wychowałem. Dałem mu dom.

Uczyniłem swoim spadkobiercą. Co jeszcze mogłem dla niego zrobić?

- O tak, wiem, Rolandzie. Zrobiłeś dla niego wszystko co mogłeś. Nie tylko ty. Można by oczekiwać, że będzie nam wdzięczny. - Phyllis obrzuciła Caleba świdrującym spojrzeniem. - Ale wygląda na to, że nie żywi do nas uczucia wdzięczności. Od lat się tego obawiałam.

Spoczywająca na oparciu fotela dłoń Rolanda zwinęła się w pięść, a oczy wpatrywały się w Caleba. - Czy to prawda? Próbujesz nas z jakiegoś powodu ukarać? Czy to jest twój sposób zemsty? Za co, na

miłość boską, za co?

- Nie związałem się z Serenity dlatego, że chciałem się na was zemścić - powiedział spokojnie Caleb. - Związałem się z nią, bo jej pragnąłem.

- Mówisz jak twój ojciec! - krzyknął Roland. - Nawet wyglądasz teraz tak jak on wtedy, gdy mi powiedział, że pragnie Crystal Brooke. Jak śmiesz mi to robić?!

Zanim Caleb zdążył mu odpowiedzieć, Serenity uniosła rękę.

- Raz jeszcze chciałabym podkreślić, że ta scena, choć dość nieprzyjemna, nie jest repliką, powtarzam, nie jest repliką tego, co się zdarzyło trzydzieści cztery lata temu. Tym razem sprawy mogą wyglądać inaczej, jeśli wy inaczej do nich podejście. Nie ma potrzeby powtarzać tego, co było.

Phyllis popatrzyła na nią.

- Jak już zauważyła pani wcześniej, panno Makepeace, jedyna różnica polega na tym, że Caleb nie jest żonaty.

- Zgadza się z panią - powiedziała Serenity. - To najważniejsza różnica, z której zresztą rodzi się interesujące pytanie. - Zwróciła się do Rolanda: - Jestem ciekawa, czy między ojcem Caleba a jego żoną nie było żadnych nieporozumień? Czy też po prostu romans z Crystal Brooke zrodził się bez żadnego powodu?

- Nieporozumień? - Roland uniósł brwi. - Byli małżeństwem zaledwie od dwóch lat. Wszystkie młode małżeństwa mają problemy. Dla Patricii przeprowadzka na zachód była ciężkim przeżyciem. Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Ale co to ma do rzeczy?

- Zastanawiałam się po prostu, czy przypadkiem pański syn nie zaangażował się w związek z Crystal Brooke, ponieważ jego małżeństwo było nieudane - powiedziała Serenity.

- To była wymówka! - Roland trzasnął dłonią w oparcie fotela. - Zwykła fałszywa wymówka dla usprawiedliwienia egoistycznych żądź do tej szmaty!

- Ostrzegałem cię, żebyś jej tak nie nazywał - powiedział Caleb niebezpiecznie cicho.

- Phe! Nic mnie to nie obchodzi, że była twoją matką! - zawołał Roland. - Była zła, i takie są fakty! I nie obchodzi mnie, co powiedział Gordon, ani przez chwilę nie wierzyłem, że Patricia miała romans na boku!

- Patricia? - szybko powtórzyła Serenity. - Tak miała na imię żona Gordona?

- Wspaniała młoda kobieta. - Oczy Rolanda błyszczały.

- Piękna młoda kobieta - mruknął Franklin. - Dystyngowana, elegancka, ze znakomitymi manierami.

- Pochodziła z Clerwoodów - dodała Phyllis. - Z tych Clerwoodów z Nowej Anglii. Stare pieniądze. Ich przodkowie przyплыnęli na „Mayflower”. Gordon ją spotkał w czasie podróży na wschód, gdy odwiedzał przyjaciela z college'u. Kiedy wybuchł skandal, wróciła do domu i ponownie wyszła za mąż. Chyba za jakiegoś senatora.

- Po jej wyjeździe z Ventress Valley już nigdy nie mieliśmy z nią kontaktu - powiedział Franklin stłumionym głosem.

Caleb kompletnie zignorował Phyllis i Franklina. Całą uwagę skupił teraz na dziadku.

- Ojciec twierdził, że Patricia miała romans?

- To było kłamstwo! - odpowiedział ostro Roland. - Rzucił to oskarżenie, by usprawiedliwić własne czyny.

- Kłamstwa, bezwstydnego kłamstwa - powtórzył po nim Franklin.

Serenity pochyliła głowę na bok i zastanowiła się nad tym, co usłyszała.

- Jest pan pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien - upierał się Roland. -

Mój Boże, Venress Valley teraz jest małe, ale trzydzieści cztery lata temu było jeszcze mniejsze. Żona Gordona Ventressa nie mogła mieć romansu, o którym nie dowie działby się ktoś z rodziny.

- A nawet gdyby to była prawda, nawet gdyby Patricia miała romans, to niczego nie zmienia. Niczego! - wrzasnął Franklin. - Mówimy o rzeczy najważniejszej, że Gordon nie miał prawa wystawiać rodziny na upokorzenie i wstyd, niezależnie od tego, czy został sprowokowany! To, co zrobił, jest niewybaczalne!

Roland przyglądał się wnukowi.

- Franklin ma rację. Za nic w świecie nie uwierzę, że Patricia miała romans, ale nawet gdyby miała, nie usprawiedliwia to nieodpowiedzialności Gordona. Franklin zmierzył Caleba spojrzeniem kipiącym furją.

- Twój ojciec był zepsuty do szpiku kości od dnia narodzin. W oczach Rolanda był zawsze bez skazy. Upierał się, żeby Gordon miał wszystko. Przez całe dzieciństwo musiałem się przyglądać, jak mój kuzyn jest wychowywany niby jakiś udzielny ksiązę, który tylko czeka na koronację, by zostać władcą klanu Ventressów.

Dla mnie zostawały tylko resztki.

- Wystarczy, Franklin - przerwała mu sucho Phyllis. - Co było to było. Wszyscy wiemy, jaki był skutek rozpieszczania Gordona. Najważniejsze jest jednak to, że nic nie może usprawiedliwić jego poczynań. - Zerknęła na Caleba. - Ani twoich, ty niewdzięczny nikczemniku. Kiedy pomyślę o tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy, chce mi się tylko płakać.

Serenity ogarnęło poczucie beznadziejnej rozpacz. Napotkała wzrok Caleba.

- Nigdy nie poznamy prawdy - powiedziała. - A pozatym, to chyba nie nasza sprawa, prawda? Cokolwiek zaszło między twoim ojcem a Patricią, należy do przeszłości, a ją należy zostawić w spokoju. My się teraz powinniśmy zająć przyszłością.

- A co z przyszłością naszej rodziny? - zapytał Roland.

Franklin zacisnął usta w wąską linię.

- To oczywiste, że twojego wnuka to nic nie obchodzi.

- Zawsze wiedziałam, że kiedyś do tego dojdzie - wycedziła Phyllis. - Od samego początku widziałam, że Caleb nie należy do naszej rodziny. Wiedziałam, że nas tylko toleruje, żeby wykorzystać pieniądze i pozycję Rolanda. Czułam, że nigdy o nas nie dbał, mimo że tak wiele dla niego zrobiliśmy.

Roland mocno zacisnął szczęki.

- Sprawy zaszły za daleko, Caleb. Zachowujesz się tak jak Gordon wtedy, kiedy mi powiedział, że się żeni z Crystal Brooke. A ja ci teraz powiem dokładnie to samo, co powiedziałem jemu.

- Mianowicie? - zapytał Caleb.

- Jeśli zawrzesz to haniebne małżeństwo, to cię wydziedziczę. Przysięgam na Boga, że tak uczynię. Nigdy nie dostaniesz złamanego grosza z majątku Ventressów.

Serenity zauważyła, że Phyllis i Franklin wyglądają na oszołomionych tą groźbą.

Caleb uśmiechnął się ze znużeniem.

- Naprawdę myślisz, że choć trochę mi na tym zależy? Chcesz znać prawdę? To będzie cholerna ulga!

- Ulga? - Franklin otworzył usta ze zdumienia.

- Wreszcie się uwolnię - powiedział Caleb.

- Jak możesz mówić coś takiego? - jęknęła Phyllis. - Pomyśl o tym, co tracisz.

Caleb obrzucił ją przelotnym, obojętnym spojrzeniem.

- Nie potrzebuję pieniędzy dziadka. Moje prywatne zyski z Ventress Ventures w zeszłym roku osiągnęły niemal wysokość dochodów całej rodziny. A w przyszłym roku nawet je przekroczą. -

Uśmiechnął się blado. - Wierzmi, ciociu Phyllis, że pieniądze są moim najmniejszym zmartwieniem.

- Nie wierzę - wyszeptał Franklin. - Nie możesz tak myśleć. Po tym wszystkim, co Roland dla ciebie zrobił?

Po tym, co rodzina dla ciebie zrobiła? Porzucasz fortunę na nic się nie oglądając?

- Według mnie porzucam jedynie trzydzieści cztery lata płacenia haraczu. Jak już powiedziałem, będzie to wielka ulga.

- Haraczu?! - Roland zerwał się na równe nogi. - A to co znowu ma znaczyć, do ciężkiej cholery?

Caleb stanął na lekko rozstawionych nogach na wprost Rolanda.

- Przez całe życie płaciłem za to, co zrobili moi rodzice. Nigdy nie dano mi zapomnieć nawet na chwilę, że to ja byłem powodem skandalu i tragedii w tej rodzinie.

- Zaczekaj no, do cholery, co ty... - wykrztusił Roland.

- Zawsze jasno dawano mi do zrozumienia, że gdyby mnie nie było, to sprawy potoczyłyby się inaczej. Być może dałoby się przekupić Crystal Brooke. Być może mój ojciec odzyskałby w końcu rozsądek i wrócił do domu i żony. Kto wie? Ale sprawy nie ułożyły się pomyślnie, bo ja się urodziłem.

- Mylisz się, całkowicie się mylisz - wyszeptał Roland.

- Czyżby? Ile to razy powtarzałeś mi, że się obawiasz popełnić takie same błędy jak w wychowaniu mojego ojca? Ile razy powtarzałeś, że muszę być lepszy we wszystkim od ojca? Że muszę udowodnić, że nie zostałem skażony złą krwią mojej matki?

- Nic nie rozumiesz - powiedział zapalczywie Roland.

- Jak często pouczałeś mnie o moich obowiązkach i odpowiedzialności wobec rodziny? Ile razy nazwałeś moją matkę szmatą?

- Crystal Brooke była szmatą - wściekle warknął Franklin. - To ona wszystko zniszczyła.

Caleb nie zwrócił na niego uwagi. Koncentrował się na Rolandzie.

- Całe życie upłynęło mi na spełnianiu twych żądań.

Ale to nigdy nie wystarczało, prawda? Nigdy nie wygrałem dla ciebie wystarczająco wiele meczów. Nigdy nie zebrałem wystarczającej kolekcji nagród. Nigdy nie zarobiłem dosyć pieniędzy dla rodziny.

- Czekaj no - zagrział Roland - jeśli byłem dla ciebie trochę zbyt surowy, to tylko dla twojego dobra.

- Nie, to było dla twojego dobra - odparował Caleb. - Wykorzystywałeś mnie do wymazania własnych błędów z przeszłości. Kazałeś mi za nie płacić. I to jest szantaż.

A w szantażu jedynym pewnikiem jest to, że on się nigdy nie kończy. Ale ja mogę przestać płacić. I to właśnie zamierzam zrobić.

Roland otworzył i zamknął usta, po czym odwrócił się od Caleba i wskazał palcem na Serenity.

- W takim razie oświadczam ci, że jeśli opuścisz ten dom razem z tą kobietą i zostaniesz z nią, to nigdy więcej nie będziesz tu przyjęty.

- Nigdy nie byłem przyjęty w tym domu, począwszy od dnia, gdy się tu zjawiłem po raz pierwszy - powiedział cicho Caleb. - Wolno mi było tylko tu przebywać.

Byłem tolerowany. I to tylko dlatego, że musiałeś tak zrobić, bo tylko ja ci zostałem.

- Niech cię szlag trafi, mówisz tak jak twój ojciec! - zawołał Roland.

- Zła krew zawsze kiedyś wypłynie na wierzch, nie prawdaż? - Caleb wyciągnął rękę do Serenity. - Chodźmy stąd, Serenity.

Oczy dziewczyny wypełniły się łzami. Czuli się jak na pokładzie „Titanica”, wiedziała, co się wydarzy, ale nie mogła powstrzymać nadchodzącej klęski. Powoli wsunęła dłoń w rękę Caleba. Ruszył do drzwi, ciągnąc ją za sobą.

- Ona ci to zrobiła. - Franklin niemal podskakiwał ze złości. - To wszystko jej wina!

- Przykro mi - szepnęła Serenity.

- A mnie nie - powiedział Caleb. Kiwnął głową w stronę Dolores, która pojawiła się w drzwiach. - Do widzenia, Dolores.

- Caleb, proszę cię, nie rób tego!

- Muszę to zrobić. - Zatrzymał się i spojrzał na Rolanda. - Nie powinieneś na mnie naciskać.

Prawdopodobnie spłacałbym ten haracz do końca życia, wiesz? I w dalszym ciągu robiłbym wszystko, żeby ci dać to, na czym ci zależy. Ale popełniłeś błąd. Próbowaleś stanąć między mną a moim jedynym prawdziwym pragnieniem.

Roland patrzył na Caleba oczami białymi od ślepej furii.

- No dalej, wynoś się stąd. Zabieraj tą swoją małą szmatę i nie wracaj tu nigdy więcej!

Caleb odwrócił się bez słowa i wszedł do hallu. Serenity pociągnęła go mocno za rękę i gwałtownie się zaparła piętami o podłogę.

- Zaczekaj - rzuciła. Odwróciła się do Rolanda. - To się nie musi tak skończyć. Tym razem może pan to skończyć inaczej.

- Chodź, Serenity - mruknął Caleb. Siłą pociągnął ją przez hali.

- Chwileczkę. - Z całych sił uczepliła się futryny, nie spuszczając oczu z Rolanda. - Proszę przyjechać w czwartek na kolację! Pojutrze! Proszę! Zrobię curry z jarzyn. Będzie panu smakowało!

- Serenity, na litość boską! - Caleb mocno pociągnął ją za rękę, próbując rozluźnić kurczowy uścisk jej dłoni na futrynie.

- W Witt's End! - zawołała Serenity, ciągnięta jak worek przez hali. - To tylko godzina jazdy! Jak już pan przyjedzie, proszę zapytać, gdzie mieszkam! Jeśli spadnie śnieg, proszę poczekać w Bullington!

Przyjedziemy po pana, ja mam łańcuchy!

- Do cholery, Serenity, zamkniesz się wreszcie?! - Caleb otwierał już drzwi frontowe.

- Będziemy na pana czekać! - wrzasnęła Serenity. - O szóstej! Jeśli pan chce, proszę przyjechać wcześniej!

Może pan zostać na noc! Mam wolny pokój!

Caleb wytaszczył ją na ganek.

- Chryste! - Trzasnął frontowymi drzwiami i ruszył po schodach do samochodu. - Co ty wyprawiasz, do ciężkiej cholery?

- Próbuję odmienić przeszłość.

- Daj sobie spokój. Niektórzy wcale nie chcą zmieniać przeszłości.

Delikatne tony walca wtargnęły do przykrego snu Serenity. Muzyka dobiegała z bliższej odległości niż przedtem.

Trzymała niemowlęta w ramionach i kołysała je delikatnie, czekając, aż otworzą się drzwi do skąpanego w słońcu białego pokoju.

Serenity obudziła się gwałtownie i stwierdziła, że jest sama w łóżku. Podparła się na łokciu i spojrzała na zegar. Była trzecia nad ranem. Nagle zeszywniała. Nadal słyszała z oddali dźwięki walca, choć sen prysnął.

Odłożyła na bok kołdrę i wstała z łóżka. Zasłona z paciorków zatrzepotała, odgrywając dzwonkową symfonię. Serenity wsunęła stopy w kapcie i sięgnęła po szlafrok. Gdy przechodziła przez korytarzyk do saloniku, tony walca były coraz głośniejsze. W domku było chłodno, piecyk na drewno dawał niewiele ciepła.

Serenity stanęła w łukowatym przejściu do saloniku; przywitał ją nikły blask lampki. Caleb siedział na sofie, ubrany tylko w dżinsy. Włosy miał rozczochrane od bezsennego miotania się w łóżku.

Pomimo chłodu był bosy.

Siedział pochylony do przodu, opierając łokcie o kolana. Tuż przed nim na stoliku do kawy stała otwarta szkatułka na biżuterię. Caleb wpatrywał się w podrygujące figurki tancerzy.

- Nie chciałem cię obudzić - powiedział nie odrywając wzroku od szkatułki.

- Nie ma sprawy. I tak źle spałam. - Serenity podeszła cichutko do Caleba i usiadła.

- Pewnie przeze mnie. Nie powinienem dopuścić do tej sceny u dziadka w twojej obecności.

- To ja się uparłam, żeby ci towarzyszyć.

Caleb wpatrywał się w parę malutkich tancerzy.

- Wiesz, że on nie przyjedzie w czwartek na kolację, prawda?

- Jeśli nie, to go zaproszę na niedzielę.

- Tracisz tylko czas.

- Może. A może nie. - Serenity wsunęła dłonie w rękawy szlafroka i pochyliła się, by z bliska popatrzeć na szkatułkę. Wycinki prasowe w głównej przegródce wciąż były starannie ułożone. - O czym myślisz?

- O tym, co dziś powiedział Franklin.

- On dzisiaj dużo mówił. Prawdopodobnie mu się wydaje, że ma obowiązek stale pamiętać o przeszłości. Jaki z niego smutny, przepełniony goryczą człowiek.

- Smutny i przepełniony goryczą?

- To właśnie mnie uderzyło - powiedziała Serenity. - Kiedy mówił o twoim ojcu i Patricii, miał szczególny wyraz oczu.

- Myślę, że Franklin zawsze zazdrościł mojemu ojcu.

Wciąż mi powtarzał, że Patricia była piękną kobietą. Idealną damą, jak lubiła mi przypominać ciotka

Phyllis.

Zawsze mówiła o niej w ten sposób.

- O kobiecie, która prawdopodobnie miała romans za plecami twego ojca - powiedziała Serenity z zadumą.

- Roland i Franklin mają rację. Nawet jeśli miała romans, nie usprawiedliwia to mojego ojca.

Powinien się z nią rozwieść, zanim Crystal zaszła w ciążę.

- No, ale jak już dziś powiedziałam, to należy do przeszłości. Nie rozgrzebuj jej, Caleb.

- Próbowałem. - Popatrzył na małe figurki, kiedy muzyka się skończyła. - Ale z pewnych powodów przeszłość nie daje mi spokoju.

- To przeze mnie. - Serenity ciężko westchnęła. - Gdy by nie ja, to ta okropna scena między tobą a twoją rodziną nigdy by nie miała miejsca.

- Nieprawda. - Caleb odwrócił głowę i spojrzał na Serenity. Oczy mu błyszczały. - Nigdy więcej tak nie mów!

Od chwili gdy Roland zabrał mnie do Ventress Valley, żyłem wśród duchów. Tak bardzo się przyzwyczailem do życia z nimi, że sam się zacząłem stawać jednym z nich.

Serenity patrzyła na niego badawczo.

- Och, Caleb! O czym ty mówisz?

- Nieważne. - Podniósł szkatułkę i nakręcił pozytywkę. - To już nie ma znaczenia.

- Właśnie że ma. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Nadal się czujesz tak, jakbyś się zmieniał w ducha?

- Nie. - Odstawił szkatułkę na stolik. Wraz z pierwszy mi dźwiękami walca małe figurki rozpoczęły urywany taniec. - Ostatnio czuję się o wiele bardziej żywy. - Uśmiechnął się. - Tak żywy nie czułem się od lat. I to tylko dzięki tobie.

Przyciągnął Serenity do siebie. Momentalnie wyczuła rosnącą w nim namiętność, oszołomiła ją jego męska energia i siła. Poddała się wszechogarniającej fali podniecenia.

- Caleb.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to cudowne uczucie. Jak cudownie brzmi moje imię, kiedy je wypowiadasz tak jak teraz. - Położył się na plecach, pociągając ją za sobą. - Tak bardzo cię pragnę.

- To dobrze. - Serenity ułożyła się na jego szerokiej piersi i wsunęła mu dłonie we włosy. Pragnienie Chleba obudziło w niej głębokie pokłady namiętności. Była tak bardzo podniecona, że brakowało jej tchu.

Caleb gwałtownie pocałował ją w usta, całował coraz mocniej i głębiej, aż zadygotała. Wtedy oderwał usta od jej warg i przesunął je wzdłuż podbródka na szyję, jednocześnie szarpiąc za pasek od szlafroka Serenity. Kiedy rozchylił jego poły, wsunął ręce pod spód, podciągnął koszulę aż do talii i objął pośladki. Wędrował wygłodniałymi dłońmi po skórze dziewczyny, głaszcząc ją i ściskając delikatnie.

Serenity wstrzymała oddech. Poczwała ruch ciała Caleba pod sobą. Ugiął nogę w kolanie i szorstka tkanina dzinsów przesunęła się po wewnętrznej stronie jej ud, rozpłomieniając skórę, przygotowując dziewczynę na jego dotyk. Na brzuchu poczuła coś twardego.

- Jesteś taka ciepła i wilgotna, że wyczuwam cię na wet przez dzinsy - wymruczał Caleb. - Chcę cię. Teraz.

Zanim zwariuję.

Uśmiechnęła się.

Usiadł gwałtownie, wziął ją na ręce i wstał. Serenity pocałowała go w ramię i zanurzyła palce w gęstwinie włosów na jego piersi. Caleb okrążył sofę i zrobił dwa kroki w stronę korytarzyka, ale

zaraz zatrzymał się i jęknął.

- O rany, nie wytrzymam aż do sypialni. - Postawił Serenity na podłodze. Z trudem utrzymując się na nogach, oparła się o tył sofy, rozkładając ręce na boki. Metal zaskrobał o metal, gdy Caleb otwierał zamek błyskawiczny.

Serenity odgarnęła włosy z czoła i ujrzała przed sobą nagie, pobudzone ciało Caleba, który już rozpakował foliowy pakiecik. W ciągu paru sekund był gotowy do kochania się z nią.

- Chcę wejść w ciebie - wyszeptał zduszonym głosem.

Oczy błyszczały mu zmysłowym pożądaniem. Przycisnął się do niej, wsuwając się między jej kolana.

Objął ją w tali i podniósł. Serenity jęknęła i mocniej chwyciła się oparcia sofy. Caleb patrzył jej prosto w oczy, wchodząc w nią głęboko.

Serenity wygięła się w łuk i cicho krzyknęła, kiedy się z nią połączył. Odrzuciła głowę do tyłu, gdy całował jej szyję. Caleb zacisnął ręce na jej biodrach i zaczął się w niej powoli poruszać. Jego gwałtowne pożądanie wzmogło namiętność Serenity. Poczowała wspaniałe doznanie, które narastało w niej wirując. Instynktownie przywarła do kochanka, chwytając go stalowym uściskiem kolan.

Paznokcie wbiła głęboko w oparcie sofy.

- Obejmij mnie nogami - wymruczał jej do ucha. - Mocno, tak, właśnie tak. O, tak. O Boże, tak! - Wsunął dłoń między jej uda.

Serenity krzyknęła cichutko, gdy ogarnęła ją fala lekkich skurczów.

Caleb skamieniał, kiedy po paru sekundach jego także zalała fala rozkoszy. Serenity czuła raz po razie wstrząsający nim spazm. Gdzieś z oddali rozbrzmiewały dźwięki walca. Coraz bliżej. Już bliźutko. Całe wieki później Caleb okręcił się na sofie. Nagle znieruchomiał uświadomiwszy sobie, że w pokoju zrobiło się bardzo zimno. Powinien wstać i dołożyć do piecyka. A jeszcze lepiej by było, gdyby zabrał Serenity do łóżka, gdzie mogliby się schować pod kilka kołder. Jeśli zostaną dłużej na sofie, niechybnie zamrzną na śmierć!

Poczuł, że Serenity kręci się na nim i wpycha jedną nogę między jego uda. Mała, mięciutka sutka musnęła go po piersiach. Caleb się uśmiechnął i doszedł do wniosku, że chyba jednak nie grozi im zamrożenie. Wytwarzane przez nich ciepło wystarczyłoby do ogrzania solidnej części Północnego Zachodu w samym środku zimy.

O Boże, jak cudownie się czuł po kochaniu z Serenity! Nie ma na świecie wspanialszego uczucia.

- Caleb?

- Tak? - Wsunął palce w jej cudowne włosy.

Serenity uniosła głowę i spojrzała na niego tymi nie spokojnymi, bajkowymi oczami.

- Nie powiedziałeś mi w końcu, o czym przedtem myślałeś. No wiesz, o Franklinie. Wtedy, jak wstałeś z łóżka i przyszedłeś do saloniku.

Caleb przypomniał sobie. Odwrócił głowę na poduszczyce, by spojrzeć na szkatułkę. Muzyka ucichła przed kilkoma minutami, a tancerze zamarli bez ruchu nad plikiem starych wycinków, które przypominały o duchach z przeszłości. Przykre wspomnienie przerwało chwilowy błogostan.

- Nie mogłem zasnąć, bo myślałem o tym, co powiedział Franklin. O tych dwóch transakcjach, które rzekomo zawarł z Asterleyem.

- No i co?

- Franklin twierdził, że za każdym razem postępował zgodnie z instrukcjami w liście. - Caleb niechętnie wysunął się z ciepłych objęć Serenity, starannie owinał ją szlafrokiem i usiadł obok niej. - Pojechał do centrum handlowego, zaparkował, i wszedł do budynku.

- A pieniądze zostawił w skrytce. - Serenity zawiązała pasek szlafroka. - To prawdopodobne, że Ambrose dwukrotnie pojechał do centrum handlowego w Ventress Valley i zabrał pieniądze, ale

jakoś nie mogę w to uwierzyć.

Caleb siedział w milczeniu. Po chwili wstał i podszedł do piecyka. Otworzył przeszklone drzwiczki i wrzucił do środka polano. Wróciwszy na sofę, ponownie wbił wzrok w szkatułkę.

- Mogę uwierzyć, że zrobił to raz - powiedział w końcu cichym głosem. - Ale nie dwa razy.

- Nie rozumiem.

Caleb zdjął ze stolika szkatułkę i spojrzał w lusterko przyklejone do niebieskiej satyny na spodzie wieczka.

- Jeśli wierzyć słowom Franklina, co wydaje mi się dość ryzykowne, to pertraktował z Asterleyem dwukrotnie.

- No i?

- Więc jeśli powiedział mi prawdę, kiedy tu zadzwonił, to drugie żądanie okupu otrzymał po śmierci Asterleya.

- O Boże, masz rację!

- Zgodnie z tym, co mówi Franklin, ktoś zabrał pieniądze z samochodu kilka dni po tym, jak Asterley spadł ze schodów.

Serenity siedziała nieruchomo z dłońmi zaciśniętymi na końcach paska.

- Wygląda na to, że ostatnio krąży tu sporo duchów.

- Sam już zacząłem zwracać na to uwagę.

- Ale powiedziałaś, że nie możemy być pewni, czy Franklin powiedział nam prawdę o samym szantażu, więc tym bardziej nie wiemy, czy nie skłamał o tym drugim przekazaniu pięciu tysięcy dolarów - powiedziała Serenity z nutką podejrzliwości w głosie.

- Owszem - zgodził się Caleb. - Mógł skłamać. Ale skoro już się przyznał do zapłacenia pięciu tysięcy za zdjęcia za pierwszym razem, to po co miałby kłamać o tym drugim okupie?

- Nie wiem dlaczego - powiedziała Serenity - ale mam wrażenie, że on w ogóle nie kłamał. Ale ty go znasz lepiej niż ja. Jak tobie się wydaje?

Caleb napotkał własne spojrzenie w małym lusterku.

- Cały czas o tym myślę. Coś tu się dzieje dziwnego.

- To prawda. - Serenity zadrżała.

- Podczas tej konfrontacji Franklin był całkowicie zaabsorbowany tym, że zaczynają wychodzić na jaw jego tajemnice. Został przyłapany na jednym kłamstwie i wiedział, że nic by nie zyskał dodając do niego następne. Jaki stąd wniosek?

Serenity pokiwała głową.

- A poza tym czuł się usprawiedliwiony. No i te zdjęcia istnieją. To prawda, że jego sprytny plan usunięcia mnie ze sceny się nie powiódł, ale i tak cała rodzina była deczko zszokowana tymi zdjęciami. Osiągnął wszystko, co chciał.

- Dwie transakcje wymuszone szantażem, jedna przed śmiercią Asterleya, druga po. - Caleb bezustannie rozważał różne możliwości. - Dwóch szantażystów, czy jeden?

Serenity zmarszczyła czoło.

- Sądzisz, że od samego początku za tą sprawą kryje się ktoś inny, nie Ambrose?

- Całkiem możliwe.

- To mi się wydaje najbardziej prawdopodobne. Ambrose nie nadawał się na szantażystę. To nie ten typ.

Naciągacz - może, ale nie szantażysta.

- I wróciliśmy do punktu wyjścia - powiedział Caleb. - Ktoś wiedział o zdjęciach, o mnie i o mojej przeszłości.

- Najbardziej mnie martwi to, że Franklin był przekonany, że za każdym razem pertraktował z Asterleyem.

A tylko Ambrose mógł mu dać zdjęcia.

- No dobrze, więc szantażysta jakoś je zdobył i podał się za Ambrose'a. Nie zapominaj, że Franklin nigdy się z nim nie spotkał osobiście. A nawet gdyby, to i tak by go nie rozpoznał. - Caleb zastanawiał się przez chwilę. - Cały czas mówimy o facecie, przynajmniej to wiemy na pewno, Franklin mówił o męskim głosie.

- Nie byłabym taka pewna. Niektóre kobiety mają bardzo niski głos.

- Na przykład Jessie.

Serenity energicznie pokręciła głową.

- Nie, nie uwierzę, że mogłaby to zrobić.

Caleb uniósł brwi.

- Serenity, spójrz prawdzie w oczy, nie uwierzysz w winę żadnego z twoich przyjaciół z Witt's End.

- Za nic w świecie - przyznała mu rację.

- Jessie знаła Asterleya lepiej niż inni, włącznie z tobą i całą resztą mieszkańców miasteczka. On jej wszystko zostawił. Jako jedyna bliska mu osoba i spadkobierczyni, miała dostęp do jego archiwum przed i po jego śmierci.

- Nie mogę sobie wyobrazić Jessie jako szantażystki.

Ona jest jedną z nielicznych osób w miasteczku, które na sprzedaży swoich prac bardzo dobrze zarabiają.

- Jeśli Asterley sprzedał pierwszy zestaw fotografii, by mieć gotówkę na sprzęt, mógł jej o tym powiedzieć - zastanawiał się głośno Caleb. - Po jego śmierci Jessie mogła sobie uświadomić możliwości, jakie stwarzała ta sytuacja, i podjęła wątek w tym miejscu, gdzie on skończył.

- Nie!

Caleb popatrzył na nią.

- No to pomyśl o kimś innym z miasteczka, kto odpowiada wszelkim kryteriom. Kto jeszcze miał dostęp do twoich zdjęć i do informacji o mnie?

Serenity patrzyła na niego uważnie.

- Dlaczego to musi być ktoś z Witt's End?

Caleb na chwilę umilkł, zastanawiając się nad tym pytaniem.

- Bo wszystko zaczęło się tutaj, w tym miasteczku - powiedział w końcu. - Nie da się uciec przed logiką faktów. Wszystko zaczęło się od tego, że Asterley skierował cię do mnie, żebyś mnie wynajęła na doradcę.

- To wcale jeszcze nie znaczy, że chodzi o Witt's End - upierała się nadal.

- To jedyne rozsądne wytłumaczenie. - Caleb utkwiał wzrok w szkatułce na biżuterię. - Nie wiem dlaczego, ale cały czas myślę, że odpowiedź tkwi gdzieś tutaj.

- W szkatułce?

- Tylko to mi po niej zostało. - Caleb powoli sięgnął po pudełko i wyciągnął z niego plik poskładanych wycinków. - Może coś tutaj będzie? Jakies nazwisko. Jakiś inny punkt zaczepienia.

- Czeka, podzielimy się po połowie. - Serenity wyjęła mu część wycinków z ręki. - Zrobimy listę wszystkich nazwisk związanych z tym skandalem. Może na coś wpadniemy?

- Dobrze. - Caleb wstał po pióro i notatnik, znalazł je i położył na stoliku. Potem poszedł do kuchni i nalał dwa kieliszki koniaku.

Nie wiedział, czy Serenity również, ale on zdecydowanie potrzebował odrobiny pokrzepienia przed oczekującym ich zadaniem. Po godzinie z okładem lista nazwisk była gotowa. Nie była zbyt długa, a

większość nazwisk Caleb znał. Poza członkami rodziny Caleba i żoną Gordona, Patricią, figurowały na liście nazwiska kilku osób z Ventress Valley i jednego czy dwóch polityków późniejszej rangi, którzy wtedy odgrywali jakąś rolę, ale dawno już zeszli z tego świata.

Serenity uważnie czytała spis nazwisk.

- Ci wszyscy znali twoją przeszłość, ale nie widzę tu nikogo, kto mógłby znać mnie i wiedzieć o zdjęciach.

- Tego nie możemy być pewni. Będę musiał wynająć prywatnego detektywa, żeby sprawdził kilka nazwisk - powiedział Caleb.

Serenity spojrzała na niego z troską.

- Jeśli go wyślesz do Ventress Valley, żeby wypytywał o ten stary skandal, to spowodujesz prawdziwe zamieszanie.

- Myślisz, że mnie to obchodzi? - Caleb zmarszczył brwi, przypatrując się rozdartemu materiałowi na spodzie wieczka szkatułki. - Teraz zależy mi tylko na uzyskaniu kilku odpowiedzi. I je uzyskam.

- Rozumiem - powiedziała cicho Serenity. - Chciała bym tylko, żeby był jakiś inny sposób. I tak już się stało wiele szkody.

- Wiesz co, w tym jest coś dziwnego. - Caleb podniósł szkatułkę. - Muszę to rozebrać na kawałki.

- No właśnie słyszę. Wiesz co, Caleb? Chyba odezwała się w tobie twoja krew. Kiedy już raz wkroczysz na obraną drogę, jesteś tak samo uparty jak twój dziadek.

- Ale ja nie mówię o przeszłości, tylko o tej szkatułce.

- Jak to?

- To rozdarcie wydaje mi się jakieś dziwne. Jest za wąskie, wygląda jakby było przecięte brzytwą albo nożem. Inne dziury porobiły się ze starości.

Serenity uważnie obejrzała rozdarcie na wypłowiałej satynie.

- Naprawdę myślisz, że jest inne?

- Tak.

Caleb podważył róg lusterka i oderwał je od wieczka. W materiale powstała spora wyrwa, z której wysunęła się schowana tam czarno-biała fotografia. Opadła awerssem do góry na szufladkę wydzieloną w szkatułce na pierścionki.

Caleb wpatrywał się w zdjęcie trzech osób. Jedną z nich była Crystal Brooke. Miała na sobie zapiętą wysoko pod szyją, bardzo skromną sukienkę, która wyszła z mody trzydzieści lat temu. Na platynowych włosach tkwił stylowo przekrzywiony kapelusz z szerokim rondem. Kobieta patrzyła w dół i uśmiechała się do trzymanego w ramionach niemowlęcia.

Obok niej stał Gordon Ventress, czule obejmując ją ramieniem. Patrzył prosto w obiektyw, z uśmiechem niezaprzeczalnej ojcowskiej dumy.

- Caleb! - Serenity przysunęła się bliżej, oczy jej błyszczały z wrażenia. - To rodzinny portret! Twój i twoich rodziców.

Calebowi nie przychodziła do głowy żadna sensowna odpowiedź. Nie mógł oderwać wzroku od fotografii.

- Na to wygląda.

- Prawdziwy portret rodzinny. - Serenity roześmiała się z radości. - To jest absolutnie fantastyczne!

Jakie ty masz szczęście, że masz zdjęcie was trojga! Zobacz, jacy szczęśliwi są twoi rodzice. Aż promienieją. Widać na pierwszy rzut oka, że bardzo kochali siebie i ciebie.

Obraz na zdjęciu zamazał się przed oczami Caleba. Zirytowany zamrugał szybko kilka razy i odzyskał normalną ostrość widzenia.

- Ciekawe, dlaczego to zdjęcie było schowane pod podszewką?

Serenity lekko wzruszyła ramieniem.

- Podejrzewam, że twoja mama je tam schowała, żeby się nie zniszczyło, a potem o nim zapomniała.

- Dziadek go na pewno nie widział, kiedy wkładał do środka wycinki, bo gdyby znalazł, toby je podarł.

- Skąd wiesz? - zapytała łagodnie Serenity. - W każdym razie nie ma sensu spekulować, co dziadek by zrobił trzydzieści cztery lata temu.

Caleb zmusił się do zapanowania nad ogarniającymi go uczuciami, których nie potrafił określić.

Poddawanie się im było dobre od czasu do czasu, w określonych momentach, ale zwykle stanowiło niepożądaną przeszkodę. Chłodne i metodyczne podejście do ważnych spraw ulegało zachwianiu, kiedy brała w nim górę uczuciowa strona natury Caleba.

Zmusił się do jasnego i logicznego podejścia do sprawy.

- Zdjęcie jest interesujące, ale nie stanowi klucza do całej zagadki.

- Chyba masz rację.

- Serenity? - Caleb wrzucił zdjęcie do pudełka na biżuterię i zatrzasnął wieczko.

- Tak?

Głęboko zaczerpnął tchu, gdy poczuł powolne i ciężkie pulsowanie krwi w żyłach.

- Wyjdiesz za mnie?

Serenity otworzyła usta w niemym okrzyku. Najwyraźniej miała jakieś problemy z gardłem.

- Mam wyjść za ciebie? - pisnęła w końcu nie swoim, wysokim głosem. - Wielkie nieba, dlaczego chcesz, że bym za ciebie wyszła?

Spojrzał jej w oczy.

- Pewnie dlatego, że jestem konwencjonalnym, pruderyjnym i staroświeckim facetem.

- Och!

- O co chodzi, Serenity?

- Nic, nic - powiedziała szybko. - Rzecz w tym, że mnie po prostu zaskoczyłeś, to wszystko. Nie miałam pojęcia, że myślałeś o... o małżeństwie.

- Nie? A o czym?

- Nie wiem. - Przełknęła z trudem ślinę. - To znaczy... dlaczego?

- Już ci powiedziałem.

- Bo jesteś konwencjonalny, pruderyjny i staroświecki. - Szukała zaniepokojonym wzrokiem jego oczu. - Ale ja nie. Nie jestem konwencjonalna, pruderyjna i staroświecka, i o to chodzi. My tutaj, w Witt's End, inaczej podchodzimy do życia.

- Czyżby?

- Tak, to znaczy... no sam popatrz. - Zatoczyła ręką krąg w powietrzu. - Julius i Bethanne pobrali się przed miesiącem, a żyli ze sobą wiele lat. Jessie i Ambrose w ogóle nie wzięli ślubu. Moi rodzice też nie byli małżeństwem.

- Nie zapominaj, że moi też nie. Tego właśnie błędu z przeszłości akurat nie chcę powtarzać.

- Caleb, nie ma pośpiechu. Nie jestem w ciąży! Właściwie nie mieliśmy okazji dobrze się poznać.

Caleb poczuł ogarniający go chłód. Serenity próbowała mu się wymknąć, wytworzyć pewien dystans między nimi. Może nie pragnęła go tak mocno jak on jej? Próbował zapanować nad zalewającą go falą rozpaczy.

- Mogę cię zapewnić, że znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny na tej planecie. - Z najwyższym wysiłkiem woli wypowiedział te słowa spokojnym tonem.

Serenity patrzyła na niego z dziwnym wyrazem oczekiwania w turkusowych oczach.

- Caleb, czy ty mnie kochasz?

Jej pytanie zaparło mu dech w piersiach na dobrych kilka sekund. Wiedział, że należała się jej odpowiedź, ale nie wiedział jaka. Poczł ogarniającą go rozpacz. Przecież nie może jej stracić z powodu kilku prostych słów! Powiedz jej. To tylko słowa.

Była najważniejszą częścią jego życia. Jeśli ją utraci, to utraci część samego siebie, tę, którą znowu nauczył się odczuwać. To już koniec. Żadnej nadziei. Dałby się za nią zabić, ale nie mógł jej okłamać. Gdyby skłamał, byłoby jeszcze gorzej.

- Nie wiem - odparł sztywno. Znowu zaczynał się dematerializować. Człł to.

Serenity przyglądała mu się w milczeniu. Wyglądała jak jakaś nieziemiska istota, stworzona z księżycowego światła i czarów, która przypadkowo wpadła w pułapkę ostrych promieni słońca. Mrugnęła raz i drugi i uśmiechnęła się tym swoim zwariowanym uśmiezkiem.

- Nie. Myślę, że nie wiesz, czy mnie kochasz - powiedziała w końcu. - Kiedy ostatni raz ktoś ci powiedział, że cię kocha?

- Nie pamiętam. - Dlaczego nie odpowiedziała na jego pytanie? Czekal tylko na tę prostą odpowiedź.

- Co to w ogóle ma do rzeczy?

- Wszystko. Ale teraz to nieważne. - Serenity pogłaskała go policzku. - Kocham cię, Caleb. Ale nie mogę opuścić Witt's End. Możesz to zrozumieć? Muszę tu zrobić wiele rzeczy.

- Nie prosiłem cię, żebyś wyjeżdżała z Witt's End.

- Ale ty nie możesz tu zostać na zawsze - powiedziała smutno. - Wiedziałam o tym od samego początku.

- Mylisz się. Mogę tu zostać tak długo, jak będę chciał.

Cholera, to jest w ogóle najmniejszy problem. Mogę stąd zarządzać Ventress Ventures.

- Naprawdę?

- Żyjemy w epoce komputerów i faxów, zapomnialaś? - przypomniał jej niecierpliwie.

- Ale czy będziesz chciał tu zostać? - zapytała.

- Zwariowałaś? - wyszeptal. - A dlaczego miałbym chcieć wyjechać? To jest jedyne miejsce na świecie, gdzie wiem, że żyję.

- Caleb! - Rzuciła mu się na szyję i uściskała z całej siły. - Tak! Tak, wyjdę za ciebie, jeśli tego chcesz! Znowu mógł oddychać. Tak mocno przycisnął ją do siebie, że wydała cichy okrzyk, na poły ze śmiechu, na poły z bólu.

- Wybacz - mruknał jej we włosy. Odrobinę rozluźnił uścisk, ale tylko odrobinę. Jej ciepło i zapach spowodowały, że opanowało go jakieś nieokreślone uczucie. Nie zastanawiał się nad tym, jakie ono jest i czy koliduje z jego logicznym myśleniem. Ważne było, że jest, że jest silne i że może je odczuwać. Już nie jest duchem. Jest żywy. Ma przed sobą przyszłość. Ma Serenity!

Rozdział 16

I co, wyjdiesz za niego!? - Zone zasunęła wieko beczułki z mąką z pełnego przemiału i gwałtownie się odwróciła. Pomarańczowo-żółta szata rozwiała się na boki, stanowiąc akompaniament do jej żywiołowej reakcji. - Serenity, co ty mówisz? Dlaczego chcesz go poślubić?

- Bo go kocham. - Serenity odkurzała rząddek słoików z melasą. - A on mnie. Tylko że on jeszcze o tym nie wie.

- Jeśli nie wie, to nie sądzisz, że może trochę za wcześnie na małżeństwo?

- Być może. - Serenity przeszła kawalek dalej, żeby odkurzyć paczki z makaronem. - Ale chyba nie mogę czekać.

Zone wlepiła w nią wzrok.

- Jesteś w ciąży?

- Nie.

- To dlaczego nie możesz poczekać?

- Wiesz, Zone, nie potrafię ci tego wytłumaczyć. - Nie tylko jej, pomyślała Serenity. Sobie też. Wiedziała, że trochę ryzykuje, starając się odgadnąć prawdziwe uczucia Caleba. Ale, niestety, okazało się, że on sam nie daje sobie rady z rozpoznaniem i nazwaniem własnych uczuć. Serenity podejrzewała, że zbyt długo uczył się dystansu do własnych pragnień, zbyt wiele lat próbował zadowolić innych ludzi i spełniać ich ciągle wymagania. Tak długo wypełniał swe obowiązki względem rodziny, że zapomniał o obowiązkach wobec samego siebie.

Lata spędzone na spłacaniu grzechów popełnionych przez rodziców wyrwały na nim niezatarte piętno. Przede wszystkim nauczyły go głębokiej niewiary we własną zdolność do miłości i w możliwość bycia kochanym. Serenity zastanawiała się, czy on w ogóle rozumie znaczenie słowa „kocham”, przynajmniej w takim sensie, w jakim ona je pojmuje.

Jednakże brak umiejętności właściwego zdefiniowania słowa „miłość” nie oznaczał jeszcze, że Caleb nie posiada ukrytego talentu w tej dziedzinie, przynajmniej takie były optymistyczne założenia Serenity. W każdym razie wyczuwała to w nim od samego początku. I z tego powodu - między innymi - coś ją ciągnęło do Caleba już od pierwszego dnia ich znajomości.

Tego ranka nadal była przekonana, że miała rację co do jego zdolności kochania. W ciągu ostatnich kilku dni nieraz widziała ogień w oczach Caleba, doznawała czułości jego dotyku, zagłębiała na moment do najtajniejszych zakamarków jego duszy. Nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna o tak głębokiej duszy jest zdolny do ofiarowania i przyjęcia miłości.

Wczorajszej nocy zrozumiała, że prawdziwy problem polega na tym, że Caleb definiuje pojęcie miłości niezwykle wąsko. Ale przecież człowiek uczy się miłości głównie na przykładach. Serenity uświadomiła sobie, że zanim ją spotkał, Caleb znał tylko taki rodzaj miłości, która polega na mocnym przywiązaniu człowieka do siebie grubym powrozem. Trudno się więc dziwić, że kiedy pojawiło się prawdziwe uczucie, nie umiał go rozpoznać. Dla niego słowo „miłość” miało wiele surowych definicji. Większość z nich wiązała się z chłodnymi pojęciami obowiązku i odpowiedzialności. Negatywny, chłodny odzew, z jakim Caleb spotykał się we własnej rodzinie, sugerował mu, że jest taki jak jego ojciec, powtarza jego błędy, więc nie jest wart miłości.

Miłość dla Caleba zawsze wiązała się ściśle z koniecznością udowodnienia tego uczucia rodzinie, która nigdy mu do końca nie ufała ani nie wybaczyła. Ale do niej, do Serenity, czuł coś innego, coś, czego jeszcze sam do końca nie rozumiał, ponieważ nie było to uczucie zimne i sztywne. Było to coś, czego nawet nie potrafił bliżej określić, a co dopiero nazwać. Przynajmniej taką Serenity miała nadzieję. Bo gdyby tak nie było, gdyby się sama oszukiwała, to będzie musiała zapłacić za to okrutną cenę.

Ten fakt postawił ją przed niebezpiecznie trudnym wyborem. Musiała zaryzykować - albo przyjmie, że ma rację co do uczuć Caleba, albo zaprzepaści szansę na wielką miłość.

- Serenity, może powinnaś się jeszcze trochę zastanowić nad tą decyzją - delikatnie zasugerowała Zone. - Ariadne mówi, że Caleb jest inny niż ci mężczyźni, których dotąd znałaś.

- To prawda. - Zupełnie inny niż wszyscy mężczyźni, których znała. Uśmiechnęła się leciutko.

- Serenity? - Zone patrzyła na nią badawczo. - Coś nie tak?

- Nie. Zastanawiam się tylko, czy nie powinnam zamówić jeszcze jednej partii domowego sosu chili Luthera. Zaczyna go brakować, a Caleb mówi, że będzie się świetnie sprzedawał przez katalog. Zone westchnęła.

- Proszę, nie zrozum mnie źle, wiem, że Caleb ma wspaniałe plany i tak dalej, a ja osobiście jestem mu bardzo, ale to bardzo wdzięczna. On i Blade prawdopodobnie uratowali mi życie. Ja tylko nie

jestem pewna, czy Caleb do ciebie pasuje. Chociaż go lubię, to jednak wyczuwam emanujące z niego niebezpieczeństwo.

- Wydawało mi się, że się przyznałaś do pomyłki.

Ponoć wibracje Royce'a Kincaida niesłusznie przypisałaś Calebowi.

Zone zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

- To prawda, ale teraz już mam wszystko uporządkowane i jego aura nadal nie wygląda za dobrze.

Wyczuwam w niej coraz więcej ciemności.

- No trudno, jakoś to zniosę.

Zone chciała na to odpowiedzieć, ale przeszkodził jej dzwonek telefonu. Serenity, wdzięczna za pretekst do przerwania tej rozmowy, odłożyła ściereczkę i pognała za ladę, zakręciła za róg, minęła drzwi do biura i podniosła słuchawkę.

- Sklep spożywczy w Witt's End, słucham?

- Chciałabym rozmawiać z panną Serenity Makepeace.

W słuchawce odezwał się wiecznie niezadowolony głos Phyllis. Serenity stanowczo nie miała nastroju do rozmowy z ciotką Caleba. Prawdę mówiąc, tego dnia miała powyżej uszu całego klanu Ventressów.

Zeszłej nocy doszła do zdumiewającego wniosku, że być może jest pierwszą osobą na świecie, która powiedziała Calebowi: „kocham cię”. A jeśli to rzeczywiście prawda, to ci wszyscy Ventressowie będą się jeszcze musieli z nią nieźle napocić.

- To ja. Co mogę dla pani zrobić, pani Tarrant?

- Przyznam się, że nie podoba mi się to, że jestem zmuszona do pani telefonować, panno Makepeace.

- Cóż, mnie to również nie napawa radością, więc przejdźmy może do rzeczy.

- Znakomicie, powiem bez ogródek. Podejrzewam, że tacy ludzie jak pani rozumieją tylko taką rozmowę. Franklin i ja przedyskutowaliśmy tę sprawę. Ile pani chce? Serenity najpierw kompletnie zatkało, ale natychmiast zmusiła się do spokojnego tonu, choć do spokoju było jej bardzo daleko.

- Ile? Ojej, czy pani coś sprzedaje, pani Tarrant? Czyż bym miała do czynienia z dystrybutorką kosmetyków?

No cóż, nie używam ich wiele, ale myślę, że mogę kupić jakiś krem do rąk albo coś takiego.

- Pani drwiny mijają się z celem i tylko marnuje pani czas. Może pani mówić bez osłonek, jak ja z panią. Proszę mi tylko powiedzieć, ile będzie nas kosztował ten luksus, że się pani pozbędziemy i zostawi nas pani wszystkich w spokoju.

- Nie jestem zainteresowana wami wszystkimi, tylko Calebem. - Serenity pomyślała, że może nie powinna być tak zgryźliwa, ale biorąc pod uwagę okoliczności, trudno było się zdobyć na uprzejmość.

- Znakomicie zdaję sobie sprawę z pani wyrachowanego zainteresowania Calebem, panno Makepeace - głos Phyllis zaostrzył się z napięcia i złości - ale to pani zainteresowanie, jak się pani wyraziła, doprowadza do rozbicia naszej rodziny.

- Po pierwsze, nie wydaje mi się, żeby ten materiał, który ją cementował, był dobrej jakości.

Wychowywanie małego chłopca w przeświadczeniu, że musi płacić za błędy rodziców, nie jest dobrą metodą na sprawienie, by czuł się potrzebny i kochany. Nie jest to także rozsądny sposób uzyskania pewności, że rozwiną się w nim kiedykolwiek prawdziwe uczucia do rodziny.

- Dosyć, do diabła! - warknęła Phyllis. - Nie wsadzaj nosa w prywatne sprawy rodziny Ventressów!

Zrobiliśmy wszystko dla tego niewdzięcznika, mimo tego, co jego ojciec uczynił rodzinie!

- Inawetna sekundę nie pozwoliliście Calebowi o tym zapomnieć.

- Caleb miał silną wolę, nawet jako dziecko, i dlatego należało mu stale przypominać, że nie wolno

mu popełnić błędów ojca.

- I guzik wam przyszło z nieustannego wbijania mu tego do głowy.

- Mam tylko nadzieję, że pomyłka Caleba w ocenie pani jest wyłącznie krótkotrwałym nieporozumieniem. Nie mam zamiaru dłużej dyskutować na ten temat. A więc, jak powiedziałam, Franklin i ja omówiliśmy sprawę pieniędzy. Franklin już zapłacił łącznie dziesięć tysięcy dolarów, aby pani zdjęcia nie ukazały się na widoku publicznym. Teraz chcemy wiedzieć, za jaką cenę zniknie pani z życia Caleba raz na zawsze.

- Zaczęło się od szantażu i kończy się na przekupstwie.

Nie mam pojęcia, co pani odpowiedzieć. Powiem tylko jedno, pani Tarrant, że tam, skąd pochodzę, ludzie tak nie postępują. Uważają, że to jest obrzydliwe. Do widzenia. - Serenity trzasnęła słuchawką, ucinając oburzony wrzask Phyllis.

Usiadła na skraju biurka kipiąc gniewem. Po kilku sekundach podniosła słuchawkę i zadzwoniła do biura numerów.

- W jakim mieście? - zapytała telefonistka.

- Ventress Valley. Proszę o numer Rolanda Ventressa.

- Czekala obawiając się, że numer może być zastrzeżony.

Ale nie był. Chwyciła długopis, zapisała numer i szybko go nakręciła.

- Rezydencja Ventressów.

- Dolores, to ty? To ja, Serenity Makepeace.

- Panna Makepeace! - Dolores była zaskoczona i przestraszona. - O mój Boże, nie przypuszczałam, że panią usłyszę. Myślałam, że to ponownie pani Tarrant. Czy znowu stało się coś złego? Martwiłam się. To wszystko tutaj było takie okropne!

Serenity mocno ścisnęła słuchawkę.

- Dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy może pan Ventress wspominał, że wybiera się jutro wieczorem do nas na kolację.

Po chwili deprimującego milczenia Dolores ciężko westchnęła.

- Nie, obawiam się, że nie. A przynajmniej nic mi o tym nie mówił.

- Proszę cię, przekaż mu wiadomość, Dolores. Powiedz mu, że wciąż na niego czekamy. Powiedz, że może odmienić przyszłość, pokazując się u nas jutro wieczorem. Powiedz, że... cholera, nie mam pojęcia, co jeszcze możesz powiedzieć!

- Chciałabym coś zrobić, żeby pani pomóc, panno Makepeace. To wszystko jest takie okropne! Pan Ventress jest wspaniałym człowiekiem, ale i on, i jego wnuk na swoje nieszczęście są zbyt dumni.

- Zbyt dumni. - Serenity zsunęła się z biurka, coś jej przyszło do głowy. - Właśnie. Jedyna rzecz wspólna dla Ventressów to ta ich uparta duma.

- Zgadza się.

- Słuchaj, Dolores, powiedz panu Ventressowi, że Phyllis i Franklin próbowali mnie przekupić i że im się nie udało. Powiedz, że jeśli chce ze mną negocjować, to musi uczynić to osobiście, jutro podczas kolacji. Po wiedz, że nie może się chować za plecy bratanicy i bratanka.

- Pan Ventress nigdy by się nie zasłaniał panią Tarrant ani jej bratem - lojalnie stwierdziła Dolores.

- Nie byłabym taka pewna - powiedziała Serenity. - Wydaje mi się, że ich wykorzystał do wykonania za niego brudnej roboty. Powiedz mu to, Dolores. Uważaj, powiedz, że jeśli chce mnie przekonać, że tak nie jest, to musi przyjechać do Witt's End i spojrzeć mi w twarz jak prawdziwy mężczyzna.

- Zaczynam rozumieć, o co pani chodzi, ale to się nie uda. - Dolores westchnęła.

- Ale warto spróbować. Przekaż wiadomość panu Ventressowi. Aha, i Dolores...

- Tak?

- To dość długa podróż dla człowieka w jego wieku.

Myślisz, że...

- Proszę się nie martwić - przerwała jej Dolores. - Jeśli to zadziała, to Harry zawiezie pana Ventressa do Witt's End.

- I zostawi go tu na noc? - zapytała z naciskiem Serenity.

- To się chyba da załatwić - odparła Dolores po chwili wahania.

- Do widzenia, Dolores. I wielkie dzięki.

- Życzę szczęścia, panno Makepeace. Bóg jeden wie, jak bardzo nam wszystkim potrzebne.

Odkładając słuchawkę Serenity usłyszała pobrzękiwanie dzwoneczków przy drzwiach do sklepu, ale zignorowała gościa i raz jeszcze rozważyła swój desperacki plan. Niewątpliwie intryga mająca na celu ściągnięcie Rolanda do Witt's End była szyta bardzo grubymi nićmi i miała niewielkie szanse powodzenia, chyba że Roland potraktuje ją jako pretekst do przyjazdu na kolację.

Serenity przypomniała sobie starannie ukrywane, ale dostrzegalne ciepło w oczach Rolanda, które uchwyciła raz i drugi, gdy patrzył na Caleba. Mogła tylko mieć nadzieję, że nie odczytała fałszywie uczuć Rolanda do wnuka.

Rozmyślania przerwał jej jakiś ruch w drzwiach do biura. Odwróciwszy się ujrzała znajomą postać w skórzanej kurtce, dżinsach, wysokich butach i kowbojskim kapeluszu.

- O Boże, nie - mruknęła. - Błagam, nie!

- No, no, no, kochana Serenity! Jak tam moja mała ruda Tytania? - Lloyd wsunął się do biura, przyciągnął do siebie Serenity i zamknął ją w niedźwiedzim uścisku.

Serenity odepchnęła się od jego piersi i wywinęła z objęć.

- Skąd się tu wzięłeś, Lloyd?

- Przemyslałem raz jeszcze sprawę moich badań nad Witt's End i doszedłem do wniosku, że chcę je zrobić razem z tobą. Uważam, że możemy sobie wypracować kompromis co do twojej nowej firmy wysyłkowej. Jeśli odłożysz swoje plany na kilka miesięcy, to zdążę przeprowadzić wywiady i obserwacje.

- Nie mogę teraz z tobą o tym rozmawiać, Lloyd, jestem bardzo zajęta.

- Zajmę ci mało czasu, kochanie. - Lloyd walnął się na krzesło i położył nogi na biurku, po czym zdjął kapelusz i rzucił go obok nóg. - Proszę cię, żebyś tylko posłuchała, jakie mam plany.

- Lloyd, jestem zmuszona cię prosić, żebyś wyszedł.

Mam mnóstwo roboty i nie mam najmniejszego zamiaru zmieniać swoich planów, żebyś mógł zrobić te kretyńskie badania.

- Słuchaj, Serenity, wszystko już wymyśliłem. Ty musisz tylko opóźnić sprzedaż wysyłkową do następnego lata.

- Nie opóźnię jej nawet o jedną minutę.

Lloyd przestał się uśmiechać.

- Serenity, od tych badań zależy moja kariera.

- Od moich planów zależy cała przyszłość Witt's End.

- Pieprzysz jak potłuczona. - Lloyd zmrużył oczy. - Jesteś na mnie wkurzona, i tyle. Wcale ci nie chodzi o przyszłość miasteczka, tylko chcesz mi dać po nosie za to, co zrobiłem pół roku temu. Nie przypuszczałem, że jesteś taka mściwa, kotku.

Serenity wsunęła rękę we włosy i przeczesowała je palcami.

- Uwierz mi, że wcale się nie mszczę.

- Nie wierzę. - Lloyd uśmiechnął się współczująco. - Byłaś nieszczęśliwa.

Serenity popatrzyła na niego ze złością.

- Byłam wkurzona! Słuchaj, daj spokój, obydwójce wiemy, że nic dla siebie nie znaczymy.

- No dobra, może nie grały nam jeszcze weselne dzwony, ale przecież możemy być kumplami.

- Kumplami? - Serenity powtórzyła słodziutko. - Tak samo jak w tym artykule, który opublikowałeś? Lloyd wyszczerzył zęby w następnym uśmiechu, sugerującym rozbrojenie.

- No, no, no! Wiesz co? Zrobimy wspólnie te badania i umieszczę na nich twoje nazwisko jako współautorki.

I co ty na to?

- Nic z tego. Gdybym nawet była skłonna ci pomóc, to nawet przez moment nie uwierzę, że umieścisz moje nazwisko obok swojego na jakimkolwiek materiale, który opublikujesz.

- No cóż, to prawda, że zwykła właścicielka sklepu nie znalazłaby uznania w oczach wydawcy największego czasopisma akademickiego, ale mogę wspomnieć w przypisach o twojej współpracy. No i co?

- O rany, Lloyd, cóż to za cudowna perspektywa! - Serenity bębniła palcami po oparciu krzesła. - Gdybym, oczywiście, miała ambicje naukowe. Ale ich nie mam. I gdybym miała ochotę przesunąć swoje plany związane z Witt's End. Ale jej także nie mam. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, nie będę ci w niczym pomocna.

- Chyba nie mówisz poważnie? - Lloyd posłał jej swój najbardziej uwodzicielski uśmiech, wykrzywiając leciutko jedynie kącik ust. Oczy rozjaśnił intymnym, porozumiewawczym błyskiem. - Zrobisz to dla mnie, kochana. Ze względu na stare czasy.

- Stare czasy? - Kilkakrotnie zamruwała. - Zaczynasz być śmieszny!

Lloyd stłumił uśmiech.

- Serenity, powiem otwarcie. Mam zbyt wiele do stracenia w tej sprawie, żeby pozwolić, byś mi stanęła na drodze.

Tak czy inaczej zrobię badania tej zaszranego dziury!

- No to do roboty. Nie zatrzymuję cię.

- Cholera jasna, oboje wiemy doskonale, że jeśli nie przekonasz miejscowych ludzi do współpracy ze mną, to mi jej odmówią!

W drzwi wpłynęła Zone, złączyła obie dłonie, spojrzała na Serenity i delikatnie odchrząknęła.

- Przyszedł twój narzeczony.

Serenity spojrzała na nią kompletnie otumaniona.

- Mój co?

Lloyd połapał się wcześniej od niej.

- Narzeczony! - Zsunął nogi ze stołu i z hukiem opuścił je na podłogę. - Zaraz, do cholery, co ty gadasz?

Serenity, ty chyba nie myślisz o wyjściu za mąż, co?

Rany, chyba nie jesteś zaręczona? Nie, no nie możesz mi tego zrobić!

- Narzeczony? - powoli powtórzyła Serenity. - Nigdy tak o tym nie myślałam.

- Będziesz musiał jej wybaczyć, Radburn. - Caleb przesunął Zone w wejściu, żeby się wcisnąć do środka. - Serenity dopiero oswaja się z tą myślą. Małżeństwo to zupełnie świeża idea w tej okolicy.

Lloyd wlepił wzrok na przemian w Caleba i w Serenity.

- Ten facet mówi poważnie?

- O małżeństwie? - Serenity spojrzała na Caleba. Nie bezpieczny wyraz jego oczu wprowadził ją w nieznaczący niepokój. - Aaa... tak. Tak, właściwie rzecz biorąc, tak, poważnie.

Caleb położył rękę na klamce.

- Naprawdę poważnie.

- Nie możesz mi tego zrobić! - ryknął Lloyd.

Serenity gwałtownie się zaczerwieniła. Nie zdarzało jej się dotychczas, by dwaj mężczyźni się o nią kłócili. Było to dość pochlebiające.

- Lloyd, nie uważasz, że trochę przesadziłeś z tą reakcją?

- Przesadziłem? - Lloyd powtórzył po niej jak echo grzmotu. - Przesadziłem?!

- Wpadłeś w szal - wyjaśnił mu Caleb. - Rzuciło ci się na mózg. Odbiła ci palma.

Serenity podniosła rękę, żeby go uciszyć. Łagodnie uśmiechnęła się do Lloyd.

- Nie wiedziałam, że tak poważnie podchodziłeś do naszego związku, Lloyd. Jestem wzruszona. Ale przecież obydwójce wiemy, że nie ułożylibyśmy sobie wspólnie życia, nawet gdyby nie zaszło między nami to przykre zdarzenie pół roku temu.

- Niech to szlag, ja nie mówię o naszym związku - wrzasnął Lloyd. - Mówię o moich badaniach! Moim raporcie! Mojej karierze, do cholery! Nie masz prawa wychodzić za mąż, Serenity!

- Co takiego?

- Nie ma prawa? - zapytał Caleb niebezpiecznie unosząc brew.

- To będzie koniec wszystkiego! - Lloyd teraz sprawiał wrażenie szczerze zrozpaczonego. - To spowoduje większą szkodę w aktualnej strukturze Witt's End niż ten cały twój katalogowy interes.

- Nie wierzę własnym uszom - mruknął Caleb przez zęby.

- Nie rozumiem, w jaki sposób moje małżeństwo może zniszczyć nasz świat w Witt's End - powiedziała sztywno Serenity.

- Nie rozumiesz?! - krzyknął Lloyd. - Wyjście za mąż jest tak cholernie trywialne, to za normalne dla ciebie!

- Jak to? - Serenity zamrugła oczami.

Lloyd miotał się tam i z powrotem po ciasnym pokoju biurowym.

- Już ci tłumaczyłem, że miejscowa księżniczka, czyli ty w Witt's End, to mit, który funkcjonuje w większości takich miasteczek pogranicza jak to, wraz z innymi legendami i zwyczajami. I ty jesteś najważniejszym elementem lokalnej scenerii. Jesteś duszą i sercem Witt's End, legendą, która się tworzy nawet w tej chwili. Nie pojmujesz?

- Nie. - Serenity wyglądała jak chmura gradowa. - Lloyd, dajesz się zbyt ponosić akademickim analogiom.

- Nie chrzań! Jesteś magiczną księżniczką Witt's End, i tyle! - upierał się Lloyd. - Bajką wśród zwykłych ludzi, ofiarną dziewczicą!

- Ofiarną dziewczicą?! - Serenity wytrzeszczyła oczy.

- Wśród tych tubylców zjawiała się nagle i znikąd. Twoje pochodzenie jest spowite mgłą tajemnicy, tak jak początki każdego porządnego mitu.

- Matko jedyna, Lloyd, to przecież idiotyczne.

- No tylko pomyśl - napierał na nią Lloyd. - To jest tak cholernie naturalne, że aż trudno uwierzyć. Byłaś uważana za kogoś wyjątkowego, bardzo ważnego, i to od samego początku. Zostałaś wychowana przez plemienną radę starszych. Wprowadzona w arkana wiedzy plemienia.

- W arkana wiedzy. - Serenity nie wierzyła własnym uszom.

- Wprowadzona w stare tajemnice - kontynuował Lloyd.

Serenity podniosła rękę, żeby mu przerwać.

- Zaraz, zaraz. Te bzdury mają chyba coś wspólnego z twoim zainteresowaniem gorącymi źródłami, prawda? Ile razy mam ci powtarzać, że ta stara legenda o źródłach wizji to czysty wymysł?

Lloyd parł do przodu jak lokomotywa.

- Wyrosłaś w poczuciu obowiązku i odpowiedzialności wobec lokalnego społeczeństwa. Witt's End

uratowało cię, dało ci wszystko, co miało. A ty w podzięcie chcesz je teraz uratować. Chcesz się poświęcić dla Witt's End. Mówimy o micie, który jest wpisany w żywą tkankę tej społeczności. To jest wspaniałe. Absolutnie wspaniałe!

Serenity patrzyła na niego z mordem w oczach.

- Lloyd, wydaje mi się, że ci padło na mózg. Może ci zaszkodziło usilne staranie się o zdobycie funkcji dziekana?

- Nie, ja tu wpadłem na trop! - Lloyd trzasnął dłonią w biurko. - Coś tu wyczuwam! To będzie dynamit! Od razu rozpoznałem twoją nadzwyczajną rolę w tej kulturze!

- To znaczy rolę dziewicy ofiarnej i magicznej księżniczki? - zapytała grzecznie Serenity. - O rany, Lloyd, jaka szkoda, że mi nie powiedziałeś wcześniej. Mogła bym sobie zamówić przez katalog koronę.

- Ja nie żartuję - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Jesteś krytyczna wobec tej kultury, ale musisz uznać swoją w niej rolę, przynajmniej do czasu gdy zakończę badania. Musisz zostać czysta i nietknięta, jak każda porządna dziewica ofiarna.

- Obawiam się, że trochę za późno, by Serenity odgrywała tu westalkę - powiedział łagodnie Caleb. Lloyd popatrzył na niego, po czym odwrócił się do Serenity i wyciągnął palec w stronę Caleba.

- Tylko mi nie mów, że sypiasz z tym Ventressem, bo i tak nie uwierzę.

Serenity oblała się rumieńcem.

- Nie mam najmniejszego zamiaru omawiać z tobą mojego życia seksualnego.

- Zniszczysz, wszystko zniszczysz - wycedził Lloyd.

- Do kurwy nędzy, jak myślisz, dlaczego cię nie wziąłem do łóżka? Dlaczego zerwałem naszą znajomość, gdy się zorientowałem, że sprawy zaszły za daleko? Bo mi zależało na zachowaniu dynamiki społecznej tej miejsciny!

Serenity wiedziała, że jest czerwona jak rak, płonęła także od środka. Nigdy w życiu nie była poddana takiej wiwisekcji.

- Rozumiem.

- I tak już jest fatalnie, że z nim chodzisz do łóżka - zganił ją Lloyd. - Ale wychodząc za takiego outsidera jak Ventress, zrujnujesz kompletnie moją ciężką pracę i plany.

Caleb uniósł brwi.

- Potraktuj to jak ślub z bajki, Radburn. Miejskowa księżniczka dostała księcia.

- Tak! - potwierdziła nagle Zone, strasząc tym okrzykiem wszystkich zgromadzonych w biurze. Była ogromnie podniecona. - Tak, to wszystko tłumaczy! Teraz wszystko rozumiem!

Cała trójka odwróciła się do niej.

- Nareszcie wszystko zrozumiałam. - Oczy Zone błyszczały pozaziemskim zachwytem. - Ślub Serenity i Chleba jest kosmicznym wydarzeniem. Caleb jest tajemniczym przybyszem, który zjawia się tu, by domagać się ofiarnej dziewicy z Witt's End!

- A nie mówiłem? - powiedział Caleb.

Pomarańczowo-żółta szata zafurkotała, gdy Zone uniosła ręce nad głowę.

- To będzie małżeństwo yin i yang, niebotyczne, metafizyczne połączenie elementu męskiego z żeńskim, uroczystość odnowy sił życiowych!

- Zone, nie sądzę, by to był odpowiedni czas i miejsce na te rzeczy - upomniała ją Serenity.

Zone nie zwracała na nią uwagi.

- Od początku wiedziałam, że obecność Caleba w miasteczku oznacza jakieś poruszenie mocnych sił. Czulałam to, ale nie do końca rozumiałam znaczenie ciemnej, niebezpiecznej aury wokół Caleba. Zwłaszcza kiedy nie zbladła po wydarzeniach z Royce'em Kincaidem.

- A teraz już rozgryzłaś moją ciemną aurę? - zapytał Caleb z rosnącym zainteresowaniem.

- Tak - odpowiedziała. - To jest aura surowej siły, opanowanej twą męską wolą. Tylko mężczyzna zdolny do ukierunkowania takiej siły może pasować do Serenity, bo jest to kobieta o odpowiedniej sile żeńskiej. Temu małżeństwu jest przeznaczone wprowadzenie zmian w losy Witt's End.

- Czekał no - przerwał jej Lloyd. - Ja właśnie tłumaczę, że nie chcę zmian w Witt's End. A przynajmniej nie wcześniej, niż uwiecznię wyniki moich badań.

Caleb uśmiechnął się wyjątkowo sympatycznie.

- Przykro mi, Radburn, ale wiesz, ludzie mówią, że postępu nie da się zatrzymać.

Lloyd zerknął na niego.

- Nie masz zamiaru okazać rozsądku w tej materii, co?

- Mowy nie ma - zapewnił go Caleb. - Za żadne skarby. My, tajemniczy przybysze z ciemnymi aurami, nie bywamy rozsądni. A już na pewno nie wtedy, gdy żądamy dziewic ofiarnych. Wtedy to już umarł w butach.

- Skurwiel. - Lloyd ruszył do drzwi. - Wy, faceci od interesów, nie macie krzty szacunku dla badań naukowych.

- Ani najmniejszej ochoty pomagać ci w ubieganiu się o stołek dziekana. - Caleb stał grzecznie, kiedy Lloyd przechodził obok niego. Lloyd mu nawet nie odpowiedział. Trzasnął drzwiami wejściowymi tak mocno, że jeden mały dzwonek upadł na podłogę z patetycznym podzwonnym. Serenity, Zone i Caleb popatrzyli po sobie.

Zone uśmiechnęła się pogodnie i wsunęła ręce w powiewne rękawy sukni.

- Jeśli mi wybaczycie, to pójdę skończyć metkowanie nowej dostawy jogurtu.

Serenity odczekała, aż Zone znajdzie się poza zasięgiem głosu, po czym odkręciła swoje krzesło i opadła na nie z jękiem.

- Co za komiczna scena.

- Nie do końca - zauważył Caleb z namysłem. - No, miała niezłe momenty. A już podsumowanie naszego ślubu przez Zone, to była prawdziwa perła!

Serenity spojrzała na niego z ukosa.

- Małżeństwo yin i yang? Niebotyczne, metafizyczne połączenie elementu męskiego z żeńskim? Uroczystość odnowy sił życiowych?!

- No właśnie - potwierdził. - I jeszcze seks. Też jest niczego sobie.

Serenity wzniosła oczy do sufitu.

- Uwielbiam mężczyznę, który nie jest wydany na pastwę własnych niegodziwych instynktów i nie wpada w potrzask brudnych żądz, mężczyznę, którego cele i motywacje rodzą się z metafizycznej rzeczywistości, a nie z ziemskiego fizycznego świata, mężczyznę, który związki męsko-damskie postrzega w wymiarze kosmicznym.

- A co powiesz o facecie, który umie dodać dwa do dwóch? - zapytał Caleb wyciągając z kieszeni rodzinną fotografię - on i jego rodzice - i kładąc ją na biurku przed Serenity.

Popatrzyła na mały rodzinny portret.

- To znaczy, co?

- Odwróć ją.

Serenity podniosła fotografię i zerknęła na jej rewers. Zobaczyła pieczętkę z datą i nazwą atelier. „Asterley i Firebrace. Zdjęcia gwiazd filmowych”.

- O Boże! Asterley i Gallagher Firebrace? Ambrowe i ten fotograf, który chciał rąbnąć jego sprzęt, byli współnikami, kiedy zrobiono to zdjęcie?

- Powinienem się od razu domyślić.

- Serenity zerknęła na Caleba i dostrzegła, że jest z siebie niezadowolony.
- Tak, wiem, zazwyczaj jesteś dobry w takich sprawach. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Nie bądź za surowy dla siebie, Caleb. To sprawa twojej rodziny. Czasami trudno myśleć całkiem logicznie, kiedy rozwiązujemy rodzinne problemy.
 - Nigdy nie miałem takich trudności.
 - Czyżby? - mruknęła pod nosem. Wpatrując się w pieczętkę na zdjęciu w zamyśleniu skubała wargę zębami. - Wygląda na to, że Ambrose rzeczywiście mógł znać twoich rodziców. I ciebie. Dziwne, co?
 - W każdym razie to definitywnie tłumaczy kilka spraw. Choćby to, skąd wiedział o skandalu.
 - Prawdopodobnie śledził twoje losy przez te wszystkie lata, bo kiedyś robił zdjęcie twojej rodzinie. Ambrose zawsze miał hopla na punkcie szczegółów. Kiedy mu powiedziałam, że chcę wynająć znakomitego doradcę finansowego, siłą rzeczy pomyślał o tobie.
 - Na to wygląda. - Caleb wziął zdjęcie z biurka i przez chwilę delikatnie uderzał nim po dłoni. - Z tego wynika, że nie był jedyną osobą, która wiedziała sporo o mnie i rodzinie.
 - Gallagher Firebrace również mógł znać twoich rodziców.
 - Jeśli Firebrace był współnikiem Asterleya w dawnych czasach, to z całą pewnością wiedział o skandalu.
 - A poza tym Ambrose był z nim przez te lata w kontakcie. Pożyczał od niego pieniądze. Mógł mu powiedzieć o moich planach.
 - Chyba nadeszła pora odnaleźć Gallaghiera Firebrace'a i złożyć mu wizytę.
 - Przypuszczasz, że to on jest szantażystą, prawda? - zapytała ostrożnie Serenity.
 - Myślę, że to cholernie prawdopodobne.
 - Pojadę z tobą do Seattle.
 - Nie - odparł stanowczo Caleb.
 - Na jakiej podstawie uważasz, że potrafisz powstrzymać taką kosmiczną siłę jak ja?

Rozdział 17

- Jesteś pewien, że to właściwy adres? - Serenity zatrzymała się na chodniku i przyjrzała się szyldowi na wystawie małego, podupadłego atelier.
- Caleb wyciągnął z kieszeni kawałek papieru i sprawdził adres, który wypisał z książki telefonicznej Seattle.
- Pierwsza Aleja. Tak, to tutaj.
- Zerknął na neon, który przyciągnął uwagę Serenity. Głosił bladopomarańczowymi literami: „Firebrace - zdjęcia do paszportów i legitymacji - nie trzeba czekać”. Słowo „nie” przepaliło się i napis sugerował, że klienci muszą czekać bez końca. Caleb po namyśle doszedł do wniosku, że nie powinien zabierać ze sobą Serenity. Ale z drugiej strony jakież mogło im zagrażać niebezpieczeństwo? Firebrace był według wszelkiego prawdopodobieństwa szantażystą, ale pewnie doskonale wiedział, że nie można mu udowodnić popełnienia przestępstwa.
- Nie wygląda na to, że Gallagher odnosi wspaniałe sukcesy w swojej branży - zauważyła Serenity.
 - Ale przynajmniej zarabia na życie, czego nie dało się powiedzieć o Asterleyu. - Caleb podskoczył na dźwięk klaksonu za plecami. Nie wiadomo dlaczego prześladowały go tego dnia odgłosy świszczących hamulców i ryczących silników samochodowych. Ledwie parę dni spędził poza miastem, a już zdążył przywyknąć do spokojnej atmosfery Witt's End.
 - Zakład chyba jest zamknięty - powiedziała Serenity.
 - Może powinniśmy najpierw zadzwonić?

- Wolałem nie dawać mu okazji do przygotowania odpowiedzi, zanim mu zadam parę pytań. - Caleb oglądał zakurzoną wystawę. Za szybą nie widział żadnego znaku życia, ale na drzwiach nie było wywieszki „zamknięte”.

Położył dłoń na klamce i nacisnął. Drzwi ustąpiły ze zgrzytem, odsłaniając pustą przestrzeń atelier. Ściany zakładu były ozdobione porozwieszanymi wyblakłymi zdjęciami do dowodów osobistych i legitymacji identyfikacyjnych. W poczekalni stały dwa metalowe krzesła i popielniczka na stojaku, pełna starych petów. Wzór na pokrywającym podłogę linoleum wytarł się zupełnie od wieloletniego używania. Na szklanej ladzie stał rozłożony kartonik z napisem: „Wracam za pięć minut”.

- Jest tu ktoś? - zawołał Caleb.

Nikt nie odpowiadał.

- Może jest na zapleczu? - rzuciła pomysł Serenity. - Może być w ciemni albo akurat robić komuś zdjęcie.

- Raczej jednak zobaczył nas przez szybę i postanowił zejść nam z oczu. - Caleb wszedł za ladę i popchnął wahadłowe drzwi oddzielające poczekalnię od atelier. Wszedł do środka i stanął jak wryty.

Znalazł się w czarno-białej krainie baśni, wypełnionej po brzegi wielkimi obrazami pięknej twarzy Crystal Brooke. Olbrzymie powiększenia zdjęć jego matki były dosłownie wszędzie. Jej figlarne, uśmiechnięte oczy patrzyły na niego z sufitu i oglądały go ze wszystkich czterech ścian pracowni. Pełne wargi, rozchylone w wiecznym, prowokacyjnym uśmiechu wypełniały resztę pustej przestrzeni. Platynowe włosy płożły się po podłodze, falując mu pod stopami. Aparat uchwycił różnorodność jej nastrojów - od uwodzicielskiego, przez pogodny, do wesołego. Wszystkie zdjęcia były wspaniałymi portretami, nie tyle konkretnej osoby, co archetypu kobiety-bogini, a wszystkie koncentrowały się na twarzy Crystal. Żadne ze zdjęć nie ukazywało jej nago.

Caleb przyglądał im się badawczo. Przypomniawszy sobie, że już widział zdjęcia tej samej klasy, i to całkiem niedawno. Do pracowni weszła Serenity i zatrzymała się oszołomiona.

- O matko jedyna, co to jest?

- Trochę dziwne, prawda? - Caleb oderwał wzrok od miriad twarzy Crystal Brooke i obejrzał resztę pracowni.

W całym pomieszczeniu nie było ani odrobiny koloru. Wszystko, od metalowych statywów, aparatów i sprzętu oświetleniowego, do zwojów białej gazy używanej na tło zdjęć, było czarne lub białe.

- Zupełnie jakbyśmy weszli wprost do starej fotografii - szepnęła Serenity. - Caleb, to mi się nie podoba.

Zerknął na nią przez ramię. Serenity stała niespokojnie pośród dżungli lamp zamontowanych na wysokich, rozłożonych trójnogach. Uparła się dzisiaj, by włożyć na siebie swój mundurek z „Miss Miasta i Wsi”, brązowo-beżowy garnitur, który zupełnie do niej nie pasował. Ale, jak zawsze, jej naturalna uroda z nawiązką rekompensowała drętwy strój.

W poświacie czarno-białego pomieszczenia włosy Serenity płonęły chmurą ognia. Pawie oczy nigdy jeszcze nie miały tak intensywnie turkusowego odcienia. Były bardzo szeroko otwarte, gdy spotkały spojrzenie Caleba.

- Jeśli czujesz się tu nieswojo, zaczekaj na zewnątrz - poradził jej Caleb. - Ja się tu rozejrzę.

- Chyba oboje powinniśmy stąd pryskać. I to szybko.

Caleb, proszę cię.

- Daj mi tylko minutę. - Caleb zobaczył rząd czarnych szafek na tyłach pracowni. Przypominając sobie interesujące odkrycie w archiwum Asterleya, ruszył w tamtą stronę.

- Caleb, zaczekaj. W tym wszystkim jest coś bardzo groźnego - powiedziała ze strachem Serenity. -

Naprawdę uważam, że powinniśmy stąd wyjść.

- Obawiam się, że już za późno, panno Makepeace - przemówił Gallagher Firebrace za jej plecami. -

O wiele za późno. Ale właściwie zawsze było za późno.

- O Boże - szepnęła Serenity.

Caleb się odwrócił. Firebrace uśmiechnął się krzywo i skierował wylot lufy rewolweru w jego brzuch.

- Myślałem, że się nie domyślisz. Przynajmniej przez pewien czas. Jak na to wpadłeś?

- Dzięki fotografii - odparł Caleb. - Chodzi o zdjęcie moich rodziców wykonane tuż po moich narodzinach.

Na spodzie jest pieczętka zakładu Asterleya i Firebrace'a.

- Fotografia - skrzywił się. - Jaki stosowny zbieg okoliczności. - Tak więc poskładałeś wszystko do kupy i przyszedłeś po mnie.

- Nie wszystko. - Caleb popatrzył na rewolwer. - Gdy bym domyślił się wszystkiego, to nie zabierałbym ze sobą Serenity.

- Cóż, to poważny błąd.

- Zaraz, zaraz - powiedziała przez ściśnięte gardło Serenity. - O co tu chodzi?

- Nie rozumiesz, Serenity? - zapytał Caleb. - Firebrace jest nie tylko szantażystą. Jest mordercą.

- Mordercą?! - Serenity wpatrywała się w niego ze zdumieniem. - Ale przecież nikt nie został zamordowany!

Caleb nie odrywał wzroku od Firebrace'a.

- Ambrose Asterley został zamordowany, prawda, Firebrace?

- Ambrose?! - Ręka Serenity powędrowała do gardła. - Och nie, nie, nie Ambrose. - Odwróciła głowę i spojrzała oskarżycielsko na Firebrace'a. - Ty go zabiłeś?

- To był wypadek - warknął Firebrace. - Nie chciałem go zabić.

- Wypadek? - Serenity zabrakło tchu. - Nie rozumiem.

Firebrace zerknął na nią niecierpliwie, po czym znów skoncentrował uwagę na Calebie.

- Przyłapał mnie tej nocy, kiedy się włamałem do jego chaty po raz drugi. Myślałem, że będzie spity leżał w łóżku, no wiesz, jak za pierwszym razem. Ale tak się nie stało. Kiedy wyszła jego przyjaciółka, siedział dalej w salonie przy zgaszonych światłach i słyszał, jak wchodziłem przez okno, tak mi się zdaje. Zupełnie jakby na mnie czekał.

- Może właśnie tak było - rzucił niedbale Caleb. - Może podejrzewał, że wrócisz. Bo przecież parę dni przedtem włamałeś się do jego archiwum, no nie?

Firebrace zacisnął wąskie usta w jeszcze cieńszą kreskę.

- Za pierwszym razem poszedłem po zdjęcia panny Makepeace i wtedy nic nie usłyszał. Leżał zabalsamowany w sypialni.

- Wróciłeś tam za drugim razem, żeby wsadzić rachunek do archiwum, tak? - zapytał Caleb. -

Rachunek za sprzedaż zdjęć Serenity Franklinowi Ventressowi. Chciałeś się zabezpieczyć, gdyby ktoś przyszedł szukać szantażysty.

Serenity była oburzona.

- Rozmyślnie chciałeś rzucić na Ambrose'a podejrzenie o szantaż?!

- To było logiczne, nie? - odparł Firebrace. - Tylko na wypadek, gdyby ktoś tam zaczął grzebać.

Caleb obserwował twarz fotografa.

- Szkoda, że nie pomyślałeś o tym świstku za pierwszym razem, bo kiedy tam wróciłeś, to wszystko się skomplikowało, prawda, Firebrace?

Firebrace zacisnął mocniej palce na rewolwerze.

- Ambrose usłyszał, jak wchodzę przez kuchenne okno, i złapał mnie. Chciał wiedzieć, co się dzieje, to mu opowiedziałem całą historię, próbowałem się z nim dogadać. Zaproponowałem, że go włączę do interesu, ale on wpadł w szal. Rzucił się na mnie jak szaleniec. Gadał, że Serenity to jego przyjaciółka.

- Wiedziałaś, że Ambrose nigdy by mnie nie szantażował - powiedziała Serenity.

Firebrace najwyraźniej jej nie słyszał, jego spojrzenie nabierało jakiegoś dziwnego wyrazu.

- Usunąłem się na bok, ale Ambrose parł na mnie jak taran, prosto przez otwarte drzwi do piwnicy, prosto na dół po schodach. Nigdy nie przypuszczałem, że to się tak skończy.

- Ty draniu - wyszeptała Serenity.

- Potem zrozumiałem, że muszę to upozorować na wypadek - szybko dodał Firebrace.

Caleb wsunął ręce do kieszeni kurtki. Palce natrafiły na okrągły kamień od Webstera, o którym zupełnie zapomniał.

- Chciałeś, żeby to wyglądało na wypadek - powiedział - bo nie życzyłeś sobie, żeby ktokolwiek zadawał jakieś pytania, które mogłyby doprowadzić do śledztwa albo do sekcji zwłok. A sekcja by wykazała, że Asterley wcale nie był pijany, kiedy spadł ze schodów.

- Wziąłem butelkę ze schowka w kuchni - mówił dalej Firebrace. - Dobrze go znałem, wiedziałem, że zawsze ma gdzieś zakitraną flaszkę, nawet jak jest nawalony jak stodoła. Polałem go whisky.

- Jeszcze jeden drobny retusz, co? - zapytała ze złością Serenity. - Tak jak podrzucenie mu tego rachunku.

Wygląda mi na to, że fotograf ma we krwi takie manipulowanie obiektem, chce wszystko idealnie przygotować przed ostatnim ujęciem. Dlaczego zaryzykowałeś przyjazd do Witt's End następnego ranka po tym, jak znalazłam Ambrose'a?

- To proste - odpowiedział jej Caleb.

- Chciał wszystko sprawdzić, prawda Firebrace? Nie mogłeś sobie odpuścić sprawdzenia wszystkich szczegółów. Chciałeś być pewien, że nie zostawiłeś żadnych śladów.

- Jak już się dowiedziałem, że znaleźli Ambrose'a, pomyślałem, że nie ma powodu do obaw i mogę wrócić - wytłumaczył Firebrace. - No bo co bardziej naturalnego niż stary kumpel, który wpadł po drodze, bo się dowiedział o tragedii?

Caleb przypatrywał mu się z namysłem.

- No i kto by zauważył, gdybyś sobie przywłaszczył kilka aparatów albo sprzęt oświetleniowy. To by było tylko kilka pamiątek po starym kumplu i współniku.

- No właśnie, czemu nie? - Firebrace gorzko się uśmiechnął. - Ambrose i tak by tego już nie potrzebował.

Część tego sprzętu jest warta sporo szmalu.

- Jednej rzeczy tu nie rozumiem - powiedziała Serenity. - Skąd wiedziałaś, że się zwrócę do Caleba w sprawie mojej firmy?

Firebrace wzruszył ramionami.

- Ambrose zadzwonił do mnie ze dwa tygodnie po tym, jak poszłaś pierwszy raz do Ventressa. Próbował mnie ustrzelić na kilka doliczów. To było u niego normalne, chyba wiesz?

- Tak, wiem - odparła cicho Serenity.

- I jak zwykle odpowiedziałem mu, że nie mam luźnego ani centa - powiedział Firebrace. - A on potem, jak gdyby nigdy nic, zaczął gadkę o starych czasach. Mówił coś, że życie bywa takie pokręcone i że przeszłość często do nas wraca. Powiedział, że wysłał przyjaciółkę do syna Crystal Brooke. Zapytał mnie, czy pamiętam Crystal.

Caleb rozejrzał się po ścianach pracowni.

- Z pewnością pamiętałeś.

Rewolwer podskoczył w dłoni Firebrace'a.

- Ambrose miał swój dobry dzień. Chciał sobie pogadać. Opowiedział mi o planach panny Makepeace.

- Wiedziałeś o zdjęciach, które mi zrobił? - zapytała Serenity.

- Jasne. - Firebrace wykrzywił twarz. - Chwalił się nimi zeszłej wiosny, kiedy je skończył. Mówił wtedy, że to najlepsza robota, jaką w życiu wykonał.

- Kiedy ci powiedział, że się wybieram do Caleba, to przypomniałeś sobie o tym starym skandalu, prawda? - zapytała Serenity. - Wiedziałeś, że możesz wykorzystać te zdjęcia. Zrozumiałeś, że jeśli ci się uda przekonać Ventressów o moim związku z Calebem, to będziesz mógł zarobić na ich strachu przed skandalem. Firebrace kołysał się na piętach.

- Bardzo sprytnie, panno Makepeace. Masz rację. Wiedziałem wszystko o Ventressach. Doskonale wiedziałem, jak zareagują na wiadomość, że jedyny spadkobierca ich rodu i fortuny podąża śladami swego ojca. Wystarczyło tylko udowodnić, że Caleb jest tobą zainteresowany, co było bardzo łatwe. Serenity zmarszczyła brwi.

- Jak to zrobiłeś? Caleba i mnie wtedy nic naprawdę nie łączyło oprócz interesów.

- Zrobiłem wam kilka zdjęć, jak wychodziliście z jego biura, jedno w restauracji, a wyobraźnia Franklina dośpiewała sobie resztę. - Firebrace zachichotał niewesoło.

- Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, kiedy się dowiedziałem, że naprawdę coś was łączy!

- Byłeś za sprytny, żeby się zwrócić z żądaniem okupu do mojego dziadka - stwierdził Caleb. -

Wiedziałeś, jak on reaguje na szantaż i pogróżki.

- Jasne, cholera, że wiedziałem! - W oczach mu zabłysnął gniew. - Odmówił zapłaty trzydzieści cztery lata temu, kiedy mu wysłałem zdjęcia Crystal i Gordona Ventressa. Ale na szczęście wiedziałem, że są inni w tej rodzinie, którzy nie są tak uparci i zrobią wszystko, by to cenne nazwisko nie wycierało się znowu na łamach „Ventress Valley News”.

Serenity raptownie zaczerpnęła tchu.

- To pan wtedy szantażował Rolanda Ventressa?!

- Wtedy nic się nie udało - powiedział Firebrace dziwnym, jakby obcym głosem. Spojrzenie mu stwardniało. - Ale teraz to sobie odbiłem, wszystko zaplanowałem o wiele staranniej.

Skontaktowałem się z bankierem, nie ze starym. Wiedziałem, że Franklin Ventress będzie łatwiejszym celem. Byłem pewien, że zapłaci.

- Skąd go tak dobrze znałeś? - zapytał Caleb, nagle bardzo zainteresowany odpowiedzią.

- Crystal mi o nim opowiadała - odparł niecierpliwie Firebrace.

- Co takiego ci mówiła?

- Tylko to, co jej powiedział twój ojciec. Franklin miał romans z żoną Gordona i wiedziałem, że serdecznie go nienawidził. Domyśliłem się, że tak samo nienawidzi jego syna i zrobi wszystko, żeby go zniszczyć w oczach starego.

- Jasny szlag! - wycedził Caleb przez zęby. Ostatni fragment układanki wpasował się na miejsce. - A więc Franklin zapłacił pierwsze pięć tysięcy bez mrugnięcia powieką, tak?

- Chciał mieć zdjęcia. Cholernie chciał je mieć.

- Ale ty pokpiłeś sprawę, nie wystarczyło ci wziąć forszę i wiać.

- To było tylko pięć kawałków - odpowiedział Firebrace, autentycznie się broniąc. - Nie mogłem na tym poprzestać. Domyśliłem się, że ktoś z rodziny zapłaci jeszcze raz, żeby zdjęcia nie poszły do gazet.

- Zrobiłeś się chciwy - powiedział Caleb z namysłem.

- I nadal masz negatywy, więc mógłbyś spróbować jeszcze raz.

- Zaplanowałem sobie jeszcze kilka razy - potwierdził Firebrace. - Tak często, jak się da. Ale potem Ambrose skręcił kark i pokrzyżował mi plany.

- Bo bez niego nie masz żadnego zabezpieczenia - stwierdził Caleb. - Kontynuując szantaż mocno byś ryzykował bez faceta, na którego można by wszystko zwalić.

Wcześniej czy później ktoś by zaczął śledztwo, a tropy mogłyby zaprowadzić do ciebie. Ale i tak musiałeś jeszcze chociaż raz spróbować, co? Za dużo szmalu było do stracenia.

Serenity patrzyła na Firebrace'a, jakby należał do rodziny gadów.

- Nie mogłeś zrezygnować z kontaktu z Franklinem zaledwie kilka dni po śmierci Ambrose'a, tak?

- Warto było zaryzykować. Dostałem od niego tylko jedną wypłatę, a wiedziałem, że te zdjęcia są dla Ventres-sów warte jeszcze przynajmniej z pięć kawałków. Nie wydawało się prawdopodobne, że Franklin Ventress się dowie, kiedy umarł Ambrose - wyjaśnił Firebrace.

- Albo jak umarł, co? - dodała Serenity.

Firebrace skrzywił się.

- A po co ktoś miałby mu o tym mówić? Śmierć Asterleya nie była wydarzeniem tej miary, żeby pisali o tym w „Ventress Valley News”. A poza tym Franklin był ostatnim człowiekiem, który zaczęłyby zadawać pytania. Jemu zależało wyłącznie na zemście na synu Gordona.

- Ale dlaczego Franklin tak bardzo nienawidził Gordona? - zapytała cicho Serenity. - Dlatego, że Gordon był dziedzicem rodzinnej fortuny?

- Częściowo chyba tak. - Firebrace był zirytowany. - Ale z tego, co wiem od Crystal, to głównie z powodu Patricii Ventress.

- Patricii?

- Nie chwytasz? - zapytał Firebrace. - On ją kochał.

Naprawdę kochał. A ona go porzuciła z powodu skandalu i nigdy już jej nie zobaczył.

- To by pasowało - powiedział powoli Caleb.

- Crystal to rozumiała. - Firebrace zmrużył oczy. - Wiedziała, jak bardzo Franklinowi zależy na Patricii. Mówiła, że uwiódł Patricię na samym początku, bo zazdrościł Gordonowi i chciał kuzynowi zabrać coś, co należało do niego. Ale potem się w niej zakochał.

- Franklin oskarżył mojego ojca o upokorzenie Patricii - Caleb szybko myślał na głos. - I nigdy mu nie wybaczył, bo ten skandal na zawsze pozbawił go ukochanej.

- Tobie też nigdy nie wybaczył - szepnęła Serenity. - Musiał cię ukarać za to, że śmiałaś się związać z kobietą, która mu przypominała o Crystal Brooke.

- Tak.

- Franklin zapłacił za zdjęcia za pierwszym razem, bo potrzebował amunicji przeciw Calebowi - powiedziała z namysłem Serenity. - Ale dlaczego zapłacił za drugim razem?

- Bo jest Ventressem - powiedział Firebrace śmiejąc się ponuro. - Ta pieprzona rodzina jest tak dumna, że aż mi się chce rzygać.

Caleb zacisnął palce na kamieniu w kieszeni.

- Masz rację. Franklin ma dumę Yentressów. Nie chciał dopuścić do ponownego skandalu tak samo, jak nie chciałby tego żaden pozostały członek rodziny. Wiedział, że mój dziadek nie zapłaci okupu, więc nie miał wyboru i musiał to zrobić sam.

- Złapał się we własną sieć - powiedziała Serenity.

- Właśnie - potwierdził Caleb. Kątem oka zobaczył, że Serenity mu się przygląda, jej wzrok na krótko powędrował w stronę ręki schowanej w kieszeni. Miał nadzieję, że sobie przypominała o ostatnim znalezisku Webstera, ale nie mógł zaryzykować i bezpośrednio spojrzeć jej w oczy, żeby

sprawdzić, czy zrozumiała, o co chodzi. Cały czas koncentrował wzrok na fotografiach.

- Wygląda na to, że sporo wiesz o mojej rodzinie - powiedział.

- Dowiedziałem się wszystkiego co trzeba o tej całej cholernej rodzinie ponad trzydzieści lat temu - odpowiedział mu Firebrace. - Nic się nie zmieniło. Warn, Ventressom, ciągle się wydaje, że jesteście ważniejsi od innych.

Myślicie, że możecie sobie zabrać wszystko, co chcecie.

- Zależało ci na mojej matce, prawda? - zapytał cicho Caleb. - Chciałeś mieć Crystal Brooke dla siebie.

Firebrace zachwiał się, jakby go ktoś popchnął.

- Ona była moja. - Zamrugał kilka razy. - Twój ojciec mi ją ukradł. Złowił ją na pieniądze, na nazwisko i na polityczne koneksje. Obiecywał jej gwiazdkę z nieba. A ta głupia mała mu uwierzyła. Wierzyła nawet, że się z nią ożeni!

- I na koniec tak właśnie postąpił, chyba wiesz?

- Chciała mnie traktować jak kumpla - powiedział gwałtownie Firebrace. - Nie rozumiała, że należy do mnie.

Nikomiu innemu poza mną nie dawała się fotografować. Wierzyła, że na moich zdjęciach będzie wyglądała jak bogini. I tak było. - Machnął ręką, pokazując zdjęcia na ścianach, suficie i na podłodze. - Dobrze się przypatrzcie. To dzięki mnie Crystal Brooke jest piękna na zawsze.

- Myślę, że ona od początku i bez tego była piękna - powiedziała szorstko Serenity. - A poza tym, skoro tak bardzo ci wtedy na niej zależało, to dlaczego szantażowałeś Ventressów? Musiałeś przecież wiedzieć, ile zła to wyrządzi.

- To było dla jej dobra - upierał się Firebrace. - Pomyślałem, że kiedy Ventressowie się dowiedzą, co się szykuje między nią a Gordonem, to zmuszą tego sukinsyna, żeby z nią zerwał. Ale się nie udało. Roland Ventress nawet nie zapłacił za zdjęcia. No to wysłałem je do redaktora „Ventress Valley News”. Myślałem, że skandal zmusi Crystal i Gordona do rozstania.

- Ale stało się inaczej, mój ojciec porzucił rodzinę, karierę polityczną i pieniądze mojego dziadka - powiedział Caleb. - I ogłosił, że się rozwodzi i żeni z Crystal.

- Zanim wymyśliłem jakiś inny sposób, żeby nie dopuścić do małżeństwa, było już za późno. Crystal i Ventress zginęli w tym wypadku! - Głos fotografa przeszedł w piskliwe zawodzenie. - Tylko ty uszedłeś z życiem. To nie tak miało być! To Ventressowie zabili mi Crystal! Zupełnie jakby jej przyłożyli pistolet do głowy i pociągnęli za spust! Po tym wszystkim, co dla niej zrobiłem, odeszła na zawsze!

- A co ty dla niej zrobiłeś? - zapytał cicho Caleb. - Przecież nie tylko ty robiłeś jej zdjęcia, prawda? Firebrace wykrzywił twarz z gniewu.

- Ja byłem jej fotografem. To ja zrobiłem z niej boginię. Gdyby nie poszła z tym skurwielem, twoim ojcem, zostałaby największą gwiazdą filmową.

- Ale nie z powodu twoich zdjęć - sprostował Caleb. - Te fotografie wykonał Ambrose Asterley, prawda?

- To kłamstwo! - krzyknął Firebrace. - Plugawe kłamstwo!

- Chyba nie - powiedział Caleb z rosnącym przekonaniem. - Widziałem zdjęcia bardzo do nich podobne. Jest coś w grze światła i cienia na twarzy, w sposobie patrzenia modela w obiektyw, w ogólnym nastroju całego zdjęcia, co Asterley ujął w zdjęciach Serenity.

- Nie! - wrzasnął Firebrace. - To nie są zdjęcia Ambrose'a On się do niczego nie nadawał!

- Być może nie udało mu się zrobić kariery z powodu alkoholizmu, ale ten facet wiedział, co się robi z aparatem. - Caleb jeszcze mocniej uchwycił kamień Webstera.

- A ty jako współnik regularnie go okradałeś, przyznaj się. Musiałeś wpaść w panikę, kiedy wreszcie się poddał i osiadł w Witt's End. Wiedziałeś, że bez jego talentu będziesz skończony.

- Niech cię szlag trafi, ty łgarzu! - ryknął Firebrace. - Gówno rozumiesz! To ja miałem talent! -

Uniósł rewolwer i odsłonił zaciśnięte zęby. Szykował się do pociągnięcia za spust.

Caleb zaryzykował szybkie zerknięcie na Serenity i momentalnie się zorientował, że ona czyta w jego myślach. Położyła rękę na statywie i jednym gwałtownym ruchem przewróciła go na cały las lamp i aparatów. Zadziałał efekt domina - drogocenny sprzęt walił się na podłogę.

- Aparaty! - wrzasnął fotograf. Oderwał wzrok od Chleba i instynktownie odwrócił się, by spojrzeć na katastrofę.

Caleb wiedział, że to jedyna szansa. Wyciągnął z kieszeni kamień Webstera i rzucił nim w głowę Firebrace'a. Mały pocisk trafił w cel z głuchym stuknięciem. Firebrace zachwiał się, upuścił rewolwer i padł na podłogę jak kłoda. Jeszcze kilka statywów z lampami i aparatami przewaliło się z metalowym chrzęstem, który po chwili ucichł. W biało-czarnej pracowni zapanowała kompletna cisza.

Przez chwilę zszokowana Serenity wpatrywała się w nieruchome ciało Firebrace'a, po czym zakreśliła się na pięcie i runęła w ramiona Caleba.

- Nie pomyliłam się - szepnęła mu w marynarkę. - Miałeś w kieszeni kamień Webstera.

- Chyba chciałaś powiedzieć: wspaniały, jedyny w swoim rodzaju, cudowny, unikatowy i oryginalny przycisk do papieru - poprawił ją Caleb. - Przypomnij mi, żebyś znalazł miejsce w katalogu dla tego nowego wyrobu. Żaden dom się bez niego nie obejdzie.

Serenity wydała z siebie dziwny dźwięk i jeszcze ciaśniej przywarła do Caleba.

- Webster będzie zachwycony.

Firebrace jęknął.

Caleb puścił Serenity i podszedł do leżącego na podłodze fotografa. Firebrace zamrugał kilkakrotnie powiekami, po czym otworzył oczy.

- Odszukaj telefon i wezwij policję - polecił Caleb Serenity.

- Chyba widziałam aparat za ladą. - Ruszyła do wahadłowych drzwi. - Zrobi się niezły bałagan, jak trzeba będzie wszystko im wytłumaczyć.

- Ja się tym zajmę.

- Tak, wiem - odpowiedziała cichutko. - Jesteś dobry w te klocki. - Wyszła za drzwi.

- To nie tak miało się skończyć - wymamrotał Firebrace, wbijając wzrok w zdjęcie Crystal Brooke na suficie. - Jej miało nie być w tym samochodzie.

Caleb poczuł dreszcze przebiegające mu po krzyżu. Ukląkł na kolanie przy fotografii.

- Kto nie powinien być w samochodzie?

- Crystal. - Firebrace wpatrywał się pustym spojrzeniem w wielkie zdjęcie twarzy Crystal. -

Kochałem ją. Nie chciałem, żeby umarła. Tylko Ventress miał jechać tym autem, kiedy nawaliły hamulce. Tylko Ventress z dzieciakiem.

- Ty bydlaku! - wyszeptał Caleb. - Zabiłeś ich, tak?

- Tysiąc doków musiałem dać mechanikowi. Ale się nie udało. Ona też umarła. - Oczy Firebrace'a zapełniły się łzami, gdy spojrzał ponownie na twarz Crystal Brooke. - Dlaczego nigdy nic mi się nie udało?

Caleb czekał z telefonem do Franklina do późnego wieczora.

- Powiedz mi tylko jedno. - Caleb zacisnął palce na słuchawce hotelowego telefonu. - Dlaczego to zrobiłeś?

- Nic nie rozumiesz - powiedział Franklin przegranym głosem. - Gordon zawsze miał wszystko

najlepsze.

Dostał nawet Patricję. Ale ona go nie kochała. Nigdy go nie kochała. Wyszła za niego dla pieniędzy, nalegała na to jej rodzina. Fortuna Clarewoodów chyliła się ku upadkowi po serii niefortunnych inwestycji.

- I dlatego wyszła za ojca?

- Nazywała go trywialnym, prymitywnym kowbojem - powiedział Franklin. - Powiedziała mi, że nie może wytrzymać z nim w jednym łóżku. Nienawidziła jego dotyku. I nienawidziła Ventress Valley tak samo jak jego.

- I zwróciła się do ciebie po pociechę, prawda? - Caleb pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach. Zdawał sobie sprawę, że z drugiego końca pokoju Serenity obserwuje go w milczeniu. - A ty ją podtrzymywałeś na duchu.

- Kochałem ją - powiedział Franklin z naciskiem. - Przyznaję, że na początku chciałem ją mieć, bo należała do Gordona. Ale zakochałem się w niej. Kiedy wybuchł skandal, myślałem, że się pobierzemy.

- Ale ona wróciła do Bostonu.

- Z winy Gordona - szepnął Franklin. - To wszystko przez niego. Patricia musiała wyjechać po jego śmierci.

Powiedziała, że gdyby za mnie wyszła, to Roland by się zwrócił przeciwko mnie. Powiedziała, że oskarżyłby mnie o problemy w ich małżeństwie, o to, że ją uwiodłem. Powiedziała, że odciąłby mnie od pieniędzy Ventressów.

- A ty wiedziałeś, że prawdopodobnie tak by się stało, prawda?

- Po śmierci Gordona Roland zachowywał się jak szaleniec i mógł skierować wściekłość na każdy dostępny cel, wiedzieliśmy o tym. Patricia nie chciała, żebym cierpiał. Powiedziała, że będzie lepiej, jeśli się już nigdy nie zobaczymy.

- I nikomu nie powiedziałaś o waszym romansie, a potem ona wyjechała.

- Patricia miała rację. To było najlepsze wyjście. Nie było wątpliwości, jak by Roland postąpił, gdyby się o wszystkim dowiedział. Ale ja ją kochałem. Musisz to zrozumieć.

- Nie na tyle, by zaryzykować gniew mojego dziadka.

- Na litość boską, nie mogłem! Chodziło przecież o tak duże pieniądze. I nazwisko rodziny. Gordon wyrządził już dostatecznie wiele szkody. Moim obowiązkiem było nie dopuścić do następnego skandalu.

- Tak więc spełniłeś swój obowiązek. Zostałeś w Ventress Valley, założyłeś rodzinę i dobrze prosperowałeś.

I pielęgnowałaś swą zazdrość i nienawiść. A potem, pewnego dnia, ktoś do ciebie zadzwonił i historia zaczęła się powtarzać.

- Zrobiłem to, co musiałem. Moim obowiązkiem było powstrzymanie cię przed sprowadzeniem hańby na nas wszystkich, jak to było w przypadku twego ojca. Zrobiłem to w obronie rodziny.

- Właśnie że nie, Franklin. Wcale nie dla rodziny. - Caleb napotkał ciepłe, współczujące spojrzenie Serenity.

- Myślę, że zrobiłeś to z powodu najczystszej, prawdziwej zemsty.

- Co ty mówisz, do diabła?

- Nie byłem co prawda Gordonem, kuzynem, którego nie cierpiałeś przez całe życie, ale jednak jego synem. To wystarczyło, prawda? Przeniosłeś swą niechęć z mego ojca na mnie. I kiedy ktoś do ciebie zadzwonił z informacją, że posiada pewne zdjęcia kobiety, z którą mam romans, wykorzystałeś okazję, żeby się na mnie zemścić.

- Nie, to nie było tak.
- Myślę, że właśnie tak - powiedział ze znużeniem Caleb. - Chciałeś mieć pewność, że nie odnajdę tego, co mój ojciec znalazł na krótko, a czego ty nigdy nie znalazłeś.
- Niby czego, do cholery?!
- Szczęścia.

Rozdział 18

Zastanawiałam się - powiedziała Serenity następnego wieczoru podczas przygotowywania kolacji. - Tym człowiekiem, którego Zone widziała we mgle w noc śmierci Ambrose'a, musiał być Firebrace. Myśleliśmy, że to Royce Kincaid chciał ją przerazić, ale sam Kincaid mi powiedział, że tylko raz się jej pokazał.

- Masz rację. - Caleb skoncentrował się na wyciąganiu korka z butelki wina. - To prawdopodobnie był Firebrace. Z tego, co powiedział glinom, czas by pasował. I to pewnie jego samochód słyszał Blade tuż po północy.

- Jessie nam mówiła, że wyszła od Ambrose'a około jedenastej. - Serenity wyjęła ostry nóż z szuflady i zabrała się do sterty warzyw na curry, które zaplanowała na kolację. Lubiła gotować tylko wymyślne dania, wymagające wielu rozmaitych egzotycznych przypraw, i tylko wtedy, gdy spodziewała się gości.

Ryż już się gotował w szybkowarze, a na stole kuchennym stał szereg małych misek wypełnionych siekanymi fistaszkami, rodzynkami, ostrym sosem chutney, szczypiorkiem, kandyzowanym imbirem i wiórkami kokosowymi. Rano w drodze powrotnej do Witt's End Serenity zmusiła Caleba do zatrzymania się przy delikatesach i kupienia dwóch butelek drogiego Chardonnay. Noc musieli spędzić w Seattle, ponieważ zeznania na policji przeciągnęły się aż do późnego popołudnia. Serenity pięć razy w ciągu ostatnich dwudziestu minut ukradkiem zerknęła na zegar. Kolacja powinna być gotowa za pół godziny i jak dotąd po Rolandzie Ventressie nie było ani śladu. Serenity starała się zachować kamienną twarz, ale w środku wszystko jej się zwijało w ciasny węzeł. Była przecież pewna, że on przyjedzie!

Caleb był w całkowicie stoickim nastroju, zachowywał się, jakby nic nadzwyczajnego nie miało się wydarzyć. Był chłodny, spokojny i jak zwykle opanowany. Serenity nie zauważyła, żeby zerkał na zegarek, i ani słowem nie wspomniał o tym, że dziadek może przyjechać na kolację. Jakby zupełnie zapomniał o tym zaproszeniu.

No ale jego oczekiwania od samego początku były minimalne. Ściślej mówiąc, bliskie zeru. W ogóle nie wierzył, że dziadek przyjedzie. Serenity jednak uważała, że Roland powinien skorzystać z wymówki, jaką mu podsunęła, by uratować stosunki z wnukiem. Liczyła na to, że starszy pan jest zbyt mądry, by powtórzyć błąd z przeszłości.

Stół jeszcze nie był nakryty. Serenity zwlekała z tym, ponieważ musiałyby podjąć decyzję co do liczby nakryć. Nie mogła się zdobyć na to, by ustawić dzisiaj tylko dwa nakrycia, ale wiedziała również, że byłoby o wiele gorzej, gdyby nakryła dla trzech osób i trzecie nakrycie zostałoby nietknięte. To tak, jakby mieli ducha na kolacji.

- Powiesz dziadkowi, co naprawdę się stało z twoimi rodzicami? - zapytała atakując nożem ziemniaki.

- Niemal wszystko. Zasluguje na to, by znać prawdę.

Serenity spojrzała znad warzyw na Caleba, który nalewał wino do dwóch kieliszków. Twarz miał kamienną, a spojrzenie nic nie mówiące. Nagle zrozumiała, że on też czeka - nasłuchiwał odgłosów samochodu na drodze i pukania do drzwi. Czekał, ale niczego się nie spodziewał. Był znakomity w

ukrywaniu uczuć. Bo przecież miał niezłą praktykę.

- A o roli Franklina w wydarzeniach sprzed lat? - zapytała spokojnie. - O tym też mu powiesz?

- Chyba nie - odpowiedział po chwili wahania. - Po co?

Franklin ma żonę i syna, wnuki, ich wszystkich zraniłaby ta wiedza o przeszłości. Nie muszą wiedzieć, że Franklin nadal jest wierny swej romantycznej wersji romansu z Patricią.

- Ciekawa jestem, dlaczego twój ojciec nigdy nie wyjawiał Rolandowi nazwiska mężczyzny, który miał romans z jego żoną.

Caleb milczał przez chwilę.

- Prawdopodobnie doszedł do wniosku, że już i tak wyrządził wiele krzywdy rodzinie, i nie chciał wszystkie go pogarszać, mówiąc mu o Franklinie. Zresztą to nie robiło większej różnicy.

- A jako że był Ventressem, był pewnie zbyt dumny, by usprawiedliwiać swój romans z Crystal - dodała Serenity.

- Chyba tak.

- A więc oszczędził kuzyna, co bez wątpienia jeszcze pogłębiło nienawiść Franklina - powiedziała Serenity.

- Dlaczego?

- Bo Franklin poczuł się słaby. Ależ to wszystko pogmatwane! On nigdy nie lubił Gordona, ale kiedy Patricią po całym tym skandalu wyjechała z Ventress Valley, zobaczył, że jego szczęście wali się w gruzy raz na zawsze, a przynajmniej tak myślał, i jego gorzycz i niechęć jeszcze wzrosły.

- Oskarżał mojego ojca o to, że Patricią go porzuciła.

- Rzecz w tym - powiedziała Serenity - że ona prawdopodobnie w ogóle go nie kochała. Była nieszczęśliwa z twoim ojcem, czuła się jak w pułapce oddalonej o trzytysiące mil od jej domu rodzinnego, więc szukała u Franklina pocieszenia i zapomnienia. Ale wcale go nie kochała.

- Zgadza się.

- I w głębi serca Franklin musiał o tym wiedzieć.

- Dodatkowy powód, dla którego nigdy nie wybaczył mojemu ojcu.

- Ani tobie - dodała Serenity.

- Ani mnie - zgodził się Caleb. - Ale to drobiazg, bo przecież nikt z rodziny mi nie przebaczył.

Serenity zerknęła na niego. W dalszym ciągu miał twarz bez wyrazu.

- Przypuszczam, że Franklin tak ostro zareagował na moje zdjęcia, bo rozpaczliwie chciał uwierzyć, że ty jesteś taki sam jak Gordon, i w jego oczach byłeś Gordonem. On wolał myśleć, że robisz to samo co twój ojciec, że się zaangażowałaś uczuciowo w związek z osobą, która przyniesie wstyd rodzinie. To usprawiedliwiało całą jego nienawiść, tłumaczyło w jego oczach to, że i ty, i Gordon nie zasługiwaliście na to, by być dziedzicami rodu Ventressów.

- Chyba tak.

Serenity szukała sposobu, by zmienić temat rozmowy.

- Na nasze szczęście byłeś mistrzem w szkolnej drużynie baseballowej. - Przypomniała sobie szereg pucharów w przeszklonej szafie w domu dziadka. - Uratowałaś nasze życie dzięki umiejętnościom rzucania piłką. Musiałeś mieć znakomitego trenera.

- Dziadek był moim pierwszym trenerem - powiedział beznamiętnie Caleb.

Serenity przerwała siekanie warzyw.

- Naprawdę? Roland cię nauczył grać w baseball?

Caleb podniósł kieliszek z winem i popatrzył na Serenity.

- Wiesz, często powtarzasz, że w każdym z nas utkwilo to i owo z innych ludzi.

Serenity dotknęła gryfa na łańcuszku.

- No i co?
- Wydaje mi się, że zaczynam rozumieć, co masz na myśli.
- Caleb...
- On dziś nie przyjedzie, Serenity. Powiedziałem ci, że go tu nie będzie. Chciałbym, żebyś nie robiła sobie zbędnych nadziei.
- Jeśli nie przyjedzie dzisiaj, to przyjedzie w sobotę.
- Wiem, że przyjedzie.
- Nie. - Caleb pokręcił głową z ponurą pewnością.
- Nie wierzę, że może być tak sztywny i nieugięty i tak głupio uparty.
- To Ventress - powiedział Caleb.
- Dobra, przyznaję, że wszyscy w twojej rodzinie mają do tego talent. Ale nadal nie mogę uwierzyć, że on nie widzi szansy na zmianę swego stosunku do przeszłości.
- Niektórzy ludzie nie chcą tego zmieniać. Na przykład Franklin.
- Dźwięk samochodu na drodze odebrał Serenity mowę. Ich spojrzenia się spotkały.
- To nie on - powiedział cicho Caleb. - To pewnie Montrose albo Ariadne.
- Nie, nie sądzę. - Serenity odrzuciła ściereczkę i pognęła do drzwi.
- Powiew zimnego powietrza uderzył w nią jak fala, kiedy wbiegła na ganek. Światła samochodu ją oślepiły, podniosła rękę, żeby zasłonić oczy i zobaczyć, kto wysiada z samochodu.
- Caleb wyszedł z domu i położył rękę na jej ramieniu.
- Przednie drzwi samochodu od strony pasażera w końcu zamknęły się z trzaskiem. W blasku świateł stanęła wysoka, barczysta postać. Nie było widać twarzy mężczyzny, ale Serenity nie miała najmniejszych wątpliwości co do tożsamości przybysza.
- Tak się cieszę, że się panu udało przyjechać, panie Ventress - powiedziała schodząc po schodkach.
- W samą porę na kolację.
- Roland obrócił się, kiedy samochód ruszył z powrotem po podjeździe.
- A ty dokąd, Harry, do cholery?!
- Wrócę później, szefie! - radośnie zawołał Harry dodając gazu.
- O wiele później - mruknęła Serenity. - Proszę do środka, panie Ventress. Czeka nas długa rozmowa.
- Jak się okazało, nie była to długa rozmowa. Gdy kolacja dobiegała końca, Serenity zaczęła ogarniać rozpacz. Jej nadzieje, jeszcze niedawno tak wielkie, zaczęły gwałtownie gasnąć. Roland i jego wnuk naprawdę wspólnie zasiedli do kolacji, ale wyglądało na to, że niewiele mają sobie do powiedzenia.
- Jeszcze trochę curry, panie Ventress? - zapytała.
- Nie, dziękuję. Wystarczy.
- Serenity rzuciła Calebowi błagalne spojrzenie.
- A ty, Caleb?
- Nie, dziękuję.
- No cóż, chyba przyniosę deser. - Zerwała się od stołu i zaczęła zbierać talerze. - Mam nadzieję, że lubicie placek cytrynowy.
- Ja tak - odparł Roland.
- Ktoś chce herbaty? - zaproponowała.
- Nie, dziękuję - powiedział Roland.
- Nie, dziękuję - mruknął Caleb.
- Kawy? - próbowała dalej.
- Nie, dziękuję.
- Nie, dziękuję.

Serenity ogarnęła panika. Podczas jedzenia wyczerpała wszystkie możliwe tematy konwersacji. Pogoda, łącznie z ewentualnością opadów pierwszego śniegu, jak dotąd stanowiła podstawę najżywszej rozmowy, która trwała prawie całe pięć minut. Roland okazał krótkie zainteresowanie składnikami curry, ale ten temat równie szybko został wyczerpany, tak samo jak krótka pogawędka o stanie górskich dróg.

Serenity krojąc ciasto cytrynowe doszła do wniosku, że jest kobietą zdesperowaną. Jeśli wieczór ma być uratowany, to musi się istotnie zdobyć na desperackie czyny. Coś należy zrobić, żeby przełamać lody. Niosąc ciasto na stół zerknęła przez okno. W cieniu zamajaczył oszklony pokój kąpielowy.

Być może łatwiej rozpuścić lody, niż je przełamać?

- Mam wspaniały pomysł - powiedziała Serenity stawiając ciasto przed Calebem i jego dziadkiem. - Może po kolacji pójdziecie do wanny z wodą ze źródeł?

Caleb zakrztusił się kawałkiem placka.

- Do wanny?

- A wiesz, że nigdy nie brałem takiej kąpieli? - powiedział z namysłem Roland.

- Jestem pewna, że to się panu spodoba. Jest bardzo relaksująca - powiedziała wesoło Serenity, ignorując całkowicie bardzo dziwną minę Caleba. - W każdym razie musicie wejść do wanny beze mnie.

- Żebyś wiedziała - powiedział Caleb. - Za żadną cholerę nie wejdiesz, dopóki nie znajdziesz kostiumu.

- Gdzieś jest - mruknęła - ale nawet nie będę go teraz szukać. Mam zamiar na pewien czas zrezygnować z gorących kąpieli.

- Dlaczego? - Caleb zmarszczył czoło.

- Z tych samych powodów, dla których nie będę piła alkoholu przez najbliższe kilka miesięcy - powiedziała radośnie Serenity. - Trenuję.

Roland uniósł krzaczaste brwi.

- Co?

- Noszenie dziecka.

Krzesło Caleba upadło z hukiem, kiedy się zerwał na równe nogi.

- Co takiego?!

- Trenuję noszenie w sobie dziecka - odpowiedziała cierpliwie Serenity. - Już czas.

W takim razie się z nią ożenisz, tak? - Roland obserwował Caleba z drugiego końca wanny z bulgocącą wodą. W pokoju kąpielowym światło było zgaszone, ale z okien domku bił blask i wyraźnie widać było groźną minę starszego pana.

- Tak szybko, jak tylko się da. - Caleb oparł ręce na krawędziach wanny i ułożył się wygodnie. Przez głowę przeleciało mu krótkie wspomnienie jego pierwszego pobytu w tym pomieszczeniu.

Przypomniał sobie, jak po raz pierwszy dotknął cudownych piersi Serenity, jak brakło jej tchu i jak przywarła do niego wstrząsana pierwszą w życiu seksualną rozkoszą. Uśmiechnął się.

- No i dobrze - burknął Roland. - Zwłaszcza jeśli poważnie mówiła to o dziecku.

- Czyżby moje małżeństwo z Serenity było bardziej do przyjęcia niż to, że Ventressowie będą zmuszeni do dźwignia hańby z powodu jeszcze jednego bękarta w rodzinie?

- Nigdy nie uważałem cię za bękarta - mruknął Roland.

- Nie? - Caleb spojrzał na niego z niedowierzaniem. - A za kogo?

- Za wnuka - odpowiedział cicho Roland. - Jedyne, jakiego miałem. Byłeś wszystkim, co mi zostało po Gordonie.

Caleb powoli wypuścił powietrze z zaciśniętego gardła.

- To i owo z innych ludzi.
- Co?
- Nic. Nieważne. Serenity tak często mówi.
- Ona jest wyjątkowa.

Caleb wpatrywał się w kipiącą wodę.

- To prawda.
- Wiedziałaś, że dzwoniła do Dolores wczoraj rano?
- Nie.
- Przekazała wiadomość, że Phyllis i Franklin próbowali ją przekupić.
- Nic o tym nie wiedziałem - odpowiedział Caleb marszcząc brwi.
- Powiedziała Dolores, że nie będzie z nimi pertraktować, że jeśli ktokolwiek może spróbować ją przekupić, to jedynie ja, i że muszę tu dziś przyjechać w tym celu.
- O niczym takim nie słyszałem. - Caleb poczuł rosnący gniew.
- Bo pewnie nie miałeś słyszeć. - Roland zastanawiał się przez chwilę. - Oczywiście, od razu wiedziałem, o co jej chodzi. Chciała mnie zmusić, żebym wykonał pierwszy krok.
- I dlatego tu przyjechałeś? - zapytał Caleb. Że też się tego nie domyślił. Dziadek uważał, że może mu się udać przekupienie Serenity. I tylko dlatego się tu zjawił.
- Nie - odpowiedział Roland. - Nie ma takich pieniędzy na całym świecie, za które dałoby się przekupić taką kobietę jak ona. To było oczywiste od samego początku.

Ciepło wody ponownie rozgrzało Caleba, łagodząc chłód, który zmroził mu żyły.

- Ale mimo to przyjechałeś.
- Pomyślałem, że nie mam nic do stracenia - wyjaśnił Roland. - Cholera, może ona okaże się czymś dobrym dla nas wszystkich? Czasami rodzinie przydaje się zastrzyk świeżej krwi, tak jak to bywa u koni.

- No proszę. - Caleb przybrał obojętny ton, ale w głębi ducha był oszołomiony rozmiarami gałązki oliwnej po dawanej mu przez Rolanda. - Jest coś, o czym ci muszę powiedzieć.

- O czym?
- O przeszłości. To długa historia.
- Nie sądzę, by wracanie do przeszłości było najlepszym pomysłem - powiedział Roland. - Niechaj spoczywa w spokoju.

- Ale nie zawsze się nam udawało zostawić ją w spokoju, prawda?

- Chyba tak.
- Może nam się uda po tym, jak ci opowiem, co się wydarzyło wczoraj w Seattle. - Caleb nie wiedział od czego zacząć, ale przypomniał sobie rodzinną fotografię ze szkatułki matki. - No więc, po pierwsze, jest pewne zdjęcie, które powinieneś zobaczyć.

- Czyje?
- Moje i moich rodziców.

Roland zanurzył się głębiej w musującej wodzie.

- Nie wiedziałem, że są jakieś wasze zdjęcia.
- Jest, jedno. Było schowane w szkatułce na biżuterię mojej matki. I właśnie ono pomogło mi znaleźć odpowiedzi na wiele pytań, które powinny być zadane wiele lat temu.
- No dobrze - powiedział Roland tonem wojownika zagrzewającego się do starcia. - Powiedz mi, co odkryłeś.

Caleb zauważył jakiś cień przesuwany się w mroku i spojrzał w okno. Za szybą pokoju kąpielowego ukazały się dwa masywne psie łby. Tuż za nimi pojawiła się wielka, znajoma postać,

obwieszona olbrzymią ilością śmiercionośnego sprzętu.

- O rany -jęknął Caleb. - Nie, nie teraz!

Blade delikatnie zastukał w szybę pięścią w rękawicy.

- Muszę z tobą pogadać - zawołał.

Roland momentalnie usiadł w wannie prosto jak świeca i wlepił wzrok w postać stojącą za szkłem.

- Ki diabeł?!

- Nazywa się Blade. - Caleb wyszedł z wanny i sięgnął po ręcznik. - Nie denerwuj się, to swój.

- Wygląda jak ktoś z tych cholernych filmów wojennych.

- Zgadza się. - Caleb otworzył drzwi. Do zaparowanego pomieszczenia wtargnęło zimne powietrze, psy... i Blade.

- O, masz gościa - zauważył Blade, uważnie patrząc na Rolanda.

- Ściślej biorąc, my mamy - poprawił go Caleb. - To mój dziadek, więc jeśli to nic naprawdę pilnego, to proponuję, żebyś wpadł kiedy indziej.

- Ale to pilne. - Blade odwrócił się twarzą do niego. - Inwazja się zaczęła.

- Znowu? - zapytał Caleb.

- Jaka inwazja? - zaciekawiał się Roland. Wstał i chwycił ręcznik.

- Lepiej nie pytaj. - Caleb machnął ręką, żeby uciszyć dziadka. - No dobra, Blade, przejdźmy do konkretów.

Dlaczego uważasz, że zaczęła się inwazja?

- Ktoś węszy w chacie Ambrose'a.

- Asterleya? Jesteś pewien?

- Prawdopodobnie czujka. Przymuszczałnie reszta komanda przyczaiła się u podnóża gór, chyba czekają, żeby sprawdzić, czy ich człowiek zabezpieczy wsparcie ogniowe. Jak go złapiemy, to mamy szansę zdusić inwazję w zarodku. - Blade machnął ręką w stronę ubrania Caleba na haku. - Lepiej się ubieraj, nie ma wiele czasu.

- Czy ktoś mi wreszcie wytłumaczy, co to za cyrk? - nasrożył się Roland.

- Sam nie bardzo wiem. - Caleb zaczął się ubierać. - Ale wygląda mi na to, że powinniśmy się rozejrzeć. Kiedy Blade ostatni raz odkrył zwiadowcę komanda inwazyjnego, sprawy wzięły niedobry obrót. - Zawahał się. - Chcesz iść z nami?

- Cholera, czemu nie? Znosi się na to, że dziś w nocy będę robił sporo wariackich rzeczy.

- Nie jestem wariat, sir - powiedział sztywno Blade. - Ludzie mówią, że jestem paranoik, ale ja wiem, że nie jestem wariat.

Roland wkładał koszulę.

- To nie była aluzja do was, żołnierzu. - Obrzucił wzrokiem ekwipunek Blade'a. - Macie jakąś broń ekstra, którą moglibyście mi pożyczyć na akcję? Przyjechałem nie przygotowany.

- Ma pan jakieś doświadczenie w tych sprawach, sir? - Blade uważnie mu się przyglądał.

- Byłem ranczerem przez całe życie. I spędziłem kilka lat w korpusie piechoty morskiej.

Blade aż pokraśniał z zadowolenia.

- Domyślam się, że to pan nauczył Caleba, jak należy się posługiwać bronią.

Roland zerknął na wnuka.

- Dobrze się domyślacie.

- Proszę bardzo, sir. - Blade odczepił od pasa rewolwer i podał go Rolandowi.

Starszy pan przez kilka sekund oglądał broń.

- Niezły.

- Zawsze trzymam sprzęt w należytym porządku - powiedział Blade. - Sprzęt świadczy o człowieku.

- Słusznie - zgodził się Roland.

-

-

332

333

Jayne Ann Krentz

Caleb zaklął pod nosem i podniósł rękę, próbując zwrócić na siebie uwagę.

- Zaraz, zaraz. Nie tak na hurra. Pójdziemy do chaty Asterleya w szyku i dokładnie sprawdzimy na miejscu, co tam się dzieje. Ale nikt, powtarzam, nikt nie otworzy ognia do nikogo ani do niczego, dopóki nie wydam rozkazu. Zrozumiano?

- Pan tu wydaje rozkazy, burmistrzu! - Blade wyprężył się na baczność.

- Burmistrzu? - Roland uniósł brwi.

- Przypomnij mi, żebym ci powiedział o mojej rozwijającej się karierze w lokalnej polityce.

- Polityce?!

W tym momencie Serenity otworzyła drzwi na ganek. Przez chwilę trwożliwie kręciła się w przedsionku, zerkając w stronę przeszklonego pokoju kąpielowego. Potem przebiegła przez ganek i otworzyła szklane drzwi.

- Co się tutaj wyrabia?! Blade! - Patrzyła na niego w półmroku. - Co ty tu robisz, na litość boską?

- Mamy kłopoty, Serenity - powiedział Blade. - Zaczęła się inwazja. Musimy zneutralizować szpicę, zanim da reszcie sygnał do natarcia.

- Och nie, nie dziś - jęknęła Serenity. - Nie możesz powstrzymać tej inwazji na przykład do jutra? Mam dziś siał gościa.

- Przykro mi - powiedział Blade. - To oni wybrali porę. Nie my.

- Nie możesz czegoś z tym zrobić? - zwróciła się do Caleba.

- Nic się nie martw. - Oparł stopę na ławce i pochylił się, żeby zawiązać sznurowadła. - Jestem całkiem niezły w te klocki.

Prawdę mówiąc, Caleb był zaskoczony widząc promień latarki w oknach kuchennych chaty Asterleya.

- A niech mnie! Tam naprawdę ktoś jest.

- Przecież mówiłem. - Spod wielkiej jodły dobiegł gardłowy szept Blade'a. Przy nim warowały psy.

Ukryte talenty

Roland zatrzymał się obok wnuka i przyglądał się pogrążonej w ciemnościach chacie.

- Zgadza się, ktoś tam jest.

- No przecież widzę. - Caleb objął się ramionami w ochronie przed kłującym chłodem i starał się szybko myśleć. Należało się pożegnać z teorią, że cała sprawa jest jedynym wytworem chronicznej paranoi Blade'a.

W domu Asterleya rzeczywiście buszował jakiś nieproszony gość. Caleb zastanawiał się, kogo tu przyniosło o tej porze.

I wtedy przypomniał sobie o archiwum w piwnicy. W pomieszczeniu, którego Jessie nie zdążyła jeszcze uprzątnąć, było całe mnóstwo zdjęć, obejmujących okres ponad czterdziestu lat. Nie wiadomo, jakie zdjęcia Asterley wykonał w tym czasie. W archiwum przypuszczalnie roilo się od materiałów, które mogłyby się przydać komuś takiemu jak Firebrace. Możliwe, że ktoś jeszcze, dowiedziawszy się o śmierci Asterleya, postanowił przeszukać jego archiwum.

- Czujka, zgadza się - powiedział Blade. - Nie ma wątpliwości.

- Wygląda na to, że masz tu włamywacza, burmistrzu - powiedział cicho Roland. W jego głosie brzmiało nie skrywane podniecenie.

- Albo tylko jakiegoś wędrowca, który postanowił wykorzystać pustą chatę na nocleg - powiedział Caleb, starając się utrzymać w roli jedynego racjonalnie myślącego w tej grupce.

- Nie macie tu chyba wielu wędrowców - zauważył Roland. - Zwłaszcza o tej porze roku. Cholernie zimno.

- Kogo my tu nie mamy. - Caleb wsłuchiwał się we własne słowa, które odbiły się echem w jego myślach. Kogo my tu nie mamy. My.

Po raz pierwszy uświadomił sobie, że myśli o tym dziwnym miasteczku jak o własnym domu.

Dom jest tam, gdzie mężczyzna postanawia osiąść. Ożenić się. Mieć rodzinę.

Trenuję noszenie w sobie dziecka. Już czas.

- No, synu, co myślisz? - zapytał Roland.

- Że już czas - odparł miękko Caleb.

- Mam najpierw posłać psy? - Blade zakręcił się w gałęziach jodły.

- Nie. Nie wcześniej, niż się dowiemy, co tam się dzieje. Jeszcze tego nam potrzeba, żeby nas oskarżono o umyślne poszczucie psami - powiedział Caleb.

- Nie będzie żadnego oskarżenia, jeśli się pozbędziemy zwłok - zauważył Blade.

- Masz rację - odpowiedział Caleb, starając się zachować cierpliwość. - Ale sprawa będzie czystsza, jeśli załatwimy to oficjalnie, tak jak zeszłym razem.

- Jakim zeszłym razem? - Roland gwałtownie odwrócił głowę do wnuka.

- To długa historia - odparł Caleb. - Potem ci opowiem. Teraz mamy co innego do roboty. Proszę za mną, panowie!

- Wyłamujemy drzwi? - zapytał Blade.

- Nie od razu. - Caleb prowadził ich pomiędzy drzewami wokół domu. - Najpierw sprawdzimy, czy na podjeździe stoi jakiś samochód.

- Dobry pomysł. - Roland trzymał rewolwer lufą do ziemi, idąc o krok za Calebem.

- Jest samochód - powiedział Blade. - Widziałem go wcześniej. Ten gość przyjechał nim dla niepoznaki.

Gdy tylko obeszli róg chaty, Caleb zobaczył na podjeździe znajomą sylwetkę sportowego samochodu.

W mroku nie można było określić koloru, ale dałby sobie głowę uciąć, że jest czerwony.

- Inwazję mamy z głowy. - Caleb stanął w miejscu. - To samochód Radburna.

- Tego profesora? - Blade był rozczarowany. - Tego, co się naprzykrza Serenity?

- Niestety, tak - odparł Caleb. - Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że agent nieruchomości wynajął ten dom Radburnowi. Wygląda na to, że facio postanowił czynnie przystąpić do badań.

- Czy to oznacza koniec przygód na dzisiejszą noc? - zapytał Roland z nutą rozczarowania w głosie. Caleb uśmiechnął się z namysłem.

- Niekoniecznie. Blade, może weźmiesz psy i zapukasz do drzwi?

- Chwytam. - Blade odsłonił zęby w uśmiechu. - Chcesz, żebym robił za komitet powitalny, co?

- Coś w tym rodzaju - potwierdził Caleb. - Nie zapomnij go ostrzec, że znalazł się w strefie wysokiego ryzyka. W każdej chwili może nastąpić inwazja.

- Wszystko mu powiem - zapewnił Blade. Kiwnął na Styksa i Charona, które z radością podbiegły do jego stóp.

Roland obserwował Blade'a zmierzającego do drzwi chaty.

- To powinno być interesujące.

- Zazwyczaj bywa - potwierdził Caleb.

Kiedy pół godziny później wchodzili do domku, Caleb ciągle jeszcze zanosił się od śmiechu, a Roland chichotał. Serenity zamykając za nimi drzwi patrzyła na nich jak na wariatów.

- Co to wszystko znaczy? - zapytała. - Gdzie jest Blade? Co się stało?

- Nie denerwuj się - uspokoił ją Caleb. Wysupłał się z kurtki i powiesił ją na mosiężnym haku. - Sytuacja jest opanowana. Inwazja została odłożona na czas nieokreślony.

- Twój przyjaciel Blade wrócił na swój regularny obchód. - Roland uśmiechnął się zdejmując kurtkę.

- Ale co wyście robili? - Serenity podążała za nimi pospiesznie, gdy szli w stronę piecyka, żeby się ogrzać.

- Wykonywałem swoją powinność burmistrza. Wraz z moimi towarzyszami przywitałem nowego obywatela w Witt's End. - Caleb rozpostarł dłonie przed piecykiem, napotkał porozumiewawcze spojrzenie Rolanda i puścił do niego oko.

- Jakiego nowego obywatela? - zapytała Serenity.

- Lloyda Radburna, czcigodnego profesora socjologii.

- Caleb uśmiechnął się. - Agent nieruchomości działający w imieniu Jessie wynajął mu chatę Asterleya.

- Boże, nie! - Serenity sprawiała wrażenie mocno zdegustowanej. - Miałam nadzieję, że zrezygnował z tych idiotycznych badań.

- Prawdopodobnie teraz się nad tym poważnie zastanawia - powiedział Roland podejrzenie obojętnym tonem.

- Zaraz, chwileczkę. - Serenity zmarszczyła czoło. - Co wyście tam właściwie robili? Mam nadzieję, że nie będzie żadnych nieprzyjemności?

- Nie robiliśmy zupełnie nic, przywitaliśmy jedynie faceta w miasteczku.

Serenity wzięła się pod boki i przez przymrużone powieki przyglądała się obu mężczyznom.

- A można wiedzieć w jaki sposób?

- Posłaliśmy Blade'a, żeby go ostrzegł przed możliwością grożącej inwazji - wyjaśnił Roland. - Caleb powiedział, że lojalnie będzie ostrzec faceta o ryzyku przebywania w tej okolicy.

- Posłaliście do niego Blade'a? - Serenity się przestraszyła. - Ależ Lloyd nigdy go nie widział, nie zna go, więc nic nie zrozumie! Przecież wiecie, jak Blade groźnie wygląda na pierwszy rzut oka! Chyba poszliście tam razem z nim, żeby wytłumaczyć Lloydowi, kim jest Blade?

Caleb uśmiechnął się do Rolanda ponad piecykiem.

- Cholera. O tym nie pomyśleliśmy, co?

- Niestety, to prawda. Szczerze mówiąc nie wiem, jak mielibyśmy to zrobić. Pani przyjaciela nie da się jedno znacznie określić. Jest dość szczegółny.

- Blade'a trzeba samemu poznać, tłumaczenia na nic się nie zdadzą. - Caleb ruszył do kuchni. -

Wydaje mi się, że wiadomość o odroczeniu inwazji należy oblać. Chcesz piwo, Roland?

- Czemu nie? Nie każdej nocy się obchodzi odwołanie inwazji.

Śmiejące się oczy Serenity trafiły na spojrzenie Caleba; właśnie otwierał lodówkę.

- Wy dwaj możecie tu sobie siedzieć przez całą noc, pić Old Hogwash i opowiadać sobie, jak wam się udało powstrzymać inwazję na Witt's End, ale ja idę do łóżka.

Potrzebuję teraz sporo snu.

- Tak, wiem. - Caleb wyjął dwie butelki piwa i za mknął lodówkę. - Trenujesz.

- Właśnie. Dobranoc panom. - Serenity uśmiechnęła się promiennie do obu mężczyzn i poszła do sypialni.

Caleb patrząc na nią poczuł gwałtowny przyptyk uczuć. Odwrócił głowę i zobaczył, że dziadek mu się przygląda z dziwnym wyrazem twarzy.

- Będzie z niej ciekawa wnuczka, co prawda to prawda - powiedział Roland odbierając z rąk wnuka butelkę piwa. - Ale musisz mi coś obiecać.

- Co takiego?

- Że te zdjęcia, które jej zrobił Asterley, będziesz trzymał z daleka od „Ventress Valley News”, dobrze? Nie jestem pewien, czy twoje miasto rodzinne będzie w stanie docenić ten rodzaj sztuk pięknych.

Caleb pomyślał o negatywach, które znalazł w szufladzie u Firebrace'a na dwie minuty przed przybyciem policji.

- Nie przejmuj się. Te zdjęcia zostaną w mojej prywatnej kolekcji. Myślę, że mogę ci to obiecać. Jest wprawdzie pewna osoba, która wciąż jeszcze może posiadać odbitki, ale sądzę, że to się da załatwić.

- Kto mianowicie?

- Franklin.

- Ja je odbiorę Franklinowi - powiedział groźnie Roland.

Caleb łyknął solidny haust piwa zastanawiając się, jak powiedzieć to, co musi zostać powiedziane.

- Jest kilka spraw dotyczących przeszłości, o których powinieneś się dowiedzieć.

Roland westchnął i usiadł na solidnie wypchanym fotelu.

- Słucham.

Półtorej godziny później Serenity obudziło delikatne podzwanianie koralików. Przekreśliła się pod kołdrą, gdy Caleb wchodził do łóżka. Wyciągnął ramiona i objął ją mocno.

- Jak poszło? - Nieśmiało dotknęła jego twarzy.

Wsunął palce w jej włosy i położył twarz tuż przy uchu Serenity.

- Co jak poszło?

- Rozmowa z Rolandem.

- Świetnie. - Pocałował ją w szyję.

Próbowała się odsunąć od jego ust.

- Powiedziałeś mi o wszystkim? O śmierci rodziców?

O Firebrasie?

- Uhm. - Caleb wsunął nogę między jej uda.

- Powiedziałeś mi o romansie Franklina z Patricią?
- Nie. Mówiłem ci już, że nie ma takiej potrzeby.
- No i?
- No i co?
- No i jak przyjął te wiadomości? - zapytała rozdrażniona.
- Jakoś przyjął - odparł Caleb. - Jak sam mi przypomniał, skończył już osiemdziesiąt dwa lata. Wiele w życiu przeszedł i ma spore doświadczenie w przyjmowaniu tego, co niesie los.
Serenity zastanowiła się nad tymi słowami.
- I potrafi się zmienić, Caleb. Sam to udowodnił.
- Tak. - Caleb przesunął ręką po jej nodze.
- Z twojego powodu i dla ciebie.
- Tak. - Delikatnie uszczypnął ją w udo.
- Nie przyjechał tu dlatego, że go sprowokowałam, wiesz? Przyjechał do ciebie.
- Wiem. - Caleb przyciągnął ją bliżej i położył na swojej klatce piersiowej.
- Przyjechał, bo chciał tym razem załatwić wszystko inaczej - powiedziała z przekonaniem Serenity. - Bo nie chciał powtórzyć błędu z przeszłości.
- Masz rację. - Poszukał jej ust.
- A tobie na nim zależy - wybąkała spłaszczonymi pocałunkiem wargami.
- To mój dziadek. Jestem jego wnukiem. Nie rozwodziliśmy się zbytnio nad tym, doszliśmy po prostu do wniosku, że w nas obu utkwilo całe mnóstwo z tego drugiego.
- Caleb, jestem absolutnie pewna, że to, co czujesz do dziadka, jest najczystsza postacią synowskiej miłości - powiedziała Serenity. - A on cię kocha jak syna.
- Tak myślisz?
- Nie myślę, ja to wiem.
- Wolno ci mieć własne zdanie. A teraz, jeśli nie masz nic przeciw temu, chciałbym zmienić temat.
- O czym chcesz porozmawiać?
- O twoim trenowaniu. - Delikatnie musnął ustami jej wargi, po czym pocałował ją w podbródek.
- Ach, o tym. - Serenity uśmiechnęła się w mroku. - Chcę zrobić wszystko co możliwe dla tego dziecka.
W końcu będzie to pierwsze dziecko urodzone w Witt's End od czasu moich narodzin.
- Doskonale rozumiem twoje chęci zrobienia wszystkiego co się da. Mogę cię zapewnić, że w tym przedsięwzięciu będziesz miała najlepszego doradcę na świecie.
- Miło mi to słyszeć.
Caleb ujął twarz Serenity i popatrzył na nią niepokojąco poważnym wzrokiem.
- Powiniennem cię ostrzec, że nie mam zbyt wielkiego doświadczenia, jeśli chodzi o dzieci i cały ten związany z nimi kram.
- Nie przejmuj się - szepnęła Serenity. - Coś mi mówi, że będziesz bardzo dobry w te klocki.
Caleba wyrwało ze snu głośne stukanie do drzwi. Odwrócił się na bok, wyplątał nogi spomiędzy nóg Serenity i usiadł. Zimny blask przedświt przezierał przez okno.
Ktoś zastukał ponownie, tym razem jeszcze głośniej.
- Ktoś puka do drzwi - wymruczała Serenity z głębi poduszki.
- Żartujesz?! - Caleb odsunął kołdrę na bok. - Ktokolwiek to jest, długo nie pożyje.
Serenity parsknęła stłumionym śmiechem.
- To chyba Harry przyjechał po twojego dziadka. I bez tego pewnie jest zdenerwowany, więc go nie dobijaj.

- Nie trzeba było się zjawiać przed świtem. - Caleb wbił się w dżinsy i przeszedł przez hali do saloniku, ale zanim dotarł do drzwi, usłyszał, że się otworzyły.
 - Dzień dobry - wycedził Roland uprzejmie. - Czy nie za wcześnie trochę na wizytę?
 - Ktoś ty, do diabła? - dopytywał się głęboki, gruby głos.
 - Ventress. A pan kim jest?
 - Ty jesteś Ventress? - W niedźwiedziowatym głosie zabrzmiała nuta niedowierzania. - Ariadne mi powiedziała, że masz około trzydziestki. Jakiś superkonsultant finansowy, czy coś takiego.
 - To ja jestem Caleb Ventress - powiedział lodowatym tonem Caleb wyłaniając się z hallu.
 - Naprawdę? - Olbrzym stojący w drzwiach spojrział na niego spod sterzących brwi, dających świadectwo istnieniu neandertalczyków. Złoty kolczyk w uchu rzucał złowrogie błyski. Olbrzym ponownie spojrział na Rolanda, który przytrzymał otwarte drzwi. - No to ilu tu jest tych Ventressów?
 - Dwóch. - Caleb zmierzył przybysza wzrokiem.
- Ten wielki facet nie tylko huczał jak niedźwiedź, również tak wyglądał. Miał masywne bary, gęstą brodę i toporne rysy twarzy. Ciemne oczy błyszczały złowrogo. Olbrzym miał na sobie splewiałe dżinsy, skórzane długie buty i czarną skózaną kurtkę, nabijaną srebrnymi ćwiekami. Czoło i rzednące siwe włosy obejmowała przepaska, zawiązana na modłę motocyklowych piratów.
- Proszę, proszę. - Gość obejrzał Caleba od stóp do głów, zupełnie jawnie go taksując. - A więc to ty.
 - Na to wygląda. Kim pan jest?
 - Nazywam się Julius Makepeace, synku. - W gęstwinie kudłatej brody błysnęły białe zęby. - Miejmy nadzieję, że się jakoś dogadamy, bo z tego, co słyszałem, prawdopodobnie niedługo zostanę twoim teściem.

Rozdział 19

Dziewięć i pół miesiąca później, w lecie, tuż po dwunastej w południe słonecznego dnia, Serenity nagle poczuła, że coś się w niej w środku dzieje. Oderwała wzrok od zamieszczonego we wczorajszym wydaniu „Seattle Times” fotoreportażu z retrospektywnej wystawy prac Ambrose'a Asterleya.

- Chyba powinnaś pójść po Caleba - powiedziała do Zone.
- Zone w dalszym ciągu wertowała stertę zamówień, które przysły z poranną pocztą. Drugie wydanie katalogu „Sprzedaży Wysyłkowej Witt's End” spowodowało jeszcze większy napływ zamówień.
- Burmistrz z dziadkiem ogląda magazyn.
- Słyszałam, że ta burza w nocy przyniosła jakieś szkody, chyba drzewo upadło na dach.
- Trzy miesiące po tym, jak ukazała się pierwsza edycja katalogu, zbudowanie magazynu stało się konieczne, zamówienia bowiem napływały systematycznie i w coraz większej ilości. W gruncie rzeczy najpoważniejszym zmartwieniem Caleba było znalezienie sposobu stabilizacji i kontroli nad rozrastającym się przedsiębiorstwem.
- Serenity przyłożyła rękę do krzyża i skrzywiła się z bólu.
- Proszę cię, odszukaj Caleba i powiedz mu, że już czas.
 - Na co? - Zone spojrziała na nią ze zdziwioną miną, ale po chwili szeroko otworzyła oczy. - O mój Boże, czas? To znaczy, twój czas?
 - Tak. - Serenity zabrakło tchu.
 - Ale termin masz dopiero za dwa tygodnie - próbowała ją przekonać Zone zrywając się z krzesła.
 - Lepiej się pospiesz.

- Zostań na miejscu! - Żółte i pomarańczowe szaty Zone powiewały za nią jak welon, kiedy biegła do drzwi.

- Nie ruszaj się stąd! Przyrowadzę Caleba i resztę.

- Nie martw się - wyszeptała Serenity w pustym biurze. - Nigdzie się nie wybieram.

Jednak Zone miała rację co do terminu, było za wcześnie. O dwa tygodnie za wcześnie. I wszystko szło teraz za szybko. Zgodnie z tym, co powiedział lekarz, Serenity powinna odczuwać całą masę ostrzeżeń i w związku z tym mieć mnóstwo czasu na zjazd w dół do szpitala w Bullington.

Poniewczasie uświadomiła sobie, że należało przyłożyć większą wagę do bólów krzyża, które obudziły ją tego ranka, ale w ostatnich dniach ciąża tak bardzo dawała jej się we znaki, że odrobinę ostrzejszy ból wcale nie zaniepokoił. Spojrzała na zegar i przemknęło jej przez głowę, że prawdopodobnie wszystko zaczęło się już kilka godzin wcześniej, a ona dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Serenity wstała z trudem i natychmiast, na skutek silnego i bolesnego skurczu, opadła z powrotem na krzesło. Próbowwała sobie przypomnieć oddechowe mantry, których uczyła ją Zone.

W sklepie ostro zagrały dzwonki, gdy ktoś szeroko rozwarł drzwi.

- Serenity?! - zawołał Caleb. - Gdzie jesteś?!

- Tutaj. - Kiedy pojawił się w drzwiach, uśmiechnęła się do niego nieznacznie. Tuż za nim stał Roland, obok Ariadne, Zone, Julius i Montrose. Na drewnianym chodniku na zewnątrz dudniły kroki pozostałych zbiegających się przyjaciół. - Mam nadzieję, że jesteś dobry w te klocki, bo chyba nie zdążymy już do szpitala.

- Nie da się zjechać w dół - powiedział Montrose bliski paniki. - Wczorajsza burza przewróciła drzewo na drogę i ekipa z Bullington jeszcze go nie uprzątnęła.

- Zadzwonź po karetkę - polecił mu Caleb. - Powiedz im, że się z nimi spotkasz przy powalonym drzewie, tam ich wsadzisz do swojego samochodu i przywieziesz tutaj.

- Dobra. - Montrose rozejrzał się i chwycił za jeden z trzech nowych telefonów, zainstalowanych w biurze.

Julius zaglądał do biura zza pleców Caleba. Miał dziwny, jakby nieobecny wyraz twarzy.

- Do cholery, tylko nie to. To się nie może powtórzyć!

- Chwycił Caleba za ramię. - Człowieku, musimy ją zawieźć do szpitala!

- Zawieziemy. - Caleb podszedł do Serenity, która ciężko dyszała w następnym skurczu.

- Cholera. - W drzwiach zjawiła się Jessie. - Musimy coś zrobić!

- Serenity, proszę cię - Ariadne popatrzyła na nią błagalnie. - Musisz się powstrzymać, dopóki cię nie zawieziemy do szpitala. Nie możemy ryzykować.

Caleb pochylił się nad Serenity, objął ją i podniósł z krzesła. Trzymając ją na rękach odwrócił się do drzwi.

- Zróbcie przejście.

Wszyscy usunęli się na bok.

Z bezpiecznego schronienia ramion Caleba Serenity spojrzała na morze otaczających ją zalekzionych twarzy. Wiedziała, że wszyscy tu obecni przypominają sobie okoliczności śmierci jej matki. Oni bardziej od niej potrzebowali otuchy.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Tym razem będzie inaczej. Ja trenowałam.

- Następną falę bólu ścisnęła jej wnętrzości. Wtuliła twarz w ramię Caleba. - Proszę cię, weź mnie do domu. I jeśli się nie pospieszysz, to dziecko się urodzi między płatkami owsianymi a tofu.

- Trzymaj się, Serenity - powiedział stanowczo Caleb.

- Wszystko będzie w porządku.

- Wiem. Próbuję ci to właśnie wytłumaczyć. - Bez powodzenia spróbowała stłumić okrzyk bólu,

czując następny skurcz.

Caleb ruszył do drzwi.

- Nie martwcie się, kochani - powiedział ciepło stojący w pobliżu Roland. - Caleb i ja odebraliśmy razem wiele porodów. Damy sobie radę.

- Ale to były źrebaki - ofuknął go wnuk. - Nie dzieci.

- Nie taka znowu wielka różnica - powiedział łagodnie Roland. - Natura sama zrobi co trzeba.

Zobaczysz.

Ciepłe i złote promienie słońca oświetlały biały pokój. Serenity tuląc w ramionach niemowlęta spoglądała na zamknięte drzwi. Za chwilę się otworzą i wtedy on się pojawi.

Mały Gordon Trevor Ventress zaczął się wiercić. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Nie denerwuj się, tatuś zaraz przyjdzie i zabierze nas do domu. - Drobniotka Emily Crystal pomachała maleńką łapką.

Bliźnięta urodziły się całe i zdrowe, bez najmniejszych komplikacji, w łóżku swoich rodziców w Witt's End. Ojciec odebrał je własnoręcznie. Wszystko skończyło się parę chwil po uprzątnięciu przeszkody na drodze do Witt's End, tak więc karetka pojawiła się wkrótce po przyjściu dzieci na świat. Serenity z bliźniętami pojechała do szpitala w Bullington na rutynowe badania.

Przemiły pan doktor uznał mamę i dzieci za zdrowych i w świetnej formie, czym ucieszył wszystkich zainteresowanych. Serenity, Gordon Trevor i Emily Crystal spędzili noc w szpitalu. A teraz już zbliżał się czas powrotu do domu.

Serenity, nucąc coś dzieciom, z zaciekawieniem rozglądała się po szpitalnym pokoju. Obudziła się z dziwnym uczuciem deja vu. W jednej chwili rozpoznała otoczenie, w którym się znalazła. Biały pokój, złociste słoneczne światło i zamknięte drzwi - wszystko jakby żywcem wyjęte z wizji, jaką miała w zeszłym roku w jaskini źródeł.

- Niemożliwe - szepnęła do Gordona i Emily. - To czysty zbieg okoliczności.

Ale mogłaby przysiąc, że słyszy dźwięki walca. Drzwi się otworzyły.

Do białego, skąpanego w słońcu pokoju wszedł mężczyzna.

Uśmiechnął się do niej.

- Cholera - jęknęła Serenity. - To nie ten facet.

- No, no, no, Serenity. Jak tam młoda mamusia? - Rozradowany Lloyd Radburn nachylił się nad łóżkiem i szeroko się uśmiechnął. W ręku trzymał dwa zwinięte egzemplarze akademickiego czasopisma. Jeden był przewinięty różową, drugi niebieską wstążeczką.

- Cześć, Lloyd. - Uśmiechnęła się. - A cóż to takiego?

- To? - Lloyd podniósł rękę do góry. - Taki mały prezent dla dzieciaków. Egzemplarze sygnałne następnego wydania kwartalnika „Przegląd Dynamiki Społecznej”.

W środku jest mój artykuł. Pomyślałem, że będzie to świetna pamiątka dla bliźniąt.

- Ach. Dziękuję, Lloyd. To bardzo ładnie z twojej strony.

- Zupełny drobiazg. Dzięki temu otrzymałem nominację. Patrzysz teraz na nowego dziekana wydziału socjologii w Bullington College.

- Moje gratulacje.

- Słuchaj, nie dokonałbym tego bez ciebie. - Lloyd zachichotał patrząc na maleństwa w jej ramionach. - Co prawda raport nie poszedł w tym kierunku, który przewidywałem, ale wydawca mi powiedział, że to absolutnie wyjątkowa praca. Oczywiście, zgodziłem się z nim.

- Jak zatytułowałaś ten raport?

- „Od outsiderów do przedsiębiorców. Wpływy lokalnego smallbiznesu na strukturę społeczną typowego miasteczka pogranicza”!

- O, to robi wrażenie.

- Dzięki. Też tak uważam. - Lloyd bez powodzenia próbował udawać skromność. - Muszę przyznać, kochana, że ci wiele zawdzięczam. Gdybyś nie powiedziała wtedy tym dobrym ludziom z Witt's End, że mogą ze mną współpracować, w żaden sposób nie napisałbym tego raportu.

- Jak tylko Gordon i Emily nauczą się czytać, pokażę im twój artykuł - obiecała Serenity.

- Wspaniale. Słuchaj, mam pomysł...

Serenity spojrzała na twarz Lloyda i dostrzegając znajomy błysk w jego oczach głucho jęknęła.

- Nie, wykluczone. Powiedziałam wszystkim, żeby ci pomagali tylko jeden, jedyny raz, żeby cię mieć z głowy.

Nie spodziewaj się żadnej pomocy przy innych badaniach. Teraz będę miała zupełnie co innego na głowie.

- Ale te badania miałyby bardziej antropologiczny charakter - powiedział Lloyd, próbując ją przekonać. - Myślałem już o tytule: „Wizje, tradycje i zmiany. Rozwój i modyfikacja legendy w typowym miasteczku pogranicza”.

- Nie ma mowy.

- Serenity, to idealny temat. Zwłaszcza teraz, kiedy są bliźnięta. Wielki finisz żywej legendy.

- Jakiej żywej legendy?

- Ciebie.

- Lloyd, ja cię ostrzegam! Absolutnie nie mam najmniejszego zamiaru pomagać ci w przeprowadzaniu następnego badania socjologicznego w Witt's End. Wybierz to sobie z głowy, jasne?

- Jasne, spokojnie, nie ma potrzeby teraz się tym przejmować - zapewnił ją. - W tej chwili masz inne sprawy, ja to rozumiem.

- Cieszę się. - Serenity zmarszczyła brwi. - Lloyd, czy ty słyszysz walca?

- Ktoś puścił radio w dyżurce pielęgniarek. - Pochylił się, żeby dokładnie się przyjrzeć Emily Crystal.

Drzwi do białego, skąpanego w słońcu pokoju otworzyły się.

Wszedł Caleb. Uśmiechnął się do Serenity. Przez chwilę stał milcząc.

- To ten facet - szepnęła Serenity. - Czekaliśmy na ciebie.

- No, no, no. - Lloyd wyciągnął rękę do Caleba. - Gratuluję, panie burmistrzu. Dzieciaki są podobne do pana jak dwie krople wody.

Caleb zmierzył go wzrokiem, ale pozwolił sobie uściśnąć rękę.

- Co ty tu robisz, Radburn? Myślałem, że widzieliśmy cię ostatni raz, kiedy skończyłeś badania.

- Przyszedłem tylko złożyć uszanowanie nowym przybyszom - wyjaśnił Lloyd.

- Świetnie. Jeśli nie masz nic przeciw temu, chciałbym zabrać moją rodzinę do domu.

- Nie ma problemu - Lloyd ruszył do drzwi. - Do zobaczenia wkrótce.

- Może się to nie uda. - Kiedy Lloyd wyszedł, Caleb uśmiechnął się do Serenity. - Gotowa?

- Wszyscy jesteśmy gotowi. - Mama ciaśniej objęła Gordona Trevora i Emily Crystal.

- Pielęgniarka powiedziała, że za chwilę tu przyjdzie z fotelem na kółkach. - Caleb chwycił małą rączkę synka. Patrzył na niego z niemym zachwytem w oczach.

- Nie muszę mieć wózka.

- Nie pozwolą ci stąd wyjść na własnych nogach. - Caleb rozpromienił się podziwiając małą Emily Crystal. - Oboje są niesamowici, prawda?

- O tak, prawda. Gdzie jest dziadek?

- Czeka ze wszystkimi na zewnątrz.

- O matko jedyna, mówisz, że wszyscy są w poczekalni?

- Prawie.

- A kto został w sklepie? Kto realizuje zamówienia?
Kto odbiera telefony z reklamacjami?

- - Uspokój się, zostawiliśmy kogoś, żeby się tym zajął - powiedział Caleb.

- Kogo?

- Blade'a.

- Och, nie. - Serenity wpadła w panikę. - Musimy natychmiast wracać do Witt's End. Blade dojdzie do wniosku, że każdy, kto dzwoni z zamówieniem, planuje potajemnie inwazję.

- Żartowałem, nie martw się. Wszystko jest załatwione, Zone jest tam z nim. - Caleb spojrzał Serenity w oczy.

- Zanim stąd wyjdziemy, chciałem ci coś dać. - Podał jej pakunek, który przyniósł ze sobą.

- Och, Caleb, dziękuję.

Caleb trzymał na rękach Gordona Trevora, kiedy Serenity jedną ręką odwijiała paczuszkę z brązowego papieru. W środku znalazła dwa albumy oprawione w spłowiałą imitację skóry.

- Co to takiego? Album szkolny? - Spojrzała na niego.

- Nie rozumiem. To twoje?

- Nie. - Caleb patrzył na nią z przejęciem. - Pochodzą ze szkoły twoich rodziców.

- Moich rodziców. - Serenity niemal odjęło mowę.

- Kilka miesięcy temu wynająłem prywatnego detektywa, żeby odszukał szkoły i sprawdził roczniki. Znalazł albumy i wysłał mi je pocztą. Dostałem je wczoraj, ale w tym całym zamieszaniu nie miałem okazji ci ich wręczyć.

Serenity miała tak sucho w gardle, że ledwo mogła mówić.

- Są tu ich zdjęcia?

- Zaznaczyłem strony. - Caleb się uśmiechnął. - Zobacz.

Serenity powoli otworzyła pierwszy album. Jej wzrok natychmiast spoczął na młodej kobiecej twarzy. Fotografia przedstawiała miłą dziewczynę, której oczy pełne były zarówno rozwagi, jak i nadziei.

Serenity bardzo długo przypatrywała się zdjęciu. Zdjęciu jej matki.

- Masz jej oczy. Zobacz teraz to drugie - zaproponował po minucie Caleb. Serenity tak się trzęsły palce, że z trudem otworzyła drugi album. A wtedy ujrzała kolorowe zdjęcie młodego mężczyzny. Trevor Jones. Cień w jego oczach zdradzał chmurną przeszłość, ale na twarzy malowała się hardość, siła i determinacja.

Serenity ze zdziwieniem dotknęła fotografii swego ojca.

- Miał rude włosy.

Caleb spojrzał na chmurę ognistych włosów okalających twarz Serenity.

- Chyba nie myślałaś, że się wzięłaś znikąd, co?

- To i owo z innych ludzi - szepnęła Serenity. Oczy jej przesłoniła mgła. - Caleb, ofiarowałeś mi cudowny prezent.

- To nic w porównaniu z tym, co ty mi dałaś - odpowiedział. - Kocham cię, Serenity.

Spojrzała na Caleba i zobaczyła w jego oczach pewność i przekonanie.

- Zawsze wiedziałam, że będziesz w tym dobry.

Drzwi otworzyły się znowu i do pokoju weszła uśmiechnięta pielęgniarka z fotelem na kółkach.

- Gotowa? - spytała patrząc na pacjentkę.

- Tak - powiedziała Serenity. - Jesteśmy gotowi.

Caleb zatrzymał się na moment, żeby się rozejrzeć po słonecznym pokoju, zanim podążył za swoją

rodziną do hallu. Zmarszczył brwi z namysłem.

- Wiesz, ten pokój coś mi przypomina.

Serenity roześmiała się wesoło. Radość w niej wirowała jak krystalicznie czysta woda, tryskająca z bezdennego źródła.

- Doskonale rozumiem, co masz na myśli.